

Nie chowaj tej książki przed sobą! I tak kupi sobie nową.

Poganka



IRIS JOHANSEN

IRIS JOHANSEN

Poganka

*Nakładem Wydawnictwa Da Capo
ukazały się następujące książki
Iris Johansen*

*NIEWOLNICA
NIEWINNA
BURZA
ŁAJDAK
ZAGADKI*

Przełożyła
Ewa Westwalewicz-Mogilska

Wydawnictwo Da Capo
Warszawa 1996

Tytuł oryginału
DARK RIDER

Copyright © 1995 by Iris Johansen

Koncepcja serii
Marzena Wasilewska-Ginalska

Redaktor
Krystyna Borowiecka

Ilustracja na okładce
Robert Pawlicki

Projekt okładki,
skład i łamanie
FELBERG

For the Polish translation
Copyright © 1996 by Ewa Westwalewicz-Mogilska

For the Polish edition
Copyright © 1996 by Wydawnictwo Da Capo

Wydanie I

ISBN 83-7157-185-2

Printed in Germany
by ELSNERDRUCK-BERLIN

PROLOG

*15 września, 1795
Marsylia, Francja*

Wracaj tutaj, ty diablico z piekła rodem!
Cassie przeskoczyła ponad niewielką skrzynią i ominęła marynarza.

- Wiesz, co cię czeka, jeśli będę cię musiała gonić!

O tak, wiedziała doskonale. Będzie zmuszona do wysłuchania jednego z długich kazań opiekunki, a potem zostanie zamknięta w kabinie. Ale zobaczyła, że marynarze załadują na statek konie, dwa piękne konie, i nie miała zamiaru tracić takiej okazji z powodu grózb Klary. Istniały rzeczy warte każdej ceny.

Obejrzała się. Klara pędziła za nią z gniewnym wyrazem twarzy.

Cassie skręciła za róg i zanurkowała pod stertę kufrów. Wstrzymała oddech, słysząc szelest wykrochmalonych spódnic Klary. Odczekała dwie minuty i wyjrzała zza kufra. Klary nie było. Z ulgą zaczerpnęła haust powietrza i ruszyła biegiem z powrotem.

- I kogóż my tutaj mamy? - Przy barierce stał tatuś z jakimś panem. - Chodź do nas, mała dzikusko.

Cassie z westchnieniem zatrzymała się przed ojcem. Mogło być jeszcze gorzej. Ojciec wprawdzie nie powstrzyma Klary przed ukaraniem jej, ale może wpłynąć na złagodzenie wyroku. Tatuś nie był taki jak inni dorośli; nie krzyczał, nie marszczył brwi i nie potrząsał głową. Może da się namówić na wspólne oglądanie koni.

- Jakaż to słodka dzieciца - powiedział pan, z którym rozmawiał tatuś. - Ile ma lat?

Ojciec uśmiechnął się z dumą.

- Cassandra ma osiem lat. Cassie, to mój przyjaciel, Raoul. Raoul przykucnął przy niej.

- Cieszę się, że cię poznałem, Cassandro.

Uśmiechał się, ale jego oczy pozostały zimne jak u węża, którego Cassie w zeszłym tygodniu wpuściła Klarze do łóżka.

- Masz szczęście, Charles. Dorównuje urodą swojej pięknej matce.

Dlaczego kłamał? Klara stale powtarzała Cassandrze, że jest wstrętą jak ropucha. Mówiła, że uroda bierze się z grzeczności i posłuszeństwa, i niedobre dziewczynki, takie jak Cassandra, zawsze są brzydkie. Cassie już się przekonała, że Klara nie zawsze mówiła prawdę, ale co do braku jej urody chyba miała rację. Mama zawsze była łagodna, we wszystkim słuchała Klary i nikt nie mógł jej odmówić urody. Cassandra uniosła głowę i oświadczyła:

- To nieprawda.

Raoul nie przestawał się uśmiechać.

- Równie skromna, co urodziwa. - Poklepał ją po policzku i wstał. - Kiedy wrócicie, wyszukamy dla niej odpowiedniego partnera.

- Partnera? - Ojciec spojrział na niego zdumiony. - Myślisz, że pozostanę tam tak długo?

- Obydwa wiemy, że to możliwe. Oczywiście dam ci znać, gdy tylko nadejdzie odpowiednia chwila. - Poklepał ojca po ramieniu. - Nie rób takiej ponurej miny, przyjacielu. Tahiti to podobno piękny kraj. W zeszłym tygodniu rozmawialiśmy o nim z Jacquesem-Louisem Davidem, który twierdzi, że malowanie w takiej okolicy będzie niezwykle ekscytujące. Możesz tam doznać wielkiego natchnienia i stworzyć prawdziwe arcydzieło.

- Tak... - Ojciec wziął Cassie na rękę i zapatrzył się przed siebie nie widzącym wzrokiem. - Ale to tak daleko.

- Im dalej, tym bezpieczniej - stwierdził łagodnie Raoul. - Przyszedłeś do mnie panicznie wystraszony. Żeby przed nim umknąć, przeprowadziłeś się nawet z Paryża do Marsylii. Czyżbyś teraz zmienił zdanie? Istnieje duża szansa, że będziesz tam bezpieczny przez dłuższy czas. Chcesz zostać tutaj i ułatwić mu poszukiwania?

- Nie! - Twarz ojca pobladała. - Ale to nie jest w porządku, ja nie chciałem...

- Co się stało, to się nie odstanie - przerwał mu Raoul. -

Teraz musimy bronić się przed skutkami. Jak myślisz, dlaczego zmieniłem nazwisko i zerwałem wszystkie dotychczasowe powiązania? Potrzeba ci więcej pieniędzy na podróż?

- Nie, byłeś bardzo hojny. - Zmusił się do uśmiechu. - Ale odezwij się jak najszybciej. Moja żona jest delikatnego zdrowia i wcale się nie cieszy z wyprawy na dziki ląd.

- Rozkwitnie na Tahiti. Tamtejszy klimat jest o wiele przyjemniejszy niż w Londynie czy Marsylii. - Raoul znów się uśmiechnął. - Muszę już iść. Przyjemnej podróży, Charles.

- Do zobaczenia - odparł smętnie ojciec.

- I dobrej podróży tobie, mała panienczko. - Raoul uśmiechnął się do Cassie. - Opiekuj się swoim tatusiem.

Zupełnie jak wąż. Cassie otoczyła ojca ramionami.

- Oczywiście że będę.

Odprowadzali go wzrokiem, gdy schodził ze statku i skierował się na molo.

Ojciec rozluźnił uchwyt rączek Cassie.

- Trochę powietrza, *ma chou*. - Zachichotał. - Jeśli mnie zadusisz na śmierć, nie będziesz miała kim się opiekować.

- Nie podoba mi się - powiedziała Cassie nie spuszczać Raoula z oka.

- Raoul? Nic nie rozumiesz. Jest moim bliskim przyjacielem i pragnie mego dobra. Słyszałaś, że chce, abyś się mną opiekowała.

Wcale nie była przekonana, ale dorośli nigdy nie liczyli się z jej zdaniem. Oparła mu głowę na ramieniu i wyszeptwała:

- Zawsze będę się tobą opiekować, tatusiu.

- Moja dzielna córeczka. Wiem, że będziesz. - Przygryzł wargę i spojrział w stronę oddalającego się Raoula. - Ale to nie Raoul jest niebezpieczny, tylko książę.

Cassie słyszała o książętach. Klara z wielkim entuzjazmem opowiadała jej o wszystkich arystokratkach ściętych na gilotynie. Klara była Angielką, tak samo jak mama, i nie znosiła francuskiej arystokracji. Ale Klara nie znosiła prawie wszystkich.

- Jak książęta, którzy zostali straceni na Placu Zgody?

- Nie, ten jest księciem angielskim. - Nagle odwrócił się plecami do barierki i postawił Cassie na pokładzie. - Teraz muszę cię odprowadzić do mamy i Klary. Statek wkrótce odbije.

- Chcę zostać z tobą.

- Naprawdę? Ja także chciałbym z tobą zostać, ale Klara będzie się na nas bardzo gniewać. - Jego oczy zabłyśły raptem figlarnie jak u chłopca. - Gdzie się ukryjemy?

Była na to przygotowana.

- Na dole, w ładowni. - Właśnie tam biegła, gdy dostrzegł ją tatuś. - Możemy zostać przy koniach.

- Powiniennem być się domyślić, że znajdziesz konie nawet na statku.

- Są piękne. Klara tam nie zajrzy; wiesz, że nienawidzi koni. Przyniosę ci z kufra sztalugi i będziesz je mógł namalować.

- Doskonały pomysł. - Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę ładowni. - Widzisz, już spełniasz wszystkie moje życzenia.

I tak będzie zawsze, postanowiła ściskając dłoń ojca. Mama powiedziała jej kiedyś, że tatuś nie jest taki jak inni mężczyźni. Jest artystą i potrzebuje wiele miłości i opieki, żeby móc w spokoju malować piękne obrazy i obdarzać nimi cały świat. Nie może mieć kłopotów, które nękają zwykłych ludzi. A to oznacza, że nie może być tak wystraszony, jak kilka minut temu. Cassie wiedziała, jak okropnym uczuciem jest strach. Kiedy była młodsza, często bała się, gdy Klara ją straszyla...

Tak, będzie go ochraniać przed Klarą i wężem o imieniu Raoul, i tym angielskim księciem. Będzie go ochraniać przed każdym, kto go zechce skrzywdzić.

1

4 września, 1806

Zatoka Kealakekua, Hawaje

Chodź z nami, Kanoa! - zawołała Lihua wchodząc do spienionej wody. - Po co tkwić na brzegu, skoro można pójść tam, gdzie jest świetne jedzenie i jeszcze lepsze podarunki? Anglicy są piękni i potrafią kochać jak sami bogowie.

Anglicy. Cassie spojrzała na latarnie wydobywające z ciemności wdzięczny zarys statku. „Josephine” była mniejsza od innych statków, które zawijały do zatoki, ale to wcale nie oznaczało, że nie była groźna. Cassie czuła się nieswojo od chwili, gdy tego popołudnia przybyła do wioski i Lihua powiedziała jej, że dwa dni temu w zatoce pojawił się statek. Próbowała przekonać swoje przyjaciółki, że obcokrajowcy mogą okazać się niebezpieczni, ale kobiety z wioski tylko ją wyśmiały. Powinna spróbować jeszcze raz.

- Wiesz, że nie mogę. Już i tak zostałam tutaj zbyt długo. - Załamała ręce i patrzyła, jak dwanaście kobiet wbiega do wody. - I wy także nie powinniście tam płynąć. Niczego się nie nauczyłaś? Nie powinniście sypiać z Anglikami. Roznoszą chorobę i wcale ich nie obchodzicie.

Lihua uśmiechnęła się szeroko.

- Za bardzo się przejmujesz. Wcale nie wiadomo, czy to marynarze kapitana Cooka zawlekli do nas choroby weneryczne. A Anglicy ze statku troszczą się o mnie wystarczająco, by dać mi tej nocy rozkosz. A czegoż więcej może pragnąć kobieta?

Lihua nigdy nie pragnęła niczego więcej, pomyślała z rozpaczą Cassie, żadna z nich nie pragnęła niczego więcej. Dziś przyjemność, jutro zapłata. Zazwyczaj Cassie nie sprze-

ciwiała się tej filozofii, ale teraz wietrzyła niebezpieczeństwo.

- Chodź z nami - kusiła Lihua. - Na czele marynarzy stoją dwaj mężczyźni. Wódz i jego stryj, który sprawuje funkcję kapitana. Pozwolę ci wziąć wodza. Zna wiele sposobów, by zadławić kobietę. Jest bardzo piękny, ma też wdzięk i nienasycony apetyt, jak twój ogier, którego tak uwielbiasz.

- Wódz? Na statku jest arystokrata?

- Marynarze mówią, że to ktoś taki jak nasi wodzowie. Mówią o nim Jaśnie Oświecony Książę.

Książę. Cassie doznała słabego przebiegu pamięci. Dawno miniony dzień w Marsylii. Szaleństwo, to nie może mieć związku.

- Jak się nazywa?

- Jared.

- Nie wiesz, jak brzmi jego nazwisko?

Lihua wzruszyła ramionami.

- Kto by tam wiedział? Po cóż miałabym go pytać o takie rzeczy? To nie jego nazwisko sprawia, że płaczę z rozkoszy, lecz jego wielki...

- Lihua, chodź wreszcie - zawołała Kalua, siostra Lihui. - Nie przekonasz jej. I dlaczego oddawać jej wodza? Możemy się nim podzielić, tak samo jak zeszłej nocy. Ona nawet by nie wiedziała, co z nim robić - dodała tonem żartobliwej pogardy. - To dziewica, z nikim się nie pokłada.

- To nie jej wina - broniła Cassie Lihua. - Nie ona zdecydowała, że nie będzie dawać i zażywać rozkoszy. - Zwróciła się do Cassie: - Wiem, że to Lani zdecydowała za ciebie, z lęku, że stara paskuda wymierzy ci karę, ale jeden raz z pewnością by nie zaszkodził. Śmiało możesz popłynąć na statek, zakosztować angielskiego wodza i przypłynąć tu z powrotem. Na pierwszego kochanka kobieta powinna mieć ogiera.

- Będzie dla niej zbyt wielki - zaprotestowała Kalua. - Gdyby mój pierwszy mężczyzna miał takiego wielkiego, nigdy nie zdecydowałabym się na następnego.

- Miałaś wtedy zaledwie trzynaście lat. A ona ciągle jeździ na tym wielkim koniu i z jej błony dziewiczej nic już nie zostało. Będzie ciasna, ale nie...

- Co on tutaj robi? - przerwała jej Cassie, ze wzrokiem

utkwionym w statku. Przywykła do ich otwartych dyskusji na temat seksu i nie zwracała na nie uwagi.

- Już ci mówiłam. - Lihua zachichotała. - Ale nie powiem ci nic więcej. Jego umiejętności są nie do opisania. Musisz się sama przekonać.

- Ci Anglicy nie zawinęli do przystani tylko po to, by sprawić kobietom przyjemność. Spytaj go, po co tu przypłynął.

- Sama go zapytaj. - Kalua odwróciła się i ruszyła w stronę statku. - Zaprzęają mnie inne sprawy.

- Muszę płynąć. - Lihua weszła do wody. - Kalua nie chce podzielić się ze mną wodzem.

- Wiesz coś o nim? - zawołała Cassie. - W jakim jest wieku?

- Młody.

- Jak młody?

- Młodszy niż jego wuj.

- To znaczy?

- Nie zwracam uwagi na wiek mężczyzny, jeśli jest pełen wigoru. Wiek nie ma dla mnie znaczenia.

Ale może mieć znaczenie dla Cassie. Ojciec nigdy więcej nie wspominał o księciu, ale musiał on być przynajmniej w wieku ojca, skoro wprawił go w takie przerażenie.

- Co jeszcze mam o nim wiedzieć? - spytała Lihua. - Jest Anglikiem, przybył tutaj z Tahiti i zna nasz język. Prawdopodobnie chce czegoś od króla Kamehamehy, podobnie jak inni Anglicy. - Weszła głębiej i odpłynęła za kobietami. - I prawdziwy z niego ogier...

- Dowiedz się, jak ma na nazwisko! - zawołała Cassie, nie wierząc, że Lihua usłyszy. Prawdopodobnie nie miało ono znaczenia. Wspomnienie owego dnia w Marsylii osłabło. Cassie nie pamiętała już, czy tatuś wymienił wtedy jakieś nazwisko. Poza tym możliwość, że wciąż grozi mu niebezpieczeństwo, była niewielka. Statki brytyjskie zawiąły tu przez wszystkie minionie lata i nic się nie stało. Niewielu mężczyzn przepłynęłoby pół świata, żeby zniszczyć wroga.

Cassie słyszała śmiechy i pokrzykiwania kobiet w ciemności. Nie powinna dłużej zwlekać. Nie wolno jej było przebywać w wiosce i jeśli wkrótce nie wróci do zagrody, Klara odkryje, gdzie się podziewała. Ale czy to ważne? Klara prawdopodobnie i tak się dowie, a Cassie skorzystała z jeszcze kilku chwil cudownej wolności.

Wciągnęła w płuca przesiąknięte solą powietrze i zagłębiła stopy w wilgotnym piasku. Wydawało się jej, że słyszy śmiech Lihui. Jej przyjaciółki płynęły uszczęśliwione w chłodnej, jedwabistej wodzie. Wkrótce zostaną powitane na pokładzie statku i radośnie oddadzą się miłości. Święci niebiescy, z zakłopotaniem stwierdziła, że na samą myśl twardej jej sutki. Ostatnio własne ciało bez przerwy płatało jej figle. Lani mówiła, że to normalne, że ciało przygotowuje się na przyjęcie mężczyzny, a dojrzewanie jest równie piękne jak rozkwit kwiatu. Ale, skoro to prawda, dlaczego Lani nie pozwalała jej zlec z...

- Naprawdę jesteś dziewicą?

Cassie zeszywniała i obróciła się ku wyłaniającemu się z kępy palm mężczyźnie. Mówił po polinezyjsku, w języku, którym Cassie porozumiewała się z przyjaciółmi, lecz bez wątpienia nie pochodził z wysp. Był wysoki, ale szczuplejszy od miejscowych mężczyzn i poruszał się z powolnym, swobodnym wdziękiem, a nie z pełną życia sprężystością wyspiarzy. Miał na sobie eleganckie, obcisłe spodnie, a surdut doskonale uwydatniał jego szerokie ramiona. Śnieżnobiały jedwabny plastron był związany w skomplikowany węzeł, czarne włosy miał zaczesane do tyłu i spięte w kitkę.

„Jest bardzo piękny i ma wdzięk i nienasycony apetyt, podobnie jak twój ogier, którego tak bardzo kochasz.”

Lihua miała rację. Był piękny. Biła od niego siła i egzotyczny urok. Wystające kości policzkowe i ładnie wykrojone, zmysłowe usta sprawiły, że Cassie nie mogła oderwać od niego wzroku. Lekki powiew wzburzył mu włosy i na szerokie czoło opadł ciemny kosmyk.

Poganim, przemknęło jej przez myśl nie wiadomo dlaczego. Klara używała tego określenia w stosunku do wyspiarzy i z pewnością uznałaby je za nieodpowiednie dla cywilizowanego, młodego arystokraty. A jednak z wyrazu jego twarzy biła swoboda i lekkomyślność, jakich Cassie nie widziała przedtem u żadnego z mieszkańców wyspy.

Tak, musiał być Anglikiem, domyśliła się Cassie, i przybywał od strony wioski Kamehamehy. Lihua miała rację, prawdopodobnie chciał uzupełnić zapasy lub uzyskać pozwolenie na handel, tak jak inni Anglicy. Nie było powodu do obaw.

- No jak, jesteś? - powtórzył wolno, podchodząc do Cassie.

Może nie stanowił zagrożenia, lecz odparła z instynktowną ostrożnością:

- Nie powinien pan podsłuchiwać cudzych rozmów. To nieuczciwe.

- Trudno było nie słuchać. Krzyczałyście. - Jego wzrok powędrował ku nagim piersiom Cassie, a potem niżej, ku przepasanym sarongiem biodrom. - I uznałem temat rozmowy za intrygujący. Wyjątkowo... podniecający. Nie co dzień zdarza się słyszeć, jak ktoś porównuje mężczyznę do ogiera.

Jego arogancja i pewność siebie wprawiły Cassie w zakłopotanie.

- Nietrudno zadowolić Lihue.

Wyglądał na zdumionego, lecz po chwili na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Ciebie najwyraźniej nie, skoro pozostałaś dziewicą. Dla mężczyzny to nie lada wyzwanie. Jak ci na imię?

- A panu?

- Jared.

Księżę, nie wuj. Ostatnie wątpiwości opuściły ją, gdy stwierdziła, że mężczyzna nie może mieć więcej niż trzydzieści lat. Jakie zagrożenie mógł stanowić, skoro w tamtych czasach był chłopcem? - Ma pan jeszcze jakieś nazwisko.

Uniósł brwi.

- Jesteś nieuczciwa. Nie powiedziałaś jeszcze, jak ci na imię. - Skłonił się. - Ale skoro formalnościom ma się stać zadość... Nazywam się Jared Barton Danemount.

- I jest pan księciem?

- Spotkał mnie ten zaszczyt... lub niesława. Zależy od mego aktualnego samopoczucia. Czy tytuł robi na tobie wrażenie?

- Nie, to tylko inna nazwa wodza, a my tutaj mamy wielu wodzów.

Roześmiał się.

- Jestem zdruzgotany. Teraz, kiedy ustaliliśmy, że nie przywiązujesz wagi do mego tytułu, powiedz, jak ci na imię.

- Kanoa. - Nie skłamała. Takie imię nadała jej Lani i ono stało się ważniejsze niż to, którym ją ochrzczono.

- Oznacza istotę wolną - stwierdził Anglik. - Ale ty nie jesteś wolna, skoro ta paskuda nie pozwala ci zażywać rozkoszy.

- To nie pańska sprawa.

- Wprost przeciwnie, mam nadzieję, że ta sprawa będzie mnie dotyczyła. Otrzymałem dziś wieczorem dobre wiadomości i mam ochotę to uczcić. Kanoa, czy miałabyś ochotę świętować ze mną?

Jego uśmiech rozjaśnił ciemności, uwodzicielski, przymilny. Bzdury. To tylko mężczyzna, głupio ulegać takiej fascynacji nieznanym.

- Dlaczego miałabym świętować? Pańskie dobre wiadomości wcale mnie nie dotyczą.

- Bo wieczór jest taki przyjemny i ja jestem mężczyzną, a ty kobietą. Czyż to nie wystarczy? Nie znoszę widoku kobiet pozbawionych...

Zamilkł i podszedł bliżej, a potem dodał zdegustowany:

- Jezu, ależ ty jesteś dzieckiem.

- Nie jestem dzieckiem. - Była to częsta i bardzo przykra omyłka. W przeciwieństwie do wyspiarskiej ludności Junoesque, Cassie miała drobne kości i niewielki wzrost, dlatego brano ją za młodszą, niż była w rzeczywistości, a miała już piętnaście lat.

- Och, nie. Masz pewnie czternaście lub piętnaście lat - powiedział sarkastycznie.

- Nie, jestem starsza od...

- Oczywiście, jesteś.

Nie uwierzył jej. Po co się spierać z mężczyzną, którego prawdopodobnie nie ujrzy już nigdy więcej?

- To nie ma znaczenia.

- Jak to nie ma? - odparł szorstko. - Słyszałem, co Kalua powiedziała o swoim pierwszym mężczyźnie, którego miała w trzynastym roku życia. Nie słuchaj jej. Ta stara ma rację. Pływanie na statki obcokrajowców i uprawianie miłości z marynarzami to zajęcie nie dla ciebie.

- Ale to, że pan uprawia nierząd z moimi przyjaciółkami, jest w zupełnym porządku.

- To co innego.

Parsknęła nieelegancko. Nieznajomy zamrugał, a potem wykrzywił usta w wymuszonym uśmiechu.

- Nie zgadzasz się ze mną?

- Mężczyźni zawsze uważają, że nie obowiązują ich żadne zasady. To niesprawiedliwe.

- Masz rację, oczywiście. Jesteśmy bardzo niesprawiedliwi w stosunku do kobiet.

Była lekko zaskoczona. Nie przywykła, by mężczyźni tak łatwo przyznawali rację w tym względzie. Nawet tatuś bronił się, gdy próbowała dyskutować na temat niesprawiedliwego traktowania kobiet.

- Więc czemu pan tak postępuje?

- Bo wykorzystywanie kobiet czyni świat bardzo przyjemnym miejscem dla nas, samców. Założę się, że jeśli nikt nas do tego nie zmusi, nigdy nie staniemy się sprawiedliwi.

- I tak się stanie. Zostaniecie zmuszeni. To nie może trwać wiecznie. Mary Wollstonecraft napisała na ten temat książkę...

- Mary Wollstonecraft? Co możesz o niej wiedzieć?

- Lani uczyła się u angielskich misjonarzy. Żona wielebnego Denswortha podarowała jej egzemplarz książki panny Wollstonecraft, a ona dała ją mnie.

Książę uśmiechnął się szeroko.

- Dobry Boże, a ja sądziłem, że opuszczając Londyn porzucam wszystkie sawantki.

- Sawantki? - Zaintrygowana Cassie zmarszczyła brwi.

- Uczone damy, takie jak panna Wollstonecraft. Nigdy nie przypuszczałem, że opanują takie rajskie miejsce.

- Prawdy i sprawiedliwości nie da się ukryć - odparła poważnie.

- O tak! - rzekł uroczyście. - Czy tego naucza panna Wollstonecraft?

Cassie odebrała te słowa jak bolesny cios.

- Proszę sobie ze mnie nie kpić.

Zmarszczył czoło.

- Do diabła, nie miałem zamiaru...

- Niech pan nie kłamie. Miał pan zamiar.

- W porządku. Zakpiłem sobie. Nie umiem rozmawiać z takimi młodymi dziewczynami.

- Dobrze, nie musi pan ze mną rozmawiać. - Odwróciła się.

- Nie będę wysłuchiwać...

- Zaczekaj...

- Niby czemu? Bo pan chce się jeszcze trochę ponaszmieć?

- Nie. - Skrzywił się. - Czuję wyrzuty sumienia. Sądzę, że potrzebne mi jest rozgrzeszenie. - Uśmiechnął się przymilnie.

- Zostań i udziel mi go, Kanoa.

Jego oczy nie były już takie zimne, a cała postać zdawała

się nakłaniać Cassie, żeby nie odchodziła. Poczwała raptownie, że pragnie znaleźć się blisko niego.

- Dlaczego? - spytała po raz drugi.
- Bo masz dobre serce.
- Pan nie wie, jakie mam serce. Nic pan o mnie nie wie.
- Wiem, że się troszczysz o przyjaciółki. A to dowodzi dobrego serca.
- Nietrudno okazywać dobre serce przyjaciółkom. Pan jest obcy.

Jego uśmiech zbladł.

- Tak, jestem - zgodził się spoglądając w morze.

Samotność. Cassie zdała sobie sprawę, że on mówi o nie przemijającym stanie swego ducha i poczuła rodzaj pokrewieństwa. Dobrze wiedziała, czym jest samotność.

Szafeństwo. Był arystokratą i Lihua z pewnością by mu nie współczuła. Odpowiedziała jednak.

- Skoro pan prosi o przebaczenie, to udzielam go z wolnej woli.

Spojrzał na nią.

- Naprawdę? Cóż za nadzwyczajna hojność. - Spostrzegłszy, że Cassie niepewnie marszczy czoło, potrząsnął głową i dodał: - Nie, to nie ironia. Wierzę ci, a kobiety, do których przywykłem, niczego nie ofiarowują z wolnej woli. - Uśmiechnął się krzywo. - Ale ty jeszcze nie jesteś kobietą. Jeszcze się tego nie nauczyłaś.

Przykrość, jaką jej sprawił, usunęła wszelkie współczucie, jakie dla niego miała.

- Nic dziwnego, że musi pan płacić za doznawane przyjemności, skoro tak głupio osądza pan ludzi i kąsa pan jak żmija.

Roześmiał się szczerze rozbawiony.

- Potrafię nie tylko kąsać. Kiedyś ci pokażę... - Zamilkł i westchnął. - Ciągłe zapominam, że nie jesteś odpowiednią partnerką. Sądzę, że będzie lepiej, jeśli porozmawiamy na inne tematy. - Obejrzał się na kępę palm, z której wyszedł. - Czy to twój koń przywiązany jest do drzewa?

- Tak.

- Piękny ogier. Może zechcę go kupić, ale najpierw musiałbym zobaczyć, jak się porusza. Niewiele widziałem równie wspaniałych zwierząt.

- Nie jest na sprzedaż - rzekła Cassie i dodała niechętnie:

- I dotychczas nie widział pan ani jednego równie wspaniałego zwierzęcia. Kapu nie ma sobie równych.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Pozwolisz, że się nie zgodzę, ale twoja lojalność wprawia mnie w podziw. Skąd go masz? Nigdy nie słyszałem, by wspiarsze hodowali konie.

- Jest pan tu od niedawna. Niby skąd miałby pan znać nasze obyczaje?

- Znowu sprawiłem ci przykrość.

Wprawił ją w zakłopotanie. Jego sposób bycia onieśmielał ją, a wygląd zewnętrzny niepokoił. Czuła ciepło jego ciała, bijącą od niego woń piżma i garbowanej skóry. Mężczyźni z wioski czuć było sołą, rybami i olejem kokosowym, a ojciec zazwyczaj pachniał koniakiem i cytrynową wodą kolońską. Jared Danemount pod każdym względem był inny niż znani jej mężczyźni. Mimo że bardzo szczupły, sprawiał wrażenie niezwykle silnego. Oczywiście miał niebieskie lub szare i bardzo zimne. Nie, nieprawda, były gorące. Nie... sama już nie wiedziała, jakie były, ale patrząc w nie czuła się zakłopotana.

- Wydaje się panu, że istnieją konie lepsze niż Kapu? - spytała prędko.

- Wiem, że mam konia lepszego niż twój ogier.

Zalała ją nowa fala gniewu.

- Tylko głupiec może tak twierdzić spojrzawszy na konia tylko jeden raz.

- Przyjrzałem mu się znacznie lepiej. Nigdy nie mogłem się oprzeć widokowi pięknego konia, toteż kiedy bawiłaś się z przyjaciółkami na plaży, obejrzałem go sobie bardzo dokładnie. - Uśmiechnął się. - Dopóki wasza rozmowa nie stała się tak interesująca, że nie mogłem się dłużej skupić.

Cassie zeszywniała.

- Jak blisko pan podszedł?

- Wystarczająco, by obejrzeć to, co się zwykle ogląda - kopyta, zęby...

- Pan kłamie - ucięła zwięźle. - Kapu nie pozwoliłby nikomu podejść tak blisko. Usłyszałabym go.

- Ale nie usłyszałaś.

- I już by tu pana nie było. Niedawno, ktoś, kto usiłował obejrzeć mu zęby, stracił palec.

- Może mnie lubi. Konie zazwyczaj mają do mnie zaufanie.

- Kłamie pan - powtórzyła Cassie. To nie mogła być prawda. Kapu należał tylko do niej.
- Nie kłamię - odparł mężczyzna bez uśmiechu. - Mam na sumieniu wiele grzechów, ale nigdy nie kłamię.
- Niech pan to udowodni. Proszę mi go przyprowadzić.
- Nie wykonuję rozkazów dzieci.
- Tak właśnie myślałam - odrzekła Cassie z ulgą. - Boi się pan Kapu tak samo jak wszyscy.
- Zaczynasz mnie irytować. - Ton jego głosu stał się ostry jak stal. - Nie kłamię i nie boję się twego konia.
- Spojrzała na niego.
- Niech pan to udowodni.
- Dlaczego to takie ważne dla ciebie? - zapytał przyglądając się jej z uwagą.
- Nie lubię kłamców.
- Nie, nie sądzę, żeby to był powód. - Wzruszył ramionami.
- Ale nie powinnaś rzucać wyzwania, jeśli nie jesteś pewna, że zostaną przyjęte. - Odwrócił się i ruszył ku palmom. Po chwili zniknął w ich cieniu.
- Nie uda mu się, powtarzała Cassie rozpaczliwie. Jedyным skarbem, jaki do niej należał, był jej koń. Nie zdradzi jej dla nieznajomego.
- Usłyszała łagodnie pomrukiwania Anglika, jego czuły, miły, niemal kochający głos, tak bardzo różniący się od tego, którym przemawiał do niej. A potem wyłonił się spośród palm i zbliżył do niej... prowadząc Kapu.
- Cassie poczuła zdumienie, a potem rozdzierający ból. Kapu poruszała się spokojnie i z zadowoleniem, jakby to ona trzymała lejce.
- Jared pomrukiwał, dopóki nie znaleźli się tuż przed Cassie. Podał jej cugle.
- Oto twój koń, proszę.
- Nie wierzyła własnym oczom. Nie mogła uwierzyć. Przełknęła ślinę, czując ucisk w gardle. To głupota płakać dlatego, że komuś innemu udało się zdobyć zaufanie zwierzęcia na tyle, by dokonać czegoś tak łatwego. Nawet Lani udawało się czasem poprowadzić Kapu. Nadal należał do Cassie.
- To nic trudnego.
- Nie uważałaś, że to łatwe, gdy mnie po niego wysyłałaś.
- Dobry Boże, Kapu przymilnie szturchnął nosem plecy Jareda.
- Przejeźdź się na nim.

- Potrząsnął głową.
- Obawiam się, że nie jestem odpowiednio ubrany.
- Dosiądź go! - rzuciła Cassie szorstko i zamrugała powiekami, aby powstrzymać łzy.
- Spojrzał na nią i rzekł powoli:
- Nie wydaje mi się, żebyś tego naprawdę chciała.
- Nie uda się panu. Wiem, że nie.
- Ale chcesz, żebym spróbował.
- Nie chciała, aby próbował, ale musiała się upewnić. Musiała sprawdzić, czy Kapu przestał być wierny.
- Dosiądź go.
- Zawahał się. A potem oddalił się, zdjął surdut i odrzucił na piasek. Rozwiązał plastron i położył na surducie.
- Jak sobie życzysz. - Stał przed koniem bez ruchu.
- Na co pan czeka?
- Cicho bądź - odparł niecierpliwie. - To nie w porządku. Potrzebuję twego błogo... - Urwał widząc wyraz jej twarzy. - Potępienia!
- Wskoczył na grzbiet konia!
- Przez chwilę Kapu ani drgnął.
- Serce Cassie krwawiło. Zaciśnęła pięści.
- Nagle Kapu eksplodował! Stanął dęba, opadł na cztery kopyta i zaczął skakać jak oszalały. Anglik cudem utrzymał się na jego grzbiecie.
- Słyszała, jak przeklina spinając konia piętami. Ciemne włosy wymknęły się z kitki i powiewały dziko wokół twarzy i ramion. Zaciśnął usta w wąską linię, oczy zwięziły mu się we wściekłym grymasie. Wyglądał jak wcielenie dzikości i barbarzyństwa; z eleganckiego mężczyzny, który niedawno wyłonił się z kępy palm, nie pozostało ani śladu.
- Wykonując szalone skręty Kapu rzucił się w stronę palm.
- Serce Cassie zamarło.
- Uważaj! Drzewa!
- Anglik odgadł zamiary konia i zanim ogier przemknął tuż obok pnia, założył mu nogę na grzbiet Nim Danemount zdążył poprawić się w siodle, Kapu znów zaczął wierzgać.
- Danemount przeleciał ponad łbem zwierzęcia i wylądował na piasku kilka metrów dalej. Kapu zarżał zwycięsko i zatrzymał się jak wrośnięty w ziemię.
- Cassie doznała strasznego wrażenia, że wie, co się zaraz stanie.

- Nie - szepnęła. - Och, nie... - I ruszyła biegiem.

Kapu odwrócił się i pomknął jak burza w stronę leżącego mężczyzny.

- Nie, Kapu! - Cassie zatrzymała się przed Jaredem i rzuciła się pomiędzy niego a konia. - Nie!

- Do diabła, zejźdź mu z drogi! - krzyknął Danemount turlając się i próbując wstać. - Stratuje cię!

Kapu zatrzymał się gwałtownie tuż przed Cassie; stanął dęba.

- Szysz - uspokajała go. - Spokojnie, Kapu. On cię nie skrzywdzi. Nie pozwolę, by ktokolwiek zrobił ci krzywdę.

Kapu jeszcze raz stanął dęba.

A jednak widziała, że jej słowa docierają do niego. Cofnął się, ale nie uskokczył, gdy do niego podeszła i położyła mu dłoń na szyi.

- W porządku. Już dobrze.

Uspokajała go jeszcze kilka minut, a potem nachyliła się nad Danemountem, by sprawdzić, czy nie doznał obrażeń.

- Czy zostałeś zraniony?

- Tylko moja duma. - Uniósł się na łokciu i wzdrygnął. - I trochę niektóre części ciała.

- Wyzdrowiejesz. Upadek nie mógł ci bardzo zaszkodzić. Piasek jest miękki jak poduszka. Wstań.

Poczuła lekkie zaniepokojenie, gdy się nie poruszył. Przeżyła takie emocje, że nie sądziła, by stało mu się coś poważnego.

- Cóż, może będzie lepiej, jeśli poleżysz chwilę bez ruchu. Sprawdź, czy któraś z kości nie jest złamana.

Opadł na piasek.

- Przyznaję, że ta propozycja odpowiada mi znacznie bardziej od poprzednich. Czy namawianie obcych, by dosiadali tego diabelskiego konia, naprawdę cię bawi?

- Kapu nie jest diabelski. - Ukłękła obok i badała jego kończyny. Uda miał twarde jak z żelaza, zauważyła mimochodem, typowe dla jeźdźca. Spojrzała na Kapu i poczuła opływającą falę szczęścia. - Po prostu nie lubi, gdy dosiada go ktoś inny niż ja.

Anglik nie spuszczał z niej oczu.

- Przekonałem się o tym.

Teraz mogła sobie pozwolić na wspaniałomyślność.

- Radziłeś sobie bardzo dobrze. - Nie znalazłszy żadnych

złamań na nogach, zaczęła badać barki i ramiona. Gładkie, twarde, napięte mięśnie... jak u Kapu. Musiała zadawać mu ból, bo napinał się pod jej dotykiem. - Boli?

- Boli - wymamrotał.

- Zwichnięcie? - Delikatnie macała bark. - Tutaj?

- Nie, na pewno nie tutaj.

- Gdzie?

- Nieważne. Nie możesz mi pomóc.

- Ależ mogę. Umiem obchodzić się ze zwiczniciami. Zawsze sama zajmuję się Kapu.

- Nie mam żadnego zwicznicia i nie jestem koniem, do diabła.

Zrobiło jej się przykro i pokryła to cierpką odpowiedzią.

- Nie, Kapu jest znacznie miłszy, gdy staram się mu pomóc.

- Pomoc może okazać się bardziej skomplikowana. Ja nie...

- Przerwał widząc minę Cassie. - Jezu, rób, co chcesz.

Przysiadła na piętach.

- Nie muszę koniecznie czegoś dla ciebie zrobić. Po prostu uważam to za swój obowiązek, bo... - Zamilkła nie dokończywszy zdania.

- Bo zmusiłaś mnie, żebym dosiadł twego ogiera - skończył za nią.

Nie próbowała przeczyć.

- Popełniłam błąd. Nie zastanawiałam się. - Posmutniała.

- Lani mówi, że to największa z moich wad i może okazać się bardzo niebezpieczna.

- A któż to jest ta Lani? Twoja siostra?

- Przyjaciółka.

- W takim razie twoja przyjaciółka jest bardzo spostrzegawcza. Dlaczego to zrobiłaś? Wiedziałaś, że mnie zrzuci.

- Nie byłam wcale pewna - wyszeptwała. - Lubił cię. Należy do mnie, ale cię polubił.

- A to zabronione? Ależ z ciebie samolub.

- Kocham go - odparła z prostotą. - Mam tylko jego. Bałam się.

- Wiem.

Uśmiechał się słabo i Cassie pojęła, że w jakiś sposób rozumiał emocje, które nią kierowały. Czy tak łatwo było ją przejrzeć? Najwyraźniej. Nigdy nie umiała skrywać uczuć. Podchwyciła jego wzrok i szybko przeniosła dłonie z żeber Jare-

da na jego brzuch. - Kiedy zobaczyłam, jak go prowadzisz, pomyślałam, że musisz być kahuną.

- Kahuną? - Potrząsnął głową. - Nie, nie jestem jednym z waszych tutejszych kapłanów i z całą pewnością nie mam magicznej mocy.

- Nigdy przedtem nie pozwalał na to nikomu obcemu. Mięło równo siedem miesięcy, zanim wpuścił mnie do swojej stajni.

- A więc wykonałaś najcięższą robotę. Ja tylko poszedłem w twoje ślady.

Nie wyglądał na kogoś, kto podążałby czyimś śladem. Poczula nagły przyływ ciepła słysząc miłe słowa od człowieka, który twierdził, że umie tylko kpić.

- Czy tak było tylko z Kapu?

- Mam specjalny dar. Mówiłem ci już, konie mnie lubią. Może czują, że mam podobne jak one zwierzęce instynkty. - Uśmiechnął się krzywo. - To mi przypomina, że lepiej będzie, jeśli zdejmiesz ręce z mego ciała.

- Dlaczego? Jeszcze nie skończyłam.

- Ale ja mogę zacząć. - Spojrzał jej w oczy i rzekł szorstko: - Możesz być dziewczyną, ale z pewnością nie jesteś aż taką ignorantką. Wiesz, co pobudza męzczyznę. Pod wpływem twojego dotyku zapominam, jak bardzo jesteś młoda i wyobrażam sobie, jak czułbym się w tobie. Zabieraj ręce.

Cassie poczuła, że mięśnie jego brzucha pod jej dłońmi są bardzo napięte. Policzki zalała jej fala gorąca i gwałtownie cofnęła ręce.

- Jesteś bardzo niegrzeczny. Ja tylko próbowałam pomóc.

- Gdybym tak nie sądził, byłabyś już pode mną, nie nade mną. - Usiadł i dodał znużonym tonem: - Wracaj do swojej wioski i nie przychodź tu więcej.

Dotknięta do żywego skoczyła na równe nogi.

- Z całą pewnością nie mam ochoty zostać z tobą. Już i tak straciłam tu zbyt wiele czasu. - Podeszła do ogiera. - I Kapu wiedział, co robi, kiedy zrzucił cię na ziemię. Powinnam była pozwolić, żeby cię wdeptał w piach.

- Ale nie pozwoliłaś. - Wstał. - Już mówiłem, że masz dobre serce. A to bardzo niebezpieczne dla kobiety, która pragnie zachować niezależność. - Spojrzał jej w oczy. Nie wspominając o nietkniętym ciele.

Cassie poczuła, że opuszcza ją gniew. Czemu jeszcze tu

stoi? Powinna zostawić go, tak jak tego żądał. Z całą pewnością nie miała ochoty tu pozostać.

Ciepły wiatr rozwiął Jaredowi ciemne włosy na czole i opinał koszulę uwypuklając mięśnie. Ten sam wiatr pieścił naga pierś Cassie i muskał włosami jej policzki. Raptem dotarł do niej zapach morza, rytmiczny odgłos fal bijących o brzeg i poczula szorstkie ziarenka piasku pod nagimi stopami. Powietrze stało się tak gęste, aż trudno było oddychać.

- Idź sobie! - powtórzył ostro Anglik.

Ręce Cassie drżały, gdy dosiadła Kapu. Już miała odjechać, gdy spostrzegła, jak bardzo blada jest jego twarz oblana światłem księżyca. Spytała z wahaniem:

- Na pewno nic ci nie jest?

Odetchnął głęboko i odrzekł bardzo wyraźnie:

- Nic mi nie jest, Kanoa. - Nieoczekiwany uśmiech rozjaśnił jego twarz. Pochylił się w ukłonie. - Nie powiedziałbym, że była to wyłącznie przyjemność, ale z pewnością spotkanie z tobą okazało się interesujące. - Podeszedł bliżej i klepnął Kapu po zadzie. - Ruszaj.

Zdumiony ogier pomknął naprzód.

- I, do diabła, jeśli nie masz zamiaru się ubrać, trzymaj się z daleka od brzegu, dopóki stąd nie odpłyniemy! - zawołał za nią. - Niektórzy z moich marynarzy nie będą zwracali uwagi na to, że jesteś taka młoda.

Oddalwszy się o kilka metrów, Cassie obejrzała się przez ramię. Stał tam, gdzie go pozostawiła, i patrzył na nią.

Uśmiechnął się słabo i pomachał ręką na pożegnanie.

Nie odpowiedziała na jego gest. Patrzyła przed siebie popędzając konia. Całe to zdarzenie było bardzo intrygujące i Cassie chciała znaleźć się jak najdalej od owego Anglika. W jej życiu nie było dla niego miejsca, choć przez chwilę zdawało się, że je zdominował.

Bardzo kłopotliwe...

Widzę, że znalazłeś coś godnego uwagi.

Jared odwrócił się od galopującej na czarnym ogierze dziewczyny i spostrzegł Bradforda.

- Rozumiem, że znudziło ci się czekanie.

- Wysuszyłem butelkę brandy - odparł ponuro Bradford. - Bardzo przygnębiające. Nie zauważyłem, że była tylko do połowy napełniona.

- W trzech czwartych - poprawił go Jared. - Dziwię się, że nadal trzymasz się na nogach.

- Wcale nie. Dobrze wiesz, że rzadko miewam kłopoty z zachowaniem równowagi.

To prawda. Jego stryj miał zadziwiającą właściwość. Zawsze był lekko zalany, ale pod stołem Jared widział go zaledwie parę razy w życiu.

- Zamiast zostawać na pokładzie powinieneś być pójść ze mną z wizytą do króla Kamehameha. Podają tam mocny napój, spodobałby ci się.

Stryj skrzywił się.

- Zbyt prymitywny. Wolę dobrą, francuską brandy.

- Mnie smakowało.

Bradford pokiwał głową.

- Masz nieskomplikowaną naturę. Zauważyłem to podczas pobytu na Tahiti. - Jego wzrok powędrował w kierunku Kanoi, znikającej w oddali. - Rasowy koń. Ma piękny chód.

Jared wiedział, że Bradford zauważy przede wszystkim konia.

- Z daleka słabo widać - ciągnął Bradford - ale dziewczyna również wydaje się niezła. - Rzucił Jaredowi złośliwe spojrzenie. - Wydawało mi się, że idzie wam całkiem dobrze. Co jej powiedziałaś, że tak uciekła?

- To nie kobieta, to dziecko - odparł krótko Jared.

- Tutaj, na wyspach, wcześniej dojrzewają.

- Nie mam zamiaru przyspieszać jej dojrzewania.

Bradford uniósł brwi.

- Dobry Boże, wygląda na to, że jesteś bardzo cnotliwy.

- Jest jeszcze dzieckiem - powtórzył Jared. - Ale o dziwnie pomieszanych cechach - impulsywna i troskliwa, śmiała i niepewna, ochocza i ostrożna zarazem.

- A dlaczego cię głaskała?

Ojej, miał nadzieję, że Bradford tego nie widział. Miałby zbyt wiele uciechy.

- Ona mnie nie ... - Zamilkł, a potem wyznał: - Jej koń zrzucił mnie na ziemię.

Bradford nie posiadał się ze zdumienia.

- Naprawdę?

- Tak.

- Zadziwiające. - Stryj roześmiał się. - Żaden koń cię nie zrzucił, odkąd przestałeś być dzieckiem. Natrafiłeś w końcu na zwierzę, które cię nie doceniło?

- Prawdopodobnie. - Wzruszył ramionami. - Nie przygotowałem go dostatecznie.

- Dlaczego?

- Co za różnica? Byłem nieostrożny.

- Nigdy nie bywasz nieostrożny. Nie z końmi. - Przyjrzał mu się zaintrygowany. - Dlaczego?

- Skąd mam wiedzieć? - Bradford miał rację, tak impulsywny postępek nie był w jego stylu. Ogier wyglądał na spiętego i niebezpiecznie nerwowego. Zanim go dosiadł, powinien był dłużej do niego przemawiać, uspokoić go, przyzwyczaić do swego dotyku. Zasłużył na to, co go spotkało, i miał szczęście, że nie został stratowany. Gdyby dziewczyny nie było w pobliżu, zapłaciłby drogą za swój impulsywny postępek.

Wzrok Bradforda powędrował w kierunku, gdzie zniknęła dziewczyna.

- Ładna?

- Ładna?

Chyba nie. Poza bujną grzywą lśniących, ciemnych włosów, które splotywały jej prawie do pasa, Kanoa nie miała nic, co czyniłoby ją piękną. Wyglądała na zbyt zuchwałą. Miała zbyt mocny podbródek, usta pełne i nadaśane, brwi w kształcie skrzydeł ponad wielkimi, ciemnymi oczami, które dominowały nad trójkątną twarzą. Te oczy spoglądały wyzywająco, a jednak Jared wyczuwał w dziewczynie jakąś delikatność i wrażliwość.

- To jeszcze dziecko - powtórzył.

No, niezwykle dziecko. Jej piersi, chociaż małe, miały doskonały kształt, a brodawki były ciemne i spiczaste...

Bradford zachichotał.

- Nie o to pytałem. Musi to być prawdziwa Wenus, skoro ogłupiła cię tak, że nie umiesz odpowiedzieć na proste pytanie. Spotkałeś ją na dworze Kamehamehy? Może rzeczywiście powinienem był pójść tam z tobą.

- Nie poszedłem do Kamehamehy po to, by szukać kobiety.

- Ale i tak znalazłeś. - Bradford błogo westchnął. - Muszę przyznać, że podoba mi się pobyt w tym raj. Piękne kobiety, które dają rozkosz bez poczucia winy. Czyż mężczyzna może żądać czegoś więcej?

- Najwyraźniej tak. Francuskiego koniaku.

- Ach, tak. Lecz każdy raj ma swego węża. Ten jest naprawdę jadowity. - Jego wzrok powędrował tam, gdzie zniknęła

Kanoa. - Ale nie bądź taki samolubny. Dlaczego nie zaprosiłeś jej na statek, abysmy obaj mogli się nią cieszyć?

Jared poczuł, że ogarnia go gwałtowne obrzydzenie, tym dziwniejsze, że zupełnie bezpodstawne. Często dzielili się z Bradfordem kobietami i tutejsze piękności ochoczo przyjmowały ich względy.

- Na miłość boską, czemu mnie nie słuchasz? Jedyne, co to dziecko mieć pragnie między nogami, to ten przeklęty koń. - Odwrócił się na pięcie i ruszył wzdłuż plaży w kierunku zatoczki. - Zapomnij o niej. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

- Nie tak prędko - poskarżył się Bradford. - Nie jestem pijany, ale też nie trzymam się na nogach wystarczająco pewnie, by biegać.

Jared zwolnił kroku uśmiechając się czule.

- Myślałem o twoim zapotrzebowaniu na koniak. Im prędzej dotrzemy na statek, tym wcześniej będziesz mógł otworzyć nową butelkę.

- Dobrze, może mógłbym podbiec... odrobinę. - Zrównał krok z Jaredem. - Czy Kamehameha powiedział ci to, czego chciałeś się dowiedzieć?

- Tak. - Jared poczuł ponowny przypływ podniecenia, które go ogarnęło, gdy król tak niedbale poinformował go o tym, czego próbował się dowiedzieć od czasu owej piekielnej nocy w Danjuet. Podróżował do Paryża i Marsylii, a potem spędził prawie rok na Tahiti szukając śladu Deville'a, aż trafił na tutejsze wyspy. Nie mógł uwierzyć, że długie poszukiwania wreszcie się skończyły. - Jest tutaj.

- Deville? - Bradford gwizdnął przeciągle. - Jesteś pewien?

- Charles Deville, Francuz, który przez krótki okres mieszkał na Tahiti, a potem przybył tutaj. To musi być on. Wszystko doskonale pasuje do tego, co już wiemy. To nie może być nikt inny.

- Odpowiada opisowi?

- Co do joty.

- A żona i córka?

Jared skinął głową.

- Jego żona, Angielka, umarła rok po ich przybyciu na wyspę i wziął sobie polinezyjską kochankę. Jest też córka, Cassandra, ale ona nie bywa na dworze Kamehamehy.

- A Deville?

Jared skinął głową.

- Zdaje się, że Kamehameha traktuje go jak coś w rodzaju ulubieńca. Deville namalował kilka portretów króla i jego żon. Ma pozwolenie na poruszanie się po całej wyspie, aby malować i żyć z ziemi.

- Czy król pozwoli ci go stąd zabrać?

- Nie będzie miał wyboru. - Uśmiechnął się jak dziki tygrys. - Będzie mój, gdy go znajdę.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości. Mam tylko nadzieję, że Kamehameha nie jest do niego zbyt przywiązany. Nie chciałbym, aby jego wojownicy ruszyli na ciebie.

- Mnie także nie pociąga taka perspektywa. Muszę go zaskoczyć. - Zamyślił się. - Król wspominał coś o swoim zainteresowaniu angielskimi karabinami. Może uda się go przekonać, by przymknął oko na to, że zabieram Deville'a, jeśli w zamian otrzyma to, czego pragnie.

- Uważam, że łatwiej będzie zabić Deville'a, niż zabrać go jako zakładnika.

- Ale wtedy nie będę miał najmniejszej szansy dopadnięcia Raoula Cambre'a. Chcę śmierci ich obydwu.

Bradford potrząsnął głową.

- Mam nadzieję, Jared, że zdobędziesz to, czego pragniesz. Minęło już wiele czasu i ślady zatarły się.

- Właśnie dlatego muszę zachować Deville'a przy życiu, dopóki nie wycisnę z niego odpowiednich informacji. Deville był tylko narzędziem. Wszystkimi kierował Cambre.

- Czy Deville ma dom na wyspie?

- Tak, chatę na palach, ale zrozumiałem, że rzadko tam bywa. Najwyraźniej jego namiętnością jest malowanie wulkanów. Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli udamy się jutro do wioski Lihuy i wynajmiemy przewodnika, który dobrze zna góry. Najpierw spróbujemy złapać go w chacie, ale musimy się przygotować.

- Uważam, że powinienem pomścić śmierć Johna. Był moim bratem i każdy przyzna, że jestem mu to winien. - Bradford uśmiechnął się krzywo. - Zawsze miałem kłopoty z tym, co powinienem. Przeklęte przyzwyczajenie podążania za przyjemnościami.

- Nigdy cię nie potępiałem.

- Wiem. - Bradford zamilkł. - Zawsze było mi też trudno

rozbudzić w sobie uczucie nienawiści. Nigdy nie potrafiłem nikogo nienawidzić. Często myślałem, że to jakaś skaza charakteru. Trudno kogoś zabić, gdy się do niego nie czuje nienawiści. - Spojrzał na Jareda. - Za to ty nie możesz się uskarżać na brak uczucia nienawiści.

- Nie. Jestem nią przepełniony. Wystarczy za nas obydwu.

- Tak. - Podeszli do wyciągniętej na piasek szalupy i Bradford zaczął spychać łódź do spienionej wody. - Dlatego złożyłem sprawę w twoje ręce.

Jak wszystko inne, pomyślał bez żalu Jared. Kiedy Bradford został obarczony wychowaniem trzynastoletniego bratanka, znalazł wyjście z sytuacji: traktował Jareda nie jak chłopca, lecz jak dorosłego mężczyznę. Bratanek wziął udział w pierwszej orgii wkrótce po przybyciu do domu stryja i przez następne lata nigdy nie był karany za pijaństwo czy rozpustę. Jedno jedyne lanie dostał od stryja, gdy Bradfordowi wydawało się, że zajeździł mu konia. Jared podejrzewał, że Bradford kochał swoje konie znacznie bardziej niż ludzi. Ale była to ich wspólna pasja i prawdopodobnie właśnie ona stanowiła ratunek dla Jareda.

Nie miał tak mocnej głowy jak Bradford i wkrótce nie mógł utrzymać się w siodle; tylko z tego powodu starał się zachowywać wstrzeźliwość. Nauczył się także, że jeśli przyprawi rogi zbyt wielu mężom, znajdzie się poza dworem, a tam odbywały się najbardziej interesujące wyścigi konne, dlatego utrzymywał stosunki wyłącznie ze starannie wybranymi damami z półświatka.

Aż do dzisiejszej nocy.

Miał rację nie ulegając żądzy, która obudziła się w nim, kiedy dziewczyna badała jego ciało. Uważał siebie za zblazowanego kobieciarza, ale tej dziewczynie udało się utrafić w jego czułą nutę. Jej samotność i wrażliwość przypominała mu chłopca, jakim był kiedyś, chłopca, który wrócił z Francji gotów na każdą lekkomyślność i okrucieństwo, byle tylko ukryć ból i rozpacz. Teraz, kiedy odnalazł Deville'a, nie mógł sobie pozwolić na rozpacz.

Poza tym dziewczina mogła sprawić kłopoty nawet tutaj, gdzie stan nienaruszenia traktowano z rozbawieniem i przyjacielską wzgardą. Powinien się zadowolić kobietami, które przyływały na „Josephine” i oddawały się marynarzom.

Jeszcze tej nocy pozbędzie się swego pożądanego z Lihua lub jej siostrą i zapomni o Kanoi.

A jutro odnajdzie Deville'a.

Lani spotkała Cassie wśród drzew u stóp wzgórza, na którym stała ich chata.

- Chodź szybko - powiedziała rzucając jej strój do konnej jazdy. - Stara kobieta miota się jak tygrysyca.

Cassie zeskoczyła z konia, zrzuciła sarong i pośpiesznie się ubrała.

- Czemu tak długo? - spytała Lani.

Cassie unikała jej spojrzenia.

- Nic się nie stało.

Przenikliwe oczy Lani zrobiły się wąskie jak szparki.

- Myślę, że twoje „nic” może coś oznaczać, ale teraz nie mamy czasu na rozmowy. Stara kobieta nie ma pojęcia, że pojechałaś do mojej wioski. Powiedziałam jej, że wspięłaś się na wulkan, aby pobyć z ojcem. Będzie pluła jadem, ale nie ukarze cię, jeśli będziesz milczała.

- Będę milczała. - Cassie wciągnęła buty starając się ukryć rozpacz. Tyle zamieszania z ubieraniem się i rozbieraniem z powodu jednej złośliwej kobiety.

- Zawsze obiecujesz, że będziesz milczała - odparła Lani - ale rzadko milczysz.

- Nie mogę się opanować.

- I doprowadzasz do tego, że stara cię żądli jak osa. - Lani zatroskała się. - Dzisiaj zachowaj szczególną ostrożność. Kiedy ojciec jest poza domem, trudno mi ciebie obronić.

Czasami Lani nie była w stanie obronić Cassie przed Klarą, nawet gdy ojciec pozostawał w chacie, ale zawsze próbowała. Cassie poczuła falę ciepła patrząc na Lani - nosiła Wykrochmalona niebieską suknię i miała włosy zaczesane w wysoki kok. Jej życie było prawdopodobnie trudniejsze niż życie Cassie. W wieku szesnastu lat uciekła na wyspę, by dzielić łóżę jej ojca i żyć w domu prowadzonym przez Klarę Kidman. Cassie doskonale pamiętała owe pierwsze dni, pełne złości i konfliktów. Biedna Lani miała mnóstwo kłopotów z Cassie, zbuntowaną jak diabelskie nasienie. Po pewnym czasie sytuacja się unormowała, ale Lani zmuszona została do ustępstw. Charles Deville rzadko występował broniąc Cassie i Lani przed Klarą. Jego rozwiązanie zadziwiało prostotą: nie

bywał w domu. Naprawdę rzadko zdarzało się, by spędził w chacie więcej niż tydzień na miesiąc.

- Pośpiesz się - ponaglała ją Lani. - W miarę upływu czasu jej gniew wzrasta.

Cassie wciągnęła drugi but, zebrała włosy w kok na czubku głowy i wstała.

- Wracaj do domu. Muszę odprowadzić Kapu do stajni.

Lani potrząsnęła głową.

- Przywiąż go do drzewa. Ona myśli, że poszłaś piechotą. Wrócę po niego, kiedy będziesz rozmawiała z Klarą, i zaprowadzę go do stajni.

Cassie poklepała Kapu, przywiązała go i ruszyła ścieżką do domu.

- Zaczekaj! - Lani popędziła za nią, wyjęła z jej włosów kwiaty imbiru i rzuciła je na ziemię.

Cassie spojrzała na kwiaty. Poczowała przypływ bólu i smutek wspominając chwile swobody i szczęścia, których zaznała wpinając kwiaty we włosy. To nie w porządku. Piękno nie powinno być wdeptywane w ziemię i ukrywane jak coś złego i zabronionego.

- To nie w porządku.

- Ale tak trzeba.

- To źle, że tak trzeba. - Zwróciła się ku Lani. - Dlaczego tu zostałeś? W twojej wiosce byłabyś o wiele szczęśliwsza. Tutaj nie ma dla ciebie miejsca.

- Ale ty tu jesteś. - Twarz Lani rozjaśnił promienny uśmiech. - To bardzo wiele. I jest twój ojciec.

- Który rzadko bywa w domu, a gdy już jest, wykorzystuje cię, a potem zostawia, abyś sobie sama radziła z kłopotami.

- To nieważne.

- Owszem, to jest ważne. Powinnaś od niego odejść.

Lani uniosła brwi.

- Dlaczego ty go nie zostawisz, skoro jest taki okropny? Dlaczego nie wsiądziesz na swojego pięknego konia i nie odjedziesz do doliny po drugiej stronie gór, co często zapowiadasz? Co z hodowlą wspaniałych koni, którą masz zamiar założyć?

Cassie uniosła głowę.

- Zrobię to.

- Kiedy?

- Potrzebuję klaczy dorównującej Kapu.

- I masz zamiar szukać jej w chacie na zboczu wzgórza?

- Oczywiście że nie.

- Więc dlaczego nie porzucisz tego okropnego mężczyzny, którego nazywasz ojcem, i nie rozpoczniesz samodzielnego życia?

- On nie jest okropny. On po prostu... to nie to samo. Nie jesteś z nim tak związana jak ja. - I dodała gwałtownie: - On mnie potrzebuje.

- A ty go kochasz - łagodnie powiedziała Lani. - Charlesa łatwo kochać. Jest miły i czuły, i to nie jego wina, że nie ma dość silnej woli, by przeciwstawić się czemukolwiek. Bardzo trudno odejść od mężczyzny, który cię potrzebuje, prawda?

- Dlaczego nie odchodzisz? - Cassie spojrzała na chatę na wzgórzu, gdzie czekała Klara. - Bo on cię potrzebuje?

- To bardzo silne więzy. Należę do kobiet, które muszą czuć się potrzebne. - Czułym gestem dotknęła ramienia Cassie. - Spełnianie czyichś potrzeb wzbogaca mnie. Jestem wdzięczna losowi za to, że mnie tu przywiódł.

Cassie mrugnięciem powstrzymała łzy.

- To bez sensu. - Podeszła do Lani i przytuliła ją. - To my powinniśmy być wdzięczni losowi. Nie jesteście wieściem wari.

- Prawdopodobnie tak - odparła pogodnie Lani, a potem roześmiała się. - Zwłaszcza jeśli przysporzysz mi więcej kłopotów ze starą.

- Będę grzeczna. - Cassie szybko ruszyła do domu.

- Zawsze jesteś grzeczna.

Cassie potrząsnęła głową. To nieprawda. Nawet jeśli starała się ze względu na Lani, często ponosiła porażki.

- I dlatego uciekałam i zostawiłam cię samą, zupełnie jak mój ojciec? - spytała.

- Wiem, że nie mogłaś dłużej wytrzymać. Widziałam, co się działo wczoraj, gdy dokuczała ci swoim ciętym językiem. Nie masz łagodnego usposobienia i czasami ponosi cię temperament.

Ponosi cię temperament...

Lani nie miała na myśli namiętności fizycznej, ale Cassie ujrzała nagle w myśli nieznanego Anglika. Rozżołościł ją i zaniepokoił. Czy Lani miała na myśli właśnie takie gwałtowne uczucia? Na wspomnienie dziwnej chwili poprzedzającej

odjazd z plaży Cassie poczuła, że wypełnia ją ciepło, które wprawia ją w zakłopotanie; nie chciała o tym myśleć.

- Więcej tak nie ucieknę. To nieuczciwe wobec ciebie.
- Zrobisz tak, jak będziesz musiała. Wiedziałam, że wrócisz, gdy złość ostygnie.
- Któregoś dnia już nie wrócę. Wreszcie wprowadzę morderstwa w czyn. Zabiorę Kapu na przeciwległy kraniec wyspy i moja noga nie postanie tu nigdy więcej.
- Któregoś dnia... - Uśmiechnęła się Lani. - Ale nie teraz, póki on nas potrzebuje, prawda?
- Tak - przyznała Cassie z rezygnacją.
- Nie bądź taka ponura. Spędziłaś przyjemny dzień? Jak się ma Lihua?
- Dobrze. - Zamilkła. - W zatoce jest angielski statek. Lihua wraz z innymi dziewczętami popłynęły tam, żeby się kochać z marynarzami.
- Lani zmarszczyła brwi.
- To niedobrze. Może się zarazić.
- Mówiłam jej. Ale nie chciała mnie słuchać.
- Nie, nie posłucha cię, gdy krew wrze w jej żyłach. Pamiętam, miałam wtedy zaledwie czternaście lat. Do zatoki zawinął statek z Rosji. Matka powiedziała mi, że chodzą pogłoski o roznoszonych przez obcych chorobach, ale ja nie przejmowałam się tym. Popłynęłam z innymi i wybrałam sobie marynarza. Był bardzo silny i dał mi wiele rozkoszy. - Roześmiała się. - Szaleństwo. Miałam szczęście, że był zdrowy.
- Tak. - Cassie odwróciła od niej wzrok i spytała pośpiesznie: - Czy z nieznanym rzeczywiście można zaznać prawdziwej rozkoszy?
- Oczywiście. O ile nie jest okrutny i zna się na miłosnym rzemiośle.
- Więc dlaczego powtarzasz mi, że nie powinnam iść do łóżka z żadnym mężczyzną z twojej wioski? Oni nie są obcy i byłiby dla mnie mili. Czy to coś złego?
- Złego? - Lani skrzywiła się. - Teraz mówisz zupełnie jak stara. Czyżbym cię niczego nie nauczyła? Miłość nigdy nie jest zła. Najwyżej może okazać się nierozsądna.
- Dlaczego?
- Możesz mieć dziecko, a wtedy stara będzie dla ciebie bardzo okrutna, dla was obydwójga. Musiałabyś dokonać wyboru pomiędzy dzieckiem a ojcem. - Potrząsnęła głową. -

Masz bardzo czułe serduszko i rezygnacja z któregoś z nich bardzo by cię zraniła. Lepiej poczekać, aż sytuacja się zmieni. Rozumiesz mnie?

- Tak.
- Lani przyjrzała się jej ciekawie.
- Dlaczego nie pytałaś mnie o to nigdy przedtem? Czyżbyś spotkała mężczyznę, z którym chcesz zaznać przyjemności?
- Nie! - Cassie starała się, by zabrzmiało to niedbale. - Po prostu się zastanawiałam. Czasami jadąc do wioski nie wiem, jak mam się zachować. Nie czuję się tam obca, ale nie jestem także jedną z nich. Nie wiem, kim jestem.
- Musisz znaleźć swoje własne miejsce.
- Znajdę. - Uśmiechnęła się do Lani i powtórzyła: - Któregoś dnia.
- Lani skinęła głową.
- Może... - Zamilkła ze wzrokiem utkwionym w werandę. - Oto i stara. Muszę cię tutaj zostawić, bo inaczej domyśli się, że naopowiadałam jej kłamstw. - Skierowała się ku zaroślom. - Wrócę i przyprowadzę Kapu, ale nie przyjdę do ciebie aż jutro rano. Powiedziałam starej, że idę spać. Jadłaś kolację?
- Tak - skłamała Cassie. Lani i tak ryzykowała dla niej zbyt wiele. Gdyby się jej przyznała, że od rana nie miała w ustach nic prócz kawałka owocu, Lani poruszyłaby piekło i niebo, aby upewnić się, że została nakarmiona.
- Idź.
- Lani posłała jej ostatni przelotny uśmiech i odeszła.
- Cassie zebrała się na odwagę i szybko podeszła do czekającej na werandzie kobiety.
- Klara Kidman stała wyprostowana i nieporuszona. Jej sylwetka odcinała się na tle oświetlonego pokoju.
- Dobry wieczór, Cassandro. Mam nadzieję, że spędziłaś przyjemny dzień - rzekła lodowato. - Jak się ma ojciec?
- Dobrze. - Cassie ostrożnie zbliżyła się do bambusowych drzwi. - Za parę dni wróci do domu. Przesyła ci pozdrowienia.
- Opowiedziałas mu o tym, jak grubiańsko mnie potraktowałeś?
- Cassie milczała.
- O swoim braku dyscypliny? - ponurym głosem zapytała Klara. - Sądzę, że nie. Prawdopodobnie słodko uśmiechałaś się do niego i naopowiadałaś mu kłamstw na mój temat. To ci nie wyjdzie na dobre. Kiedy tu wróci, opowiem mu całą praw-

dę, a on pozwoli, abym cię ukarała tak, jak uważam za stosowne.

- Możliwe. - Cassie poczuła dobrze znany gniew ściskający jej piers. Złożyła obietnicę Lani. Musi odejść do swego pokoju, zanim Klarze uda się wyprowadzić ją z równowagi.

- On wie, że takie nieodpowiedzialne zachowanie jest niedozwolone. Stajesz się taką samą poganką jak ta dziwka, z którą ojciec zaspokaja swoje żądze.

Cassie zatrzymała się, lecz nie spojrzała na Klarę.

- Ona nie jest dziwka.

- Owszem, to dziwka - powtórzyła Klara. - Dziwka i prawdziwa Jezebel pozbawiona wszelkiej dobroci.

- Ona jest dobra. Jest miła i szcudra i...

- Znow mi się przeciwstawiasz?

Cassie miała ochotę wybuchnąć, ale Klara tego właśnie oczekiwała. Dobrze wiedziała, że Cassie jest w stanie znieść skierowane do niej obraźliwe słowa, ale atak na Lani zawsze zmuszał ją do odpowiedzi. Nie straci panowania nad sobą. Obiecała przecież Lani.

- Nie przeciwstawiam ci się - odparła starając się, by jej głos brzmiał spokojnie. - Ale ojciec nie lubi, jak wyrażasz się o Lani w ten sposób. Jemu naprawdę na niej zależy.

- To bluźnierstwo. Mężczyzna, który miał za żonę kobietę tak czystą i świętą jak twoja matka, nie będzie odczuwał nic więcej jak tylko żądzę w stosunku do ladacznicy, która obnosi się z gołą piersią.

- Już tego nie robi.

- Tylko dlatego, że przekonałam twego ojca. Wy tłumaczam mu, że to ma zły wpływ na ciebie. Powiedziałam mu, że jeśli pozwoli jej na takie prowadzenie się, wkrótce i ty zaczniesz ganiać na wpół naga.

Cassie poczuła chwilowy przypływ zadowolenia na myśl o swoim dzisiejszym roznegliżowaniu. Lani nauczyła ją, że ludzkie ciało jest najpiękniejszym dziełem stworzenia i nie należy wstydić się obnażenia. Cassie poczuła nieprzepartą chęć, by powiedzieć Klarze, że nie udało jej się wygrać tej bitwy. Najwyraźniej zaczynała tracić opanowanie. Musi uciec do swego pokoju, zanim wybuchnie.

- Jestem bardzo zmęczona. Dobranoc, Klaro.

- Wątpię, czy ta noc będzie dobra, jeśli zaczniesz rozważać swoje grzechy.

Nie odpowiadaj jej, pouczała samą siebie Cassie. Dotrzyмай obietnicy.

Obejrzała się przez ramię, by spojrzeć na Klarę. Ta stara, ta brzydka, tak nazywali ją Polinezyjczycy, lecz na pierwszy rzut oka Klara nie była ani stara, ani brzydka. Zaczesaane w kok włosy zaledwie zaczynały siwieć, a twarz o regularnych rysach była jasna i bez zmarszczek. Można by ją nawet uznać za ładną, gdyby nie wyraz napięcia oraz otaczająca ją aura goryczy.

- To nieposłuszeństwo musi się wreszcie skończyć - rzekła Klara. - Nie pozwolę ci więcej iść w ślady tej tubylczej dziwki. Najwyższy czas, abyś wróciła do cywilizowanego świata. Kilka lat nauki w klasztorze przyniesie ogromne korzyści twemu zaniedbanemu wychowaniu.

Była to stara groźba, ale Cassie jak zawsze poczuła niepokój.

- Tutaj jest mój dom. Ojciec nigdzie mnie stąd nie wyśle.

- Tak ci się zdaje? Za każdym razem, gdy mu o tym wspomnam, jest coraz mniej uparty. - Uśmiechnęła się. - Dobranoc, Cassandro. - Odwróciła się i wyszła na werandę.

Była zadowolona, że popsuka Cassie nastrój. Co sprawia, że ludzie stają się tak mściwi, by czerpać przyjemność z cudzego bólu? Gdy Lani przysła do ich domu, próbowała wytłumaczyć Cassie, że ludzie nie rodzą się źli, że to przeżyte doświadczenia tak ich kształtują. Ale teraz nawet Lani uznała, że trudno być miłą dla Klary. Wyglądało na to, że Klara rozkwita czerpiąc siłę ze swej pozycji i z każdym rokiem staje się bardziej nieposkromiona.

Cassie zadrzała spoglądając na stojącą nieruchomo kobietę wpatrzoną w księżyc. Poszła do swego pokoju położonego w końcu korytarza i zamknęła za sobą drzwi. Wreszcie bezpieczna. Po śmierci matki Klara zdjęła z drzwi zamki, ale rzadko niepokoiła Cassie w jej pokoju. Cassie podeszła do okna i pchnięciem otworzyła okiennice. Czy Lani zdążyła odprowadzić konia do stajni?

Z ulgą stwierdziła, że Lani wraca do domu. Teraz ominie werandę, wśliznie się tylnymi drzwiami i wejdzie do swego pokoju, zanim Klara cokolwiek zauważy. Nic jej nie grozi.

Ale Cassie nie czuła się bezpieczna. Miała wrażenie, że znajduje się nie na swoim miejscu i jest niepotrzebna. Przeważała, że tej nocy wszystko się zmieni. A jednak nic się

takiego nie stało. Nic poza tym, że spotkała Anglika, który obudził w niej dziwne emocje wprawiające w zakłopotanie.

Teraz musi o nim zapomnieć. Jego świat był dla niej odległy i niezrozumiały. Jej światem stanie się wkrótce piękna dolina po drugiej stronie wyspy. Cassie, Lani i tatuś będą tam hodować rasowe konie i staną się tak samo wolni jak Lihua i inni wyspiarze.

Lihua jest teraz prawdopodobnie w łóżku Anglika; wije się i krzyczy...

Zacisnęła dłoń na okiennicy, aż zbieleły jej knykcie. Nagły przyływ gniewu wyprowadził ją z równowagi. Zazdrość? Niemożliwe. Nigdy przedtem nie męczyła ją zazdrość i z całą pewnością nie będzie zazdrościła przyjaciółce przyjemności. Żyła wśród wyspiarzy wystarczająco długo, by przejąć ich wiarę w konieczność dzielenia się wszystkimi posiadanymi dobrami.

A jednak widząc, jak Anglik prowadzi do niej Kapu, poznała smak zazdrości. Zrozumiała, czym jest zazdrość i chęć posiadania, a także rozpacz na myśl, że cud końskiego przywiązania może jej zostać odebrany. Może jednak nie przyswoiła sobie szczodrości wyspiarzy aż w takim stopniu, jak powinna.

Zatrzasnęła okiennice i odeszła od okna. Teraz pójdzie do łóżka i zapomni o wszystkich zajściach tego wieczoru. Gdy odpocznie, jej dziwny niepokój z pewnością minie.

2

Tuż przed świtem do chaty przybył posłaniec od Kamehamehy. Cassie obudziła się słysząc walenie do frontowych drzwi, a potem szybkie, lekkie kroki biegnącej korytarzem Lani.

- Tatuś!

Wyskoczyła z łóżka i wybiegła z pokoju. Musiała oszaleć. Przybycie posłańca nie oznaczało przecież żadnego niebezpieczeństwa. Jej strach wzmógł dziwne przeżycia na plaży.

Lani otworzyła drzwi i światło pochodni trzymanej przez ogromnego, obnażonego do pasa wyspiarza rozświetliło jej nachmurzoną twarz.

- O co chodzi? - spytała Cassie. - Czy to wiadomość od tatusia? Czy to coś ważnego?

- Nie - odparła Lani, po czym cicho przemówiła do posłańca, a on ukłonił się z uśmiechem i zbiegł bosy ze wzgórz

Lani zwróciła się do Cassie.

- To nie był posłaniec od Charlesa. Przybył od króla Kamehamehy. Zawiadamia ojca, że może będzie miał gościa. Dziś wieczorem na dworze pojawił się angielski wódz, który starał się uzyskać informacje o twoim ojcu. Ponieważ ów Anglik jest wielkim wodzem, a król nie życzy sobie żadnych kłopotów z Anglikami, uznał, że lepiej będzie dostarczyć mu wszelkich żądanych informacji.

- Jakich?

- Powiedział mu o tej chacie i o tym, że Charles często maluje w pobliżu wulkanu. - Zamilkła. - Anglik miał miły i niegroźny sposób bycia, ale król pragnie przekazać Charlesowi, że tajfun często zaczyna się od łagodnego podmuchu.

Ciałem Cassie wstrząsnął dreszcz.

- Jak się nazywa ten Anglik?

- Jared Danemount, książę Morlandu. - Lani zmrużyła oczy słysząc, jak Cassie wstrzymuje oddech. - Czy to on? Wróg?

- Tatusz mówił ci o nim?

Lani skinęła głową.

- Wiesz, że Charles dzieli się swymi wszystkimi kłopotami. Ale powiedział tylko tyle, że obawia się nadejścia Anglika. Czy to może być właśnie ten?

Cassie żałowała, że nie pamięta już, co tatuś powiedział wtedy w Marsylii.

- Nie wiem... nie jestem pewna. - Była prawie przekonana, że ów Anglik nie może być człowiekiem, z powodu którego ojciec uciekł z Francji. - Powiedziałaś posłańcowi, żeby ostrzegł ojca?

- Nie jestem głupia. Oczywiście że tak. - Przygryzła dolną wargę. - Jeśli to on, czy ojcu grozi poważne niebezpieczeństwo?

- Nie wiem. - Cassie rozpaczliwie starała się przypomnieć sobie wyraz twarzy człowieka z plaży. Siła, energia, lekkomyślność. Co będzie, jeśli zwrócą się przeciwko ojcu? - Tak, myślę, że tak.

- W takim razie nie możemy polegać na posłańcu. Powiedziałam mu, gdzie ojciec zwykle maluje, ale i tak może mieć trudności z odnalezieniem go. - Skrzywiła się. - I możliwe, że nie będzie się bardzo starał. Tutejsi ludzie niechętnie wspinają się na Mount Pelee.

- Ja pójdę - powiedziała Cassie. - Jeżeli Anglik najpierw przyjdzie tutaj, staraj się odesłać go z kwitkiem.

- O co chodzi? - W drzwiach swego pokoju ukazała się Klara Kidman. Trzymana w ręku świeca oświetlała ponury wyraz jej twarzy.

- Kto to był?

- Posłaniec od króla. - Cassie schwyciła ją za ramię. - Muszę odszukać ojca.

- Nie zrobisz tego - powiedziała Klara. - Szanujący się ludzie nie biegają na rozkaz pogańskiego władcy. Poczekaj, aż ojciec wróci do...

- Idę. - Cassie zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

Pospieszenie narzuciła na siebie strój i założyła buty do konnej jazdy, które zdjęła zaledwie parę godzin temu. Ubra-

nie ochroni ją przed krzakami i skałami. Będzie musiała iść pieszo; okolica była niedostępna dla konia.

Po kilku minutach wybiegła z pokoju, lecz zatrzymała się niechętnie widząc, że Lani i Klara nadal stoją na korytarzu.

- W porządku, Cassie - szybko powiedziała Lani. - Wytłuma- czyłam Klarze, że Charles życzyłby sobie, żebyś do niego poszła.

- Wcale nie jestem pewna, czy się z tym zgadzam. Oczekuję, że wrócisz przed zmierzchem - powiedziała surowo Klara. - Z pisemną wiadomością od ojca, że twoja wędrówka była ważna i niezbędna.

Cassie nie miała pojęcia, czy zanim się ściemni, uda jej się odnaleźć ojca. Ojciec krążył naokoło wzgórz jak wyrzucony z wulkanu popiół; nigdy nie było wiadomo, gdzie się znajduje w danej chwili.

- Zrobię, co w mojej mocy, by go jak najszybciej odnaleźć.

- Przed zmierzchem - powtórzyła Klara.

Cassie poczuła rosnący gniew. Co ma robić? Wyciągnąć go spod ziemi? Całe jej napięcie i niepokój nagle eksplodowały.

- Powiedziałam, że zrobię...

- Chodź. - Lani otoczyła Cassie ramieniem i odciągnęła od Klary. - Zejdę z tobą ze wzgórza. Chyba nie potrzebujesz pochodni? Wkrótce będzie świt. Czy ubrałaś się ciepło?

- Tak. - Lani jak zwykle wkroczyła w środek starając się odgrodzić jad Klary od wściekłości Cassie. Cassie zdawała sobie sprawę, że Lani ma rację. Nie powinna tracić czasu na scysje z Klarą w chwili, gdy tatuś może być w niebezpieczeństwie. Gdy tylko znalazły się na werandzie, odsunęła się od Lani.

- Przepraszam, już mi przeszło. Po prostu niepokoję się o ojca.

- Ja też - odparła łagodnie Lani. - I nie ma za co przeproszać. Rozumiem cię.

Lani zawsze ją rozumiała.

- Wracaj do domu - powiedziała opryskliwie Cassie. - Masz na sobie tylko szlafrok, a na dworze jest chłodno.

Lani skinęła głową.

- Niech cię Bóg prowadzi, przyjaciółko.

Charles nie jest godnym przeciwnikiem dla tego człowieka, pomyślała Lani spoglądając w twarz Anglika. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, by stwierdzić, że Jared Danemount jest

równie chłodny i opanowany, jak najlepsi wojownicy z jej wioski. Dobrze, że wraz z Cassie zadbały o nadzwyczajne środki ostrożności.

- Bardzo żałuję, że przebył pan taki szmat drogi na darmo, Wasza Wysokość. Charlesa tutaj nie ma.

- A gdzie jest?

- Popłynął łodzią na wyspę Mani. To doskonałe miejsce do malowania.

- Doprawdy? - Wyraz twarzy księcia nie uległ zmianie, ale Lani pochwyciła w jego tonie nutę niezadowolenia. - Słyszałam, że lubi malować tutaj. - Jego wzrok powędrował ku ścieżce wiodącej na Mauna Loa. - Albo w pobliżu wulkanu.

- To artysta, a oni nigdy nie są zadowoleni. - Zaczęła zamykać drzwi. - A teraz, jeśli pan pozwoli, mam do wypełnienia obowiązki. Miłego dnia, Wasza Wysokość.

- Zaczekaj. - Wsunął w drzwi stopę. - Muszę znaleźć...

- Kto to jest? - spytała Klara podchodząc do Lani. - Same kłopoty. Czy to jeszcze jeden poganin?

Nie mogła nadejść w mniej odpowiedniej chwili. Lani miała nadzieję, że Anglik odejdzie, zanim pojawi się Klara.

- Nie, to Anglik, ale właśnie wychodzi.

- No, niezupełnie. - Danemount gwałtownie otworzył drzwi. - Mam jeszcze kilka pytań. - Spojrzył na Klarę. - Jared Danemount, książę Morlandu. A pani jest...?

- Klara Kidman. Prowadzę dom i nie ma pan... - Zamilkła i nachmurzyła się. - Książę? Angielski książę? Naprawdę?

Skinął głową.

- Chciałbym się dowiedzieć, gdzie przebywa pan Charles Deville. Rozumiem, że opuścił wyspę?

- Ależ skąd, nie opuścił wyspy! - odparła Klara. - Znowu poszedł na ten wulkan.

Danemount spojrzał na Lani lodowatym wzrokiem.

- Naprawdę? - mruknął. - Musiałem źle zrozumieć.

- Wkrótce powróci. Dzisiaj wczesnym rankiem przybył posłaniec od króla i córka poszła go zawiadomić.

Zrozpaczona Lani zacisnęła zęby na widok błysku w oczach Danemounta.

- Może pan poczekać w domu - rzekła niechętnie. Klara rzadko oferowała komukolwiek gościnę.

- Nie, dziękuję. Mam pilne sprawy do załatwienia. - Skłonił się kpiąco w stronę Lani. - Życzę paniom miłego dnia.

Lani poczuła, że musi mu jakoś przeszkodzić.

- Dla samotnego wędrowca góry mogą być niebezpieczne. Może pan zabłądzić.

- Nie jestem sam. Przy ścieżce poniżej wzgórza czekają na mnie stryj i przewodnik - Uśmiechnął się cynicznie. - Ale dziękuję za troskliwość.

Lani poczekała, aż zszedł po schodach z werandy, a potem ścieżką wśród palm.

- Postąpiłaś nierozsądnie - zwróciła się do Klary.

- Właśnie tego się po tobie spodziewałam - odparła Klara.

- Jakiemuś poganinowi, który pojawił się tutaj w środku nocy, powiedziałaś, gdzie szukać pana Deville'a, ale okłamałaś kulturalnego, brytyjskiego dżentelmena.

- Ten dżentelmen może się okazać... - Zamilkła widząc, że Klara wcale jej nie słucha. Cierpliwości, napominała sama siebie. Przekraczając próg tego domu wiedziała, co ją czeka, i była zdecydowana znieść swój los z pokorą.

- Postąpiłaś nierozsądnie - powtórzyła schodząc z werandy.

- Dokąd idziesz?

- Popracować w moim ogrodzie. - Potrzebowała płynącej z ziemi pociechy, a było to jedyne zajęcie, któremu Klara się nie przeciwstawiła, ponieważ dostarczało świeżych jarzyn. - Chyba że potrzebujesz mnie w domu?

- Już ci mówiłam, że nie jesteś tutaj potrzebna.

Wiele razy i w najokrutniejszy sposób. Ale Cassie i Charles potrzebowali jej, więc musiała znieść docinki starej kobiety.

Kucając przy grządce z jarzynami popatrzyła na górę. Zbliżało się południe. Cassie oddaliła się wiele godzin temu. Czy odnalazła już Charlesa?

Cassie odnalazła ojca tuż przed zapadnięciem zmroku. Miejsce, które nazywał Oddechem Pelee, malował już wiele razy. Nie przyszło jej więc do głowy, że wrócił tam, aby je jeszcze raz uwiecznić. A jednak był właśnie tam. Stał przed sztalugami na płaskowyżu, skąd widać było obłoki pary wydobywające się niczym duchy węży z czarnej jak smoła ziemi.

- Tatusiu! - Cassie pomachała mu ręką, a potem ostrożnie ruszyła krawędzią skalistego stoku wiodącego na płaskowyż. Na zboczu i na wzgórzach zawsze było jednakowo ślisko. Czarną lawę pokrywała wilgoć, bo przez szczeliny w ziemi

stale wydobywała się para wodna. To dziwne miejsce przerażało ją od chwili, gdy razem z ojcem przysłała tutaj po raz pierwszy jako mała dziewczynka.

Cisza, którą mącił tylko wiatr i syk wydobywającej się pary wodnej, była bardziej przerażająca niż czerwonopomarańcowy ogień płonący w kraterze wulkanu. Cassie nie mogła się nadziwić, że jej ojciec, który bał się dotknąć grzywy Kapu, czuł się bezpiecznie w takim miejscu.

- Muszę z tobą porozmawiać - rzekła znalazłszy się na płaskowyżu.

- Dobry wieczór, Cassie - odparł z roztargnieniem ojciec. - Zaraz się tobą zajmę. Muszę tylko skończyć ten cień padający na lawę. Widzisz jak lśni wilgoć? Zupełnie jak...

- Czy dotarł do ciebie posłaniec?

- Posłaniec? - spytał nie odrywając wzroku od płótna. - Wysłałaś kogoś? Nie wierzę...

- Król Kamehameha przysłał ci wiadomość. Ktoś usiłuje cię znaleźć. Jakiś Anglik

Pędzel zatrzymał się w pół gestu.

- Anglik?

- Według króla nie stanowi zagrożenia. Chciał cię jednak ostrzec, że powiedział nieznajomemu, gdzie znajduje się twoja chata i gdzie najczęściej malujesz.

Ojciec spojrzał przed siebie.

- Jak się nazywa?

- Danemount.

- Dobry Boże - wyszeptał przymknawszy oczy.

Cassie nie musiała się dłużej zastanawiać, czy Danemount jest groźny. Ojciec był przerażony. Nie widziała go równie przestraszonym od chwili, gdy opuścili Marsylię.

- Czego on chce? - spytała podchodząc bliżej.

- Chce mnie zabić - odparł głucho i otworzył szeroko oczy. - Szuka mnie, aby zabić.

- Ale dlaczego?

- Karząca ręka Boga - wymamrotał. - Zawsze wiedziałem, że mnie odnajdzie. Wola nieba.

- To nie jest wola nieba - zaprzeczyła gorąco. - O czym ty mówisz? Bóg nie pozwoli, by ten człowiek cię zamordował.

- Wola nieba - powtórzył i dodał potrząsając głową: - Nie chcę umierać, Cassie. Popełniłem wiele grzechów, ale nie jestem złym człowiekiem. Nie zasługuję na śmierć.

- Oczywiście, że nie. I z pewnością nie mogłeś uczynić nic bardzo złego. Zejdźmy razem i stawisz czoło Anglikowi. Wy tłumaczysz mu...

- Nie! - Odwrócił się tak szybko, że przewrócił sztalugi. - Nie mogę mu stawić czoła. Co mam mu powiedzieć? To nie była moja wina. Raoul powiedział mi, że nic się nie stanie, i ja mu uwierzyłem. Przynajmniej wydaje mi się, że uwierzyłem. Raoul zawsze był taki pewny siebie. A mnie zawsze brakowało pewności. Tak, to wina Raoula.

Raoul. Tak nazywał mężczyznę, który przybył na statek w dniu ich odjazdu. Cassie zmarszczyła brwi.

- W takim razie powiemy temu Anglikowi, że cokolwiek się stało, nie ma w tym twojej winy.

- Nie uwierzy mi. Nie mam dowodów. Nie będzie mnie słuchał. Jak myślisz, dlaczego uciekłem? O wszystko wypytywał stryj, ale wiedziałem, że znajdzie mnie chłopak Pamiętam jego oczy... płonące, wpatrzone we mnie. - Podniósł nie dokończony obraz i zaczął schodzić potykając się z pośpiechu. - Muszę uciekać. Muszę się ukryć. Wiedziałem, że przyjdzie...

Cassie pobiegła za nim.

- Ale dokąd teraz idziesz?

Zatrzymał się i rozejrzał błędnym wzrokiem.

- Nie wiem. Gdzieś musi być jakieś miejsce...

- Jeśli myślisz, że grozi ci niebezpieczeństwo, idź do króla Kamehamehy. On cię obroni. Anglik nic dla niego nie znaczy.

- Możliwe - bąknął. - Sam nie wiem. Nie mogę zebrać myśli.

Jeśli będzie się błąkał w takim stanie, Danemount dopadnie go, zanim Cassie znajdzie jakieś bezpieczne miejsce.

Chwyciła go za ramię.

- Wiem, co robić. Posłuchaj mnie. Idź do króla i powiedz mu, że ten Anglik ci zagraża. Król wyśle swoich wojowników, by się go pozbyć.

- Nie mogę tego uczynić. Nie chcę mieć także jego krwi na swoich rękach.

Także jego? Cassie poczuła, że przebiega ją dreszcz. Zapytała:

- Wolisz, żeby przelano twoją krew? Nie dopuszczę do tego. Raczej zabiję go własnymi rękami.

Strach zniknął z twarzy ojca. Uśmiechnął się blade.

- Moja dzika Cassie. - Pogłaskał ją czule po policzku. - Odziedziczyłaś po mnie wszystko, co najlepsze. Ale ja nigdy nie byłem taki prawdomówny, lojalny i odważny. Nie byłem dobrym ojcem, choć zawsze cię kochałem.

Jego słowa zabrzmiały przerażająco ostatecznie.

- Nie przesadzaj. Byłeś bardzo dobrym ojcem.

Potrząsnął głową.

- Zawsze sprawiam kłopoty. Powinienem był... - Zamilkł i zastygł nieruchomo. - Co to?

Cassie także usłyszała ten dźwięk Wyraźny odgłos kroków na skalistej ścieżce. Nie mógł to być wysłaniec króla, bo wyspiarze nie nosili obuwia. Odwrócili się, by spojrzeć na ścieżkę.

Nie zauważyli nikogo, ale Cassie nie była pewna, czy w zapadających ciemnościach cokolwiek by dostrzegła.

Para wydobywała się ze skał w postaci gęstego obłoku, który mienił się na żółto i różowo. Cassie ścisnęła ramię ojca.

- Posłuchaj mnie - powiedziała pośpiesznie. - Wejdz szybko z powrotem na płaskowyż i zjedź po drugiej stronie góry. Potem zatocz łuk, aż dojdiesz do wybrzeża. Ja zjedę tędy i spróbuję sprowadzić go w przeciwnym kierunku. Po ciemku pomyśli, że to ty.

- Nie!

- Nic mi nie będzie. Czy ten Danemount zabiłby niewinną kobietę?

- Niewiele o nim wiem. Nie sędzę. Nie.

- Więc idź do Kamehamehy. Przyjdę do ciebie jutro i naradzimy się, co dalej.

Dźwięk kroków przybliżył się.

- Śpiesz się. - Cassie zabrała płótna ojca i rzuciła je na dół.

- Co robisz? Moje obrazy...

- Namalujesz nowe. Musimy zejść ze ścieżki. - Popchnęła go w górę. - Idź!

Przeskoczyła nad obrazem i zaczęła ześlizgiwać się po wilgotnych skałach.

Usłyszała okrzyk ojca odbijający się głośnie echem. Obejrzała się i stwierdziła z ulgą, że dotarł już prawie na płaskowyż. Bała się, że pójdzie za nią. Po chwili straciła go z oczu.

Kroki zbliżały się. Dochodziły z obłoku pary u stóp zbocza. Jeśli Anglik usłyszał okrzyk ojca, to tym lepiej. Wśród pary i ciemności Cassie przemknęła jak cień, który łatwo będzie

uznać za jej ojca. Musi mu dać piętnaście minut, a swobodnie dotrze do króla.

Zeszła ze ścieżki i ostrożnie posuwała się po splekanej lawie, z której wydobywała się para. Usłyszała krzyki. Serce zabiło jej gwałtownie. Ogarnęła ją panika. Zauważono ją!

Głupia reakcja. Przecież chciała, by ją zauważono. Obejrzała się, lecz dostrzegła na ścieżce tylko trzy niewyraźne sylwetki. Świetnie. Ona była dla nich równie źle widoczna. Paniczny strach ustąpił.

- Deville! - rozległ się głos Anglika.

Nie oglądając się pomknęła w dół. Mrok szybko gęstniał. Dookoła unosiły się obłoki pary. Skały stawały się coraz bardziej strome i śliskie. Za nią rozlegały się kroki. Szybko! Ruszaj się! Prawie nic nie widać. Czy przed nią jest następna szczelina?

Nagle ze skał wydobył się nowy kłęb pary! Krzyknęła i instynktownie cofnęła się.

O Boże, jak ślisko...

Zsunęła się. Upadła! Poturlała się w dół, daremnie próbując wczepić paznokcie w twardą skałę. Ogarnęła ją ciemność.

Jest na dole! - Jareda opanowała radość. Ruszył ochoczo po czarnych skałach w kierunku postaci leżącej u podstawy wzgórza. Po tylu latach tropienia i poszukiwania wreszcie dopadł łajdaka.

- Na Boga, mamy go!

- Uważaj! - zawołał Bradford podążając za bratankiem. - Bo wyładujesz na dole obok niego.

- Łakoa, zapal pochodnie - polecił Jared przewodnikowi. Zbliżając się do leżącego na skałach człowieka wydobył nóż. Deville nie ruszał się, ale to nie oznaczało, że nie był niebezpieczny. Ludzie znajdujący się w rozpaczliwej sytuacji zawsze stanowili zagrożenie.

- Jared, zaczekaj - odezwał się Bradford. - Wydaje mi się...

Jared właśnie zatrzymał się. Od Deville'a dzieliło go kilka metrów.

Tylko że to nie był Deville. To była dziewczyna. Rozsypane ciemne włosy okrywały jej twarz. Czarny strój do konnej jazdy był podarty.

- To jego córka? - spytał Bradford, gdy Lakoa zbliżył się do nich.

- A któżby inny? - Jared poczuł się rozczarowany i zaniepokojony. Ukłął przy nieruchomej postaci. Niewiele brakowało, a zamiast Deville'a zamordowałyby dziewczynę.

- Cholera, wołałem go po nazwisku. Musiała wiedzieć, że go poszukujemy.

- Przypuszczam, że Deville jest już daleko - wyszeptał Bradford. - Szliśmy za nią ze dwadzieścia minut

Dziewczyna jęknęła i niespokojnie uniosła głowę.

Przynajmniej żyje, stwierdził z ulgą Jared. Odgarnął włosy z jej twarzy i stanął jak wryty.

- Coś nie tak? - spytał Bradford.

- To nie jest córka Deville'a.

- Ależ tak - rzekł Lakoa. - To ona. Znam ją. Przyjaźni się z moją siostrą Lihua. Nazywa się Kanoa, córka tego, który maluje. - Jego brązowe oczy wyrażały troskę. - Lihua bardzo ją lubi. Niedobrze się stało.

- Niedobrze - mruknął Jared. W całej tej sprawie wszystko wyglądało niedobrze. I obrażenia Kanoi, i jej podstęp, i ucieczka Deville'a.

- Musimy ją zabrać do Lani - powiedziała Lakoa. - Ona będzie wiedziała, co robić.

Lani to pewnie ta miejscowa kobieta, kochanka Deville'a, domyślił się Jared. Lakoa miał rację; do chaty nie było wprawdzie blisko, lecz wioska znajdowała się jeszcze dalej. Obejrzał ranę na skroni Kanoi. Przestała krwawić i skaleczenie nie wyglądało na głębokie, ale dziewczyna straciła przytomność podczas upadku.

Wziął ją na ręce i wstał.

- Chodźmy.

- Jesteś pewien? - spytał Bradford. - Do chaty jest kilka kilometrów. Moglibyśmy rozłożyć tu obóz i wysłać Lakoe po pomoc.

- Szybciej będzie, jeśli weźmiemy ją ze sobą. - Jared ruszył w dół zbocza. - Prowadź, Lakoa. W tych cholernych górach panują nieprzeniknione ciemności.

Tatuś niesie ją na rękach, tuli ją mocno i wynosi bezpiecznie z ciemności.

Nie, to nie może być tatuś. Nie nosił jej na rękach, odkąd przestała być dzieckiem. Od czasu, gdy Klara powiedziała mu, że takie pieszczoty tylko ją zepsują. To musi być ktoś inny...

Usiłowała unieść powieki. Zrezygnowała jednak, bo były zbyt ciężkie.

- Wezmę ją na chwilę. Zmęczyłeś się, chłopcze.

- Jestem okropnie zmęczony. Najchętniej zrzuciłbym ją z tej góry.

- Więc czemu jej nie zostawiłeś? Mówiłem ci godzinę temu, że dźwiganie jej taki kawał drogi to nie lada wysiłek. Powinniśmy byli zrobić tak, jak proponowałem.

Za całą odpowiedź Jared tylko zaklął.

Obydwa głosy brzmiały nisko, należały do mężczyzn, ale żaden nie był głosem tatusia.

Niebezpieczeństwo. Miała o czymś pamiętać...

Tym razem udało jej się unieść powieki. Skąd tu się wziął Lakoa z płonąca pochodnią? Znała go od dzieciństwa, bawili się razem w wiosce.

- Lakoa - wyszeptała z trudem.

- Nic nie mów. - Nad jej uchem rozległ się stanowczy głos.

Spojrzała w górę i napotkała wzrok niosącego ją mężczyzny. Niebieskie oczy, jasne i chłodne jak woda w jeziorze po drugiej stronie wyspy. Już je kiedyś widziała, lecz nie pamiętała, dlaczego wprawiała ją w takie zakłopotanie.

- Ocknęła się?

Spojrzała na drugą twarz. Grube rysy, kręcone przyprószone siwizną ciemne włosy; oczy koloru mocnej herbaty.

- Nie całkiem - odparł Jared przyciskając ją mocniej.

Poczuła jego zapach - piżmo, garbowana skóra. Zapach był znajomy... Dlaczego nie mogła go powiązać z człowiekiem? Już kiedyś był równie blisko niej, tak jak w tej chwili, i mówił coś, co ją zaniepokoiło...

- Kim jesteś...? - wyszeptała.

Spojrzała na nią, i jego oczy zalśniły jak ostrze noża.

Zalśniły gniewem... i jeszcze jakimś uczuciem.

Opuściła powieki, by ich nie oglądać. Nie mogła znieść zakłopotania, które odczuwała patrząc w te oczy. Znowu powracały ciemności i musiała walczyć, by się im nie poddać.

W kilka sekund później przegrała walkę i znowu zapadła w ciemność.

Gdy Jared zastukał, drzwi chaty gwałtownie się otworzyły.

- Co jej pan zrobił? - spytała Polinezyjka patrząc z przera-

zeniem na Cassie. - Dlaczego ją pan skrzywdził? Ona nie ma z tym nic...

- Ja jej nie skrzywdziłem. - Jared wyminął Lani i wpadł do salonu. - Sama to sobie zrobiła. Przekłeta dziewczyna spadła z góry i uderzyła się w głowę.

- A pan nie ma z tym nic wspólnego? - spytała sarkastycznie Lani.

- Zsuwała się ze skały po ciemku, starając się, byśmy ją wzięli za Deville'a. - Ułożył Cassie na sofie. - Domyślam się, że to jego córka.

Lani uklękła obok Cassie.

- Pewnie że tak. Czy po upadku odzyskała przytomność? - spytała Lani.

- Tylko raz. Sprawiała wrażenie oszołomionej. Wysłałem Lakę i mego wuja do króla Kamehamehy, aby sprowadzili tu lekarza.

- Widziałam już wiele obrażeń głowy. Skoro się ocknęła, niebezpieczeństwo jest niniejsze. Potrzebuje teraz snu. - Spojrzała na Anglika. - A Charles?

- Nie schwytaliśmy go. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Ale złapiemy.

- Żeby roztrzaskać głowę także jemu?

- Ja nie roztrz... - Wziął głęboki oddech i starał się opanować. - Nie kręcę się tutaj, aby rozbijać głowy dziewczynom, nawet jeśli na to zasługują.

- Próba ratowania życia ojca to rzeczywiście potworna zbrodnia.

Jared zacisnął pięści.

- To nie zbrodnia, lecz szaleństwo. Mogła się zabić na tej górze.

Lani przechyliła głowę i przyjrzała mu się z ciekawością.

- Pan się o nią troszczy.

- Wcale się nie troszczę. Każdy, kto jest wystarczająco głupi, by ryzykować życie dla człowieka, który... Czemu tutaj kłęczysz? Rób coś! Przynajmniej zmyj krew z jej twarzy.

- Zrobię to. - Zamilkła. - Jeśli chce się pan na coś przydać, niech pan trzyma Klarę z daleka ode mnie. Na pewno mnie usłyszała, a wyobraża sobie, że tylko ona potrafi wszystko zrobić najlepiej.

Klara? Niejasno przypomniał sobie drugą kobietę.

- Gospodyni? Dobrze, biorę ją na siebie.

- I niech pan zanieś Cassie do jej pokoju. Tam jej będzie wygodniej.

Jared znów podniósł Cassie i poszedł za Lani wzdłuż korytarza. Ułożył dziewczynę na wąskim łóżku i cofnął się. Boże, ale była blada.

- Teraz proszę wyjść z pokoju - rozkazała Lani. - Będzie przestraszona, gdy zobaczy obcego.

Jared zawałał się. Wcale nie chciał wychodzić.

- To nie miejsce dla pana. - Łagodny głos Lani zadźwięczał twardo jak stal. - Jest pan wrogiem i nie chcę jej narażać na pański widok, kiedy nie jest zdrowa.

Oczywiście, był wrogiem. Czyżby ta kobieta sądziła, że o tym zapomniał?

- Moje miejsce jest tutaj, dopóki nie odnajdę Charlesa Deville'a. - Odwrócił się na pięcie. - Rób, co chcesz, ale wcale nie zauważyłem, żeby Kanoa się mnie bała.

Zamknął za sobą drzwi. W tej samej chwili na korytarzu pojawiła się Klara Kidman.

- Co się dzieje? - spytała ostro. - Co pan tu robi?

Otworzył usta, by odpowiedzieć jej równie nieuprzejmie, lecz zmienił zamiar. Kobieta była cierpka jak niedojrzałe winogrono, ale w domu wroga każdy sprzymierzeniec jest dobry. Uśmiechnął się z całą uprzejmością, na jaką było go stać.

- Ach, właśnie miałem pani o tym opowiedzieć, panno Kidman. Wygląda na to, że znaleźliśmy się w przykłej sytuacji i konieczna będzie pani niewątpliwa inteligencja i umiejętności, aby pomóc nam wybrnąć z kłopotu.

Zanim otworzyła oczy, poczuła zapach mydła lawendowego, kwiatów imbiru i wanilii.

Lani.

Jej piękna, pogodna twarz. Jej dłoń przykładająca do obojętnej czoła chłodny ręcznik. Wszystko w porządku; poczucie bezpieczeństwa, miłości... A jednak nie całkiem w porządku, zdała sobie sprawę w chwilę potem, gdy w skroni odezwał się przesywający ból.

- Boli mnie głowa - wyszeptwała.

Lani uśmiechnęła się.

- Nic dziwnego, skoro robiłaś, co w twojej mocy, żeby ją roztrzaskać. Boli cię gardło?

Cassie przełknęła ślinę.

- Trochę.
- W ciągu ostatnich kilku godzin udało mi się wmusić w ciebie tylko odrobinę wody. - Wzięła filiżankę z nocnego stolika. - Napij się.

Cassie zorientowała się, że to nie woda, lecz słodzone mleko z orzecha kokosowego. To oznacza, że jest chora. Ilekroć była chora, Lani dawała jej ten sam napój. Wymyśliła opowiadanie dla Klary, że pomimo gorzkiego smaku mleko ma nadzwyczajne właściwości lecznicze. Cassie pamiętała, jak śmiały się z Klary, gdy odmówiła choćby spróbowania cudownego napoju.

Uśmiechnęła się, a potem skrzywiła.

- Okropny smak - zażartowała.

- Ale dobrze ci zrobi.

Wypiła jeszcze jeden łyk.

- Jestem chora?

- Nie pamiętasz? Upadłaś i uderzyłaś głową w skały. Ale nie martw się. Parę godzin temu widział cię lekarz i stwierdził, że nie ma niebezpieczeństwa. - Zmarszczyła nos. - Wiedziałam to i bez niego.

Skały? Cóż ona robiła wśród skał...?

Usiadła na łóżku.

- Tatuś!

- Połóż się - powiedziała Lani. - Wszystko w porządku. Przynajmniej na to wygląda. Anglik nie odnalazł Charlesa. Wiesz, gdzie on jest?

- Tak. - Nie zważając na protesty Lani, odrzuciła kołdrę i postawiła stopy na podłodze. Lecz zaraz musiała chwycić się materaca, tak bardzo kręciło jej się w głowie. Gdy zawroty ustąpiły, położyła się ostrożnie i spytała:

- Jak długo tu leżę?

- Danemount przyniósł cię do domu zeszłej nocy. A teraz minęło południe. Znalazł cię zemdloną u stóp Pelee. Uderzyłaś głową w skałę.

Cassie przypomniało się, jak odzyskała przytomność w jego ramionach.

- Był zły...

- Bardzo - potwierdziła Lani. - Najpierw przyszedł tutaj, ale nie znalazł go, więc wspiął się na wulkan. - Zaciśnęła usta.
- Staralam się go zatrzymać, ale Klara powiedziała mu, że wybiegłaś z domu, aby zanieść ojcu wiadomości od króla.

- Wspaniale.

Lani wzruszyła ramionami.

- Wygląda na to, że Klara jest pod urokiem Jego Wysokości. Nie powinnyśmy się dziwić. On jest angielskim księciem, a dla niej nawet angielski wieśniak jest lepszy niż król jakiegoś innego państwa.

- Nie powiedziałaś jej, że to wróg tatusia?

- A uwierzyłaby mi? Jestem przecież poganką.

Głupie pytanie. Cassie obawiała się, że Klara jej także by nie uwierzyła.

- Ale czy on rzeczywiście jest wrogiem twego ojca? - spytała Lani. - Co powiedział Charles?

- Powiedział, że Danemount chce go zabić.

Twarz Lani pobladła.

- Dlaczego?

Cassie potrząsnęła głową.

- Powtarza tylko, że taka jest wola niebios.

- Danemount nie jest wysłanym przez niebios ańiołem. Wprost przeciwnie, jest sędzią. Ale gdy chce, potrafi być czarujący i postarał się być miły dla Klary. - Zamilkła na chwilę. - Jest bardzo sprytny, prawda?

Cassie pojęła znaczenie tych słów. Lani podejrzewała, że sprawy mają się inaczej, niż wydawało się przy powierzchownym spojrzeniu. Zdała sobie sprawę, że powinna jej opowiedzieć o spotkaniu na plaży. A jednak nie miała ochoty. Chciała o tym zapomnieć.

- Skąd mogę wiedzieć?

Lani uniosła brwi.

- Kiedy przyniósł cię do domu, nazywał cię Kanoa. Oczywiście, mógł się dowiedzieć od Lakoi, ale odniosłam wrażenie, że cię zna. Co wiesz o Danemouncie?

- Spotkałam... go na plaży - powiedziała Cassie unikając jej wzroku. - Rozmawialiśmy przez chwilę. Nic o nim nie wiem.

- Ale wiesz, że jest wrogiem tatusia.

- Tak, to wiem - rzekła żarliwie. - Czy myślisz, że...

- Ciii... - Lani położyła palce na ustach Cassie. - Nie wspominałaś o tym spotkaniu. A ja muszę się upewnić. To mężczyzna, który umie urabiać kobiety, jak mu się podoba. Nawet Klara zmiękła. Wierzy we wszystko, co on jej opowiada.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić.

- Sama zobaczysz. - Lani usiadła na łóżku. - Teraz musimy porozmawiać o ojcu, zanim dowiedzą się, że już nie śpisz.

Cassie spojrzała na drzwi.

- Ten Anglik wciąż tutaj jest?

Lani skinęła głową.

- Jest tutaj od chwili, gdy cię przyniósł. Powiedział, żebym go zawołała, jak tylko się obudzisz. - Skrzywiła się. - Są tu także dwaj marynarze z jego statku. Chodzą dookoła domu „dla naszego bezpieczeństwa”.

- Myślą, że tatuś tu wróci.

- A wróci?

Cassie potrząsnęła głową.

- Powiedziałam mu, żeby poszedł do Kamehamehy, i że przyjdę do niego później. Czy można liczyć na to, że król pomoże nam pozbyć się Danemounta?

Lani zmarszczyła brwi.

- Kamehameha lubi Charlesa, ale nie sprzeciwi się Anglikowi, żeby mu pomóc. Potrzebuje angielskich karabinów do prowadzenia swoich wojen.

- Ale ukryje tatusia, dopóki Anglik nie opuści wyspy?

- Tak, pod warunkiem, że nie sprawi mu to kłopotów. Ale skąd wiesz, czy Anglik odpłynie? Wygląda na bardzo zdecydowanego.

- Znudzi go poszukiwanie tatusia - rzekła Cassie z przekonaniem, którego wcale nie miała. Mężczyzna, którego spotkała na plaży, nie sprawiał wrażenia kogoś, kto łatwo daje za wygraną.

- A jeśli Charles przyjdzie tu zaniepokojony o ciebie?

Cassie także brała to pod uwagę.

- Mogłybyśmy mu wysłać wiadomość?

Lani potrząsnęła głową.

- Wątpię, by do niego dotarła nie ściągając za sobą Danemounta. Anglik nas pilnuje.

- W takim razie ja muszę do niego pójść.

- Nie możesz utrzymać się na nogach.

- Więc musisz pilnować Anglika, dopóki nie wstanę. Myślę, że jutro będę już zdrowa.

- Ja pójdę do Charlesa.

- Spodziewa się mnie. Muszę z nim porozmawiać i wspólnie zadecydujemy, dokąd pójdzie. - Zniżyła głos do szeptu. - On się tak boi.

Lani spojrzała na drzwi.

- Nic dziwnego, że się boi, skoro taki człowiek depcze mu po piętach. - Wstała. - Przygotuję ci wodę na kąpiel i ugotuję bulion. Będę trzymała Danemounta z dala od ciebie aż do wieczora. Spróbuj odpocząć.

Odpocząć?

Cassie opadła na poduszki. Nie miała ochoty odpoczywać, ale postanowiła się postarać. Musi nabrać sił do czekającej ją walki. Z tego, co mówiła Lani, wynikało, że Danemount pieczołowicie przędzie pajęczynę, która ma je uwięzić w domu. Pajęczynę, która może okazać się śmiertelną pułapką, jeśli ojciec spróbuje się do nich dostać.

Po kąpieli i posiłku Cassie poczuła się znacznie lepiej. Nie na tyle jednak, by wstać z łóżka. Odważyła się na to dopiero późnym popołudniem. Zmusiła ją do tego głośna rozmowa pod oknem.

Usiadła ostrożnie i oparła stopy o podłogę. W porządku, żadnych zawrotów głowy.

Narzuciła ciemnoniebieski szlafrok i wstała. Poczuła lekkie mdłości, ale nie wydały jej się groźne. Powoli podeszła do okna i otworzyła okiennice.

Po ogrodzie spacerowało dwóch mężczyzn w roboczych ubraniach. Uznała, że są to marynarze z „Josephine”, o których wspominała Lani.

- Widzę, że czujesz się znacznie lepiej niż mi powiedziano.

Odwrociła się gwałtownie i zobaczyła stojącego w drzwiach Jareda. Wyglądał nieporządnie i ten brak elegancji powodował, że wydawał się jeszcze groźniejszy. Nie miał na sobie surduta, koszula była rozchełstana, a szczupłe policzki pokrywał jednodniowy zarost. Ale oczy miał równie chłodne jak zapamiętała. Instynktownie owinęła się szlafrokiem.

- Dobry wieczór, Wasza Wysokość.

- Zastanawiałas się, czy uciec przez okno? - Wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Nie radzę.

- To mój dom. Dlaczego miałabym wymykać się z niego chyłkiem, jak jakiś złodziej? - Poczuła słabość w kolanach, więc przysiadła na brzegu łóżka. - Patrzyłam na intruzów, którzy krążą po naszym terenie. Niszczą ogród warzywny Lani.

- Zrekompensuję jej wszelkie straty.

- Czy można jej zrekompensować smutek i rozczarowanie, po wszystkich godzinach spędzonych na planowaniu i sadzeniu?

- Odpowiednia ilość złota złagodzi wszelkie rozczarowanie.

- Może w twoim świecie. Nie tutaj.

- W takim razie pozostanie rozczarowana. - Podeszedł do Cassie. - I nie przyszedłem tutaj, aby rozmawiać o ogródkach warzywnych.

Spojrzała na niego z pogardą.

- To jedyny temat, na który będę z tobą rozmawiać.

- Gdzie jest twój ojciec?

Spojrzała na niego w milczeniu.

- Radzę ci mówić. Tak będzie dla ciebie lepiej.

- Nie chcę, żeby mi było lepiej. Nie masz tu czego szukać.

Wracaj do Anglii.

- Przeciwnie, czekają mnie tu bardzo ważne sprawy.

- Morderstwo?

Milczał przez chwilę.

- Odwet.

- Znam mego ojca. Nigdy nie zrobiłby nic takiego, czym mógłby zasłużyć na śmierć.

- Ach, jakież z niego czuły i pełen poświęcenia ojciec. Uciekł jak tchórz i pozwolił, bym ścigał ciebie. Mogłaś zginąć na tej górze.

- To nie jego wina, że jestem niezdarna. Nie chciał odejść. Zmusiłam go.

- I okazałaś się mniej ważna niż jego własne gardło.

- Ojciec mnie kocha. Mówiłam ci już: zmusiłam go, aby odszedł.

- Kocha cię tak bardzo, że wychodzi sobie w góry, a tobie pozwala biegać na wpół nago tam, gdzie mężczyźni mogą cię obrażać i gwałcić - odparł gniewnie.

- To nie wstyd chodzić bez ubrania. Żaden wyspiarz nie wzięby mnie siłą. - Spojrzała na niego wzgardliwie. - Nie są tacy jak wy, Anglicy.

- Nie wziętem cię siłą. W ogóle cię nie wziętem. Myślałem, że jesteś dzieckiem. Jeszcze jedno kłamstwo. Zgodnie z tym, co mi powiedziano, miałaś osiem lat opuszczając Marsylię. Teraz masz około dwudziestu.

- Nie kłamałam.

- Nie próbowałaś wyprowadzić mnie z błędu.

- Dlaczego miałabym dbać o to, co pomyśli sobie jakiś nieznajomy?

- Miałaś szczęście, że ten właśnie nieznajomy potraktował cię jak niewinne dziecko, a nie na wpół naga lubieżnicę, którą najwyraźniej jesteś.

- O co ci chodzi?

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi.

Westchnęła gwałtownie i zapiekły ją policzki.

- Co byś zrobił? Zgwałcił mnie? Zabił ojca, zgwałcił córkę. Wspaniały z ciebie mężczyzna.

- Nie gwałcę kobiet - Zacisnął usta. - I skąd miałem wiedzieć, że jesteś nasieniem tego łajdaka? Szanująca się kobieta nie włóczy się po plaży nocą, przebrana za miejscową dziewczynę.

- Nie byłam przebrana. Spędzałam czas z przyjaciółkami, które zasługują na taki sam szacunek jak twoje Angielki. Jesteś tu nieproszonym gościem. Niczym się nie różnisz od innych obcokrajowców. Przyjeżdżacie tu i pokładacie się z kobietami, dajecie im jakieś koraliki i odpływacie.

- Kobiety, z których robisz ofiary, są nie tylko chętne, ale wręcz agresywne, a ja nie przybyłem tu, aby je wykorzystywać. - Zamilkł. - Wiesz dobrze, po co tu przybyłem.

- Nie pozwolę ci na to - odparła z gniewem. - Mój ojciec ma tutaj przyjaciół. Nawet król go lubi.

- Ale jeszcze bardziej lubi angielskie strzelby, których potrzebuje, żeby wojować z wodzem sąsiedniej wyspy.

Cassie miała nadzieję, że Jared nie dowie się o tym. Lani miała jednak rację. Był bardzo przebiegły.

- I ty mu dasz te strzelby?

- Ujmijmy to tak zrobię wszystko, by dostać twojego ojca.

Martwego. Chodzi mu o to, by dostać ojca nieżywego. Poczula mdłość.

- Dlaczego? Nie znasz go nawet. To miły człowiek, który pragnie jedynie malować i przeżyć spokojnie życie.

Oczy Danemounta stały się bezlitosne.

- To rzeźnik i zasługuje, aby go zarznąć. - Odwrócił się i podeszedł do drzwi. - Wracaj do łóżka i wybij sobie z głowy pomysł spotkania się z ojcem. Moi ludzie otrzymali rozkaz, by nie wypuszczać nikogo z domu.

- A więc to prawda. Jesteśmy więźniami we własnym domu?

- Nie jest to właściwe słowo. - Otworzył drzwi. - Jesteś przynęta. Zobaczymy, jak bardzo kocha cię twój ojciec.

Cassie zadrżała patrząc na zamykające się drzwi.

Przynęta. Tak być nie może. Musi znaleźć sposób, by wydostać się z chaty i dotrzeć do wioski Kamehamehy.

Bradford spojrział na Jareda.

- Jak się czuje?

- Jest uparta - odparł krótko Jared i usiadł na krześle obok stryja. - A poza tym szybko dochodzi do siebie.

- Bardzo związana z ojcem?

- Bardzo. - Jared nalał sobie koniaku. - Bóg wie czemu. Najwyraźniej ją zaniedbuje i została wychowana jak tutejsze dzikuski.

- Życie dzikuski może być bardzo przyjemne. - Bradford opadł na oparcie krzesła i uniósł swoją szklanke. - A poza tym kobiety często kochają nie zasługujące na to ofiermy i są wobec nich bardzo lojalne, choć niewiele z nich posunęłyby się tak daleko jak ona. Musi być odważna. - Wzdrygnął się. - Ja bym się nie odważył zjeżdżać po ciemku po skalistym zboczu.

Jared pociągnął długi łyk.

- Nie było zupełnie ciemno.

- Dla mnie wystarczająco. - Bradford pochylił głowę. - Wciąż jesteś na nią zły? Dlaczego? Na jej miejscu zrobiłbyś to samo.

- Nie byłbym na jej miejscu. Mój ojciec nie był rzeźnikiem.

- Nie był także aniołem - odparł spokojnie Bradford. - John był odważnym mężczyzną, lecz miał swoje wady. Nawet jeżeli nie ukończyłeś jeszcze trzydziestu lat, musiałeś zauważyć, że był z niego piekielny arogant i jeszcze większy kobieciarz niż ja.

- To wcale nie znaczy, że zasługiwał na śmierć. Był w Danjuet, by ratować życie innym, Deville go zdradził. - Jared zacisnął dłoń na szklance. - Nie byłeś tam. Nie widziałeś, jak posiekali go na plasterki. Myślę, że gdybyś tam był, nawet ty nauczyłbyś się nienawiści.

- Możliwe. - Bradford spojrział na niego ze współczuciem. - Wolałbym być tam na twoim miejscu, chłopcze. Ale nie powinieneś gniewać się na córkę za grzechy ojca.

- Nie powinienem? - Spojrział na bursztynowy napój

w szklance. - Trzymaj się od tego z daleka, Bradford. Nie chcę, żebyś się wtrącał. Ona jest przynęta, dzięki której pojme Deville'a.

- A jeśli nie zechce z tobą współpracować?

- Wtedy zrobię to, do czego będę zmuszony.

Bradford zmarszczył czoło.

- Nie podoba mi się to. Masz w sobie zbyt wiele złości.

Jared dopił koniak i nalał sobie nową szklanke.

- Czekałem bardzo długo.

- Ale nie można traktować niewinnych, tak samo jak tych, którzy zawinili.

- Traktuję ich tak tylko wtedy, gdy pomagają winnym.

- Wygląda na to, że jesteś na nią bardziej zły niż na ojca.

Bo to jedyny sposób, do cholery; jego gniew na Deville'a był zimny, podtrzymywany przez wszystkie minione lata. Gniew na dziewczynę musiał być świeży i gorący. W ciągu ostatniej doby obudziła w nim gniew, litość, strach i podziw, do którego nie przyznałby się nawet Bradfordowi. Gniew był bezpieczny. Nie pozwał na żadne łagodniejsze odczucia, przez które mógłby stracić przynętę.

Lecz żądza nie jest uczuciem łagodnym. Może być gorąca, szalona i twarda jak stal, pomyślał nagle Jared. Tak nagle, że myśl owa musiała drzeć tuż pod powierzchnią. Dziewczyna nie była dzieckiem. Mógł ją mieć...

Chryste, o czym on myśli? Córka Deville'a to zakazany owoc. Jared był jej wrogiem i nie miał zamiaru udawać kogoś innego.

- To już twoja trzecia szklanka - zauważył Bradford. - Wracasz do dawnych nawyków?

Jared nawet nie zauważył, że nalał sobie trzecią szklanke. Miał ochotę wypić całą butelkę. Nie, cel znajdował się zbyt blisko. Musi mieć jasno w głowie. Odstawił szklanke.

- Nie.

- Szkoda. - Bradford westchnął. - Smutna i ciężka jest dola człowieka skazanego na samotne pijaństwo.

- Znosisz ją bardzo dobrze. - Jared wstał. - Chodźmy.

- Dokąd?

- Do stajni.

Zgodnie z przewidywaniami Jareda stryj natychmiast poweselał.

- Jest tam coś do obejrzenia?

- Ostatniej nocy uważałeś, że jest. Powiedziałeś chyba, że ma piękny chód.

Bradford zmarszczył czoło z niedowierzaniem.

- Tak powiedziałem? Kiedy? - Jego oczy rozszerzyły się ze zdumieniem. - Ach, na plaży. Ta kobieta?

Jared nic nie odpowiedział, tylko ruszył naprzód.

- Idziesz?

Bradford podążył za nim cicho pogwizdując.

- Zaczynam rozumieć. - Zachichotał. - Miałeś rację mówiąc, że wychował ją na dzikuskę. Myślałem, że chodzi ci o jej sposób bycia.

- Nie chcę o niej więcej mówić. Idziemy obejrzeć konia.

- Ach tak, konia - odparł Bradford. - Ale musisz przyznać, że wasze spotkanie to interesujący zbieg okoliczności. Bardzo niezwykły. Zupełnie jakby to było przeznaczenie.

Jared wymamrotał przekleństwo.

- Nie bądź niegrzeczny. Na tym świecie wielu ludzi wierzy w przeznaczenie.

- Ale ty do nich nie należysz.

- Nie należę, ale chciałbym należeć. Chciałbym w coś wierzyć - powiedział tęsknie Bradford. - To musi być przyjemne. Nie sądzisz?

- Myślę, że za dużo wypiełeś.

- Chyba masz rację. Zawsze popadam w melancholię po piątej szklance. Bywasz kiedykolwiek melancholijny, Jared?

- Nie.

- Jasne, że nie. Ty nie pozwoliłbyś sobie na coś równie kliwego. Ty pozwalasz sobie na żądę, docenianie piękna, głód wiedzy... a nawet na sympatię dla mojej skromnej osoby. - Otworzył drzwi stajni. - Ale na nic, co by cię poruszyło do żywego, na żadne sentymentalne nonsensy.

- Czy nie tego właśnie mnie uczyłeś?

- Nie. Uczyłem cię, żebyś był ostrożny. Pozostałe mury wzniosłeś wokół siebie sam. Kiedyś, gdy będę trzeźwy, porozmawiam z tobą o niebezpieczeństwach... I cóż my tutaj mamy?

- Kogoś, kto znajduje się na swoim miejscu. - Lani odwróciła się od żłobu i odstawiła wiadro owsa. - W przeciwieństwie do was. Nie wystarczy, że zraniliście Kanoe? Macie teraz zamiar ukraść jej konia?

- Nie zraniłem jej - odparł Jared, starając się nie stracić

opanowania. - A przyszedliśmy tylko po to, żeby obejrzeć konia w świetle dziennym. Wyobrażasz sobie, że pojedziesz do swego kochanka?

- Nie, karmiłam tylko konia. - Ruszyła w stronę drzwi. - Prócz Kanoe nikt nie utrzyma się na Kapu.

- Wielka szkoda - mruknął Bradford. - Jared, koń jest wspaniały. Spójrz na jego linię... na barki. - Wyciągnął rękę, aby dotknąć białej gwiazdki na czole ogiera. - I porusza się z takim wdziękiem.

- Nie dotykaj go! - Lani podbiegła i odtrąciła rękę Bradforda.

- Nie chciałem go skrzywdzić.

- Wiem - odparła ponuro Lani. - Ale nie mam zamiaru bandażować ci ręki, kiedy cię poturbuje. Kapu nie lubi obcych.

- Ciebie najwyraźniej lubi. - Bradford spojrział na nią z zainteresowaniem, a potem skłonił się nisko. - Chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Bradford Tyndale Danemount.

- Wiem, kim jesteś. Jesteś stryjem.

- Taki już mój los. - Westchnął. - Brat, stryj, nigdy Bradford Danemount - wspaniały, odważny, rycerz, mędrzec...

- Trzymaj się z daleka od Kapu - przerwała mu Lani. - Zbyt dużo wypiełeś, a Kapu lubi pijanych.

- W takim razie wspaniale do siebie pasujemy.

Lani błysnęła zębami w złośliwym uśmiechu.

- Ale on lubi ich nieżywych. Stratował poprzedniego właściciela tak, że nikt nie mógł poznać jego twarzy.

- Kto był jego właścicielem? - spytał Jared podchodząc do ogiera.

- Pewien Anglik, który zatrzymał się tutaj w drodze do Australii. Po pijanemu bił konia bez litości. Pewnego dnia nie był dość uważny, a wtedy Kapu okazał się równie bezlitosny. A ponieważ był zbyt narowisty, marynarze chcieli go zabić, ale Charles poszedł do Kamehamehy i błagał go, aby mu sprzedał konia.

- Z tego, co wiem, Deville nigdy nie lubił koni - rzekł Jared.

- Ale kocha Cassie, a ona pokochała ogiera. Oto jaki jest ów straszliwy człowiek, którego chcesz zabić - dodała sarkastycznie. Spojrzała na Jareda, który stanął obok konia. - Je-

steś zbyt blisko. Mówiłam już... - Umilkła i spoglądała ze zdumieniem, jak Jared wyciągnął rękę i pogłaskał ogiera po pysku. Kapu zadrżał leciutko i przyłgął do jego dłoni. - Czary.

- Nie. - Jared zajął koniowi w oczy. - Po prostu rozumiemy się nawzajem.

- Jared świetnie obchodzi się z końmi - wyjaśnił Bradford.

- Kahuną - mruknęła Lani.

Jared przypomniał sobie, że to samo powiedziała Cassie. Spojrzała na niego wtedy z takim strachem i rozpaczą, aż poczuł się jak ktoś okrutnie krzywdzący bezbronne dziecko.

- Bzdura - odparł szorstko.

Bradford zachichotał.

- Z pewnością nie jest duchownym. Chociaż czasami zdaje mi się, że jeśli chodzi o konie, to posługuje się czarami... tak samo jak przy kartach.

- To tylko inteligencja - odparł Jared z rozbawieniem.

- I szczęście - dodał Bradford.

Lani spojrzała na nich po kolei i wzruszyła ramionami.

- Na nic ci się tu nie przydadzą. Chcesz skrzywdzić Charlesa, więc Bóg cię nie będzie wspomagał. - Podeszła do drzwi. - Spróbuj, gdzie kończy się twoje szczęście, Wasza Wysokość, i pozwól dotknąć konia pijanemu.

Bradford przyglądał się jej, gdy wychodziła ze stajni.

- Niezwykła kobieta. Czuję się zupełnie jak odurzony. - Roześmiał się. - Ale ponieważ byłem odurzony, już zanim ją poznałem, trudno cokolwiek przesądzać. - Zwrócił się ku Kapu. - Nadzwyczajny.

- Tak.

- Pragniesz go mieć?

- Och, tak. - Teraz, kiedy przyjrzał mu się z bliska, nie był już pewien, czy jego Morgana mogła się z nim równać. Jeszcze jeden powód do niezadowolenia.

- Trudna sprawa

- Bez wątplenia. - Poklepał ogiera i cofnął się. - I z czasem stanie się jeszcze trudniejsza. Chcę, żebyś poszedł do króla i zrobił dyskretny wywiad na temat Deville'a. Król musi dowiedzieć się, że zatrzymaliśmy się w domostwie Deville'a.

- Skoro Deville jest pod specjalną opieką króla, otrzymam razy zamiast odpowiedzi. Teraz król wie, że nie masz przyjacielskich zamiarów.

- Nie sądzę, by groziło ci jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Król nie przepuści okazji, aby przekonać mnie, żebym dostarczył mu broń. Wolisz, żebym ja poszedł?

- Nie, pójdę tam. Po powrocie do Anglii będę mógł opowiadać wspaniałą historię o tym, jak stawiłem czoło dzikusom. Zostajesz, żeby pilnować dziewczyny?

Jared skinął głową.

- Skoro Deville zadał sobie trud, aby błagać króla o konia dla córki, musi darzyć ją uczuciem. Może tu wrócić, jeśli pomyśli, że Kanoi grozi niebezpieczeństwo.

- Mówisz o nim jak o kimś, kto posiada cechy ludzkie.

- Zawsze wiedziałem, że to człowiek. W każdym człowieku drzemie zło i dobro. Jako chłopiec uważałem Deville'a za raczej zabawnego. - Powróciło do niego nagłe wspomnienie rozwalonego w fotelu Charlesa Deville'a, gdy w małym pokoiku w Danjuet szybko szkicował w notatniku. Jego brodata twarz tryskała wesołością, gdy żartował z Jaredem. - Co nie oznacza, że nie wiem, kim jest.

- Ale trudniej jest wykonać wyrok na człowieku, który nie jest kompletnym łajdakiem - upierał się Bradford.

- Nie dla mnie. - Jared uśmiechnął się. Odwrócił się i rzekł wychodząc: - Daj mi znać, gdy się czegoś dowiesz. W przeciwnym razie spodziewam się ciebie dziś wieczorem.

3

Danemount był w stajni i oglądał Kapu - powiedziała Lani szcزتkując włosy Cassie. - Zdziwiałąco dobrze radzi sobie z końmi.

Cassie zeszywniała.

- Próbował go dosiąć?

- Nie, tylko go oglądał. - Zamilkła i pochwyciła w lustrze wzrok Cassie. - Nie powinnaś tak bardzo przywiązywać się do Kapu. To tylko zwierzę. Nie możesz od niego oczekiwać całkowitej lojalności.

- On jest lojalny. Wie, że należy do mnie.

- Ale on nie będzie... - Urwała i wzruszyła ramionami. - Po co się kłócić? Tylko sobie strzępię język.

Cassie ujęła jej dłoń.

- Bo chcesz mnie ochronić. Nic mi nie będzie, Lani.

- Owszem, będziesz cierpiała. To nieuniknione. - Lani uśmiechnęła się. - Dzięki Bogu masz dość siły, żeby się samodzielnie wyleczyć. To wielki dar. - Uścisnęła dłoń Cassie. - Jak się czujesz? Zjesz kolację?

- Tak. - Zmarszczyła czoło w zamyśleniu. - Czy Klara przygotowuje kolację dla Anglików?

- Oczywiście. Posiłek godny raczej króla niż księcia.

- W takim razie usiądę przy stole.

- Chcesz jeść w ich towarzystwie? Dlaczego?

- Lepiej, żebym nie ukrywała się w pokoju. Przy stole mogę usłyszeć coś przydatnego. Nie można zniszczyć wroga nie znając jego siły. Gdzie są Anglicy?

- Piją koniak na werandzie. - Skrzywiła się. - Ten stryj ciągnie jak gąbka. Szkoda.

- Dlaczego szkoda? Jego słabość nam sprzyja.

- Nie sądzę, żeby był słaby. On jest po prostu... Nie lubię, gdy ktoś się marnuje. Ale masz rację. Każda skaza może nam pomóc. W tym drugim nie dopatrzysz się najmniejszej słabości. - Lani wstała i podeszła do drzwi. - Powiem Klarze, że zjemy z nimi kolację. Jestem pewna, że bardzo się ucieszy.

- Nie, zaczekaj. - Cassie zerwała się z fotela. - Ja jej powiem. Ty idź się przebrać.

- Dlaczego? Mogę do niej wstąpić po drodze do mego pokoju. Ty także musisz się przebrać, a tobie zajmie to więcej czasu, bo nadal jesteś osłabiona.

- Idź się przebrać - powtórzyła Cassie.

Lani przyjrzała się jej z ciekawością.

- Pierwszy raz widzę, żebyś się tak rwała do spotkania z Klarą. O co ci chodzi?

Cassie nie chciała wciągać w swój plan przyjaciółki, ale nie mogła jej również okłamywać. Powtórzyła więc tylko:

- Pójdę do niej.

Lani zawahała się, ale po chwili wyszła z pokoju.

Dobry Boże, czy naprawdę zdoła to zrobić? Musi, nie ma innego wyjścia. Musi odszukać ojca, zanim tu wróci i zostanie schwytyany. Nie mogła uwierzyć, że zaledwie kilka dni temu jej jedynym kłopotem była przytłaczająca opieka Klary. Teraz miała zamiar dokonać czynu, który napełniał ją obrzydzeniem.

Nie myśl o tym. Rób, co do ciebie należy.

Z westchnieniem podeszła do szary.

Jaka miła niespodzianka - rzekł Jared i obaj z Bradfordem wstali od stołu. - Jakim dobrym duchom zawdzięczamy twoją obecność?

- Byłam głodna. - Cassie wkroczyła na werandę. - Zapominacie chyba, że to mój dom. Dlaczego miałabym nie jeść kolacji?

- Zjesz z nami kolację? Wspaniale.

Nie jest to już owa dziewczyna z plaży ani przepełnione pogardą dziecko, które odwiedził w sypialni, pomyślał Jared. Nadal wyglądała dziecinnie, ale teraz sprawiała wrażenie napiętej i skępowanej. Miała na sobie skromną sukienkę z szarego jedwabiu, która sięgała podłogi i ukrywała wszelkie zarysy ciała. Ciemnobrązowe włosy ściągnięte na czubku gło-

wy i upięte w kok zdawały się zbyt ciężkie dla jej szczupłej szyi. Jared poczuł gwałtowne pragnienie, by wyjąć z jej włosów wszystkie spinki i rozpuścić je tak samo, jak owego wieczoru na plaży.

- Nie ma w tym nic dziwnego, Jared. Ona ma rację - rzekł Bradford odsuwając krzesło dla Cassie. - Ale, tak jak powiedziałeś, spotyka nas miła niespodzianka. Obawialiśmy się, że obrażenia zatrzymają cię w pokoju. Siadaj, proszę.

Potrząsnęła głową.

- Przyszłam tu tylko po to, by wam oświadczyć, że nie będę się ukrywać w pokoju jak jakiś winowajca.

- Mimo wszystko usiądź. Musisz oszczędzać siły. - Bradford uśmiechnął się. - Czy mogę ci nalać wina?

- Nie. - Przysiadła na brzeжку krzesła z wyprostowanymi plecami. - I nie muszę oszczędzać sił. Czuję się znacznie lepiej.

- To widać - odparł ciepło Bradford. - Masz na policzkach ładne rumieńce.

Jared zauważył, że rumieniec pogłębił się. Bradford miał rację: miała wypieki, a jej ciemne oczy błyszczały jak w gorąco. Najwyraźniej nie czuła się tak dobrze, jak twierdziła. Dlaczego, u diabła, nie została w pokoju, aby odpocząć?

- Jesteś stryjem? - spytała.

Bradford skinął głową.

- Wybacz mi. Po tej wyprawie w góry czuję się tak, jakbym cię dobrze znał. Nazywam się Bradford Tyndale Danemount.

Przyjrzała mu się.

- Pamiętam cię... tak myślę.

- Bardzo obiecujące. - Rzucił okiem na Jareda. - Widzisz, nawet pozbawione zmysłów kobiety twierdzą, że nie można mnie zapomnieć.

- Chyba rzeczywiście muszą postradać zmysły.

Bradford wzdrygnął się.

- Jakiż okrutny cios. - Zwrócił się do Cassie: - Teraz widzisz, jak ciężko doświadcza mnie los. Wychowałem tego chłopaka od dziecka, a on tylko mnie obraża. Czy przyłączy się do nas również piękna dama, którą spotkałem w stajni? Lani... - Spojrzał pytająco na Cassie.

- Nazywa się Lani Kalnarai. I będzie tu, oczywiście. Głupie pytanie. To także jej dom.

- Tak nam powiedziała.

- Masz wątpliwości? - spytała oburzona. - Czy myślisz, że skoro nie jest żoną mego ojca, on mniej ją szanuje? Lani jest silniejsza, miłsza i mądrzejsza od wszystkich kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałeś. Została wychowana na wyspie, ale to nie oznacza, że nie zna waszego stylu życia. Zawsze dużo czytała i ciągle się uczy, i jest prawdopodobnie lepiej wykształcona od was obydwu.

- Nie chciałem...

- W Anglii nie ma zwyczaju trzymania kochanki w tym samym domu co córki - przerwał mu Jared. Podchwycił wzrok Cassie. - We Francji także nie ma takiego zwyczaju.

- To bez znaczenia. Nie jesteśmy we Francji.

- Twój ojciec jest Francuzem. Jeżeli ma dla tej kobiety tyle szacunku co ty, powinien się z nią ożenić.

Cassie przyjrzała mu się.

- Czy to znaczy, że nie życzysz sobie, aby z nami usiadła do stołu? Cóż, nie będę...

- Tego nie powiedziałem - odparł Jared. - To twój dom i my jesteśmy tylko gośćmi. - Usiadł i sięgnął po szklanke z brandy. - Po prostu broniłem stryja, tak jak ty bronisz swojej przyjaciółki. Nie chciałem nikogo obrazić, a ty od razu stanęłaś w jej obronie. Zastanawiam się dlaczego... - Spojrzał na drzwi. Twoja gospodyni?

Cassie zeszywniała.

- Czy Klara naopowiadała o niej jakichś kłamstw?

- Nie jestem z nią w tak dobrych stosunkach. Czy pani Kidman kłamie?

W pierwszej chwili nie miała zamiaru odpowiadać. Lecz w końcu odparła:

- Klara nienawidzi Lani.

- Wygląda na to, że za resztą świata również nie przepada.

- Lani mówi, że Klara uważa cię za bardzo miłego - rzekła Cassie z goryczą w głosie. - Wcale mnie to nie dziwi.

- Bo obydwójce jesteśmy przepełnieni nienawiścią?

- Tak.

- Więc dlaczego postanowiłaś zjeść ze mną kolację? Nie-miłe towarzystwo nie sprzyja trawieniu.

Te słowa nie przypadły jej do gustu. Zauważył pulsowanie w delikatnym dołku u nasady szyi.

- To mój dom.

- Dlaczego? - powtórzył.

- Nic nie wskóram unikając twego towarzystwa - odparła patrząc mu w oczy.
- Ach, więc to przedsięwzięcie w celach poznawczych.
- Możesz używać nazwy, jaka ci się podoba.
- A może masz zamiar przekonywać mnie, abym porzucił plany względem twego ojca?
- Nie bądź śmieszny. Jak miałabym to zrobić?
- Jej zdziwienie było szczerze. Nie znała się na gierkach prowadzonych przez światowe kobiety. Jared poczuł zakłopotanie i zdał sobie sprawę, że pragnął, aby uciekła się do znanej mu kokieterii. To by mu pozwoliło dostosować się do tej samej gry. Nie, nie pozwoliliby, skarcił się z niesmakiem. Dałoby mu pretekst.
- Tak sobie tylko pomyślałem - bąknął.
- Bardzo głupio - odparła Cassie.
- Bradford roześmiał się.
- Właśnie, gdzie twoja bystrość, Jared?
- Jared zlekceważył tę zaczepkę.
- Dlaczego powiedziałaś, że masz na imię Kanoa?
- To moje imię. Nadała mi je Lani. Powiedziała, że skoro mamy być siostrami, powinnam mieć hawajskie imię.
- Nie o to mi chodzi. Wiedziałaś, że uważam cię za Hawajkę.
- Dlaczego miałabym wyprowadzać cię z błędu? - Uniosła głowę. - A poza tym jestem Hawajką, nawet jeśli nie pochodzę z wysp. To moje miejsce i powinnam mieć tutejsze imię.
- Naprawdę? Zauważyłem, że twoja przyjaciółka Lani rzadko się nim posługuje.
- Cassie zarumieniła się.
- Mamy pewne trudności. Klara mogłaby... nie muszę się tłumaczyć.
- Rozumiem, że nie masz ochoty na powrót do Francji? - wpadł im w słowo Bradford.
- Cóż mnie tam czeka? - spytała z prostotą. - Tutaj mam wszystko.
- Włącznie z bardzo pięknym koniem - rzekł Bradford. - Nie chciałabyś go sprzedać?
- Nigdy. A już na pewno nie wam.
- Nie sądziłem, że zechcesz. Tak tylko spytałem. Nadzwyczajnie właścicielki nie mają kłamek, rzuciła brylantem na wasekale

- Na ustach Cassie pojawił się słaby uśmiešek.
- Muszę przyznać, że doceniam jego właściwy osąd.
- To prawda. Jared ani razu nie spadł z konia, odkąd...
- Co masz zamiar zrobić z ogierem? - przerwał mu Jared. - Trzymać go dla przejażdżek wokół wyspy?
- Cassie zeszywniała, słysząc w jego głosie sarkazm.
- Jeżeli tak zechcę. Czemu nie?
- Bo to wielka strata. Tak wspaniały koń powinien dać początek innym równie wspaniałym.
- Mam zamiar założyć farmę hodowlaną po przeciwnej stronie wyspy.
- Masz dla niego klacz?
- Jeszcze nie. Nie znalazłam nic odpowiedniego.
- Wątpię, czy znajdziesz na wyspie.
- Znalazłam tu Kapu.
- Jedna szansa na tysiąc.
- Przeznaczenie - mruknął Bradford. - Wygląda na to, że los specjalnie upodobał sobie to miejsce.
- Niewystarczająco, by zapewnić partnerkę dla ogiera - rzekł Jared. - A masz dość pieniędzy, by ją kupić?
- Znajdę sposób, aby ją zdobyć.
- Nie znajdziesz klaczy bawiąc się w piasku i snując marzenia - pouczył ją Jared.
- Dlaczego myślisz, że ograniczam się do zabawy i marzeń?
- Ścisnęła oparcie krzesła. - Nic o mnie nie wiesz.
- Jared - odezwał się Bradford zagadkowo i ostrzegawczo zarazem.
- Chryste, pomyślał Jared. Dziewczyna patrzy na niego z niewiścią, lecz jej oczy lśnią łzami. Najwyraźniej brutalnie wkroczył w jej marzenia. Instynktownie wyczuł jej słabość i uderzył.
- Przepraszam. Masz rację, nic o tobie nie wiem.
- Szukałam klaczy - upierała się. - Wychodziłam na spotkanie każdego statku i rozmawiałam z kapitanami. Podróżowałam po innych wyspach. W przyszłym miesiącu miałam się wybrać na Mani, żeby...
- Mówiłem już, że przepraszam - powiedział Jared szorstko. - To nie moja sprawa.
- Nie. Nie twoja. - Wstała i podeszła do drzwi. - Zaraz wróce. Muszę zobaczyć, co zatrzymało Lani.
- Bradford potrząsnął głową.

- Nic nie mów - rzekł Jared.
- Nie muszę, prawda? Zastanawiałem się, czy nadal będziesz jej dokuczał podczas kolacji. Jeśli tak, wolę odejść.

Jared nie odpowiedział.

- Oczywiście nie jestem pewien, czy zechce wrócić do stołu. Niewiele znam kobiet, które zechciałyby się narazić na taką nieprzyjemność.

- Wróci.
- Bardzo jesteś pewny swego.

Był pewien. Pod jej dziecinnym, pełnym wrażliwości sposobem bycia wyczuwał ukrytą siłę. Nie wycofa się. Wysłała tylko na chwilę, bo trafił w jej słaby punkt

- Przyjdzie na kolację.
- A ty będziesz serdecznym i dobrze wychowanym dżentelmenem - rzekł stanowczo Bradford.

Jared przyjrzał mu się zaskoczony.

- Dobry Boże, cóż za galanteria.
- Zdarza mi się.
- Po raz pierwszy.
- Muszę przyznać, że nieczęsto bywam w sytuacji, gdy jest niezbędna. To bardzo kłopotliwe dla łajdaka w moim stylu. - Bradford ziewnął i opadł na oparcie krzesła. - Ale zawsze występuję w obronie źle traktowanych koni i bezbronnych dzieci. Więc jeśli lubisz mnie choć trochę, nie zmuszaj mnie do tego. Zachowuj się należycie, Jared.

- Oczywiście - odparł Jared kpiąco. - Nie chciałbym sprawiać ci przykrości.
- Doskonale. A teraz nalej mi jeszcze.

Cassie opuściła werandę, aby się opanować. Nie powinna tak bardzo przejmować się krytyką Jareda. Przecież nie zależy jej na tym, co o niej pomyśli.

„Nie zdobędziesz klaczy bawiąc się w piasku i marząc.”

Te słowa poruszyły ją do żywego. Czyżby jak dziecko pograżyła się w marzeniach? Próbowała znaleźć klacz, lecz może nie starała się wystarczająco? Czy opieka nad ojcem nie była tylko wymówką? Wydawało jej się, że nie ma powodu do pośpiechu i pozwalała, by czas przeciekał jej między palcami...

„Złe się czujesz? Może powinnaś wrócić do swego pokoju?” - spytała Lani z bardzo zmartwioną miną.

Cassie uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Nic mi nie jest. Wysłałam, żeby poszukać ciebie.
- Byłam w kuchni. Pilnowałam, by Urna nie poparzyła Klary i siłą powstrzymałam ją przed powrotem do wsi. - Skrzywiła się. - To nie było łatwe. Klara jest niezdolna. Z powodu przygotowań dla Anglika zupełnie straciła głowę. Wyrzeka na pogańskich służących i ludzi, którzy przeszkadzają jej w wypełnianiu obowiązków. Najwyraźniej chodziło o ciebie.

- Nie przeszkadzałam jej długo.
- Wystarczająco długo, by ją rozgniewać. - Lani obejrzała się. - Może nie jesteś chora, ale na pewno zdenerwowana. Co ci powiedzieli?

Powinna sobie zdawać sprawę, że nie oszuka Lani.

- Nic ważnego. Czy Klara jest już gotowa?
- Tak. Klara wysłała mnie, żebym poinformowała o tym naszych szacownych gości.

Cassie poczuła, że kurczy się jej żołądek.

- Więc zrobmy to.
- Zaraz. - Lani jeszcze raz przyjrzała się jej twarzy. - Jesteś pewna, że czujesz się dobrze?
- Oczywiście. - Cassie ruszyła na werandę.
- To tylko kolacja. Zanim się obejrzymy, już będzie po wszystkim.

Był to posiłek pełen napięcia. Zdawało się, że trwa bez końca. Cassie i Lani nie miały ochoty na rozmowę. Jared był niewiarygodnie uprzejmy, lecz chłodny i daleki niczym Gwiazda Polarna. Bradford układnie starał się podtrzymać rozmowę, ale po kilku nieudanych wysiłkach całkowicie zajął się jedzeniem.

Uma sprzątała stół po głównym daniu i do jadalni wkroczyła Klara Kidman.

- Mam nadzieję, że Wasza Wysokość aprobeje posiłek.
- Cassie spojrzała na nią zdumiona. Po raz pierwszy widziała Klarę w obecności Danemounta i jej służalczość całkowicie ją zaskoczyła.

- Przepyszny. - Jared uśmiechnął się. - Czegoś równie smacznego nie jadłem, odkąd opuściłem Londyn. Ale spodziewałem się tego. Gdy ujrzałem panią po raz pierwszy, od razu wiedziałem, że trzyma pani tutejsze gospodarstwo żelazną ręką

Na policzkach Klary pojawiły się słabe rumieńce.

- Wiem, że przywykł pan do czegoś innego, ale zrobiłam, co mogłam, mając do pomocy tylko tutejszych pogan.

- Uma nie jest poganką - spokojnie oświadczyła Lani. - Uczyła się razem ze mną w szkole pani Densworth.

Klara pochwyliła jej wzrok.

- Trzeba czegoś więcej niż kilku lekcji, by uczynić ze świńskiego ucha jedwabną torebkę.

- Ma pani dobrą kucharkę - szybko wtrącił Jared. - Ale jestem pewien, że wszystko tak dobrze się udało wyłącznie dzięki pani doskonałemu nadzorowi.

- Główne danie wypadło nieźle - stwierdziła niechętnie Klara. - Ale przygotowania deseru nie mogłam powierzyć nikomu innemu. Zrobiłam go osobiście. Zaraz przyniosę.

- Dziękuję. Rzadko jadam desery.

Klara zmarszczyła czoło okazując rozczarowanie.

- To krem śmietankowy z winem cytrynowym według mego własnego przepisu.

Cassie uniosła brwi udając zaskoczenie.

- Może on wolałby raczej jakieś tutejsze, pogańskie danie, Klaro.

Na widok wyzywającego spojrzenia Cassie, Jared przygryzł wargi.

- Bzdura. - Zwrócił się do Klary z uśmiechem. - Z przyjemnością spróbuję pani kremu.

Klara rzuciła Cassie triumfalne spojrzenie i w pośpiechu opuściła jadalnię.

- Czarująca kobieta - rzekł Bradford spoglądając na drzwi, za którymi zniknęła Klara. - Mam prawie komplementy tej wiedźmie za jej frykasy?

- I to z wielkim entuzjazmem - odparł Jared. - Może nam się okazać wielce przydatna.

Bradford przeniósł wzrok na Lani.

- Nie przejdą mi przez gardło, Jared. Ty ją pochwal.

- Dlatego, że mnie obraziła? - spytała chłodno Lani. - Nie sprawiła mi przykrości. Przywykłam do jej jadowego języka.

- I Deville to toleruje?

- Klara nie pozwala sobie na to w jego obecności.

- A wie o tym? - Badał ostrożnie Bradford. - Oto jest pytanie. Pani wzruszyła ramionami.

- Po cóż miałabym zawracać mu głowę czymś, czego i tak nie da się zmienić?

- Jest tu tylko służąca - wypalił gwałtownie Jared. - Gdyby Deville chciał, mógłby to zmienić. Dlaczego pani go broni? Dlaczego obydwie go bronicie? - zwrócił się do Cassie.

- Oto deser! - rzekła Klara. Za nią podążała niosąca tacę Uma. - Założę się, że nie znajdzie pan nic smaczniejszego nawet w Brighton. Krem ma delikatny, cierpki posmak.

Jared oderwał wzrok od Cassie i spojrzał na tacę.

- Z pewnością ma pani rację - mruknął. - Na tej wyspie wiele rzeczy ma cierpki smak.

- A czego się spodziewałeś? - rzuciła Cassie.

- Niczego się nie spodziewam. - Jared zanurzył łyżkę w kremie i spróbował odrobinę. - Doskonały. - Uśmiechnął się do Klary.

- Mówiłam panu - odparła rozpromieniona. - Przepis dostałam od matki. Była kucharką u hrabiego Belkarn.

Cassie doznała nowego wstrząsu. Klara nigdy przedtem nie opowiadała o swojej rodzinie.

- Nie wiedziałam - rzekła zdziwiona.

Uśmiech Klary przygasał. Przybrała czujny wyraz twarzy.

- Sądysz, że twoja matka przyjęłaby mnie do swego domu bez odpowiednich referencji? Wyrosłam wśród służby.

- Cudowny - pochwalił Jared i spojrzał znacząco na Bradforda. - Musisz spróbować. Jest wyśmienity.

Bradford zawahał się, a potem wzruszył ramionami i wziął się do deseru.

Klara spojrzała na niego wyczekująco.

- Bardzo dobre - rzekł beznamiętnie. Spojrzał na nietkniętą porcję Cassie. - Nie jest?

- Ona i Lani nie lubią mojej kuchni - wyjaśniła Klara. - I nie są wystarczająco dobrze wychowane, by udawać, że im smakuje.

- Ostatnio przywykłyśmy raczej do tutejszej kuchni - powiedziała Cassie. - Rzadko zaszczycasz nas swymi wytworami.

- Bez wątplenia zauważyliście jej ubolewania godny brak kindersztuby. Robiłam, co mogłam, lecz bezskutecznie. Powtarzam jej ojcu, że powinien ją odesłać do klasztoru w Anglii.

- Interesujące rozwiązanie - stwierdził Jared. - Ale nie uważam go za odpowiednie.

- Ojciec nie chce wysyłać mnie z domu. Chce, żebym była blisko niego. - Cassie spojrzała na Jareda wzrokiem pełnym nienawiści. - Kocha mnie równie mocno, jak ja jego.

Jared uśmiechnął się lodowato.

- Wkrótce się przekonamy.

Cassie zrozumiała, że Jared oczekuje jego nadejścia. Przebiegł ją dreszcz. Musi temu zapobiec. Nie może pozwolić na schwytanie ojca.

- Jeszcze trochę kremu? - spytała Klara nachylając się nad Jaredem.

Cassie wstrzymała oddech.

Jared potrząsnął głową i odstawił talerz.

- To zbyt niebezpieczne. Obawiam się, że po powrocie do Europy stałbym się zanadto wybredny.

Cassie odzyskała oddech i poderwała się.

- Wracam do swego pokoju. Nagle poczułam się osłabiona. Lani, czy możesz mi pomóc?

- Oczywiście. - Lani wstała od stołu i ruszyła razem z Cassie w stronę drzwi.

Obaj mężczyźni również zerwali się od stołu.

- Dobrej nocy - rzekł Bradford. - Przyjemnych snów.

Jared lekko się skłonił.

Cassie zwróciła się do Klary:

- Może podasz naszym gościom brandy? Podobało im się na naszej werandzie.

- Nie potrzebuję twoich rad. I tak bym to zrobiła.

- Oczywiście - mruknęła Cassie i szybko wyszła z jadalni.

Lani dogoniła ją przy schodach.

- Co się dzieje? I nie próbuj mi wmawiać, że nic. Widzę, że cała drżysz. Nie urządziłabyś takiego wieczoru bez wyraźnego powodu.

- Chodź! - Cassie wciągnęła ją do swego pokoju i zamknęła drzwi. Odetchnęła głęboko i rzekła: - Potrzebuję twojej pomocy.

- Dlatego tu jestem. I z pewnością nie po to, aby pomóc ci kłaść się do łóżka. Wybierasz się do ojca?

- Mogłabyś zająć dwóch marynarzy pilnujących domu?

- Wystarczającą dawkę czego?

- Laudanum. Laudanum, które zostało po mojej ostatniej chorobie. Pamiętasz? Znalazłam je w apteczce w mojej szafie.

Oczy Lani stały się ogromne.

- Matko Boska!

- Wsypałam je do kremu cytrynowego, kiedy rozmawiałam z Klarą w kuchni. Wiem, że nie jadasz kremu i miałam nadzieję, że smak cytryny zagłuszy goryczkę lekarstwa.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie wiedziałam, ile laudanum wsypać. Wydawało mi się, że pamiętam, ile mi dawał lekarz, ale nie miałam pewności. Bałam się... - Przerwała nie chcąc wypowiadać straszliwych słów.

- Że ich zabijesz?

Cassie zdrżała.

- Musiałam spróbować.

- Ale nie chciałaś mnie do tego mieszać. - Lani potrząsnęła głową. - Nie powinnaś była tego robić. Znalazłybyśmy inny sposób.

- Nie było czasu. A jeśli tatuś przyjdzie dziś w nocy?

Lani wzruszyła ramionami.

- Teraz już nic się nie da zrobić. Zajmę jakoś marynarzy, a ty idź do ojca.

Cassie wzięła szal.

- Lani...

Lani uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Wiem. Nic się nie martw. Będę czuwać nad Anglikami i dopilnuję, by nie zasnęły zbyt głęboko.

Cassie poczuła ulgę.

- Wiem, że są wrogami taty, ale i tak nie życzę im śmierci. Nikomu nie życzę śmierci.

- Więc idź do ojca i powiedz mu, żeby się ukrywał, dopóki Anglik nie opuści wyspy.

- Dobrze. - Cassie szybko uściskała Lani. - Wrócę, zanim się obudzą. Nie zostawię cię samej na pastwę ich gniewu. - Tyle lat znosiłam gniew Klary, że ci Anglicy nie stanowią najmniejszego problemu.

Lani otworzyła drzwi i rozejrzała się, a potem popchnęła Cassie w stronę werandy.

- Pozdrów Charlesa ode mnie i powiedz mu... Nieważne. Tym razem sam musi podjąć decyzję.

- Jaką decyzję?

- Tym razem nie możemy działać za niego, Kanoa. Nad-
szedł czas, w którym Charles jako mężczyzna musi dojść do
ładu z samym sobą.

Cassie spojrzała na nią zaintrygowana. Zawsze chroniły
ojca na wszelkie możliwe sposoby, a teraz Lani mówi, że to się
skończyło. Cóż, może dla Lani, ale nie dla niej.

Cassie zebrała się na odwagę i ruszyła powoli w stronę
werandy. Bała się, co tam zastanie. Jeśli dawka była zbyt
mała, jej plany spełzną na niczym. Jeśli zbyt duża... Nie, nie
chciała nawet myśleć na ten temat.

Zatrzymała się w drzwiach. Obaj mężczyźni zapadli się
w fotelach. Spali? Dobry Boże, w ogóle się nie ruszali. Może
już nie żyli?

Podeszła do Jareda. Nie, nadal oddychał.

Nagle otworzył oczy i spojrzał jej prosto w twarz. Zastygła
przerażona. Jego oczy były lodowato niebieskie, zimne jak
wymierzone w nią ostrze szabli.

- Luk... recja - wymamrotał. - Ależ ze mnie... głupiec...

Zamknął powieki.

Cassie szybko odeszła. Bała się, że Jared obudzi się ponow-
nie i utkwii w niej oskarżycielski wzrok. Nie powinna oskar-
żać się o zdradę. Był wrogiem, a ona zrobiła to, co mogła.

Zbiegła po stopniach z werandy i ruszyła ścieżką w dół
wzgórza.

4

Cassandro!

Zatrzymała się gwałtownie. Serce waliło jej z przerażenia

- Nie!

Ojciec wyszedł jej naprzeciw.

- Nic ci nie jest, Cassandro? Lakoa powiedział, że się prze-
wróciłaś.

- Nic groźnego. Tylko uderzenie w głowę. - Obejrzała się. -
Nie powinieneś być tu przychodzić.

- Byłaś ranna - odparł z prostotą. - Musiałem przyjść.

- Anglik jest w domu.

- Wiem.

Cassie wciągnęła go między krzewy rosnące wzdłuż ścieżki.

- Musisz odejść. Wracaj do wioski.

- Nie mogę. Nie mogę się dłużej ukrywać. Jedenaście lat
tchórzostwa to wystarczająco wiele.

- Nie jesteś tchórzem. Unikanie szaleńca, który chce cię
zabić, nie świadczy o tchórzostwie.

- To nie szaleniec. On tylko chce, aby sprawiedliwości
stało się zadość. - Obejrzał się na dom. - Jak bardzo mnie
nienawidzi?

Cassie zadrżała na wspomnienie lodowatych oczu Dane-
mounta.

- Musisz stąd odejść.

- Aż tak bardzo?

Cassie ujęła ojca za ramię i pociągnęła przez krzaki do
drogi.

- Powinniśmy opuścić wyspę. Chciałabym pojechać na Ma-
ni i spędzić tam jakiś czas. by poszukać kłaczki dla Kapu. A ty

masz już chyba dosyć malowania tego wulkanu. Mógłbyś tam popłynąć pierwszy i poszukać miejsca dla nas obydwójga.

- Masz na myśli kryjówkę?
- Tymczasową. Wrócimy, gdy Danemount odpłynie.
- Wierzysz, że zrezygnuje? Czemu myślisz, że nie popłynie za nami na Mani?

Cassie zdawała sobie sprawę równie dobrze jak ojciec, że Anglik pośpieszy za nimi.

- Są jeszcze inne wyspy.
- Nie dla mnie. - Zamilkł, a gdy dotarli do drogi, odwrócił się do córki. - Dużo czasu spędziłaś z chłopcem?

Cassie zmarszczyła czoło.

- Z chłopcem?
- Z Danemountem. - Wzruszył ramionami. - Ciągłe go pamiętam jako chłopca. Trudno mi się przyzwyczaić, że to mężczyzna. Ale już jako chłopiec był tres *formidable*. Czy nadal jest taki?

Cassie pomyślała, że to doskonałe określenie dla Jareda Danemounta.

- Tak.
- A czy jest sprawiedliwy? Nazwałabyś go sprawiedliwym?
- Nie. On chce cię zabić.
- Ale w sprawach nie mających związku ze mną?
- Tak. Przypuszczam, że jest sprawiedliwy - odparła niecierpliwie. - Dlaczego zadajesz mi takie pytania?
- Bo muszę mieć pewność, że ty i Lani będziecie bezpieczne, gdy ja powrócę do Francji. Człowiek sprawiedliwy nie mści się na niewinnych.

Cassie osłupiała.

- Do Francji?
- Po drugiej stronie wyspy stoi amerykański statek, który dziś o północy ma odpłynąć do Bostonu. Król załatwił mi podróż i dał mi środki na przeprawę z Bostonu do Paryża. Obiecał mi też, że zadba o ciebie do mojego powrotu. - Dodał zakłopotany: - Sprawia wrażenie zadowolonego, że może się mnie pozbyć. Moje zniknięcie najwyraźniej rozwiązuje jakieś jego problemy dyplomatyczne.

Do Cassie dotarły jedynie jego pierwsze słowa.

- Dlaczego do Francji? - spytała.
- Muszę odnieść do Raoula Cambre'a i Miasznodeirzewałem.

Ostatnio dużo nad tym myślałem. Wydawało mi się, że Raoul jest moim przyjacielem, ale bez jego pomocy Danemount nie odnalazłby mnie. Wszelkie ślady w Marsylii zatarłem bardzo starannie.

- Sądzisz, że Cambre cię zdradził?
- Nie wiem. Muszę to wyjaśnić. Tylko Raoul wiedział, że płynę na Tahiti. - Zamyślił się. - Nie, to nieprawda. Mógł powiedzieć Jacques-Louisowi Davidowi.
- Kto to taki?
- Artysta... Tak, mógł powiedzieć Jacques-Louisowi. Przyjaźnili się.
- Czy to ważne? Teraz to już przeszłość.
- Nie dla mnie. - Spojrzał w stronę chaty. - I nie dla niego.
- Powinieneś więc zapomnieć o Raoulu i starać się uciec przed Danemountem.
- Zmęczyło mnie już ciągłe ukrywanie się. Ty także musisz wyjść z ukrycia. Powinnaś wrócić do Paryża, bywać na balach, przebywać w otoczeniu młodych mężczyzn, którzy by się do ciebie zalecali.

- Ja nie żyję w ukryciu. Mnie się tutaj podoba. Nie wiedziałabym, co począć na balu.

- Otóż to. - Pogłaskał ją po policzku. - *Pauore petite*, obawiam się, że wyświadczyłem ci złą przysługę. Klara ma rację, to nie jest życie dla ciebie.

Dlaczego on mówi o balach w chwili, gdy chodzi o znacznie więcej?

- Jedź na Mani - rzekła z rozpaczą. - Wcale nie musisz szukać tego Cambre'a.

- Muszę. Od tego zależy moje życie. Jeżeli przekonam się, że Cambre posłużył się mną dla własnych celów, bez wahania wydam go Danemountowi. Choć Bóg jeden wie, że po tym, co się zdarzyło w Danjuet, jego jedno życie to za mało.

- O czym ty mówisz? Danjuet?

Potrząsnęła głową.

- Nie teraz. Muszę już iść, bo kapitan odpłynie beze mnie.

- Poczekaj! - Chwyciła go za ramię. - Co zrobisz, jeśli odnajdziesz Cambre'a?

- Mówiłem ci, oddam go Danemountowi.

- Oszalałeś? On nie da się zamordować Anglikowi. - Cassie zadrżała na wspomnienie gwałtownych oczu Cambre'a. - On cię skrzywdzi.

- Być może. A może on też ma już dosyć ukrywania się? - Pochylił się i pocałował Cassie w czoło. - Trzymaj się, Cassandro. Opiekuj się Lani.

- Jeśli odpływasz, chcę ruszyć z tobą.

- Żeby mnie bronić przed Raulem? - Potrząsnął głową. -

Tym razem to niemożliwe.

- Ale ja jestem ci potrzebna.

- To zbyt niebezpieczne. Raoul zawsze był sprytny. Dotychczas nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo. Jestem pewien, że za rządów Napoleona odzyskał swoje dawne wpływy.

- To jeszcze jeden powód, żebym jechała z tobą. - Odwróciła się i spojrzała na dom na wzgórzu. - Poczekaj tutaj. Po-wiem tylko Lani, że...

- Nie, Cassandro. - Jego głos zabrzmiał przerażająco zdecydowanie.

- Jeśli mnie tu zostawisz, pójdę za tobą aż na statek! - zawołała za nim.

- A ja powiem kapitanowi, żeby cię nie wpuścił na pokład! - odkrzyknął i ruszył przed siebie. - Nie martw się o mnie - dodał odwracając się. - Nic mi się nie stanie, *ma chou*. Wróć, zanim spozrzeżesz, że wyjechałem.

- Tatusiu!

Nie obejrzał się więcej.

Cassie spoglądała za nim zaciskając pięści. Dlaczego jej nie słuchał? Nigdy nie był tak stanowczy. Dotychczas zawsze udawało jej się zmienić zapatrywania ojca, ale teraz, w sprawie życia i śmierci, pozostał niewzruszony. Czy powinna iść za nim na statek? Nie, byłaby to tylko strata czasu. Ale przecież nie może mu pozwolić, by sam stawał przeciw temu wężowi. Ojciec był marzycielem, a kogoś takiego łatwo oszukać. Myśliwy łatwo może zmienić się w zdobywcę.

Cassie poczekała, aż zniknął jej z oczu, i z ciężkim sercem ruszyła z powrotem do domu. Nie chciała, by ojciec wychodził na spotkanie niebezpieczeństwa, lecz nie widziała sposobu, by temu zapobiec. Musi się zastanowić. A na razie trzeba dopilnować, żeby Danemount nie przeszkodził ojcu w odjeździe. Cambre stanowił odległe niebezpieczeństwo, Anglik zaś był tuż obok.

Lani siedziała na werandzie. Widząc Cassie zerwała się niespokojnie.

- Spotkałam tatusia. - Spojrzała na Anglików. Lani przykryła ich pledami, a pod głowy wsunęła im poduszki. Nie sprawiali wrażenia chorych, tylko spokojnie śpiących.

- Nic im nie jest? Laudanum...

- Nie nasypałaś za dużo - zapewniła ją Lani. - Śpią bardzo lekko. Bałam się nawet, że oprzytomnieją, zanim wrócisz, i wyruszą do wioski.

- Naprawdę? - Cassie zmarszczyła brwi. - Nie możemy ich wypuścić. Tatuś odpływa o północy do Francji.

Lani nie wyglądała na zaskoczoną.

- W takim razie masz rację, musimy dopilnować, by zdołał wsiąść na statek.

Cassie zdała sobie nagle sprawę, że Lani może być przykro. Tatuś nawet nie spróbował się z nią pożegnać.

- Bardzo się śpieszył. Wróci, jak tylko będzie mógł. Musi znaleźć człowieka, który...

- Cii. - Lani uśmiechnęła się. - Nie musisz go przede mną bronić. Wiem, że bez powodu by mnie nie opuścił. To dobry człowiek i stara się dać mi szczęście.

Cassie poczuła ulgę. Pewnie, że nie opuściłby Lani. Do tej chwili nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo zakłopotaly ją słowa Danemounta. Ona sama nigdy nie byłaby tak tolerancyjna jak Lani.

- Postarał się, by Kamehameha opiekował się nami.

- Obejdziemy się bez jego opieki - odparła Lani. - Prawda?

- Ale nie pozwolił mi jechać. A Francja jest tak daleko. Czekają nas ciężkie chwile.

- Jakoś sobie poradzimy. Pójdę powiedzieć starej, że Anglicy zasnęli na werandzie i nie trzeba im przeszkadzać. Mamy szczęście, że chce im się przypodobać, dzięki temu może mnie posłucha. Gdy wrócę, będziemy ich pilnować na zmianę.

- Nie, popilnuję ich sama. Ty zostań z Klarą i nie pozwól jej wyjść na werandę.

Danemount poruszył się nagle, ale nie otworzył oczu.

Cassie zeszytniała. No, dzięki Bogu śpi dalej. Nie była przygotowana na to, by stawić mu czoło.

- Lani, czy mogłabyś pójść do stajni i przynieść jakąś linę?

Lani skinęła głową ze zrozumieniem.

- Świetny pomysł. Zobaczę, czy uda mi się przemknąć obok straży w ogrodzie.

Lani odeszła, a Cassie usiadła i przyjrzała się twarzy Dane-mounta. Nawet we śnie wyglądał na czujnego i niebezpiecznego. Jaki będzie, gdy się obudzi?

Odchyliła głowę na oparcie i próbowała się odprężyć. Anglik niedługo się ocknie.

Danemount poruszył się jeszcze trzy razy. Cassie za każdym razem drętwiała z przerażenia. O trzeciej nad ranem obudził się na dobre.

- Mój Boże, otrułaś mnie - powiedział.
- Nie - odparła szybko. - Dałam ci tylko lekarstwo.
- Tylko?
- Musiałam.
- Lukrecja Borgia po użyciu zatrutego pierścienia na pewno powiedziała to samo.

Lukrecja. O to mu chodziło, gdy poprzednio wypowiedział to słowo.

- Lani mówi, że istnieją wątpliwości, czy Lukrecja Borgia rzeczywiście posługiwała się trucizną. Natomiast ja z pewnością tego nie zrobiłam. Dodałam tylko odrobinę laudanum do deseru. Chciałam, żebyście zasnęli.

- Laudanum? To może być niebezpieczne. Skąd wiedziałas, ile można nam podać?
- Nie wiedziałam. Po prostu zaryzykowałam.
- Powiniennem się cieszyć, że żyję - powiedział słabym głosem. Spojrzał na wciąż uśpionego Bradforda. - A on żyje?
- Oczywiście że żyje. Wkrótce się obudzi.
- Lepiej, żeby się obudził. W przeciwnym razie ty także zaśniesz snem wiecznym.

Ależ był rozgniewany. Jego głos brzmiał spokojnie, niemal aksamitnie, twarz pozostała bez wyrazu, lecz Cassie wyraźnie wyczuwała wewnętrzną lodowatą wściekłość.

- Pogrożki na nic się tu nie zdadzą. I tak się nie boję.
- A powinnaś. Gdybyś znała moje... Cóż to, do diabła? - Spróbował usiąść i zauważył, że ma spętane nadgarstki. - Związałaś mnie!

Teraz nie panował już nad wściekłością. Cassie próbowała udawać, że się go nie boi.

Tak. Nadgarstki i kostki. 80k świnię na pieczeń. Borgia na 1200. Kiedy spodziewa się pani oca: madame

- Nie... - Urwała i odetchnęła głęboko. - Mój ojciec nigdy by nie zabił bezbronного człowieka.

- Podobnie jak jego córka, która podaje lek nie mając o nim pojęcia.

- A ty trzymałbyś się na uboczu i pozwolił schwytać ukochaną osobę?

- Próbowałbym znaleźć... - Potrząsnął głową ze znużeniem.

- Nie, przypuszczam, że zrobiłbym to samo.

Uczciwość Jareda wytrąciła Cassie z równowagi. Jej gniew nieco przycichł.

- Uważałam, żeby nie przedobrzyć z laudanum - powiedziała pośpiesznie.

- Bardzo pocieszające. Nie odpowiedziałas mi. Kiedy spodziewasz się ojca?

- Nie spodziewam się go. Już go widziałam. - Przerwała. - A teraz opuścił już wyspę.

- Spodziewasz się, że w to uwierzę?

- Nie, prawdopodobnie pójdziesz do Kamehamehy, będziesz wypytywał wyspiarzy i stracisz na to mnóstwo czasu. Na nic ci się to nie zda. Kamehameha chciał, aby mój ojciec był bezpieczny, i odesłał go stąd.

Jared przyjrzał się jej.

- Wierzę, że nie kłamiesz. Ale dlaczego miałabyś mi powiedzieć, że już go tu nie ma? Gdybym go szukał na wyspie, miałby większe fory.

- Bo nie chcę, by miał większe fory.

- Chcesz ze mną współpracować?

- Chciałam, żeby odpłynął na Mani, ale mnie nie posłuchał. Dziś o północy odpłynął do Bostonu. Stamtąd uda się do Francji.

- Naprawdę? Dlaczego to zrobić?

- Raoul Cambre.

- Ach tak. Swoją drogą. Będzie błagał o pomoc swego druha spiskowca.

- Ojciec nie jest podobny do tamtego człowieka - odparła gniewnie. - I nie szuka jego pomocy. Pojechał przekonać się, czy go dobrze osądził. Chce się dowiedzieć, czy... - Urwała widząc jego sceptyczną minę. Nigdy jej się nie uda przekonać go o tym, w co nie chce uwierzyć. - Cóż za różnica, po co pojechał? I tak nic cię to nie obchodzi.

- Ale obchodzi mnie, gdzie się ukrywa. Dokąd się uda we Francji?

- Nie wiem.
- Ale masz podejrzenia.
- Może tak. - Z czasów dawnego spotkania z Cambre'em pamiętała bardzo niewiele. Znała tylko jedno nazwisko. Jacques-Louis David. Nie była nawet pewna, czy ów artysta jeszcze żyje. - A może nie.
- Teraz zasadnicze pytanie. Dlaczego mówisz mi to wszystko?
- Bo nie mogę znieść myśli, że tracisz czas tutaj, podczas gdy moglibyśmy już być w drodze do Francji.
- Milczał przez chwilę. „My?”
- Oddechnęła głęboko i rzekła pośpiesznie:
- Jadę z tobą.
- Wyraz jego twarzy nie zmienił się.
- Nie wydaje mi się, że byś była mile widziana. Niby dlaczego miałbym cię wziąć ze sobą?
- Wiedziała, że o to zapyta. Miała przygotowaną odpowiedź.
- Z tego samego powodu, dla którego trzymałeś mnie tutaj jako przynętę. Będę zakładnikiem, który sprowadzi do ciebie mego ojca.
- Proszę, ależ się zmieniłaś. Zgadzasz się zostać przynętą?
- Nie, ucieknę przy najbliższej okazji. Mówię ci tylko, jakie będziesz miał korzyści, jeżeli zabierzesz mnie ze sobą.
- Rozumiem - odparł z uśmiechem. - Chcesz się mną posłużyć, a potem uciec.
- Skinęła głową.
- Statki zawijają tu rzadko i może upłynąć wiele miesięcy, zanim uda mi się wyruszyć za ojcem do Francji.
- I dlaczegoż to chcesz za nim wyruszyć?
- Żeby nikt go nie skrzywdził. Nie ufam Cambre'owi.
- Ani mnie.
- Pewnie że nie.
- A więc zamierzasz bronić go przed nami. Nie uda ci się.
- Uda.
- Rozwiąż mnie, to o tym porozmawiamy.
- Potrząsnęła głową.
- Dlaczego nie? - zapytał łagodnie. - Jeśli twój ojciec rzeczywiście opuścił wyspę, nie boisz się niczego obawiać się jej? - dodał, patrząc na nią z nadzieją, że ona będzie pewna.

- O świcie - powtórzyła.
- Na Boga. Teraz. - Nie będę... - Urwał widząc zacięty wyraz twarzy Cassie. - Zacznę krzyczeć i sprowadzę straż z ogrodu.
- A ja ci przyłożę poduszkę do twarzy i stłumię wszelkie krzyki. Nie chcę tego robić, ale jeśli mnie do tego zmusisz... - dodała z rozpaczą.
- Wygląda na to, że straszny ze mnie łajdak. Najpierw zmusiłem cię, żebyś mnie otruła, a teraz zmuszam cię, żebyś mnie udusiła.
- Nie udusiła, tylko uciszyła. I nie otruła, tylko... A zresztą jesteś łajdakiem.
- Mogę nim być. - Opadł na poduszkę. - Nie masz nawet pojęcia o rozmiarach mego łajdactwa. Ale mam nadzieję, że jeszcze się przekonasz.
- Weźmiesz mnie ze sobą?
- O, tak. - Jego niebieskie oczy załśniły bezlitośnie w świetle księżyca. - Skoro Deville jest w drodze do Francji, bezwzględnie potrzebuję zakładnika.
- Powiedziałałam prawdę.
- A może znów mnie od niego odciągasz, jak wczoraj w górach?
- Westchnęła z rezygnacją.
- Widzę, że będziesz tracił czas na przepytywanie wyspiarzy.
- Wybacz mi podejrzliwość, ale szaleństwem jest ufać kobiecie, która już raz wyprowadziła mnie w pole, otruła mnie, a teraz grozi mi uduszeniem.
- Sądzę, że masz rację.
- Spojrzał na nią zdumiony, a potem roześmiał się.
- Sądzisz? - Spojrzał na krępujące go więzy i jego uśmiech znikł. - Zapamiętam to sobie. Zemsta jest dla mnie sprawą najwyższej wagi.
- Oblizał wargi.
- Wiem o tym.
- Będę tu teraz siedział i wpatrywał się w więzy. - Spojrzał jej w oczy. - I rozmyślał o wszelkich sposobach, za pomocą których mężczyzna może uczynić kobietę bezsilną. A znam ich wiele, Cassie. Czy mam wymienić kilka z nich?
- Nie. - Poczuli, że palają policzki.
- Wolisz niespodzianki?

Nie odpowiedziała.

- Bardzo nierozważnie, że chcesz ze mną jechać. Nie mam najmniejszego zamiaru okazywać ci szacunku. Rozumiesz?
- Nie mam wyboru. Muszę z tobą jechać.
- Rozumiesz? - pytał z uporem.
- Nie jestem głupia. Masz zamiar dobrać się do mnie.
- Przy najbliższej okazji.
- Bo chcesz mnie ukarać.
- Częściowo. - Spojrzał na jej piersi. - A także dlatego, że od czasu naszego spotkania na plaży cały czas zastanawiam się, jak ciasno będzie mi w tobie.

Cassie poczuła, że mięśnie jej brzucha napinają się. Na chwilę straciła mowę.

Jared popatrzył na spętane nadgarstki.

- Lepiej mnie rozwiąż. Rozgniewałaś mnie i zapamiętam to sobie, Cassie. Będę pamiętał, jak bardzo czułem się bezsilny i zły.

- Nie rozwiążę cię - odparła patrząc mu w oczy. - Aż do świtu.

- Jak sobie życzysz. - Zamknął oczy. - Ale wierz mi, pożałujesz tego.

Cisza. Tylko nocne odgłosy ptaków. Wydawało się, że Jared znów zasnął. Trudno uwierzyć, że potrafił się odprężyć, podczas gdy ona jest tak napięta, że niemalże rozpada się na kawałki.

- On nie jest tego wart, sama wiesz.

Cassie drgnęła zaskoczona. Jared uniósł powieki i odsłonił swoje zimne oczy. Jak mogła uwierzyć, że zasnął? On tylko zbierał siły przed następną próbą.

- To tchórz i morderca - dodał szorstko. - Zapomnij o nim. Zostań tutaj, w tym tropikalnym raj, i hoduj swoje cholerne konie.

- On nie jest mordercą. Nie popełniłby zbrodni.

- Nie własnymi rękoma. Mówiłem ci, że to tchórz. Judasz. Ile srebrników za to dostał, Cassie?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- O Danjuet. A o cóż innego? Dlaczego on... - Umilkł spostrzegłszy wyraz jej twarzy. - Mój Boże, ty o niczym nie wiesz. Nie powiedział ci.

- Jestem pewna, że nie miał mi nic do powiedzenia.

- Jezu, nic ci nie powiedział. - Roześmiał się z niedowier-

zaniem. - Pozwolił, abyś narażała dla niego życie i nawet nie powiedział ci dlaczego.

- Powiedziałby mi, ale to nie był odpowiedni moment.

- Minęło czternaście lat.

- Chciał zostawić wszystko poza sobą. Ale nie dlatego, że zrobił coś złego.

- Sama w to nie wierzysz.

„Wola nieba.” Próbowała usunąć z pamięci słowa ojca. Nie wierzyła, że mógł popełnić prawdziwy grzech.

- To niemożliwe. On jest miły i łagodny.

- Judasz.

- Nie!

- Widziałem go. - Jego głos zabrzmiał bezlitośnie. - Wiem.

- Mylisz się.

- Jak możesz tak twierdzić, skoro nic nie wiesz o Danjuet? Mam ci opowiedzieć?

- I tak bym ci nie uwierzyła. Naopowiadasz mi kłamstw.

- Ja nie kłamię. - Uśmiechnął się krzywo. - I w przeciwieństwie do twego ukochanego tatusia uważam, że powinnaś dowiedzieć się prawdy o człowieku, którego tak bronisz.

„Czy to prawy człowiek?” - zapytał ojciec.

Powiedziała, że tak, lecz nie dodała, że jest też bezwzględny.

- Boisz się usłyszeć prawdę?

- Twoją prawdę.

- Sama osądzisz. Danjuet to posiadłość kuzyna mego ojca, Paula Brasniera, księcia Talaisar, i jego żony, Gabrielle. Za czasów owego szaleństwa, gdy przy lada okazji mordowano arystokratów, książę chciał pozostać w kraju i myślał, że zanim dojdzie do niego, rzeź się skończy. Dwa lata wcześniej jego żona urodziła dziecko i bała się, że jest ono zbyt słabe, by podróżować. Mój ojciec zdecydował się pojechać do Francji, aby przekonać ich do ucieczki, zanim będzie zbyt późno. Przybyliśmy do Danjuet w nocy, akurat gdy sąsiednia posiadłość została doszczętnie spalona, a jej skutki łańcuchami właściciel zabrany do Paryża na egzekucję. - Uśmiechnął się sardonicznie. - To wystarczyło, by otrzeźwić nawet kogoś takiego jak kuzyn Paul. Zgodził się, by mój ojciec zorganizował przejazd jego rodziny. Przed opuszczeniem Anglii mój ojciec zdobył nazwisko i adres młodego artysty, który przed rokiem pomógł w zorganizowaniu ucieczki innej rodziny. Był to Charles Deville.

Posłał po niego. Ukrywaliśmy się w małym, sekretnym po-

mieszczeniu w lochach zamku. Przybył Deville. Zgodził się pomóc. Ojcu udało się zdobyć statek, który czekał zacumowany w przystani, ale musieliśmy się do niego jakoś dostać. Minęły dwa tygodnie, zanim Deville skompletował fałszywe dokumenty, a potem jeszcze dwa dni, na przygotowaniu straży granicznej. Wreszcie byliśmy gotowi do drogi. - Zamilkł na dłuższą chwilę. - Pamiętam, że gdy patrzyłem na Deville'a z okna powozu, sprawiał wrażenie bardzo ponurego. Sądziłem, że to z troski o nas. Twój ojciec był niesłychanie czarujący. Nikt z nas nie podejrzewał go o łajdactwo.

- On nie jest łajdakiem.

- Nie? Trudno byłoby ci przekonać o tym mego kuzyna i jego żonę, gdy klęczeli przed gilotyną. Powóz został zatrzymany niecałe dwadzieścia kilometrów od zamku przez agentów Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego. Żołnierze byli doskonale poinformowani, kto znajduje się w powozie. Księżę i jego żona zostali aresztowani i odesłani pod strażą do Paryża. Żołnierze zabiliby ich dziecko na miejscu, ale mój ojciec interweniował i pozwolili mu zatrzymać je przy sobie.

- Na pewno nie zamordowaliby dziecka.

- Tak myślisz? W tamtym czasie traktowano arystokratów jak mięso armatnie.

Cassie zadrżała z przerażenia. Była wtedy zbyt młoda, by zdawać sobie sprawę z rozgrywanej się wokół niej tragedii. Słuchała z ponurym zamiłowaniem opowieści Klary, które wydawały się równie nierealne jak zły sen. A teraz te historie zostały przywołane do życia.

- Mój ojciec nie mógł mieć nic wspólnego z ich zatrzymaniem.

- To Judasz - rzekł Jared. - Gdy zawieziono nas z powrotem do zamku, zobaczyliśmy na podwórku twego ojca. Rozmawiał z człowiekiem, który najwyraźniej dowodził żołnierzami.

- W takim razie był także ich więźniem.

- Gdy mnie zauważył, pobladł śmiertelnie. Odszedł, dosiadł konia i odjechał. Wolny. I prawdopodobnie znacznie bogatszy niż dwa tygodnie wcześniej, gdy przybyliśmy do Francji.

- Musi być na to jakieś wytłumaczenie - szepnęła.

- Właśnie ci je daję. Po prostu nie chcesz go przyjąć.

- To niemożliwe. Musi istnieć jakaś inna odpowiedź. Z kim rozmawiał?

- Z Raoulem Cambre.

- I on był żołnierzem?

- Nie, dowiedziałem się później, że miał powiązania z Komitetem Bezpieczeństwa Publicznego, który zajmował się ściąganiem wrogów stanu. Bardzo luźne powiązania. Trzymał się z dala, nie zwracał uwagi publicznej. Zbierał bogactwa z siedzib gilotynowanych arystokratów. Po ścięciu Robespierre'a, gdy terror zakończył się, Cambre po prostu zniknął. - Spojrzał jej w oczy. - Jak twój ojciec.

- Cały czas ci powtarzam, że on nie był podobny do mego ojca. - Stwierdziła, że dygoce. Skrzyżowała ramiona, by Jared tego nie zauważył. - Jeśli chcesz kogoś uśmiercić, zabij Cambre'a. On na pewno zawinił.

- Czy Rzymianie zawiniли bardziej niż Judasz?

- Przykro mi, że twoi kuzyni zostali pomordowani, ale...

- Nie tylko kuzyni. Rozprawiono się krwawo także z moim ojcem.

- Mówiłeś, że żołnierze mieli rozkaz, by go zostawić w spokoju.

- Mój ojciec był bardzo odważnym człowiekiem. Ośmielił się zwracać do Cambre'a bez należytego szacunku. Na rozkaz Raoula Cambre'a zawleczono go do lasu i pocięto na kawałki. Ja na to patrzyłem.

- Proszę... - Cassie zamknęła oczy. - Nie chcę tego więcej słuchać.

- Nie mam zamiaru omawiać krwawych szczegółów. Już dość się nasłuchiwałaś.

Zbyt wiele. Chłodne słowa Danemounta wstrząsnęły nią bardziej niż jakakolwiek namiętna relacja.

- Więc myślisz, że kłamię? - zapytał.

Zmusiła się, by otworzyć oczy i spojrzeć na Jareda.

- Myślę, że to, co mówisz, uważasz za prawdę.

- Jezu. - Spojrzał na nią z rozpaczą. - Czy ty nigdy nie dajesz za wygraną?

- Czasami prawda nie jest taka prosta. A ty nie masz żadnych dowodów.

- Widziałem Charlesa Deville'a.

- Ja mu ufam - szepnęła. - Ale nawet gdybym mu nie ufała, to jest mój ojciec. Nie mogę pozwolić, byś go zabił. To musi być jakaś omyłka. Każdy popełnia błędy. Musimy je wybaczać.

- Ale nie błędy tego kalibru. - Zaciśnął usta. - Nie przebaczam błędów, za które nie zapłacono.

- Nawet błędów własnego ojca?
- Mego ojca? - Spojrzał na nią zaskoczony.
- Mówiłeś, że byłeś zaledwie dzieckiem. Dlaczego zabrał cię z bezpiecznego miejsca do kraju, w którym groziło ci niebezpieczeństwo?
- Chciałem z nim jechać.
- Nie powinien cię zabierać. Mogłeś zostać zabity i on ponosiłby za to winę. To było z jego strony szaleństwo.
- Nie rozmawiamy teraz o moim ojcu.
- Ja w ogóle nie rozmawiam. To do niczego nie prowadzi. Nie dojdziemy do porozumienia.

Jared milczał przez chwilę, a potem rzucił szorstko:

- Masz rację. Wiedziałem od samego początku, że nie dasz się przekonać. Czemuż na Boga miałbym się starać cię ratować, skoro ty sama tego nie chcesz? Zapewniam cię, to nie w moim stylu. Zawsze przyjmuję to, co niesie mi los. - Uśmiechnął się cynicznie. - Ale skoro się upierasz, jedź ze mną. Mam za sobą długotrwałe, męczące poszukiwania i muszę otrzymać swoje zadośćuczynienie.

Nastał świt. Lani weszła na werandę. Cassie westchnęła z ulgą. Dobrze mieć w pobliżu sprzymierzeńca. Danemount milczał, lecz czuła jego napięcie i gniew.

- Dzień dobry - zwrócił się chłodno do Lani. - Widzę, że pani także jest w to zamieszana.

- Na tyle tylko, na ile pozwala mi Cassie. Nie powiedziała mi o laudanum. - Lani podeszła do Bradforda, odchyliła jego głowę i przyjrzała się twarzy. - Myślałam, że już się obudził. To musi być ten alkohol...

- Nie śpię - mruknął Bradford. - Po prostu boję się otworzyć oczy. Strasznie boli mnie głowa. - Ostrożnie otworzył przekrwione oczy. - Ach, lecz pani widok wart jest tej ofiary. Ma pani twarz anioła.

- Pański osąd nie ma żadnej wartości. Chyba nie widział pan nieba i jego mieszkańców.

Bradford wzdygnął się.

- Jest pani okrutna... - Zmarszczył czoło. - Jestem związany. To pani sprawka?

- Wydaje mi się, że zawdzięczamy to pannie Deville. Podobnie jak laudanum - wtrącił Jared.

- Laudanum. Nic dziwnego, że mam taką obolałą głowę.

- Sądzę, że często po przebudzeniu cierpi pan o wiele bardziej - rzekła Lani i potem zwróciła się do Cassie. - Już czas ich oswobodzić. Niedługo wstanie Klara.

Cassie zgodziła się ochoczo. Chwała Bogu, że ta noc wreszcie się skończyła.

- Teraz już można.

- Mylisz się - rzekł spokojnie Danemount. - Nigdy nie byłaś mniej bezpieczna.

Unikając jego spojrzenia Cassie sięgnęła pod swoje krzesło i wyjęła nóż. Rozcięła krepujące Bradforda więzy.

- Dziękuję - rzekł grzecznie. - Choć nie sądzę, by w moim przypadku takie poczynania były konieczne. Nie jestem wojowniczy.

- Nie lubi pan wysiłku?

- Otóż to. Jak przyjemnie być właściwie rozumianym.

Cassie zebrała w sobie całą odwagę i podeszła do Danemounta. Bez słowa wyciągnął do niej ręce.

Zawahała się. Nie wyglądał już na tak napiętego, lecz jego pełne wdzięku ciało nadal było groźne. Czuła się tak, jakby miała uwolnić spletaną panterę.

Uniósł brwi.

- No?

Musiła to zrobić. Przecięła linę, a potem zsunęła koc i rozcięła więzy wokół jego kostek. Szybko się cofnęła.

- Nie bój się. - Uśmiechnął się kpiąco i wstał. - Jestem cierpliwy. Mogę poczekać. Chodźmy, Bradford. Wracajmy na statek.

- Teraz? Jestem trochę skołowany. Czy jest coś, czego nie wiem?

- Opowiem ci w drodze na plażę. - Jared zatrzymał się na schodach i spojrzał na Cassie. - Muszę mieć co najmniej dzień na to, by sprawdzić, czy powiedziałaś mi prawdę. Strażnicy pozostaną tu jeszcze. - Skrzywił się. - Jak dotąd nie na wiele się przydali. Równie dobrze mogłoby ich tu nie być.

- Nie trać czasu - odparła niecierpliwie. - Moglibyśmy wyruszyć od razu.

- Jeżeli stwierdzę, że mnie nie oszukałaś, możemy wyruszyć dziś wieczorem. Przyślę wiadomość do strażników, by spakowali twoje rzeczy i przyprowadzili cię na brzeg o zachodzie słońca.

Cassie usłyszała, że Lani nagle zaczęła głośniej oddychać, lecz nie spuszczała oczu z Danemounta.

- Nie martw się. Będę gotowa.
- Wcale się nie martwię. Po prostu istnieją przepisy dotyczące zakładników. Obawiam się, że straż jest nieodzowna.

Jared ruszył za Bradfordem. Cassie i Lani odprowadzały ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli.

- O co chodzi? - spytała Lani.
- Muszę płynąć z nimi. Nie ma nikogo innego, kto mógłby mnie zabrać. Będę przynajmniej w tej samej części świata co tatuś. A kiedy już znajdę się we Francji, jakoś im ucieknę.

- Zawsze jest jakiś sposób. Znajdziemy go.

Cassie nie spojrzała na nią; nie chciała, by Lani domyśliła się, jak wielką poczuła ulgę słysząc jej słowa świadczące o spokojnej akceptacji.

- Nie musisz ze mną płynąć - odparła szybko. - Nie proszę cię o to.

- Dobrze. A teraz, zamiast tracić czas na pogawędki, chodźmy się spakować. Musimy też stawić czoło Klarze. Charles zostawił mi niewiele więcej niż sto funtów na drobne wydatki. Nie jest to wiele, ale zawsze się przyda. - Lani podeszła do drzwi. - Sądzę, że mamy jakieś piętnaście minut, zanim Klara się obudzi. Wykorzystajmy je jak najlepiej.

5

To nie jest mądre posunięcie. - Bradford zwrócił się do Jareda, gdy łódź popłynęła do „Josephine”. - Powinieneś zostawić dziewczynę na wyspie.

- Potrzebuję zakładniczki. - Uśmiechnął się kpiąco. - Zresztą nasza dama sama mi to podsunęła.

- Ona nie jest jeszcze damą. To dziecko.

- Już niedługo - odparł Jared. - Życie zmusza nas wszystkich, abyśmy dorosli.

- Życie czy Jared Danemount?

Nic nie odpowiedział.

- Masz zamiar zrobić z niej swoją kochankę?

- Ja?

- Z powodu tych lin? Ona nie wiedziała, Jared.

- Nie tylko z powodu lin.

- Tak właśnie myślałem. - Westchnął Bradford. - Wiedziałem, co się święci.

- Bardzo jesteś spostrzegawczy.

- To nierozsądne - powtórzył Bradford. - Pożałujesz tego.

- Niby czemu?

- Bo jesteś uczciwym człowiekiem i sam się przekonasz, że trudno zmusić córkę, by pokutowała za grzechy ojca.

- Jakoś sobie poradzę. Czy muszę ci przypominać, że ona także popełniła wobec nas kilka grzechów?

- Wystarczająco wiele, byś znalazł usprawiedliwienie dla zaciągnięcia jej do łóżka - zadrwił Bradford.

- Nie powiedziałem, że ją zaciągnę. Nie zmuszam kobiet, by ze mną sypiały.

- Jak dotąd nie. Są również inne sposoby. Będzie całkowicie zdana na ciebie. Może ci ustąpi, jeśli ją dobrze przegłodzisz.

- Nie będę jej głodził - wyszczał Jared.

- Możesz ją również wystawić na pokład ku ucieście marynarzy. Jestem pewien, że po takim doświadczeniu twoje łóżko wyda jej się bardzo pociągające.

- Wiesz, że nie jestem... Dobry Boże, nigdy nie widziałem, byś się tak troszczył o kobiety.

- Ona jest bardzo dzielna. A mnie odwaga imponuje. To cecha całkowicie instynktowna, niezależna od tego, czego nas nauczono. Płyne z serca, nie z rozumu. - Uśmiechnął się. - Ale nie martw się o mnie. Kiedy sobie popiję, zapomnę o całej tej galanterii i o uciśnionej niewinności. Myślę, że to tylko chwilowa przypadłość. - Spojrzał na wybrzeże. - Może to zasługa tego miejsca. Złotego, czystego i bezgrzesznego...

- A król robi, co w jego mocy, by zdobyć broń i wybić najbliższych sąsiadów. Napoleon stworzył armię i tego samego pragnie Kamehameha.

- A co z dostawą broni dla króla?

- Jedyne wyjście to odpłynąć, zanim pozna nasze zamiary. Dlatego właśnie musimy zbierać nasze informacje z wielką ostrożnością.

- Myślisz, że ona nie mówi prawdy? - spytał Bradford.

- Myślę, że kłamie. Zrobiłaby wszystko, by tylko ratować Deville'a.

Znał ją. Znał ten rodzaj odwagi, która tak zachwycała Bradforda. Znał jej impulsywność, upór, brawurę, a przede wszystkim znał tę cholerną lojalność.

- I myślisz, że jest wystarczająco zdesperowana, by uczyńić dla ojca wszystko, co w jej mocy?

- A ty tak nie myślisz?

Bradford wzruszył ramionami.

- Wolę w ogóle nie myśleć. To o wiele łatwiejsze w tych okolicznościach. Rób, jak uważasz... do ciebie należy decyzja.

- Tak właśnie zamierzam.

- Pamiętaj jednak, by mi dać butelkę wódki, gdy będziesz się do niej dobierał. Słuchanie wrzasków nie służy mi w tym samym stopniu co myślenie.

- Będę pamiętał. - Dobry Boże, czy stryj nigdy nie przestanie się nad nim pastwić?

- Doskonale. - Bradford rozpromienił się.

Macie zamiar zostawić mnie samą na tej dzikiej wyspie? - spytała Klara.

Cassie starannie złożyła suknię i umieściła ją w walizce. Klara utyskiwała od chwili, gdy Cassie i Lani powiedziały jej o planowanym wyjeździe. Teraz nastąpił atak.

- Król będzie się tobą opiekował. A jeśli zechcesz wrócić do Europy, poproś go, by znalazł ci miejsce na jakimś statku.

- Tego właśnie się spodziewałam. To jest wdzięczność za czas spędzony na usługiwaniu tobie i twemu ojcu?

- Ojca tu nie ma. Jeśli chcesz doznać jego wdzięczności, poczekaj, aż wróci.

- A ty?

- Nigdy nie okazywałaś mi zrozumienia ani czułości. Czasami wydawało mi się, że mnie nienawidzisz. Mam ci być wdzięczna za nienawiść?

- Jestem ci potrzebna - upierała się Klara. - Zabierz mnie z sobą.

- Nigdy cię nie potrzebowałam. A teraz muszę pomóc ojcu. Tylko byś zawadzała. - Cassie zamknęła walizkę i zacisnęła rzemień. - To nie będą łatwe chwile.

- To przez tę pogańską dziwkę - syknęła Klara. - Od samego początku urabiała cię na swoje podobieństwo.

Nie trać cierpliwości, upomniała siebie Cassie, jeszcze kilka minut i będzie po wszystkim.

- Mam nadzieję, że masz rację. Nie znam nikogo, kto mógłby być dla mnie lepszym przykładem niż Lani. Będę szczęśliwa, gdy stanę się chociaż w połowie tak dobra jak ona.

- To dziwka.

- Milecz! - Cassie straciła cierpliwość i zwróciła się do Klary z płonącymi oczami. - Nie pozwalam na to. Nie będziesz mi obrzydzała Lani.

- Nie? - Klara uśmiechnęła się złośliwie. - W takim razie idę do tej dziwki i powiem jej, co o niej myślę. Wydaje ci się, że ona daje ci taki dobry przykład? Poczekaj, aż znajdziesz się w świecie zaludnionym przez kogoś innego niż ci dzicy poganie. Będą z ciebie drwić, a ją uznają za ładacznice. Załuję, że tego nie zobaczę. - Podeszła do drzwi. - Tak, pójdę teraz do

twojej Lani i wygarnę jej, co o niej myślę. Już ona... co robisz?
- Chwyciła krępujące ją ramię Cassie. - Puść mnie!

Cassie wzmocniła uścisk i pociągnęła Klarę ku otwartej szafie. Nie było to łatwe zadanie. Klara okazała się zadziwiająco silna i walczyła zaciekle.

- Co robisz? - wrzasnęła.

Klara wbiła jej łokieć w żołądek i Cassie na chwilę straciła oddech. Jeszcze kilka kroków...

Zebrała wszystkie siły i wepchnęła Klarę do szafy.

- Cassandro!

Cassie zatrzasnęła drzwi i przekręciła klucz.

- Wypuść mnie!

- Nie, Klaro. Lani i tak trudno opuścić wyspę. Nie pozwolę, byś jej to jeszcze utrudniała.

Marynarz ładował walizki na wóz. Tę będzie musiała wynieść sama, aby nie zorientował się, co zrobiła z Klarą. Poczuliła się silna i pewna siebie jak Herkules. Jednym gestem położyła kres poniżeniu i złemu traktowaniu.

- Mogę tu umrzeć! - krzyknęła Klara. - Co się stanie, jeśli nikt mnie nie znajdzie.?

- Miło pomarzyć - mruknęła Cassie. - Powiem Umie, żeby cię wypuściła po naszym wyjeździe. - Czemu nie postraszyć jej trochę? - Ale ty nie zawsze byłaś miła dla Umy, prawda? Naubliżałaś jej jeszcze tej nocy. A wiesz, jaka ona potrafi być mściwa. Ona sama zadecyduje, kiedy cię wypuścić.

Szafa miała solidne, dębowe drzwi i krzyki Klary słychać było tylko z odległości paru metrów. Jeśli Cassie uda się wymknąć z pokoju, zanim przyjdzie tu Lani, Klara pozostanie uwięziona nawet kilka godzin. Lani nie zastanawiałaaby się, czy Klara zasłużyła na karę, lecz po prostu by ją wypuściła.

Cassie niosła walizę, gdy na korytarzu pojawiła się Lani.

- To zbyt ciężkie. Dlaczego mnie nie zawołałaś?

- Nie jest tak źle. Myślałam, że przeniosę ją sama.

- Czy to już ostatnia?

Cassie skinęła głową.

- Gdzie jest Uma?

- Stoi przy wózku i czeka, żeby się z nami pożegnać - odparła Lani. - Pożegnałaś się z Klarą?

- Tak.

- Gdy dowiedziała się, że wyjeżdżamy, zawrzało w niej jak wulkanie. Była nieznośna?

Cassie uśmiechnęła się.

- Nie, prawdę powiedziawszy była raczej... przytłumiona.

Jedzie konno - mruknął Bradford patrząc na zbliżającą się niewielką grupę. Cassie jechała na przodzie, za nią marynarze ciągnęli wózek z bagażami. - Nie spodziewałem się, że zabierze ogiera.

Jared również się tego nie spodziewał. Szkarłatne promienie zachodzącego słońca rozświetlały aksamitną sierść Kapu i rozwiane włosy Cassie.

Dziewczyna ubrana była w czarny strój do konnej jazdy i wyglądała równie nieciekawie i dziewiczo jak poprzedniej nocy.

Jared wyszedł jej naprzeciw.

- Masz zamiar zabrać konia?

- Oczywiście. Nikogo do siebie nie dopuści. Kto by go karmił, skoro obie z Lani wyjeżdżamy?

- Lani? - Dopiero teraz zauważył siedzącą na wózku Hanię.

- Nie spodziewaliście się mnie? - Lani zeskoczyła i nie czekając na odpowiedź zwróciła się do marynarza przy wózku. - Wyładuj kufry i uważaj na kosz z trawą. Cassie nie chce, by do środka dostał się piasek.

Marynarz jęknął i zaklął przez zaciśnięte zęby.

- Proszę - rzekła Lani tak łagodnie, że stanowczość była ledwie wyczuwalna. - Pośpiesz się, proszę.

Ku zdziwieniu Jareda marynarz posłuchał.

- Po co zabieracie trawę? - spytał zaciekawiony Bradford.

- Podróż do Europy nie będzie dla Kapu miłym przeżyciem - odparła Cassie zsiadając z konia. - Mam nadzieję, że poczuje się lepiej, jeśli jego pożywienie będzie miało znajomy smak i zapach.

- Doskonały pomysł.

Lani przyjrzała się Bradfordowi.

- Jest pan wystarczająco trzeźwy, by pomóc przy kufrach? Musimy się pośpieszyć. Cassie chce załadować konia na statek, zanim zapadną ciemności.

- Jestem zawsze wystarczająco trzeźwy na to, by pomóc ślicznej damie. - Złapał najmniejszą walizkę ze sterty na wózku. - O ile zadanie nie jest nazbyt wyczerpujące.

- Jestem pewna, że walizka nie nadweręży pańskich sił.

Poniosłoby ją nawet dziecko, które dopiero zaczęło chodzić. Cassie mówiła, że pełni pan funkcję kapitana statku.

Bradford skłonił się lekko.

- Mam ten zaszczyt

- Lepiej dopilnuję statku sama. Nie mam do pana zaufania i nie mam zamiaru utonąć tylko dlatego, że oszołamia się pan mocnymi napitkami.

- Niech się pani nie martwi. Gdy grozi jakieś niebezpieczeństwo, nigdy nie jestem pijany.

- Nie ufam panu. Pokaże mi pan mapy do nawigacji. - Zwracając się do Jareda rzekła: - Dwie zakładniczki to jeszcze lepiej niż jedna. Nie będzie się pan sprzeciwiał mojej obecności?

- Niby czemu? Kochanka może się okazać bardziej przydatna niż córka. Po prostu nie spodziewałem się, że zechce się pani aż tak poświęcać. Proszę przodem. Witamy. - Zamilkł.

- Tylko proszę mi nie wchodzić w drogę.

- Nie będę panu wchodzić w drogę. - Lani ruszyła w kierunku łodzi. - Jeżeli nie wkroczy pan na wojenną ścieżkę.

A więc będziesz, pomyślał Jared.

- Zabieram Kapu - odezwała się Cassie. - Wiem, że sprawi mnóstwo kłopotu, ale nie mam innego wyjścia.

- Masz dziwne pojęcie o przywilejach zakładników. Oni nie mają prawa stawiać warunków.

- Zabieram go - powtórzyła beznamiętnie. - Możesz sobie mówić, co chcesz. On pojedzie...

- Wcale się nie sprzeciwiam. - Jared przybliżył się i dotknął pyska Kapu. - Całkowicie się zgadzam. Może uda mi się namówić cię, abyś mi go sprzedała. Mam tylko jedno pytanie.

- Tak? - spytała znudzona.

- Jak, u diabła, załadujemy go na pokład? Nie ma żadnego doku, a statek jest dobre pół kilometra od zatoki.

- Tak samo, jak został wyładowany ze statku, kiedy tu przybył. Nadal mam jego uprząż. Odwróciła się w stronę wózka i wyciągnęła stamtąd sieć płóciennych, wykończonych skórą rzemieni i żelaznych obręczy. - Obwiążemy tym Kapu, a ty przyczepisz to na statku i wyciągniemy go z wody.

- Bardzo proste - rzeki Jared zjadliwie.

- Nie jest proste, ale możliwe.

- O ile koń wytrzyma taką długą drogę i nie utonie.

- To jedyny sposób. - Cassie odpięła siodło i odrzuciła je.

- Uda się. Kapu i ja pływaliśmy dalej dla zabawy.

Jared zamyślił się poklepując w roztargnieniu koński pysk.

- Ale nie utrzymasz go, jeśli się spłoszy.

- Owszem, utrzymam. Jestem bardzo silna.

Jared potrząsnął głową.

- Popłyniesz na statek łodzią. Ja popłynę z Kapu.

- Nie! - Cassie rzuciła się pomiędzy Jareda i ogiera. - To mój koń. Ja to zrobię.

- Na miłość boską, nie próbuję ci go odebrać. Chyba postradałaś zmysły, skoro myślisz, że popłynę dla przyjemności na oszalałym ze strachu koniu. Mówię ci tylko, że lepiej będzie, gdy popłynie silniejszy jeździec.

- To mój koń. - Odwróciła się plecami do Jareda i chwyciła cugle. - Weź siodło, wracaj na swój statek i przyczep liny do wyciągu. Zostanę tu razem z Kapu, dopóki do mnie nie pomałasz. Jeśli się ściemni, weź latarnię i zakołysz nią trzykrotnie.

Jared zacisnął usta.

- Nie zostaniesz tutaj.

- Boisz się, że to niebezpieczne? Nie ucieknę. Zabierasz na statek Lani. Myślisz, że zostawiłabym ją samą?

- Nie, nie boję się, że uciekniesz. Cholera, to zbyt niebezpieczne. Nie możesz...

- Tracisz czas. - Cassie narzuciła uprząż na grzbiet konia i zaczęła zapinać skórzane rzemienie. Koń zarżał niespokojnie. - Kapu już jest zdenerwowany.

- Zdenerwuje się jeszcze bardziej, gdy przyczepimy do niego te liny - odparł Jared ponuro. - Będziesz miała szczęście, jeśli nie zmiążdży cię przyciskając do statku. Ja mógłbym go utrzymać, ale ty... Co robisz?

- Zdejmuję ubranie. - Rozpięła żakiet i zrzuciła go odsłaniając cienką, bawełnianą koszulę. - Strój do konnej jazdy jest zbyt ciężki. Pociągnąłby mnie na dno. - Zrzuciła spódnicę i zabrała się do halki.

- Zaczekaj! - Spojrzał na zachwycone miny marynarzy w łodzi i na zdumioną twarz Bradforda. Tylko Lani pozostała nieporuszona. - Nie możesz się tutaj rozebrać.

- Z całą pewnością mogę. - Halka upadła na piasek. Cassie zrzuciła buty i pończochy. Niecierpliwie spojrzała na Jareda. - O co ci chodzi? Widziałeś mnie w jeszcze bardziej skąpym stroju.

Ale jej nagość na plaży była mniej prowokująca niż obecny

negliż. Jared zauważył krągłości drobnych piersi pod bawełnianą koszulą, złotawy odcień aksamitnej skóry odcinający się od białej bielizny i zarys łydki poniżej pantalonów. Poczul podniecenie i wiedział, że to samo odczuwają marynarze na łodzi. Miał ochotę wcisnąć ją z powrotem w strój do konnej jazdy, zakryć przed ich spojrzzeniami, ukryć przed oczami wszystkich mężczyzn. Wskazał w kierunku łodzi.

- Ale oni cię nie widzieli.
- Mnie nie, ale Lihue i inne wiele razy.
- Ty nie jesteś Lihua.
- Nie jestem od niej ani lepsza, ani gorsza. Nie wstydzę się swego ciała ani trochę bardziej niż ona. To ty i tobie podobni wykorzystujecie kobiece ciała, a potem staracie się zrzucić wstyd na nas.
- Nie wykorzystałem dotąd twego ciała - odparł zwięźle. - Chcę tylko, żebyś się ubrała.
- Nie ubiorę się. - Wzruszyła ramionami. - Ale już nic więcej nie zdejmę. Koszula i pantalon są lekkie i mogą mi się przydać jako ochrona.
- Przed czym? Są cienkie jak pajęczyna. Ubierz się.
- Wołałbyś, żebym utonęła?
- Wołałbym, żebyś się ubrała i pozwoliła mi dotrzeć tego przeklętego konia.
- Nie ma mowy. Ja to zrobię.
- Bo jesteś zbyt uparta, by się przyznać, jak bardzo... - Urwał spostrzegłszy, że go nie słucha. Powzięła decyzję i nie liczyła się z nim. Zaklął pod nosem, pozbiierał rozrzucone ubranie, podniósł siodło i odwrócił się na pięcie. - Jedź. Wsiadaj na tego konia. Utop się w morzu jak naga Wenus. Niech cię zmiążdży o statek. Co mnie to obchodzi? - Ruszył w kierunku łodzi.
- Widzę, że przegrałeś bitwę - stwierdził Bradford, gdy Jared wsiadł do łodzi i oddał marynarzowi swoje brzemię.
- Będzie miała szczęście, jeśli wyjdzie z tego cało - odrzekł Jared z wściekłością.
- Kapu ją kocha - powiedziała Lani. - Nie zrobi jej krzywdy.
- Nawet jeśli będzie oszalała ze strachu?
- Przez dwa długie lata okazywała mi miłość, cierpliwość i troskę... Zabrała mnie na brzegi Skazawotok konia spo-

kojnie do niego przemawiając i głaszcząc go po grzywie. Obok wielkiego ogiera wydawała się mała i krucha. Jared starał się powściągać gniew, ale czuł, że jego miejsce zajmuje zimny strach.

Chryste!...

Słońce zaszło i zaczęło już powoli zmierzchać, gdy Cassie zauważyła, że Jared macha do niej ze statku. To dobrze, Kapu będzie mniej zdenerwowany.

Oddechnęła głęboko i wsiadła na konia. Zadrżał nerwowo. Cassie prędko nachyliła się i wyszeptła mu do ucha:

- Spokojnie. Wszystko będzie dobrze. Nie skrzywdziłabym cię. Po prostu sobie popływamy. - Skierowała go łagodnie do wody. - Lubisz wodę, pamiętasz?

Może i lubił wodę, ale z pewnością nie lubił statków. Miał zbyt wiele złych wspomnień o głodzie, zaniedbaniu i właścicielu, który przychodził pijany do ładowni, aby go bić. Gdy Cassie zobaczyła go po raz pierwszy, miał na ciele świeże ślady bata. Zdarzy się prawdziwy cud, jeśli pozwoli, by przywiązała do niego liny.

Ale musi to zrobić. Nie może go tutaj zostawić.

- Teraz będzie inaczej - tłumaczyła mu, gdy wchodził głębiej i zaczynał płynąć. - Wtedy nikt o ciebie nie dbał. Teraz jesteśmy razem. Będę się tobą opiekować.

Stulił uszy i słuchał, ale Cassie czuła, jak bardzo napinają się mięśnie jego grzbietu. Kapu zorientował się, że jest inaczej, niż gdy pływali dla zabawy.

Jedna czwarta drogi na statek.

Kapu nie wiedział, dokąd płynie. Wołała, by nie był zwrócony wprost ku „Josephine”.

Uniosła głowę i zobaczyła Danemounta przechylonego poprzez barierkę i wpatzonego w nich z ponurym wyrazem twarzy. Ale on przecież zawsze był ponury i napięty.

Nie, to nieprawda. Tamtej nocy na plaży był zmysłowy i wolny, a twarz rozjaśniał mu pogański uśmiech.

Był szczęśliwy, bo odnalazł jej ojca.

Połowa drogi na statek.

- Spokojnie - wyszeptła. - Uda nam się.

Kapu zadrżał cichutko, jakby ją rozumiał.

To z pewnością dobry znak. Być może zapomniał już o złych doświadczeniach związanych ze statkiem. Minęły już

dwa lata i Cassie wiedziała, że od tamtej pory spotykał się wyłącznie z dobrym traktowaniem.

Byli już bardzo blisko.

Odwrociła głowę Kapu, by nie zauważył statku.

- Dobrze - powiedział cicho Danemount. - Podpłynięcie jeszcze bliżej. Lina jest za krótka.

A co ja robię? - pomyślała zrozpaczona Cassie.

- Jeszcze pół metra. Metr, a lina...

Kapu przekręcił głowę i spostrzegł statek.

Dobry Boże!

Cassie poczuła, jak mięśnie konia napinają się pomiędzy jej udami. Statek był kilka metrów od nich.

- W porządku - powiedziała przerażona. - Nie skrzywdzę cię. Nie pozwolę...

Kapu zupełnie oszalał. Zakwiczął z wściekłości i dziko wierząc, że zanurkował.

Usta i nos Cassie zalała słona woda. Walczyła, by utrzymać się na grzbiecie konia. Spróbowała uchwycić cugle.

Na próżno.

Jeszcze raz.

Udało się! Chwyliła cugle, a Kapu wypłynął na powierzchnię.

- Wypuść lejce! - krzyknęła Lani.

Nie mogła. To jedyny sposób, by kontrolować konia. Utoną obydwójce...

Poczuła ból w barku. Uderzyła się o statek.

- Wypuść lejce! - Tym razem krzyczała nie Lani, lecz Danemount. Był w wodzie, obok niej. - Mam liny, żeby go przywiązać. Wypuść lejce, zanim cię zabije.

- Daj mi jedną - wydyszała.

- Odsuń się od niego! Ja to zrobię!

- Utonie, zanim przywiążesz obie liny. Weź jedną i rzuć mi drugą! Musimy wyciągnąć go z wody!

- Wyciągnąć go z wody? Płyn do drabinki i niech ciebie wyciągną.

- Nie ma czasu na kłótnie. Koń może odpłynąć od statku.

Daj mi jedną linę.

- A niech cię! - Jared rzucił jej jedną z lin. - Trzymaj się

z daleka od jego kopyt. ¹⁰⁰ Nie dotykaj go, szarżując na niego. Nie dotykaj go, szarżując na niego.

Omam nie pękły jej płuca. Po drugiej stronie Kapu widziała Danemounta. Włosy unosiły mu się wokół twarzy jak wodorosty. Poczuła nagły przypływ pewności siebie. We dwoje zdoła ją to zrobić. Razem uda im się wszystko.

Oczy piekły ją od soli, gdy rozpaczliwe wypatrywała pierścienia... Jest!

Zanurkowała pod brzuchem konia i przewlekła linę przez otwór. Omam nie dostała kopytem w głowę.

Śpiesz się. Musisz się śpieszyć.

Brakowało jej powietrza.

Jeszcze raz przez pierścień i z powrotem. Węzeł. Węzeł musi być bardzo mocny, by utrzymać ciężar konia.

Zrobione!

Wypłynęła na powierzchnię.

Nie ma Danemounta. Poczuła lodowaty strach.

Nie, jest, kilka metrów od niej.

- Udało ci się...? - Zaniósła się kaszlem.

Skinął głową i chwycił haust powietrza.

- A tobie?

Teraz ona skinęła.

Jared pomachał do mężczyzny na pokładzie.

- Ciągnijcie!

Cassie podpłynęła do Kapu.

- Dobrze, już dobrze. Jestem przy tobie. Zaraz będzie po wszystkim.

- Trzymaj się z dala od konia - krzyknął Danemount.

- Nie mogę, on mnie potrzebuje.

- Będzie cię bardziej potrzebował na pokładzie statku.

Jared miał rację. Na statku Kapu musi od razu poczuć jej przyjazną obecność. Cassie wspięła się na sznurową drabinkę.

Słyszała za sobą kwik przerażonego konia, którego wyciągano z wody. Nie oglądając się weszła na drabinkę.

Wkrótce będzie po wszystkim. Znajdą się razem na statku i pocieszy go, aby poczuł się bezpieczny. O, Boże, ależ była zmęczona. Teraz, gdy wykonała zadanie, uszły z niej wszystkie siły.

Danemount już był na pokładzie. Pomógł Cassie wspiąć się na ostatnie szczeble. Nie wyglądał na eleganckiego, gładkiego arystokratę. Mokre ubranie przywarło do jego szczupłego ciała. Długie włosy zwiślały w strąkach.

- W porządku? - zapytał szorstko, a gdy skinęła głową, odszedł, by patrzeć, jak wciągają konia.

- Co z twoim barkiem? - spytała Lani okrywając ją kocem.
- Moim barkiem? - Racja, przecież uderzyła się o burte.
Dopiero teraz poczuła bolesne pulsowanie. - Nic takiego.

- Przestałaś krwawić.
- Krwawić? - powtórzyła zdumiona.
- Kiedy wypłynęłaś na powierzchnię, pokazała się krew. Wtedy, gdy Danemount zanurkował. Bardzo dobrze pływa... jak na Anglika - dodała niechętnie. - I jest odważny. Niewielu mężczyzn zaryzykowałoby kopniaka Kapu, by przywiązać liny do uprzęży.

Cassie ledwie ją słyszała. Kapu ukazał się nad pokładem. Nie bronił się. Znieruchomiał sparaliżowany strachem.

- Nie podchodź - ostrzegł ją Danemount. - Spójrz na jego oczy.

Wiedziała, o co mu chodzi. Oczy konia błyszczały gorączkowo. Stanęła przed ogierem, który zawieszony był nad pokładem.

- Postawcie go.
- Jeszcze nie.
- Powiedziałam, postawcie. Jest przerażony.
- Stratuje panią.
- Nie zrobi mi krzywdy. - Wyciągnęła rękę i pogłaskała chrapy Kapu. - Przygotowaliście dla niego stanowisko?
- Tak. Tam jest pochylnia prowadząca do ładowni.
- Więc postawcie go i zostawcie nas samych. Sprowadzę go do ładowni, kiedy będzie gotowy.

Danemount ani drgnął. Po chwili dał znak, aby opuścić konia na pokład.

- Odsuń się i zostaw na nim uprzęż, dopóki się nie uspokoi.
Cassie nic nie odpowiedziała. Podeszła bliżej i zanurzyła twarz w grzywie ogiera. Kapu dygotał, lecz stał nieruchomo. Zaczęła do niego przemawiać.

- Najgorsze już mamy za sobą - gruchała. - Teraz będzie lepiej. Niedługo wyszczotkuję ci sierść i dam ci trawy. Ale jeszcze nie teraz. Teraz postoiemy tu sobie i przywykniemy do statku. Nie musisz się ruszać...

Bradford obejrzał się spaczając z Jaredem po pokładzie.

- Powinieneś sobie wreszcie zdać sprawę - powiedział pa-

trząc na dziewczynę i jej konia - że nie uda ci się odebrać jej ogiera. Zupełnie straciła dla niego głowę.

- Myślisz, że sam tego nie wiem? Dzisiaj o mało dla niego nie zginęła.

- Mówię ci o tym, żebyś sobie nie robił fałszywych nadziei. A swoją drogą, dobrze współpracowaliście. Czy obudziło się w tobie uczucie koleżeństwa?

- Ani odrobiny.

- Myślałem, że je poczujesz. Niemożliwe, by lekceważyć takie więzy.

- Jedyne, czego teraz nie lekceważę, to te mokre łachy. A gdzie nasza druga dama? W kabinie?

Bradford wskazał mu głową dziobówkę, skąd Lani spoglądała na Cassie i Kapu.

- Nie spuszcza ich z oka. Jest bardzo opiekuńcza. To piękna cecha. Powinieneś ją docenić, bo najwyraźniej także ją posiadasz. Pięknie się zachowałeś. Poczulem wielkie wzruszenie, gdy rzuciłeś się na ratunek. Ale oczywiście - dodał z uśmiechem - nie zrobiłbyś tego z troski o dziewczynę. Chodziło wyłącznie o konia. No i nie chciałeś stracić zakładniczeki.

Jared udał, że nie zauważa jego ironii. Ściemniło się już prawie zupełnie. Cassie widoczna była jedynie jako jasna plama na tle ciemnej, nieruchomej sylwetki Kapu. Gotowa była czekać choćby całą noc, aż koń całkowicie się uspokoi.

- Odpływamy? - zapytał Bradford.

- Ruchy statku mogą zaniepokoić konia. Na razie nie. Nie ma pośpiechu.

Na miłość boską, wyjdź z boksu. Chcesz, żeby cię stratował?

Cassie uniosła głowę znad słomy. W drzwiach ładowni stał Jared. W rękę trzymał latarnię. Jego twarz tonęła w cieniu. Cienie... Zawsze jest w półcieniu, pomyślała Cassie. Z wierzchu gładki i jasny, a pod spodem... ciemność, tajemnica. Uniosła się na łokciu.

- Nie stratuje mnie. Jest już znacznie spokojniejszy.

- A jak się zachowa, gdy odbijemy? Czy będzie spokojny, gdy statek przestanie się łagodnie kołysać i zacznie podskakiwać i szarpać?

- Dlatego przy nim jestem. - Usiadła i odgarnęła włosy

z twarzy. Były sztywne, poskręcane od słonej wody i wysuszone. Podobnie jak jej skóra. Całe ciało piekło ją i szczypało. Pomyślała z tęsknotą o olejku kokosowym, który spakowała do kufra Lani. - Czekam, aż podniesiecie kotwicę. Dlaczego jeszcze nie odpływamy?

- Najmocniej przepraszam. Sądziłem, że potrzebujesz trochę czasu, by koń przywykł do nowych warunków. - Powiesił latarnię na kołku obok boksu. - Powiedziałem Bradfordowi, żeby podniósł kotwicę za piętnaście minut Mam nadzieję, że cię to zadowoli?

- Tak. - Była zbyt zmęczona, by zareagować na jego sarkazm. A poza tym bardzo jej pomógł przy ratowaniu Kapu. - Zastanawiałam się tylko.

- Żadnej złośliwości? - spytał zaskoczony. - Dobrze się czujesz? Może ucierpiała twoja głowa, a nie bark?

- Nie zawsze bywam w nastroju do kłótni. Ty natomiast.. - Zamilkła, a potem dodała: - Widzisz. To ty jesteś jadowity. Ja się nie staram być niemiła.

- Dlaczego?

- Kapu. Może poradziłabym sobie sama, ale z tobą było o wiele łatwiej.

- Dziękuję.

Znowu ironia. Jared postąpił odważnie i wielkodusznie. Zasłużył na uczciwe traktowanie.

- W porządku - przyznała. - Być może nie poradziłabym sobie sama. Pomogłeś mi i jestem ci wdzięczna.

Chwilę milczał, a potem rzekł:

- Nie, podziękowania są zbędne. Działiałem pod wpływem impulsu. Zobaczyłem rasowego konia w niebezpieczeństwie i zrobiłem to, co należało. - Uśmiechnął się krzywo. - Nie musisz więc rozcieńczać swojej nienawiści wdzięcznością.

- Nie czuję do ciebie nienawiści - wyrwało jej się, lecz zaraz zdała sobie sprawę, że to prawda. Żywiła dla Dane-mounta bardzo skomplikowane uczucia, ale nie było wśród nich nienawiści. - Na razie. Ale jeśli skrzywdzisz mego ojca, znenawidzę cię.

- Oko za oko? Twoja wspaniałomyślność zadziwia mnie.

- Wydaje ci się, że postępujesz słusznie. Lani nauczyła mnie, że na wszystko trzeba patrzeć z obu stron. Ona próbowała usprawiedliwić nawet Klarę.

- Mnie nie trzeba usprawiedliwiać.

- Bo wiodłeś żywot idealny i uczciwy? - fuknęła - Jakie to wspaniałe być pierwszym, który rzuci kamieniem.

- Nie ja pierwszy rzuciłem kamień, tylko twój ojciec.

- Nie masz pewności. Nie masz dowodu. - Odetchnęła głęboko. - Nie będę z tobą o tym więcej rozmawiać. To do niczego nie prowadzi.

- Wprost przeciwnie. Dzięki tej rozmowie nie musisz już odczuwać wdzięczności. Na pewno dobrze ci to zrobiło. Możesz teraz... - Umilkł, bo statek nagle drgnął i zakołysał się gwałtownie. Kapu zarżał i wspiął się na tylne nogi. - Wstań i wyjdź z boksu. Odbijamy.

Cassie zerwała się, lecz zamiast wyjść z boksu, przysunęła się do Kapu.

- Cii, wszystko w porządku. Wszystko będzie dobrze. - Objęła go rękami za szyję. - Przyzwyczaisz się.

- Mów do niego. - Jared wszedł do boksu. - Ale trzymaj się z dala od jego kopyt - Zaczął głaskać konia po głowie i przemawiać tym samym kojącym tonem co Cassie.

Ogier powoli się uspokajał. Odnosił się do Jareda tak samo jak wtedy na plaży. Dziwne, bo ona nie czuła już z tego powodu żalu, lecz wdzięczność. Razem poskramiali zwierzę. Po raz wtóry zdała sobie sprawę z łączących ją z Jaredem więzów.

Minał kwadrans, zanim koń uspokoił się na tyle, że Jared mógł się od niego odsunąć.

- Sądzę, że nie zechcesz go teraz zostawić i pójść do swojej kabiny.

- Zostanę tutaj. Słoma jest miękka. Kiedy go dostałam, spałam w stajni ponad miesiąc.

- Chcę ci przypomnieć, że wtedy nie spadłaś z góry i nie zostałaś przyduszona do statku. - Usiadł na słomie w przeciwnym końcu boksu.

- Co robisz?

- Zostanę tu chwilę. - Skrzywił się. - Nie miesiąc. Nie jestem aż takim spartaninem. Tylko kilka godzin, żeby się przekonać, czy postęp, jaki osiągnęliśmy, nie zostanie zniszczony przez złą pogodę. Siadaj. - A gdy Cassie nie poruszyła się, dodał: - Na miłość boską, usiądź, zanim upadniesz. Nie mam zamiaru cię teraz uwodzić.

- Wiem. - Usiadła jak najdalej od Jareda. - Musiałbyś być kompletnie pozbawiony gustu, by pragnąć kobiety, która wygląda jak wiązka wodorostów.

- A może ja lubię wodorosty? - Jared oparł się plecami o ścianę. - Jestem znany z bardzo perwersyjnych gustów.

- Naprawdę? - spytała z zaciekawieniem. - Jakich? - Widząc jego uśmiech, dodała szybko: - Lihua mówi, że większość obcokrajowców ma perwersyjne upodobania i że powinni się przekonać do najprostszych sposobów.

- Tak? - Uniósł brwi. - Nie przypominam sobie, aby Lihua kiedykolwiek uskarżała się na moją perwersję. Prawdopodobnie zdawała sobie sprawę, że gdy mnie rozgniewa, stanę się brutalny.

- Wiesz, że ona uważa cię za... - Przerwała widząc, że Jared uśmiecha się jeszcze szerzej.

- Za Boga?

- Lihua ma kiepskie pojęcie.

- Jakież to okrutny osąd. Chociaż muszę się z tobą zgodzić. Powinna zachowywać się rozsądniej i nie omawiać z tobą takich spraw.

- Bo wydaje ci się, że to, co robisz, jest grzeszne? Uważasz, że można wyczyniać takie rzeczy, lecz nie należy ich roztrząsać przy świetle dziennym?

- Och, lubię je wyciągać na światło dzienne. Ranek jest szczególnie odpowiedni, by...

- Wiesz, o co mi chodzi. - Wpadła mu w słowo. - Myślisz, że Lihua i inne dziewczęta z wyspy są grzeszne, ale czerpiesz z tego korzyści.

- Już mnie raz o to oskarżyłaś. Uważasz mnie za hipokrytę?

- A jak to nazwać?

- Nie wiem. Może masz rację - powiedział znużonym tonem. - Podziwiam wyspiarzy, zazdroszczę im ich uczciwości i otwartości, ale każdy z nas jest tak wychowany, że uważa swoje postępowanie za najwłaściwsze. Możliwe, że jakaś częśćka mnie oskarża ich za to, że są inni niż ja. Ale ta częśćka nie znajduje się w moim umyśle ani woli.

Zarzucając mu hipokryzję Cassie chciała wznieść między nimi barierę i nie pragnęła, by odpowiedział jej z taką prostotą i uczciwością. Najpierw poczuła wdzięczność, potem zbliżyła ich więź wspólnie doznanego niebezpieczeństwa, a teraz zaczynała go rozumieć. Niedobrze. Rozpaczliwie szukała sposobu, by się zdystansować.

- Cóż, z pewnością nie oskarżają ich twoje części poniżej pasa.

Z twarzy Jareda zniknęła wszelka powaga. Odrzucił głowę do tyłu i głośno się roześmiał.

- Nie, te części są całkowicie pozbawione rozsądku. Akceptują wszystko bez żadnych przesądów. - Spojrzał jej w oczy. - Ty też się tego nauczysz.

Cassie poczuła ucisk w piersi i dziwne uczucie duszności.

- Ale nie ty będziesz mnie uczył - rzekła obojętnie. - Wcale mnie nie pragniesz. Chcesz się tylko zemścić na moim ojcu.

- Diabła tam nie pragnę. Deville nie ma z tym nic wspólnego.

Gwałtowność tonu Jareda wstrząsnęła nią.

- Oczywiście że ma. Inaczej to wszystko nie ma sensu.

- Cieleśna rozkosz rzadko miewa sens. Namiętność może wybuchnąć byle gdzie. Musisz o tym wiedzieć, bo widzisz to codziennie na swojej wyspie.

Widowała, lecz zdarzało się to Lihui i innym dziewczętom, nigdy zaś jej samej. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- To nieprawda. Nie jestem piękna jak Lihua lub Lani. Nie jestem kobietą, do której mężczyzna może zapaść namiętnością.

- Mam cię przekonać? - Pochylił się do przodu. Jego oczy załśniły w półmroku. - Kłamałem. Masz rację, wyglądasz jak strzęp wyłowionych z morza śmieci. Jesteś zmęczona i brudna. We włosach masz słomę, a całe twoje ciało pokrywa sól. Nie czuję do ciebie najmniejszego pociągu. Wiesz, na co mam teraz ochotę?

Cassie oblizała usta.

- Nie.

- Chciałbym zerwać z ciebie tę koszulę i zlizać sól z twoich piersi. - Jego oczy spoczęły na wymiętej tkaninie okrywającej wypukłość jej biustu. - Chciałbym poznać twój smak. Chciałbym gryźć twoje sutki. Mógłbym cię pożreć. Wydaje mi się, że ty też tego pragniesz.

Krew w jej żyłach zawrzała. Poczuła gorąco i mrowienie.

- Nie - szepnęła.

- Spójrz na siebie.

Nie musiała patrzeć. Czują jak jej piersi nabrzmiwiają, sutki twardnieją i wypychają miękką bawełnę.

- To... to o niczym nie świadczy. Po prostu... jestem zaskoczona.

- Jesteś gotowa - poprawił ją. - Cudownie gotowa.
 - Niemożliwe. - Przełknęła ślinę, by zmniejszyć ucisk w gardle. - Nie z tobą.
 - Bo uważasz mnie za swego wroga? To nie ma znaczenia. Przynajmniej w tym względzie.
 - Oczywiście że ma - odparła z wściekłością. - Nie jestem zwierzęciem. Panuję nad własnym ciałem. Nie pozwoliłabym sobie... - Urwała, a potem dorzuciła: - Odejdź. Nie chcę, żebyś tu był.

- Szkoda. - Oparł się o ścianę. - Nie odejdę, dopóki się nie przekonam, że ogier całkiem się uspokoił. Nic się przecież nie zmieniło. Powiedziałem już, że nie mam najmniejszego zamiaru uwodzić cię tej nocy. Przeżyłaś ciężkie chwile, a mnie przepełnia uczucie głęboko ludzkiej wyrozumiałości. Sam jestem zdumiony.

Mylił się. Coś się jednak zmieniło. Ciało zdradziło ją. Nadal ją zdradzało. Czuła się słaba i wrażliwa. Potrzebowała czasu, by się pozbierać.

- Nie chcę cię tutaj. Idź sobie.
 Ani drgnął. Cassie zamknęła oczy, lecz nadal czuła na sobie jego wzrok.

- Nie jestem jednak aż tak przepełniony sympatią, by nie dać ci czegoś do przemyślenia. - Jego głos brzmiał łagodnie i zmysłowo. - Kiedy cię wreszcie posiadę, zrobię to w stajni. Leżąc naga będziesz czuła chropowatość słomy na piersiach i brzuchu, gdy będę się w tobie poruszał. Widziałaś kiedy, jak ogier kryje klacz?

Cassie milczała.

- Oczywiście że widziałaś. Planujesz przecież założenie własnej farmy. Czy kopulowanie podnieca cię? Wprowadzanie, naparcie, połączenie...

Cassie poczuła łaskotanie między nogami i przypomniała sobie, jak to wygląda. Nie będę o tym myśleć, postanowiła. Nie jestem zwierzęciem, klaczą do krycia.

Siano pachniało słodko. Czuła obecność Jareda. Mężczyzna... ogier.

- Czy klacz jęczy, gdy on w nią wchodzi?
 - Tak - odparła ochryple.
 - Ale chce tego, prawda? Odwraca się do niego zadem.

- Oczywiście że tak. Kiedy ona ruję.
 - Tak tak ty. Ty teraz masz taki okres, prawda?

- Nie... - Otworzyła oczy. Powietrze stało się gęste, trudno było oddychać. - Mówiłam ci już, nie jestem zwierzęciem.

- Kiedy przychodzi co do czego, wszyscy okazujemy się zwierzętami. Zapewniam cię, że gdy znajdę się w tobie, będzie ci wszystko jedno, czy jestem przyjacielem, czy wrogiem.

Był taki pewny siebie. Jego ton przerażał ją tak samo, jak obrazy, które słowa malowały przed jej oczami. Jared wewnątrz niej, ujeżdżający ją tak, jak dosiadał Kapu. Te twarde, umięśnione uda ściskające ją, podczas gdy...

- Idź sobie - wyszeptała.

Potrząsnęła głową.

- W takim razie nic nie mów. Nie chcę tego więcej słuchać.

- Myślę, że powiedziałem wystarczająco wiele.

Powiedział nazbyt wiele i ona musi o tym zapomnieć, w przeciwnym wypadku zarazi się.

„Masz teraz taki okres, prawda?”

Zaprzeczyła, ale może właśnie dlatego to, co czuła, było takie silne i wymykało się spod kontroli. Jeszcze zanim go spotkała, zdawała sobie sprawę z rosnącej wrażliwości ciała. Tak, na pewno, uchwyciła się tego wyjaśnienia. To nie jego zasługa. Na jego miejscu mógł się znaleźć każdy mężczyzna. Po prostu nadszedł jej czas. Jared był bardziej zmysłowy niż każdy z poznanych dotychczas mężczyzn i zupełnie naturalne, że tak się poczuła. Ale to nie oznacza, że mu się podda.

- Możesz odejść lub zostać - rzekła starając się, by jej głos zabrzmiał całkowicie obojętnie. - Nie dbam o to. Po prostu cię zlekceważę.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się.

Odwróciła głowę i utkwiała oczy w Kapu. Do diabła z Jaredem. Taki pewny siebie, taki przystojny. Nawet nie patrząc na niego, czuła jego obecność. Pamiętała zarys jego ud w obciśłych spodniach, niedbały wdzięk, jego usta...

„Chciałbym zlizać sól z twoich piersi.”

Nie, nie teraz. Nie poczuje już tego. To nie z jego powodu. Powtarzała to w myśli jak zaklęcie przeciw siłom piekielnym. To tylko jej czas.

To nie przez niego.

6

Ciągle tam jest?

Jared odwrócił się mrugając; był oślepiiony słońcem. Nadchodził Bradford - ogolony, z błyskiem w oku, elegancko wciśnięty w beżowe spodnie z kozłej skórki i surdut od Wortha.

- Co robisz o tak wczesnej porze? Podczas całej podróży ani razu nie widziałem cię na nogach przed południem.

- Przesadzasz. Pozwalam się zwlekać przy specjalnych okazjach.

- Ale nigdy nie wstajesz z własnej woli.

- To prawda. Jednak czasami musimy zdobyć się na wysiłek, gdy na horyzoncie pojawia się coś intrygującego.

Jared zeszywniał.

- A cóż cię zaintrygowało tym razem?

- Oj, jakże jesteś zaniepokojony. - Bradford zachichotał. - Jakiego skarbu strzeżesz przed moją występną chciwością? Dziewczyny czy konia?

Jared zmusił się do uśmiechu.

- Oczywiście że konia. Znam twoją namiętność.

- Naprawdę? Szkoda, że tak łatwo mnie przejrzeć. Nie odpowiedziałeś mi jednak. Czy dziewczyna nadal jest w ładowni z naszym czworonożnym przyjacielem?

- Najwyraźniej. O ile ogier jej nie stratował.

- Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe. Nawet oszalały ze strachu pozwolił jej do siebie podejść. Ona napełnia mnie nadzieją.

- Nadzieją? - powtórzył Jared.

- Zawsze ci zazdrościłem umiejętności postępowania z końmi. Zupełnie jakbyś był czarodziejem. Ale czary nie są

dla zwykłych śmiertelników. To, co tobie przychodzi tak łatwo, dla mnie jest niemożliwe.

Jared przyglądał mu się ze zdumieniem. Bradford nigdy o tym nie wspominał.

- Bzdura. Jesteś najlepszym koniarzem, jakiego znam.

- Ale nie jestem kahuną. - Bradford uśmiechnął się. - I prawdopodobnie nigdy nim nie będę. Dziewczyna w ładowni także jest kahuną, ale ma swoją własną moc.

- Jaką moc? - spytał Jared.

- Waham się, czy użyć tego słowa. - Umilkł. - Miłość. - Zadrżał. - Dobry Boże, jakież to niemodne i cliwe uczucie. A jednak daje jej moc, dla nas kłopotliwą i niedostępną. Nie rozumiemy tego i prawdopodobnie ona również. Ale nie wstydzę się odczuwać miłości. Patrząc na nią i na ogiera poczułem się tak, jakby się otworzyły jakieś drzwi.

- I co było za tymi drzwiami? - zapytał drwiąco Jared.

- Nie wiem. Myślę, że nadzieja. Chociaż nadzieja również wyszła z mody i możliwe, że nie umiem jej rozpoznać. - Zatrzymał się przy zejściu do ładowni. - Ale sędzę, że warto zrobić wysiłek, by ją poznać.

- Schodzisz ze mną?

- Nie, zaczekam tutaj. Tam na dole nieprzyjemnie pachnie.

- Takie jest to twoje poznanie.

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem Krzysztofem Kolumbem. - Bradford zamilkł. - Wiesz, ona mi przypomina Josette.

Jared zeszywniał.

- Nie jest do niej ani trochę podobna.

- Och, nie z wyglądu. Ale cechuje ją ten sam upór i zuchwałość. Myślę, że w innych okolicznościach mogłaby stać się równie czarująca.

- Według mnie nie mają nic wspólnego.

- Bo nie chcesz tego zauważyć. Czy to porównanie wprawia cię w zakłopotanie? - spytał łagodnie Bradford.

- Ani trochę. Chociaż jestem przekonany, że taki był twój zamiar.

- Możliwe. Może sam chciałem otworzyć jakieś drzwi. A zresztą może będziemy je rzeczywiście porównywać, gdy się spotkają. - Skrzywił się. - Boże, dopomóż.

- Nie spotkają się - odparł Jared. - Josette nie ma z tym nic wspólnego.

- Ona może być innego zdania. Musimy się przekonać, prawda?

- Nie, ponieważ Josette w ogóle nie wkroczy na scenę. - Jared zamknął drzwi i zadowolony, że uciekł przed stryjem, ruszył schodami na dół. Zdawał sobie sprawę, że go nieświadomie zranił. Był przekonany, że Bradford nie zechciałby, aby bratanek zaprzepaścił swój talent do koni. Czasami wydawało mu się, że ten talent go cieszy. Wydawało się? Pewnie, że go cieszył. Po cóż te wszystkie pytania? To przez Cassie Deville, która wkroczyła w ich życie i rozsiewała wokół siebie niepokój.

Dostrzegł ciemną sylwetkę Kapu.

- Spokojnie - powiedział cicho zapalając latarnię przy schodach - Nie ma się czego bać. - Zbliżył się powoli do boksu. - Znasz mnie. - Gdzieś się, u diabła, podziała ta dziewczyna?

Spała zwinięta w kłębek w kącie boksu, tak wyczerpana, że nie poruszyła się nawet na dźwięk jego głosu. Włosy miała splecione, na policzku smugę, która mogła być zarówno brudem, jak siniakiem. Jej postać wydawała się bardzo krucha. Gdy nie spała, Jared dostrzegał wyłącznie wojowniczość i wyzywające zachowanie, ale teraz sprawiała wrażenie całkowicie bezbronnej, równie młodej i szczerzej jak Josette...

Nie, u diabła, była zupełnie inna. Bradford specjalnie zasiał tę myśl w jego świadomości. Cassie otruła go, oszukała i nawet teraz starała się go wykorzystać we własnych celach. Dla niej nigdy nie będzie czuł tej błogosławionej czułości. Posłuży się nią, tak samo jak ona nim. Nie będzie...

Westchnęła i przez sen przysunęła się do konia. Jeszcze chwila, a ta głupia dziewczyna znajdzie się pod kopytami ogiera. Niech to diabli wezmą!

Na miłość boską, już rano. Idź do kabiny i połóż się do łóżka!

Cassie powoli uniosła powieki i zobaczyła nachmurzonego Jareda. Wrócił. Wołała, żeby tu nie przychodził.

- Słyszałaś?

Jak może nie słyszeć, skoro tak wrzeszczy?

- Muszę zostać przy Kapu.

- Ja zostanę przy twoim cholernym koniu. - Wszedł do boksu i postawił Cassie na nogi. Musiał ją podeprzeć, bo nie mogła utrzymać równowagi. - Wyjdź stąd.

- On mnie potrzebuje.

- Nie... - Urwał widząc wyraz jej twarzy. - Zawołam cię, jeśli będę miał kłopoty. Jestem zbyt samolubny, by spędzić całą podróż na uspokajaniu dzikiego konia. Mam inne plany.

- Wypuścił ją i popchnął w stronę schodków.

- Zjedz coś, wykap się i połóż spać. Nie chcę cię widzieć aż do zachodu słońca.

- Nie pójdę... - Kapiel. Tak bardzo chciała się obmyć z soli. Jared instynktownie użył najlepszego z możliwych argumentów. Spojrzała z wahaniem na Kapu. Wydawał się spokojny, a Jared obiecał, że ją zawoła... - Tylko kilka godzin.

- Do zachodu słońca. - Jared usadowił się na sianie. - Bo cię zamknę w kabinie.

Nie miała najmniejszego zamiaru słuchać jego rozkazów, lecz była zbyt zmęczona, by się z nim sprzeczać. Podeszła do drzwi. - Koniecznie mnie zawołaj, gdyby Kapu...

- Powiedziałem już, że cię zawołam. - Odwrócił się do niej plecami. - Idź już.

Teraz nie pozostało w nim ani cienia jedwabistej zmysłowości. Był szorstki, nadęty i zły. Tym lepiej. Z jego złością radziła sobie znacznie lepiej niż z innymi cechami tej złożonej osobowości.

- Zrobię to, co będę chciała. Wychodzę, bo ja tego chcę. - Wybiegła po schodach i zatrzasnęła za sobą drzwi. Na pokładzie oślepiło ją światło dnia. Chwyliła się drzwi czekając, aż oczy przywykną do blasku.

- Czy mogę pomóc?

Odwróciła się i zobaczyła Bradforda.

- Wyglądasz na cokolwiek roznegliżowaną. Może zechcesz pójść do kabiny i ogarnąć się nieco?

- Gdzie jest Lani?

- Przypuszczam, że w swojej kabinie. Jared dał ci kabinę tuż obok niej. Zaprowadzić cię?

- Nie potrzebuję... - Lecz przecież potrzebowała pomocy. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje kabina Lani, a nie chciała błąkać się po całym statku. - Tak.

- Tędy.

Ruszyła obok niego.

- Chcę się wykapać - rzekła wyniośle. - Pokaże mi pan gdzie?

- Z największą przyjemnością. - Uśmiechnął się. - Lubię,

gdy kobiety mają wobec mnie dług wdzięczności. Nigdy nie wiadomo, jak mi się odwdzięczą.

- Nieważne - rzekła krótko. - Sama znajdę.

Bradford przestał się uśmiechać.

- Tylko żartowałem. Nie musisz się mnie obawiać. Nie jestem twoim wrogiem.

- Kłamiesz. Jesteś jego stryjem. Bratem jego ojca. Chcesz mi wmówić, że nie jesteś wobec niego lojalny?

- Ależ tak. Jestem lojalny. Całkowicie. Ale to nie oznacza, że jesteś moim wrogiem. Bardzo mnie męczy podtrzymywanie tych wszystkich antagonizmów. Chciałbym, abyśmy się zaprzyjaźnili.

- Zaprzyjaźnili? - Spojrzała na niego ze zdumieniem. - Nie możemy być przyjaciółmi.

- Dlaczego? Czeka nas długa podróż i będzie ci znacznie przyjemniej, jeśli będziesz mieć przyjaciela.

- Mam przyjaciółkę. Lani.

- W takim razie zlituj się nade mną - przymilał się. - Ja mam tu tylko Jareda, a on będzie zły i niespokojny jak tygrys w klatce. Mogłabyś czasem spędzić ze mną trochę czasu.

- To nie ja przypłynęłam na wyspę, żeby...

- Ale ty oskarżasz Jareda i wprawiasz go w zły humor. Musisz więc przyjąć na siebie część odpowiedzialności.

- Wprawiam go w zły humor?

- Staram się to ująć delikatnie. Ale sądzę, że nie ma lepszego słowa, by określić stan, w którym się teraz znajduje. - Zamilkł. - Żądza.

Cassie poczuła żar na policzkach.

- Nie, to nie jest właściwe słowo.

- Staram się nie wtrącać, ale musiałem cię ostrzec. Podziwiam odwagę i uważam, że zasługujesz na to, by otrzymać broń na wypadek potyczki.

- Potyczki?

- Starcia, bitwy. - Wzruszył ramionami. - Cokolwiek nastąpi między tobą a Jaredem.

- Pomiędzy mną a pańskim bratankiem nic nie ma.

- Ale będzie. - Pokiwał głową ze smutkiem. - Nie powinnaś go być związywać. Gdy jest spętany, staje się zupełnie dziki. To mu przypomina... - Umilkł.

- Co?

- Nic.

- Co mu przypomina?

Zachichotał.

- Ależ z ciebie uparciuch. To bardzo delikatny temat i nie mam zamiaru zdradzać tajemnic Jareda. - Zatrzymał się przed drzwiami. - Oto twoja kabina. Przyślę ci wannę i kałużę zagrzać wody. Czy ty i Lani zechcecie zjeść obiad w moim towarzystwie?

- Nie.

- Ach, jaka szkoda. - Ukłonił się. - Gdy nadejdzie pora, przyślę kogoś z zapytaniem, czy nie zmieniłaś zdania.

- Nie zmienię zdania.

- Lepiej będzie, jeśli się trochę ugniesz - powiedział poważnie. - Ty i Jared jesteście do siebie bardzo podobni. Uparci, nieustępliwi, niezdolni do kompromisów. Ale on ma nad tobą przewagę i w czołowym starciu ty ucierpisz bardziej. Widzę, że moje słowa nie trafiają do ciebie.

- Nie trafiają.

Cassie i Bradford odwrócili się. Przed drzwiami do sąsiedniej kabiny stała Lani.

- Czemu pan sobie nie pójdzie? Gdzieś w pobliżu z pewnością czeka butelka.

- Jak zwykle. Jakże miło z pani strony, że mi pani o tym przypomniała. - Skłonił się. - Porozmawiaj ze swoją przyjaciółką, panienko. Lani sprawia wrażenie doświadczonej kobiety. - Ukłonił się jeszcze raz i powoli odszedł.

- Wyglądasz okropnie. Jak twój bark?

- Dobrze. - Cassie otworzyła drzwi do kabiny. - Nie mam zbyt wiele czasu. Muszę wracać do Kapu. Na razie jest spokojny, ale nie jestem pewna, jak długo to potrwa...

- Kto przy nim został?

- Danemount.

- A więc masz czas. Dobrze sobie radzi z ogierem - Uśmiechnęła się. - A poza tym na pewno odczuwasz satysfakcję wykorzystując swego wroga w charakterze chłopca stajennego. - Weszła do kabiny. - Dokonałaś wielkiego wyczynu. Ciesz się.

- Dlaczego tak mówisz? Zupełnie jak lord Bradford.

- Spodziewałaś się, że będę cię okłamywać? Mam ci powiedzieć, że Danemount da się wykorzystać i bezinteresownie doprowadzi cię do ojca? Obydwe dobrze wiemy, że to nieprawda.

- Jestem jego zakładniczką.

- Wierzysz, że tylko dlatego wziął cię ze sobą? Masz mnie

za głupią lub sama jesteś niemądra. On chce cię zawlec do łóżka. I widzę, że już poczynił postępy w tym względzie.

- Nie pójdę z nim do łóżka. - Cassie podeszła do kufra i otworzyła wieko. Nie patrząc na Lani wyjęła czystą bieliznę i suknię. - Jeśli tak sądzi, to jest głupi.

Lani znieruchomiała.

- A sądzi?

Cassie skinęła głową.

- Mówiłam ci, że to szaleniec. Szalony, arogancki i pozbawiony...

- Nie jest szalony. Wydaje mi się, że ma wielkie doświadczenie i jest bardzo spostrzegawczy. Co oznacza, że musi mieć swoje powody, by sądzić, że mu ulegniesz. Co do niego czujesz?

- Co czuję? On chce zabić mego ojca.

- Ale wydaje ci się pociągający?

- W żadnym razie.

- Bo to byłaby zdrada wobec Charlesa? - podsunęła Lani. - Czujesz pożądanie i to cię zawstydza?

- Nie czuję... - Umilkła i zagryzła wargi. Nigdy nie okłamywała Lani i teraz także nie chciała kłamać. - Nie chcę tego odczuwać. - Wyszepiała. - To nie chodzi o niego. Powiedziałaś mi, że to mój czas na znalezienie partnera. To, co czuję, nie ma z nim nic wspólnego.

- W takim razie nie ma powodu, byś odczuwała wstyd.

- On mówi, że namiętność jest pozbawiona rozsądku, a tak być nie powinno. Nie dla mnie. Muszę być zdolna powściągnąć takie uczucie.

- Jesteś dla siebie zbyt surowa - ofuknęła ją Lani. - Powtarzałam ci wiele razy, że stosunek z mężczyzną nie musi nic oznaczać. Mija i po pewnym czasie nie ma żadnego znaczenia. Ale jest to akt całkowicie naturalny, tak samo jak pożądanie. Nigdy nie wiemy, kiedy je zaczniemy odczuwać. Jeszcze trochę, a będziesz wygłaszać kazania na temat grzechu. Jak Klara.

- Ty nie myślisz, że... - Cassie szukała słów. - Tatuś.

- Czując żądzę wcale go nie zdradzasz. Danemount to wspomniały okaz samca, a to, co zakazane, ma dla kobiety największy urok. - Lani objęła ją i zajrzała w oczy. - Czy bez względu na to, co czujesz, zrobiłaś wszystko, by ratować swego ojca?

Cassie spojrzała na nią zdumiona.

- Oczywiście.

- W takim razie przestań się zadrezczać.

Lani jak zawsze dotarła do samego sedna prawdy. Cassie roześmiała się i uściskała ją.

- Nie będę. Tylko że czasami... czasami sama siebie nie rozumiem.

- To nic dziwnego po tym, jak Klara i twój ojciec starali się wychować cię na swój dziwny zagraniczny sposób.

- Tatuś nie - odparła szybko Cassie. - Jak możesz coś takiego mówić?

- Bo to jest prawda. Dla mnie i dla pozostałych mieszkańców wyspy Charles na zawsze pozostanie obcokrajowcem. Ale to nieważne. I tak go kocham. I jestem zadowolona.

„Gdyby miał dla niej równie wiele szacunku co ty, ożeniłby się z nią.”

Słowa Lani przypomniały Cassie zarzut Danemounta. Lecz Lani zawsze powtarzała, że ślubne przysięgi nie mają dla niej żadnego znaczenia. Teraz Cassie po raz pierwszy miała co do tego wątpliwości.

- On cię kocha, Lani.

- Ale nie rozumie mnie i nie akceptuje. - Na twarzy Hawajki pojawił się rzewny wyraz, lecz po chwili zastąpił go wymuszony uśmiech. - Ale dał mi przyjaciółkę, która mi to rekompensuje... o ile nie zapomina o moich naukach i nie głupieje.

- Postaram się nie głupieć. Sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Dorastasz. Kiedy jest się dzieckiem, wszystko wydaje się proste i jasne. A potem na jakiś czas sprawy się komplikują. Chwała Bogu, jasność powraca w odpowiedniej chwili. Ale u ciebie przebiega to gwałtowniej. Jeśli chcesz ratować Charlesa, rozsądek i jasność widzenia muszą ci powrócić natychmiast.

Rozległo się stukanie do drzwi.

- To twoja kąpiel - dodała Lani i otworzyła drzwi, by wpuścić niosącego wannę marynarza. - Przyniosę olejek kokosowy i natrę cię po kąpieli. Skórę masz jak suszona ryba.

Odwróć się - powiedziała Lani przykucając obok koi. - Natrę ci plecy i stłuczony bark.

- Nie musisz tego robić - zaprotestowała Cassie bez prze-

konania. Przyjemnie było poczuć się czystą, a dotknięcie Lani sprawiło jej wielką przyjemność. - Mogę się sama nasmarować.

- Mnie jest łatwiej. A poza tym, gdy jestem zajęta, lepiej mi się myśli. - Ręce Lani poruszały się wolno i delikatnie. - Masz napięte mięśnie. Odpręż się.

Cassie była bliska zaśnięcia, gdy Lani odezwała się niespodziewanie:

- Być może będę musiała przespać się z Anglikiem.

Cassie zeszywniała.

- Co? Z lordem Bradfordem?

- Nie. Z księciem. Stryj nie jest dla nas niebezpieczny. Jeszcze się nie zdecydowałam, ale to może się okazać najrozsądniejszym pociągnięciem.

- Mówisz bez sensu - odparła oszołomiona Cassie. Musiała się przestyszeć. Lani powiedziała to tak obojętnie, jakby stwierdziła, że zasadzi na wiosnę pomidory. - Dlaczego miała-byś to zrobić?

- Nie powiedziałam, że mam na to ochotę. Powiedziałam, że to może być najrozsądniejsze posunięcie. Walcząc z nim nic nie zyskamy. Lepiej będzie, jeśli dostosujemy się do oczekiwań Danemounta.

- Niemożliwe.

- Nie ma rzeczy niemożliwych. Idąc do łóżka z mężczyzną, kobieta może wpłynąć na jego postępowanie. - Lani delikatnie masowała bark Cassie. - Stłuczenie nie jest tak groźne, jak się obawiałam. Masz szczęście, że nie pękła ci kość.

Cassie była tak zajęta własnymi myślami, że prawie jej nie słyszała.

- Nie możesz tego zrobić. Nie zmienisz tym jego zamiarów. Wykorzysta cię i nadal będzie szukał tatuścia.

- I tak nic nie stracę. Nadal będę panią swego ciała, a o Angliku zapomnę i ruszę swoją drogą. Poza tym możesz się mylić. Obcokrajowcy mają dziwne podejście do seksu. Traktują go nie tylko cieleśnie. Danemount jest szorstki, ale nie pozbawiony łagodności. Stryja traktuje z wielką czułością. Tak, to może się okazać wielce przydatne. Jeśli pójdę z nim do łóżka, moje szanse na dowiedzenie się, co nas czeka we Francji, będą znacznie większe, niż gdybym mu zamknęła drzwi przed nosem. A takie informacje mogą się nam bardzo przydać. Nawet jeśli nie uda mi się go przekonać, by nie

zabijał Charlesa, może mu to sprawić większą trudność po intymnym stosunku z jego kochanką. A to już wiele.

- To bardzo głupi pomysł - rzekła Cassie. - Tatuś na pewno by go nie aprobował.

- To prawda. - Lani westchnęła. - Charles ma dziwne podejście do swego prawa własności. Dlatego, odkąd do niego przyszedłam, nie oddałam się żadnemu innemu mężczyźnie. Więc jeśli to zrobię, lepiej będzie, żeby się o tym nigdy nie dowiedział.

- Nie zrobisz tego. Wiem, że nie zrobisz.

Lani uśmiechnęła się pogodnie.

- Zrobię, jeśli uznam, że to konieczne.

- Robisz to dla mnie.

Lani wstała i sięgnęła po koc, aby obwinąć nim Cassie.

- Żeby cię wyratować przed zalotami tego złośliwego dra-nia? Nie opowiadaj głupstw. Jesteś wystarczająco silna, by sobie z nim poradzić. A poza tym teraz nie chodzi o żadną z nas. Zrobiłabym to dla Charlesa. - Pochyliła się i ucałowała Cassie w czoło. - Teraz prześpij się parę godzin, a ja pójdę do lorda Bradforda i powiem mu, że zjemy z nim obiad z najwyższą przyjemnością. Być może dowiemy się czegoś przydatnego.

- Na przykład, jak przypodobać się jego bratankowi? - spytała uszczypliwie Cassie. - Jesteś o wiele ładniejsza od Lihui. Z pewnością nie miałabyś z tym kłopotów.

- Może troszeczkę. Teraz poczuł namiętność do ciebie, więc i to z pewnością zmniejszy jego zainteresowanie innymi kobietami. Ale mężczyzna rzadko kiedy odmówi pójścia do łóżka.

A już z pewnością nie tak pięknej kobiecie jak Lani, pomyślała Cassie odczuwając niespodziewaną przykrość.

- Śpij dobrze. - Lani wdzięcznym krokiem podeszła do drzwi. - Przyjdę po ciebie przed obiadem.

- Lani!

Hawajka odwróciła się; stała z ręką na klamce.

- Nie rób tego. Jeśli tatuś się dowie, będzie bardzo zły i... - Umilkła.

- I przegna mnie? Czasami trzeba podjąć ryzyko. Ty nic nie powiesz Charlesowi. Nie sądzę również, by Danemount zechciał się mścić w taki sposób.

- Nic o nim nie wiesz - rzekła zrozpaczona Cassie.

- Wygląda na to, że będę się musiała wiele dowiedzieć. Nie denerwuj się tak. Wszystko będzie dobrze. - I wyszła z uśmiechem.

Nie denerwuj się. Cassie cała się trzęsła. Drżała ze strachu i zaskoczenia... i wściekłości. Tak, wściekłości. Lani myliła się. To nie był sposób na to, by pomóc tatusiowi. Lani nie powinna się tak bardzo poświęcać i...

Cóż, dla Lani to wcale nie będzie poświęcenie. Miłość i seks to dla niej całkowicie odrębne sprawy i przespanie się z Jaredem nie sprawi jej przykrości. Może się nawet okazać przyjemne.

Wściekłość Cassie wzrosła jeszcze bardziej, gdy wyobraziła sobie Lani w koi Danemounta. Jared z rękami na jej piersiach, porusza biodrami...

Nie!

Odetchnęła głęboko i starała się pozbyć tej wizji. „Ale u ciebie przebiega to gwałtowniej. Jeśli chcesz ratować Charlesa, rozsądek i jasność widzenia muszą ci powrócić natychmiast.”

Bardzo dobrze - wściekłość Cassie częściowo wynikała z zazdrości. Jej ciało czuło się oszukane, bo wyparła się go. Było to prymitywne odczucie nie mające nic wspólnego z rozsądkiem. Ale Lani powtarzała jej, że to żaden wstyd, o ile w trakcie tego, co czyni ciało, oddzielone jest ono od ducha i umysłu.

Musi pogodzić się z tą myślą.

Zamknęła oczy i siłą rozluźniła mięśnie. Musi się pozbyć obrazu splełanych ciał Lani i Jareda...

- Ach, mile damy. Więc jednak postanowiłyście ulitować się nade mną. - Bradford wstał od przykrytego adamaszkiem stołu i wysunął krzesło dla Lani, a potem dla Cassie. - Miałem taką nadzieję.

- Inaczej nie kazałby pan przygotować dwu dodatkowych nakryć - odparła sztywno Lani strzepując serwetkę. - A poza tym nasze przybycie nie ma nic wspólnego z litością.

- Nie? A ja sądziłem, że zawdzięczam to litości. - Bradford skinął na stojącego przy drzwiach służącego, by zaczął podawać. - Bo z jakiego innego powodu wybrałyby pani towarzystwo człowieka wystarczająco starego, by być pani ojcem?

- Klara powiedziałyby, że nie ma to nic wspólnego z wybo-

rem. Według niej uwodzę mężczyzn swoimi barbarzyńskimi sztuczkami. - Uśmiechnęła się. - Na naszych wyspach wierzymy, że wiek nie stanowi przeszkody, może tylko uczynić akt jeszcze piękniejszym.

- Lani kocha mego ojca - wtrąciła się Cassie. - Więc pańska uwaga była bardzo nie na miejscu.

- Owszem - przyznał Bradford i sięgnął po butelkę brandy. - Nie do wiary, zazwyczaj jestem bardzo uprzejmy.

Lani spojrzała na butelkę.

- Jest pan w stanie o tym pamiętać?

- Sugeruje pani, że mam przeżarty mózg? Jeszcze nie. Dopóki nie zapadnie noc, jestem ostry jak ostrze szabli. - Uśmiechnęła się z zaskakującą słodyczą. - Teraz na przykład doskonale zdaję sobie sprawę, że przyszyście tu nie dla mojego towarzystwa. Ale wybaczam to wam.

- Przebacza nam pan?

- Macie zamiar wyciągać ode mnie informacje, prawda?

Lani zawahała się, a potem rzekła hardo:

- Tak.

- Cała przyjemność po mojej stronie... do pewnych, jednak, granic. - Pociągnął duży łyk brandy. - Powiedziałem już pani przyjaciółce, że nie mogę patrzeć, jak Jared walczy z pozbawionym broni przeciwnikiem. Uważam, że mu to uwłacza. To uczciwy człowiek.

- Nie wierzę - rzuciła beznamiętnie Cassie.

- A powinnaś. Przekonasz się, że jest przesadnie uczciwy. Widziałem kiedyś, jak wycofał się z wyścigu, który rozpaczliwie pragnął wygrać, ponieważ podejrzewał oszustwo. Jest niezwykle ceniony w kręgach hippicznych. Przekonasz się, gdy dotrzemy do Anglii.

- Do Anglii? Nie mam zamiaru docierać do Anglii.

- A więc bardzo źle się składa, bo ten statek płynie do Anglii - rzekł Bradford. - Jared uznał, że mamy trochę czasu, zanim Deville dotrze z Ameryki do Francji, więc rozsądniej będzie zatrzymać się w Morland. Gdy jego ludzie doniosą mu, że twój ojciec pojawił się we Francji, my także tam popłyniemy.

- I mamy czekać w Morland? - spytała Cassie.

- Taki jest jego plan. Żałuję, że nie spotkał się z twoim uznaniem.

- Oczywiście że nie. - Decyzja Jareda wytrąciła ją z równo-

wagi. O wiele łatwiej byłoby jej uciec na ziemi francuskiej. Zaplanowała sobie, że ucieknie natychmiast, gdy dobiegą do brzegu. Ale jak się przedostanie przez kanał La Manche, by dotrzeć do Paryża?

- Ale pogodzimy się z tym - rzekła Lani i zachęcająco ucisnęła dłoń Cassie. - Prawda?

Cassie skinęła głową.

- Oczywiście, jak daleko od morza jest Morland?

Bradford roześmiał się.

- Masz zamiar przepłynąć? Nie radziłbym ci. Nasze północne morza są znacznie zimniejsze od waszych południowych.

- Jak daleko?

- Dość blisko - odparł ciągle rozbawiony. - Morland leży na skarpie nad kanałem.

Tym lepiej. Nie może się zniechęcać byle przeszkodą.

- Jak długo tam pozostaniemy?

- Miesiąc? Dwa? Kto wie?

Miesiące... To bardzo długo, lecz będzie je mogła obrócić na swoją korzyść. Danemount na pewno będzie otrzymywał wieści od swoich ludzi we Francji. Może uda jej się przechwycić jakieś informacje.

- Czy książkę przyjdzie na kolację? - spytała Lani.

Cassie znów poczuła napięcie. Przypomniał jej się okropny pomysł Lani.

- O ile ogier będzie wystarczająco spokojny, by mógł pozostać bez opieki. Czy zechcecie towarzyszyć nam również przy kolacji?

- O, tak - odparła z uśmiechem Lani.

- A ty? - Bradford zwrócił się do Cassie.

No nie, nie zasiądzie do stołu z Jaredem, by przyglądać się, jak będzie ulegał czarowi Lani. Zostanie z Kapu.

- Owszem, przyjdę. - Własne słowa zdziwiły ją jeszcze bardziej niż Bradforda. Wiedziała jednak, że teraz nie może się już wycofać. Nie zostanie w ładowni nie wiedząc, co Lani robi z Danemountem. - Jeżeli Kapu będzie sobie radził beze mnie.

- Miejmy nadzieję, że nie pozbawisz nas swojego towarzysstwa.

Cassie spojrzała na Lani i stwierdziła, że przyjaciółka przygląda się jej z zaciekawieniem. Trudno jej się dziwić; Cassie dziwiła się sama sobie.

- Proszę nam opowiedzieć o Morland. - Lani zwróciła się do Bradforda. - Chciałabym wiedzieć więcej niż tylko to, że jest tam zimna woda.

Tego wieczoru Lani ubrała się w suknię z złotego jedwabiu, która zmieniała ją w strojnego rajskiego ptaka. Podczas kolacji promieniała. Uśmiechała się i opowiadała zabawne historyjki z życia na wyspie oraz tamtejsze mity. Cassie nigdy jej takiej nie widziała. Z dala od przytłaczającej obecności Klary rozkwitła niczym złota orchidea. Zabawiała i intrygowała obydwo mężczyzn urzekając ich swoim wdziękiem. Bradford żywo reagował na jej opowieści. Nawet Jared odpreżył się i okazywał oznaki dobrego humoru.

Cassie przyglądała mu się zafascynowana. Pochylał się ku Lani. Ciemny, cyniczny, ale całkowicie swobodny, nie spuszczał z niej oczu. Tak zachowuje się w swoim zwykłym otoczeniu, myślała Cassie, siedząc przy stole w Brighton czy Londynie.

Gdy kolacja dobiegała końca, a Lani rozmawiała z Bradfordem, Jared zwrócił się do Cassie. - Wcale się nie odzywasz. Przesiedziałaś cały wieczór tylko patrząc i nie powiedziałaś jednego słowa. Czy powinienem się obawiać, że znów planujesz otrucie mnie?

- Nie. - W cieniu Lani czuła się cicha i szara jak myszka. - Nie mam ochoty na rozmowę.

- Zachowujesz się jak nieobecna. Po co tu przyszłaś?

- Muszę gdzieś jadać.

- A więc wybrałaś mój stół?

- Lord Bradford nas zaprosił.

Spojrzał na nią, a potem na Lani.

- Twoja przyjaciółka wspaniale dziś wygląda i najwyraźniej stara się być... czarująca.

- Tak.

- Śliczna suknia.

- Tatuś mi ją kupił.

- Jak to miło z jego strony. - A potem dodał z nieoczekiwaną brutalnością: - Musiał sobie zadać wiele trudu, by wyszukać coś takiego. To, co masz na sobie, jest obrzydliwe. Nie masz innych sukien?

- Mam, ale wszystkie wyglądają podobnie. - Miała na sobie tę samą suknię z szarego jedwabiu, którą nosiła ostatniej

nocy na wyspie. Dziwne, że uwaga na tak błahy temat mogła jej sprawić tak wielką przykrość. - Klara je wybierała. Tatuś wie, że dla mnie nie ma to znaczenia.

- A powinno. - Wypił łyk wina. - Wyglądasz jak mumia. TQ profanacja.

- W takim razie niech pan na mnie nie patrzy - odparła.

- Muszę na ciebie patrzeć. - Odstawił zdecydowanie kieliszek. Kilka kropel wina kapnęło na stół plamiąc obrus z adamaszku. - I dlaczego, u diabła, nie kłócisz się ze mną? Chora jesteś?

- Nie. - Ale może istotnie była chora. Na widok Lani odczuwała przygnębienie i bezsilność. Nie mogła tego dłużej znieść. Gwałtownie odsunęła krzesło. - Niepotrzebnie tu przyszłam. Muszę iść zobaczyć, co z Kapu.

- Nie, nie musisz. Wysłałem tam jednego z moich ludzi. - A widząc w jej oczach przerażenie, dodał: - Trzyma się z daleka od zwierzęcia. Ma tylko patrzeć i przyjść po mnie, w razie gdyby koń stał się niespokojny.

Cassie westchnęła z ulgą. Miała dosyć kłopotów.

- Niepotrzebnie. Przebiorę się i zaraz do niego zejdę.

- Powiedziałem, że nie musisz - odparł Jared. Jeszcze chwila i zaczniesz przeklinać.

Nie zwracając na niego uwagi skłoniła głowę w kierunku Bradforda, pożegnała się z Lani i wybiegła z jadalni.

Danemount dogonił ją, zanim dotarła do drzwi swojej kabiny.

- Dlaczego? - zapytał z ponurym wyrazem twarzy. Położył jej dłoń na ramieniu i odwrócił ją ku sobie.

Jego ręka była ciężka i ciepła, a dotyk sprawił Cassie w zakłopotanie. Strząsnęła ją i odsunęła się od Jareda.

- Powiedziałam już, dlaczego muszę iść do Kapu - odparła wbijając wzrok w węzeł jego krawata. - On mnie potrzebuje.

- Dobrze wiesz, że nie o to pytam. Dlaczego twoja przyjaciółka Lani jaśniej niż kryształowy świecznik i obsypuje nas uśmiechami i słodkimi słówkami?

- Co za różnica? Wyglądacie obaj na bardzo zadowolonych.

- Oczywiście. To czarująca kobieta... i uczciwa. Dlatego właśnie nie wiem, co o tym myśleć.

- Bez obawy. Nie otruje was. Bardzo się na mnie gniewała, że dodałam wtedy laudanum do kremu. - Chciała odejść, ale ją przytrzymał. - Proszę mnie puścić.

- Za chwilę. Spójrz na mnie.

- Nie chcę. Dosyć się napatrzyłam podczas kolacji.

- Najwyraźniej wolisz wpatrywać się w swego konia.

- Tak.

- Chryste! - Jared westchnął i powiedział przesadnie akcentując słowa: - Dobrze. Nie będziemy rozmawiać o Lani. Powiedz mi, dlaczego przyszłaś na kolację?

- Popełniłam błąd.

- I co spowodowało pomyłkę?

- Chciałam zobaczyć... - Co? Lani w przebraniu Wenus? Ulegającego jej wdziękowi Danemounta? Jeżeli tego właśnie pragnęła, ma, czego chciała. Ale dlaczego czuła się taka zakłopotana i przygnębiona? - Sama nie wiem.

- Myślę, że doskonale wiesz.

- Nie. - Wyrwała mu się. - Nie chcę na ten temat rozmawiać. Proszę zostawić mnie w spokoju.

Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu, a potem rzekł:

- O, Boże, gdybym tylko potrafił.

Odwrócił się i odszedł.

Od Cassie i od Lani - pięknej i wspaniałej Lani, która ofiarowała mu znacznie więcej niż słodki uśmiech, gdyby o to poprosił.

Weszła do kabiny. Lani robiła to, co uważała za słuszne. Lani była najmądrzejszą spośród znanych jej osób. Skoro myśli, że w ten sposób może pomóc tatusiowi, Cassie nie może się temu sprzeciwić.

Więc dlaczego tak cierpi? To nie ma żadnego sensu...

Grzmot, groźny i przeciągły...

Gwałtownie uniosła głowę i spojrzała na horyzont. Piorun? Nad głową świecił jasny księżyc, ale dalej widać było skłębione chmury.

- Nie, nie zbliżajcie się - wyszeptwała. Burza oznaczała kołysanie i huk. Podczas burzy Kapu szalał z przerażenia. A w ciasnym boksie poczuje się jeszcze bardziej zagrożony niż wtedy, gdy go wciągali na statek. Jeżeli się wystraszy, może sobie złamać nogę lub rozbić głowę...

Do diabła, szkoda czasu na przebieranie się.

Odwróciła się i pobiegła w kierunku zejścia do ładowni.

7

Grzmot. I następny. Bliżej. Już nie pomruk, lecz ryk. Jared spojrzął na rozdzierającą nocne niebo błyskawicę.

Cholera, miał nadzieję, że burza przejdzie bokiem. Nie miał najmniejszej ochoty na powrót do ładowni i spotkanie z Cassie Deville. Potrzebował samotności, by zastanowić się nad słowami Bradforda. Teraz byliby towarzyszami dzielącymi wspólne niebezpieczeństwo, a on nie pragnął tej przeklętej kobiety na towarzyszkę. Chciał ją mieć w łóżku.

Następna błyskawica rozświetliła niebo.

Nie pójdzie do niej. Zapewniała go przecież, że utrzyma konia bez niczyjej pomocy.

Wiatr wzmagał się i targał żaglowcem.

Nie musi tam schodzić. Wyśle marynarza, by sprawdził, czy w ładowni wszystko jest w porządku.

Statek zadrżał wstrząśnięty hukami pioruna.

- Niech to diabli!...

- Spokojnie, Kapu. Nie bój się. Burza niedługo minie - powtarzała Cassie obejmując szyję konia. Ogier próbował stanąć dęba i rozdymał nozdrza.

- Uspokój się.

- Odsuń się od konia. - Cassie odwróciła się. U szczytu schodów stał Jared.

Bosy, w rozchełstanej koszuli, z rozwianymi włosami i z ponurym wyrazem twarzy. Cassie poczuła ulgę. Nie była sama. Jared już raz pomógł jej wyratować konia - może uda mu się i teraz.

- Nie mogę go zostawić. Jest wystraszony.

Jared zdusił przekleństwo. Zszedł do boksu i zbliżył się do konia z drugiej strony. Teraz Kapu uspokoił się, pomyślała Cassie z nadzieją.

Rozległ się trzask pioruna!

Kapu stanął dęba unosząc uczeploną jego szyi dziewczynę!

Jared oderwał jej ramiona od szyi konia i odepchnął Cassie na bok. Wyciągnął zza pasa kawałek materiału i podał go Cassie.

- Zawiąż mu oczy - rozkazał.

Czarny jedwab. Cassie rozpoznała krawat Danemounta. Zawałała się.

- Będzie czuł kołysanie statku, ale nie będzie widział wirującego wokół niego świata. - Zbliżył się do konia. - Pośpiesz się!

Żeby tylko nie uderzył piorun, modliła się Cassie, jeszcze kilka minut.

Kapu odsuwał się od niej.

- Błagam... - Nie wiedziała, czy zwraca się do Boga, czy do ukochanego konia.

Wszystko na nic, pomyślała z rozpaczą.

Wzięła głęboki oddech i wskoczyła na grzbiet Kapu.

- Jezu Chryste! - Usłyszała okrzyk Jareda. - Nie powiedziano, żebyś...

- Spokojnie - przemawiała obejmując konia. A potem pochyliła się i przesłoniła mu oczy. - Szybko. Zawiąż końce.

Jared nie protestował. Błyskawicznie zrobił węzeł.

Cassie czekała wstrzymując oddech.

Zorientowawszy się, że zakryto mu oczy, Kapu uniósł się na tylnych nogach. Opadł ciężko na podłogę i zaczął się kręcić w kółko!

Jared głąskał go i uspokajał. Cassie przywarła do grzbietu konia. Żeby tylko nie strzelił piorun, modliła się, zanim koń przywyknie do ciemności.

Statek przechylił się gwałtownie i zaskrzypiał, lecz burza przycichła.

Minuta. Dwie minuty. Każda sekunda była darem niebios.

Kapu uspokajał się, przywykał do ciemności.

- Zsiądź. - Głos Jareda nadal miał łagodne i pieszczotliwe brzmienie, lecz Cassie wyczuła ukrytą w nim groźbę. - Do diabła, nie dosiada się konia w czasie burzy.

- Ja dosiadam - odparła takim samym tonem. - Kapu lubi,

gdy na nim siedzę, to go uspokaja. Przestań mi mówić, co mam robić, i przemawiaj do konia.

- On i tak nie wie, kiedy zwracam się do niego, a kiedy do ciebie.

- Wie doskonale.

Trzask pioruna.

Kapu stanął dęba!

- Jesteśmy przy tobie. Nie bój się. Nie pozwolimy cię skrzywdzić.

Kapu opadł na cztery nogi. Cassie zamknęła oczy i czekała.

Koń drżał, lecz stał nieruchomo.

Jeszcze jeden piorun.

Prawdziwy cud, koń ani drgnął.

Najgorsze minęło. Dzięki Bogu. Cassie poczuła łyzy na polickach.

Burza trwała jeszcze dwie godziny.

- Zsiądziesz? - spytał Jared, kiedy ostatni grzmot ucichł w oddali.

- Nie wiem, czy dam radę - odparła znużona. Po napięciu ostatnich godzin bolały ją wszystkie mięśnie.

Jared obszedł Kapu i zdjął Cassie z jego grzbietu.

Musiła przytrzymać się końskiej grzywy.

- Dziękuję - wyszeptła.

- Jesteś szalona. - Jared spojrzał na nią płonącymi oczami.

- Zdziwię się, jeśli dożyjesz dwudziestu lat. To było bardzo niebezpieczne.

- Inaczej nie zakryłabym mu oczu. - Poklepała konia i zanurzyła twarz w jego grzywie. - Przeżyłeś trudne chwile.

- Ani w połowie tyle, co twoja pani.

Cassie zlekceważyła uwagę Jareda.

- Skąd wiedziałeś, że trzeba mu było przestronić oczy?

- Jako chłopiec miałem konia, który nie znosił burzy - odparł odsuwając Cassie na bok. - Strasznie się spocił. Usiądź sobie, a ja go wytrę.

- Mogę to zrobić sama.

Spojrzał na jej zniszczone ubranie.

- Twój strój będzie wkrótce cały w strzępach, a mówiłem ci już, jak bardzo lubię tę szarą suknię.

Nie protestowała. Opadła na stertę siana i oparła się plecami o ścianę.

Jared sięgnął po szmatę i zaczął osuszać sierść Kapu.

- Nic mi nie odpowiesz?

- Co miałabym powiedzieć? Nie obchodzi mnie, co Wasza Wysokość sądzi o moich sukniach. A Lani uważa, że powinienam być dumna, skoro udało mi się wykorzystać wroga jako chłopca stajennego.

- Lani to mądra kobieta. Nie sądzisz jednak, że skoro zatrudniasz mnie na tak skromnym stanowisku, powinnaś zwracać się do mnie po imieniu?

- Możliwe. - Przyglądała się, jak chodził wkoło konia. Szybko, sprawnie, a jednak łagodnie. Był smukły, umięśniony i pełen wdzięku. Mógł pełnić rolę chłopca stajennego, ale nie było w nim cienia służalczości. Bosy i rozczochrany wyglądał raczej na zajmującego się własnym wierzchowcem wojownika. W wycięciu koszuli widać było ciemne, porastające pierś włosy. Dotykała tej piersi, czuła, jak pod jej palcami napinały się mięśnie jego brzucha i...

- Czemu tak na mnie patrzysz? - spytał.

Gorączkowo szukała odpowiedzi.

- Jesteś bosy.

- Śpieszyłem się do ciebie - odparł powoli. - Przepraszam, jeśli to rani twoje poczucie przyzwoitości.

- Nie o to mi chodzi. To po prostu niezdrowo... - Zająknęła się idiotycznie. - I nie ma nic wspólnego z poczuciem przyzwoitości. Ja często chodzę na bosaka.

- Zauważyłem, że obnażasz nie tylko stopy - odrzekł znacząco. - Chociaż oglądając cię w tym całunie nikt by się tego nie domyślił.

- Nie będziesz mnie więcej oglądał w tym stroju. Suknia jest do niczego - odparła wpatrując się w jego stopy.

- Tym lepiej.

Obydwoje zamilkli. Wsłuchiwali się w cichnące pomruki burzy.

- Wystarczy - odezwał się w końcu Jared. Odłożył szmatę i poklepał Kapu po szyi. Ogier cicho zarżał i przytknął pysk do nagiej piersi Jareda. Danemount roześmiał się, odepchnął konia i zwrócił się do Cassie. - Jeszcze coś?

- Nie rozumiem.

- Co jeszcze mam zrobić? - powtórzył padając przed nią na kolana. - Lani powiedziała, że masz się mną wysługiwać. A ty przecież zawsze jej słuchasz.

- Zazwyczaj. - Oblizła wargi. - Ona zwykle miewa rację.

- Więc na co czekasz? Wykorzystaj swego wroga - zachęcał ją łagodnie. Chwylił jej rękę i pogłaskał kciukiem wewnątrz dłoni. - Ja także mam taki zamiar.

Czuła, jak każde dotknięcie Jareda budzi w jej ciele falę gorąca. Miała ściśnięte gardło i z trudem oddychała. Był tak blisko, że czuła jego zapach i ciepło.

- Puść mnie - wyszeptwała.

- Nie trzymam cię. W każdym razie nie tak jak bym tego pragnął. Dotykam tylko twojej dłoni. - Przesunął dłoń troszkę wyżej.

Nieprawda. Trzymał ją. Czuła się tak, jakby ją przykuł łańcuchem do podłoża. Ogarnęła ją dziwna słabość.

Jared uniósł dłoń Cassie i przy każdym słowie muskał jej skórę gorącym oddechem.

- Widziałaś, jaki ze mnie dobry stajenny. Kapu jest bardzo zadowolony z mego masażu. Chciałabyś, żebym cię też tak wymasował?

Cassie spojrzała na niego zdumiona.

- Najpierw zdjąłbym z ciebie ten zakonny strój. - Dmuchał leciutko na wewnątrz jej dłoni. - I ułożyłbym cię na sukni, żeby siano nie kłuło twojej delikatnej skóry...

Zaczęła drzeć jak w gorączce.

- Nie...

- Wolałabyś szorstkie podłoże? - Polizał skórę na jej nadgarstku. - Jak sobie życzysz. Zrobię wszystko, czego zażadasz. Tylko daj mi to, czego pragnę.

- Niczego od ciebie nie chcę. Nie... - Przerwała. Przebiegł ją dreszcz. Jared lizał jej nadgarstek delikatnie i zmysłowo, jakby to był jakiś egzotyczny przysmak.

Chętnie zlizalibyśmy sól z twoich piersi, przypomniała sobie słowa Jareda. Co to się dzieje? Dlaczego nie może się poruszyć? Czyżby rzucił na nią jakiś urok? Kahuną, piękny uwodzicielski kahuna...

- Brutalnie lub łagodnie. Wybór należy do ciebie.

Cassie załała się purpurowym rumieńcem.

- Pragnę rozsunąć twoje uda i dotykać cię, wejść w ciebie. Poczujesz się jak nigdy dotąd. Polubisz mój dotyk tak samo jak Kapu. Pozwól mi tylko...

- Nie. - Chciała, by jej odgłos zabrzmiał stanowczo, lecz wydała się sobie przed sobą słaba i trzęsliwa. Nie. Ależ nie może być...

Cofnęła rękę i odsunęła się. - Jak śmiesz sądzić, że zgodziłabym się na coś takiego? Nie mam na to najmniejszej ochoty.

- Wobec tego musimy pójść na kompromis. W ciągu minionych lat przywykłem do kompromisów. Nie zawsze można mieć wszystko, czego się pragnie. Zauważyłaś to chyba mieszając z ojcem i słodką Klarą Kidman.

- Nie wierzę, byś kiedykolwiek komuś ustąpił - odparła Cassie.

- To się mylisz. - Uśmiechnął się cynicznie. - Nie dalej jak dwie minuty temu zrezygnowałem z rzucenia cię na siano i...

Westchnęła gwałtownie.

- Nie patrz tak na mnie. Nie miałem zamiaru cię zmuszać. Ale, do diabła, nie nawykłem do życia w celibacie i nie mogę się wyrzec... - Wstał. - Więc lepiej będzie, jeśli ustąpisz z własnej woli. Tej nocyomal cię nie posiadłem. Jeśli nie chcesz się przyznać przede mną, bądź chociaż uczciwa wobec samej siebie.

- Nie mogę - odparła zamierającym głosem.

- Dojdźmy wreszcie do porozumienia. Zanim ta podróż dobiegnie końca, znajdziesz się w moim łóżku. Z własnej woli. Nie wiem, jak to sobie wytłumaczysz, ale tak się stanie. - Podszedł do schodów i westchnął. - Pomyśl o tym - dodał i zostawił Cassie samą.

Skrzyżowała ramiona na piersi i starała się opanować drżenie. Jared się myli. Nie miała zamiaru ulec tej fizycznej namietności. Była oszołomiona, to prawda, i okazała mu to, ale tylko na skutek zmęczenia i napięcia...

Jeśli nie chcesz się przyznać mnie, bądź przynajmniej uczciwa wobec samej siebie.

W twoim przypadku jest inaczej. Musisz jasno myśleć.

Wykorzystaj mnie, ja mam zamiar posłużyć się tobą.

Tak się stanie.

Słowa Lani. Słowa Jareda. Wirowały jej w głowie, jak trąba powietrzna.

Oparła głowę o ścianę i przyknęła oczy. Przejścia minionej nocy pozbawiły ją ochronnego klosza, pod którym się ukryła. Poczowała się naga... i obolała.

Pomyśl o tym.

Na miły Bóg, czy mogła w ogóle robić coś innego?

Rano, po wyjściu z ładowni, Cassie natknęła się na spacerującą po pokładzie Lani.

- Wyglądasz okropnie - stwierdziła krzywiąc się Lani. - Czyżbyś w ogóle nie spała?

- Niewiele. Mieliśmy straszliwą burzę.

- Wiem. Ja także źle spałam. Nie ufam temu pijaczynie. Choć muszę przyznać, że tej nocy radził sobie zaskakująco dobrze. Widzę, że twoja suknia mocno ucierpiała. Przynajmniej taka korzyść z tej upiornej nocy. - A gdy Cassie nic nie odrzekła, uśmiech Lani zbladł. - Co się stało? - spytała. - Kapu jest ranny?

- Nie. - Cassie zmusiła się do uśmiechu. - Z koniem wszystko w porządku.

- Chciałam ci pomóc, ale zobaczyłam, że do ładowni schodzi nasz miły gospodarz i pomyślałam sobie, że z niego będziesz miała większą pociechę.

- Bardzo mi pomógł - przyznała Cassie.

- Więc czemu masz taką minę, jakbyś... - Zamilkła widząc, że Cassie odwraca oczy. - Co się stało?

- Nie ma o czym mówić. - Cassie przyspieszyła kroku. - Muszę się tylko wykapać i przespać.

I pogodzić się z przerażającą decyzją, którą powzięła tej nocy po długich rozmyśleniach. Pragnęła teraz zostać zupełnie sama. Czuła się jak tancerka na linie, która chwieje się przy najłżejszym powiewie.

- Porozmawiamy, gdy się obudzę, Lani - dodała. Odchodząc czuła na karku jej zdziwione spojrzenie.

Wygląda pani wspaniale. - Jared pochylił się nad dłonią Lani. - Czy przyjaciółka pani także zje z nami kolację?

- Nie sędzę. - Lani obdarzyła go olśniewającym uśmiechem. - Wie pan zapewne, że miała tej nocy kłopoty z Kapu. Jest teraz bardzo zmęczona. Zje w swojej kabinie.

- Nie widziałem jej cały wieczór - wtrącił się Bradford. - Jak się czuje?

- Och, Cassie nigdy nie choruje.

- Chyba że spadnie ze skały lub trochę się przytopi dosiadając oszalałego ze strachu ogiera - stwierdził oschle Jared.

- Zanim pan przybył na wyspę, nigdy jej się to nie zdarzyło - wyjaśniła cierpliwie Lani. - Mam nadzieję, że to pan wybrał wino do kolacji - zwróciła się do Bradforda. - Ma pan w tym względzie wielkie doświadczenie.

Wygląda na to, że Lani nie jest dzisiaj chodzącą słodyczą,

pomyślał Jared przyglądając się jej w czasie kolacji. Nadal jaśniała i bawiła towarzystwo, lecz zaczynała pokazywać pazurki.

Po kolacji posłała mu czarujący uśmiech.

- Odprowadzi mnie pan do kabiny? - spytała. - Chcę z panem zamienić kilka słów.

- Odprowadzimy panią obydwoj - odparł Bradford odsuwając krzesło.

- Nie - rzekła Lani nie patrząc w jego stronę. - Niech pan zostanie nad swoim koniakiem. To dla pana najważniejsze.

Bradford opadł na krzesło.

- Spławiony. - Sięgnął po butelkę. - Cóż, czemu nie?

Jared poszedł za nią do kabiny. Spojrzała z westchnieniem na niebo.

- Piękne, prawda? Przypomina mi noce, kiedy jako młoda dziewczyna jeździłam z przyjaciółkami po plaży.

- Piękne - przyznał z roztargnieniem. Niebo było czyste, bez śladu minionej burzy. Statek kołysał się łagodnie na falach. Koń na pewno jest spokojny. Ciekawe, czy Cassie zeszła do ładowni? Pewnie tak. Najwyraźniej nie mogła żyć bez przekłętego ogiera.

- Co pan jej zrobił ostatniej nocy? - spytała niespodziewanie Lani.

- Słucham?

- Rano, po burzy, Cassie sprawiała wrażenie zupełnie... - Lani zawahała się. - Odmienionej. Milcząca. I... sama nie wiem. - Potrząsnęła głową. - Nie chciała ze mną rozmawiać. To do niej zupełnie niepodobne. Jestem zaniepokojona. Cassie jest mi bliska jak młodsza siostra. Wydaje jej się, że jest już kobietą, ale to nadal jeszcze dziecko. Nie chcę, żeby przez kogoś cierpiała.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Czy to znaczy, że pyta mnie pani, jakie mam zamiary?

- Nie, znam pańskie zamiary. Wszyscy mężczyźni mają w głowie tylko jedno. Ja tylko ostrzegam, że pod żadnym pozorem nie pozwolę jej skrzywdzić.

- Nie nawykłem do zdobywania kobiet siłą.

- Cassie była taka... - Zamilkła szukając odpowiednich słów. - Bardzo się zaniepokoiłam. Chcę... nie lubię żyć w niepewności.

- Nie jest pani odosobniona. Ale nie mam najmniejszego pojęcia, o co pani chodzi.

- Może jutro... - rzuciła Lani przyspieszając kroku. Wbiegła do kabiny i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Jared wpatrywał się w drzwi kabiny całkiem ogłupiały, a potem odwrócił się na pięcie. O co tu, do diabła, chodzi? Lani zwykle wiedziała, czego chce, ale dziś wieczorem była pełna wahania. Nie miał jednak cierpliwości na roztrząsanie nastrojów Lani. Wystarczy, że zaprzętała go Cassie.

Zbliżając się do swojej kabiny zwolnił kroku. Spojrzał na zejście prowadzące do ładowni. Pójść tam i zobaczyć się z nią? Zeszłej nocy omal mu nie uległa.

Była zupełnie odmieniona.

Nie pozwolę jej skrzywdzić.

Do diabła, przecież nie ma zamiaru jej krzywdzić. Chciał tylko... Postarały się, by obydwójce byli jednakowo zadowoleni. Ona tego chciała. Miał wystarczające doświadczenie, by orientować się, kiedy kobieta jest gotowa. Wcale nie trzeba jej zmuszać.

Chryste, dlaczego przekonuje sam siebie? Spędził upiorną noc. Dlaczego nie miałyby pójść i po prostu wziąć, co mu się należy?

Zszedł dwa stopnie i zatrzymał się. A może ona wcale nie jest z Kapu? Lani powiedziała, że ostatnia noc bardzo ją wymęczyła. Może to nie tylko wymówka. To, co Cassie przeżyła w ciągu kilku dni, zmęczyłoby każdego.

Znowu jest zbyt łagodny. Pełen niepewności i wahania, zupełnie jak młodziak wobec pierwszej kochanki.

Zawrócił do kabiny. Nic się nie stanie, jeśli odłoży polowanie na następny dzień.

Otworzył drzwi i...

- Dobry wieczór. - Cassie wstała z fotela. - Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz.

Stanął w progu jak wryty i przyglądał się jej z niedowierzaniem.

- Boże miłosierny.

Była bosa, z odsłoniętymi piersiami, a biodra opasywał jej ten sam sarong, co owej pamiętnej nocy na plaży. Jared przyglądał się jej rozpuszczonym włosom, różowym sutkom, a wreszcie spojrzął w twarz. Policzyli ją miała rozpalone, lecz oczy pełne pogardy.

- Czekam od dawna - powiedziała.

Poczuł gwałtowne pożądanie, a zaraz potem radość ze zwycięstwa. Na Boga, była jego.

Wszedł do kabiny i zamknął drzwi.

- Powiadają, że cierpliwych spotyka nagroda. Zobaczymy, czy będę w stanie wynagrodzić ci twoją cierpliwość.

Dopóki Jared nie wszedł do kabiny, wcale nie czuła się naga. Teraz, pod jego spojrzeniem, ugięły się pod nią kolana. Nie może mu okazać słabości, musi być silna, inaczej przegra. Odetchnęła głęboko.

- Wcale nie jestem cierpliwa. Nienawidzę czekać.

- No to jestem. - Zamilkł i spojrzął na jej sarong. - Jesteś teraz Kanoa? Powiedziałem, że nie cierpię twojej szarej sukni, ale nie spodziewałem się, że posuniesz się aż tak daleko, by mi się przypodobać.

- Nie włożyłam tego dla twojej przyjemności. Zrobiłam to dla siebie. W tym stroju jest mi najwygodniej. - Uniosła głowę. - Twoje pragnienia nic mnie nie obchodzą.

- To dlaczego tu jesteś?

Oblizła wargi.

- A jak myślisz? Nie jestem przecież pierwszą kobietą z wysp w twojej kabinie.

- Ale z pewnością najbardziej interesującą. - Oparł się plecami o drzwi i skrzyżował na piersi ramiona. - Chcę to usłyszeć z twoich ust.

Nie może mu powiedzieć. Nie sądziła, że to takie trudne. Wpatrywała się w niego w milczeniu.

- Do diabła ze słowami. Dobrze wiesz, po co tu jestem.

- Postanowiłaś mi się oddać? - zapytał łagodnie.

- Nie. - Stanęła naprzeciw i spojrzała mu prosto w oczy. - Postanowiłam się tobą posłużyć.

Uśmiech Jareda zbladł i Cassie wydało się, że dostrzega w jego oczach złość.

- Ach tak. Mogłem się tego spodziewać. A w jaki sposób?

- To chyba jasne - odparła spoglądając na koję.

- Nic, co dzieje się pomiędzy nami, nie jest jasne.

- Osiągnęłam wiek, kiedy moje ciało domaga się mężczyzny. Nadajesz się do tego nie gorzej niż inni.

- Dziękuję - odparł ironicznie. - Jestem mile połączony.

Cóż mogła poradzić? Chciał wyjaśnić, więc je otrzymał.

- Przemyślałam to, co mi powiedziałeś. Z jakichś powodów

jesteś dla mnie... - Zamilkła szukając właściwych słów. - Czuję do ciebie pociąg. Sama tego nie rozumiem.

- Och, a ja rozumiem. Jestem mężczyzną niesłuchanie czarującym.

- Jesteś wrogiem mojego ojca - odparła beznamietnie. - I moje ciało powinno być bardziej wybredne. Ale ponieważ nie jest dość wybredne, muszę znaleźć sposób, by połączyć moje potrzeby cielesne z tym, co najlepsze dla mego ojca.

- A teraz pozwól, że ja ci powiem. Mam nieprzepatą chęć, by cię okłamać. Ale najwyraźniej jestem znacznie bardziej uczciwy, niż sądzi Bradford. Jeśli sobie wyobrażasz, że odgrywając Dalilę zmienisz moje zamiary w stosunku do twego ojca, to czeka cię gorzkie rozczarowanie. Zaspokojenie twego ciała sprawi mi najwyższą przyjemność, lecz nie wpłynie na moją decyzję.

- Nie bądź śmieszny. Najpierw nazwałś mnie Lukrecją Borgia, a teraz Dalilą. Nie otrułam cię i nie mam pojęcia, jak miałabym odgrywać Dalilę. Ale Lani uważa, że... - Zamilkła.

- Co?

Cassie wzruszyła ramionami.

- Ona uważa, że wcale nie jesteś taki twardy, za jakiego chciałabyś uchodzić. Ona mówi, że mógłbyś zmienić zamiary co do mego ojca, jeśli...

- Jeśli prześpisz się ze mną? - ponaglił ją Jared.

- Tłumaczyłam jej, że to się na nic nie zda, ale ona twierdzi, że jesteś... - Przerwała i poruszyła się niecierpliwie. - Nieważne, co o tym sądzi Lani. Ja wiem, że nie ma w tobie litości, ale będąc blisko zawsze znajdę jakiś sposób, aby cię wykorzystać.

- Rzucasz mi wyzwanie - wyszeptał.

- Nie uważam tego za wyzwanie. Zyczyłeś sobie wyjaśnień, więc ci ich udzieliłam.

- Z właściwą sobie szczerością i szorstkością. Widzę, że dla własnego dobra będę cię musiał nauczyć odrobiny dyplomacji.

- Nie dbam o twoje dobro. Nie obchodzisz mnie nic a nic.

- A jednak chcesz mi się oddać - odparł Jared unosząc brew.

- Ciągle mi to powtarzasz. Nigdy ci się nie oddam. Nie po to tu przyszłam.

- Na jedno wychodzi. 136

- Nie dla mnie. I sądzę, że czujesz to tak samo jak ja. Wolałbyś, żebym ci po prostu uległa.

Jared potrząsnął głową.

- Mylisz się. Gdybyś mi uległa, byłbym bardzo rozczarowany. I nie wyobrażam sobie, byś cokolwiek zrobiła ot tak, po prostu. - Spojrzał na jej piersi i uśmiechnął się zmysłowo. - Mam nadzieję, że nigdy nie okażesz słabości.

Cassie poczuła, że oblewa ją fala gorąca. Milczała przez chwilę, aby się uspokoić.

- Nie doznasz więc rozczarowania. Przyszłam do ciebie, bo mam taką potrzebę. Kiedy będzie po wszystkim, po prostu wstanę i wyjdę. Bo to nic dla mnie nie znaczy.

Na twarzy Jareda pojawił się grymas wściekłości, lecz opanował się i rzekł obojętnie:

- Zupełnie niekobieca postawa.

- Tylko w oczach mężczyzny. Wszyscy oczekujecie, że będziem słabe i wierne, i pozwolimy wam wstać i odejść. Wasz świat jest niesprawiedliwy, a ja nie mam zamiaru żyć zgodnie z waszymi regułami.

- Najwyraźniej jesteś pod wpływem Lani. Czy uwierzysz, że twoją niewinność cenię sobie wyżej niż ty sama? Pozbawiwszy cię jej, czułbym się winny.

- Bo jesteś obcokrajowcem i masz dziwaczne poglądy. - Rozmowa tylko utrudniała sprawę. Dlaczego on wreszcie nie zamilknie i nie weźmie się do rzeczy? - Czemu tak stoisz? Nie mam ochoty na pogawędkę.

- A ja mam. Fascynuje mnie twój sposób myślenia.

- Dlaczego? Sam mi powiedziałeś, że masz zamiar mnie wykorzystywać i żebym ja wykorzystywała ciebie, i że przejmę twój sposób myślenia.

- Ale nie tak szybko. - Spojrzał na sarong. - I nie w tym uroczym, barbarzyńskim stroju. Zastanawiam się, dlaczego postanowiłaś przyjść do mnie w tym przebraniu.

- To nie jest przebranie. Mówiłam ci już, że w tym stroju czuję się swobodniej.

- Kanoa czuje się swobodniej - sprostował Jared. - Nie Cassandra Deville. To strój Kanoi. Ona bez wahania wskoczyłaby do mego łóżka. Założę się, że ubrałaś się tak, żeby udawać młodszą siostrę Lani.

- Wcale nie udaję. - Wkładając sarong Cassie działała pod wpływem impulsu. - I nie muszę tłumaczyć z tego, co robię.

- Kanoa, nie. Ale co z zasadami wpajanyimi przez Klarę Kidman?

Cassie poczuła, że Jared może mieć rację i zlekła się, że tak dobrze ją rozumiał.

- Co to wszystko znaczy? Już mnie nie pragniesz?

- Na Boga, pragnę cię - odparł szybko, bez cienia ironii.

- Więc nie kłóć się ze mną. Już ci powiedziałam, po co tu przyszedłam.

- Żeby mnie wykorzystać - powtórzył z niesmakiem. - Nie lubię tego sformułowania.

- Mówisz bez sensu. Sam go użyłeś w stosunku do mnie.

- Wiem. Ale w tej sytuacji nie mogę jasno myśleć. - Roześmiał się ochryple. - Chryste, nie mogę uwierzyć, że wciąż sterczę przy drzwiach, zamiast leżeć z tobą w łóżku.

Uniósł rękę i dotknął palcami ust Cassie.

Zesztywniała, jakby ją smagnął biczem. Poczowała, że narbmiewają jej wargi. Odchyliła głowę do tyłu.

- Nie. - Jared przysunął się bliżej. - Nie, Kanoa, pozwól mi... Przecież po to tu przyszedłaś. - Wpatrywała się w Jareda w niemym zachwycie, czując przenikające jej ciało fale ciepła.

- Wydaje mi się, że przyszedłam nie tylko po to.

- I masz cholerną rację. Ale muszę od czegoś zacząć. Nigdy przedtem nie miałam dziewczycy, a to, co robimy, wydaje mi się zupełnie niewinne.

Cassie była innego zdania. Jared tchnął zmysłowością. Zatapiała się w niej i szukała ratunku w jego oczach. Lśniły kusząco, lecz nie obiecywały bezpiecznej przystani.

Pogładził jej nabrzmiałe piersi.

Zadrżała i poczuła, jak napinają się jej mięśnie brzucha.

- Weźmiesz mnie, a potem wstaniesz i wyjdiesz? - zapytał szeptem.

- Tak.

Dotknął wężła sarongu.

- Tak po prostu?

- Po prostu - odparła ze ściśniętym gardłem.

Sarong opadł na podłogę. Była naga.

Jared rozpiął i odrzucił koszulę.

- Diabła tam, po prostu! - Zanurzył dłonie w jej włosach. - Nie pozwolę się lekceważyć. Nikomu - rzekł patrząc na nią płonącymi oczami. Przyciągnął ją mocno do siebie. Poczowała twardość wzrodu. Bezwstydna i bezlitosna.

- Uważasz, że to nic niewarte? - Objął jej pośladki - Naprawdę?

Nie pamiętała już, o co pytał.

- Uważam, że to... bardzo przyjemne...

- A to? - wymamrotał dotykając językiem jej sterczącego sutka.

Krzyknęła i wygięła się w łuk. Uniósł głowę i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Przyjemne? Sądziłem, że odbierze ci mowę - rzekł rozczarowany, po czym zaczął ją gwałtownie ssać.

Ogień. Pragnienie. Pustka. Wydawałoby się, że nie mogą współistnieć, a jednak tak właśnie było. Chwyciła go za włosy i przyciągnęła do siebie. Wielkie nieba, nawet dotyk jego włosów sprawiał, że przenikały ją fale gorąca. Miała ochotę krzyczeć, jęczeć...

Jared zabrał się do drugiej piersi. Ssał ją i lizał. Rozwierał i zaciskał dłonie na jej pośladkach. Poczowała duszność, odgłos bicia jej serca wypełniał całą kabinę, nie, cały świat Ciemność, płomienie... i palący głód.

Jared uniósł głowę i spojrzał na oszołomioną Cassie.

- Dłużej tego nie zniosę - wydyszał ochryple. - Muszę się znaleźć wewnątrz ciebie. - Wziął ją za rękę i pociągnął w stronę koi. - Chodź.

Cassie posłusznie ruszyła za Jaredem. W tej chwili poszła by za nim na koniec świata.

Już był na niej. Rozsuwał uda Cassie. Czowała pieszczotliwy dotyk jego dłoni.

- Jesteś taka gładka. - Ułożył się na niej. - Przyjemnie? Zaraz będzie jeszcze lepiej. - Znieruchomiał. - Chryste. Nie mam pojęcia, co teraz robić.

Spojrzała na niego zdumiona. O czym on, do diabła, mówi? Przekonywał ją przecież, że jest w tej dziedzinie wielkim specjalistą.

- Wydawało mi się, że jesteś... dobrze wykształcony.

- Ale nie mam żadnego doświadczenia z dziewczycami Nie wiem, do diabła... To chyba będzie bolało. I musi trochę potrwać. Potrwać? Kiedy całe jej ciało płonie?

- Nie!

- Ale ja nie chcę... - Przerwał, bo Cassie przejęła inicjatywę i naparła na niego z całej siły. Zamknął oczy. Poczował, jak zaciska się wokół niego.

Zagłębiał się dalej i dalej!

Ból. Pełnia. Połączenie.

Cassie zagryzła wargi. Czowała wielkie napięcie. Więcej znieść nie jest w stanie. Lecz w miarę, jak ból ustępował, powracały, domagające się zaspokojenia, pustka i głód.

Jared tkwił w niej znieruchomiał.

- Mogę zaczynać? - zapytał po cichu.

Umarłaby chyba, gdyby się teraz nie poruszył.

- Tak.

- Dzięki ci, Boże! - Odprężył się nieco, lecz nadal czuł się uwięziony w jej wnętrzu. - Zaczął poruszać się powoli i ostrożnie. - Spróbuję... - wyszeptał. - Nie jest za dobrze. Przepraszam. Nie mogę...

Ekspłodował nagle. Długo, szybko, szaleńczo.

Cassie chwyciła go za ramiona rozpaczliwie garnąc się do niego, bo głód i pustka narastały. Próbowwała mu pomóc i zatrzymywała go, gdy z niej wychodził.

- Nie - wydyszał. - Nie rób tego. Nie mogę...

Musi to zrobić. Musi go mieć bez reszty. Rzucała głową po poduszce. Poczowała wilgoć na policzkach Jareda i zdała sobie sprawę, że z jej oczu płyną łzy. Lani mówiła, że ten nieznosny głód przeminie. Dlaczego więc trwał nadal? Dlaczego się wzmagał czyniąc z niej niewolnicę własnego ciała, zmuszając ją, by poruszała się w tym samym szaleńczym rytmie co Jared?

- Błagam... - Nie wiedziała, o co go prosi. Niech to trwa wiecznie. Każdy ruch przybliżał ich coraz bardziej. Jared. Posiadanie. Ciemność. Głód. Pragnienie. Szybciej, mocniej. Oddech Jareda przechodził w ochrypłe łkanie.

A może słyszała własne łkanie? Nieważne... stanowiły jedność.

- Teraz - wydyszał przez zaciśnięte zęby zagłębiając się w niej.

Krzyknęła czując, jak mroczny głód wybucha i zmienia się w światłość, jakiej nie doznała nigdy dotąd.

Jared opadł na nią bez sił.

- Dobry Boże.

Zdawało się, że leżą tak bardzo długo, lecz oddech Jareda nadal był ochrypły i nierówny. Musnął wargami spuszczone powieki Cassie.

- Najwyraźniej uznałaś mnie za „przyjemnego”. Jesteś o wiele bardziej Kanoa niż prawiczka Cassandra.

Jego głos w ciemności miał aksamitne brzmienie i działał na Cassie jak łagodny powiew letniego wiatru. To, co przeżyła, było piękne, lecz pragnęła więcej. Jared zaraz znowu ją dotknie, pogłaszcze i ogarną ich płomienie.

Spojrzała na niego. Spoglądał na nią czystymi, niebieskimi oczami. Poczowała się tak, jakby je znała od zawsze i zapragnęła, by tak już pozostało. Chciała odpłynąć do tego niezwykłego miejsca, gdzie czas się zatrzymał.

- Ku'aihelani - wyszeptała.

- Słucham? - Ucałował czubek jej nosa. - Chyba nie znam tego słowa.

- To słowo oznacza miejsce, gdzie... - Zamilkła przytomniejąc. Nie ma żadnego zawsze. Nie ma żadnego Ku'aihelani. Jak mogła coś takiego pomyśleć? - Nieważne.

- Dla mnie ważne. Jestem bardzo wścibski. - Przygryzła leciutko koniuszek jej ucha, tak by poczuła delikatne łaskotanie. - Chcę się dowiedzieć, co to jest owo Ku'aihelani. Chcę wiedzieć wszystko o tobie.

A więc posiadzie jej umysł tak, jak posiadał ciało. Poczowała paniczny strach. Dobry Boże, co ją opętało? Znała odpowiedź. To on ją opętał i zapanował nad nią, tak że czuła tylko to, czego on pragnął.

Odepchnęła go, kiedy zupełnie się tego nie spodziewał. Wskoczyła z łóżka. Gorączkowo szukała sarongu.

- Dokąd się wybierasz? - Jared uniósł się na łokciu. - Wracaj do łóżka.

- Po co? - Podniosła sarong i szybko obwiązała nim biodra. - Już po wszystkim. Wracam do swojej kabiny.

- Jeszcze nie skończyliśmy. To dopiero początek.

- Skończyliśmy. Ja się zdecydowałam przyjść do twojej kabiny. I ja decyduję, kiedy wyjść. Ty nie masz tu nic do powiedzenia.

Skrzywił się.

- Nie zgadzam się z tobą. Jeszcze dziesięć minut temu odgrywałem tu ważną rolę. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

- Powiedziałam ci, że wstanę i wyjdę. Mówiłam też, że to dla mnie bez znaczenia. - Drżącą ręką odgarnęła włosy z twarzy. - Kompletnie bez znaczenia.

- W takim razie dlaczego uciekasz?

- Wcale nie uciekam.
 - Wydawało mi się. - Wyciągnął ku niej rękę. Naga, mocną, nieodparcie pociągającą. - Zostań. To dopiero początek. Rozkosz ma niejedno oblicze.
 A jego było najbardziej uwodzicielskie. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, podeszła ku niemu. Oblizwała usta.
 - Wróć tu... gdy będę miała ochotę.
 - Teraz. - Głos Jareda brzmiał aksamitnie, lecz Cassie wyczuwała w nim stalową wolę.
 Spojrzała mu prosto w oczy.
 - O ile ja zechcę. Ja tu narzucam warunki.
 - Akurat - Zerwał się z koi. - Zapominasz, gdzie jesteś. Wracaj do... - Urwał spojrzawszy w jej twarz. - Wyglądasz na wystraszoną.
 - Wcale się nie boję.
 - Skrzywdziłem cię? - Pogłaskał ją po policzku gestem pełnym niewysłowionej czułości. - Wiem, że byłem brutalny, ale nie sądziłem, że...
 - Nie zrobiłeś mi krzywdy. - Zadrżała czując jego dotyk. Miała ochotę przywrzeć do niego i... Cofnęła się. - Dlaczego miałabym się bać?
 - Nie wiem. - Przypatrywał jej się uważnie, a potem dodał szorstko: - Nigdy nie wiem, co naprawdę myślisz. Ciagle zapominam, że wciąż jesteś prawie dzieckiem. Jezu, a może wszystkie dziewice tak się zachowują po... - Odwrócił się do niej plecami. - Wyoń się stąd.
 Stała nieporuszona. Nagły zwrot zupełnie ją zaskoczył.
 - Wyjdź - powtórzył. - Zanim zmienię zamiar. Ty masz mnie dosyć, ale mnie nie tak łatwo zaspokoić.
 Mnie także, pomyślała z rozpaczą. Podeszła do drzwi.
 - Zaczekaj! - Podniósł z podłogi koszulę. - Włóż to na siebie.
 Potrząsnęła głową. Musi się od niego uwolnić. Nie chciała niczego, co by go jej przypominało.
 - Przeklęty pogański bezwstyd - wymamrotał i zmusił ją, by włożyła koszulę. - Na pokładzie są marynarze.
 - Wiem. Widziałam ich po drodze.
 - A oni ciebie. - Zaczął zapinać koszulę. - Nie życzę sobie, byś przychodziła do mnie w tym stroju. Następnym razem zarzuć przynajmniej płaszcz.
 - Jest za ciepło na płaszcz.42 Koszula pachniała Jaredem,

a delikatne płótno pieściło jej piersi, jakby to on ich dotykał.
 - I nie potrzebuję twojej koszuli. Zabierz ją.
 - Jeżeli to zrobię, wypuszczę cię stąd dopiero jutro rano - powiedział ponuro. - Na Boga, nie pozwolę, by inni mężczyźni oglądali cię naga. Jesteś taka dumna z tego, że to ty podejmiesz decyzje. Lepiej będzie, jeśli teraz podejmiesz słuszną...
 Cassie otworzyła usta, by zacząć dyskusję, lecz zmieniła zamiar. Chciała się znaleźć jak najdalej od niego.
 - Nie ma o czym mówić. - Otworzyła drzwi. - Dobranoc.
 - Wątpię, by mogła być dobra. Do zobaczenia jutro wieczorem.
 - Nie jestem pewna... - bąknęła unikając jego wzroku. - Może nie zdecyduję się przyjść do ciebie jutro wieczorem.
 - W takim razie ja przyjdę do ciebie.
 - Nie! Decyzja należy do mnie.
 - Nie jestem posłusznym pieskiem, który będzie czekał, aż się z nim pobawisz. - Potrząsnęła głową. - Biedna Cassie, sprawy nie potoczyły się tak, jak się tego spodziewałaś, prawda? Cóż, nie ułożyły się także po mojej myśli. Spodziewałem się, że cię po prostu posiadę, a potem zapomnę o tobie. Ale wygląda na to, że to nam zajmie więcej niż jedną noc. Zobaczmy się następnej nocy - powtórzył zdecydowanym tonem. - Czekał na ciebie do północy.
 - Nie przyjdę - odparła i zamknęła za sobą drzwi.
 Nareszcie wolna... Ale nie czuła się wolna. Przesiąknięta zapachem Jareda koszula muskała jej skórę, jakby to były jego dłonie. Ruszyła szybko w stronę kabiny. Niech no tylko pozostało po nim najmniejszego śladu.
 Lecz pozostała wspomnienia... Znowu zaczęła dygotać. Lani nigdy jej nie mówiła, że tak się poczuje. Skoro kopulacja nie ma żadnego znaczenia, dlaczego ona wciąż czuje się jak przykuta do Danemounta, chociaż już z nim nie jest. Doznawała dziwnego wrażenia, że jeśli oddała się zbyt, napinając się łańcuch rozodrże ich na kawałki.
 Ale to tylko wyobraźnia. Straciła tej nocy dziewictwo i być może traktowała słowa Klary poważniej niż sądziła. Klara powtarzała jej stale, że kobieta musi pozostać dla męża nietknięta i ulegać tylko jemu, w przeciwnym razie trafi do piekła. Cóż, tej nocy Cassie zasłużyła sobie na ogień piekielny. Płoneła, drżała i krzyczała, gdy on posiadał ją, posiadał, posiadał...

Nie będzie o tym więcej rozmyślać. Jutro poczuje się lepiej. Jutro dojdzie do wniosku, że nie przydarzyło jej się nic nadzwyczajnego. Przeżyła dokładnie to samo, co pokolenia kobiet przed nią. Będzie się śmiała z własnego przerażenia. Otworzyła drzwi kabiny. Jutro wszystko powróci do normy i...

- W porządku? - spytała łagodnie Lani. - Nie zrobił ci krzywdy?

- Nie. Skąd wiedziałaś?

- Wstąpiłam po kolacji, ale cię nie zastałam. - Lani uśmiechnęła się. - Nie trzeba wielkiej inteligencji, by się domyślić, dokąd poszłaś.

- Nie próbowałaś mnie powstrzymać.

- Wiesz, że zawsze szanuję twoje decyzje. Ale chcę, żebyś mi opowiedziała, co zaszło.

Cassie podbiegła do niej i uklękła. Lani przytuliła ją. Ciepło, bezpieczeństwo, miłość.

- Musiałam to zrobić - wyszeptła.

- Dlaczego?

- Miałaś rację. Trzeba się do niego zbliżyć, żeby pomóc tatusiowi. Musimy wiedzieć, kiedy otrzyma wiadomość z Francji. Ale pomyślałam, że lepiej ja to zrobić.

- Byłam gotowa podjąć to ryzyko.

- Ale ja... - Wtuliła twarz w ramię Lani. - Ja go pragnę.

- Ciii, wiedziałam o tym.

- Nie spodziewałam się, że to będzie tak.

Lani pogładziła ją po włosach.

- A jak było?

- Nie było tak, jak mi mówiłaś. Wcale nie... miałam ochoty wstać i odejść. To mnie przeraża.

- Ale odeszłaś.

- Tak.

- W porządku. Ale wolałabym, żebyś tego nie robiła. Miałam nadzieję, że twój pierwszy mężczyzna sprawi ci wyłącznie przyjemność. Był czuły?

Czuły? Czy w tej burzy namiętności było miejsce na czułość? Już miała zaprzeczyć, ale pojęła, że zaskakujące wahanie Jareda wynikało z czułości, którą ją darzył.

- Nie sprawił mi bólu. - Uniosła głowę. - Chce, żebyśmy znów do niego przyszła.

- I pójdziesz?

- Głupotą byłoby nie pójść. Ta noc byłaby na nic. - Zamilkła. - Ale sama nie wiem dlaczego... Boję się, Lani.

- Na to pytanie musisz sobie sama odpowiedzieć. Jeśli chcesz, mogę ci powiedzieć, co o tym myślę. Podejrzewasz, że nie jesteś taka silna, jak ci się wydawało. To nieprawda. Jesteś nawet silniejsza. Sama zobaczysz. Zrobisz to, co będzie konieczne.

- Naprawdę? - Cassie poczuła nagły przypływ pewności siebie. - Oczywiście, że zrobię. - Przestraszyłam się tylko, bo było inaczej, niż się spodziewałam.

Lani nachyliła się i pocałowała ją w czoło.

- Jeżeli poczujesz chęć, by mu odmówić, zrób to bez wahania. Wymyślimy coś innego. - Wstała. - Zostawiam cię teraz samą. Spij dobrze. Zobaczymy się rano.

- Tak. - Patrzyła na zamykające się drzwi. Nie było się czego obawiać. Miała dość siły, by oddzielić ciało od umysłu. Wstała. Rozpięła prędko koszulę Jareda. Zdjęła ją i odrzuciła. Może od niego wziąć cokolwiek zechce i odrzucić go tak, jak tę koszulę. Położyła sarong na koszuli i podeszła naga do umywalki. Następnym razem wszystko okaże się łatwiejsze, bo ona będzie lepiej przygotowana.

Odejdzie nie oglądając się za siebie.

8

Nie jestem ani trochę przestraszona, powtarzała sama sobie wchodząc następnego wieczoru do jadalni. Jared rozmawiał z Bradfordem. Przemysłała zdarzenia ostatniej nocy i doszła do wniosku, że jej strach był całkowicie nieracjonalny. Lani powiedziała jej, że nie powinna czuć się winna, a Lani...

Jared odwrócił się, by na nią spojrzeć, i Cassie instynktownie skrzyżowała ramiona na piersi.

- Uważam, że ten strój jest jeszcze gorszy niż szara suknia - powiedział krzywiąc się na widok ciemnobraunatnej, wysoko zabudowanej sukni z długimi rękawami. - Czy ten potwór, Klara Kidman, nie zezwala na odsłonięcie choćby jednego centymetra nagej skóry? - zapytał Jared całując dłoń Cassie.

- Nie podoba ci się?

- Napełnia mnie obrzydzeniem.

- To dobrze - odparła pogodnie. Cofnęła rękę. - Ale w takim razie sam nie wiesz, czego chcesz, prawda? Ostatniej nocy złościłeś się na mnie, że pokazuję zbyt wiele nagej skóry.

- To co innego. Wygląda na to, że jesteś w dobrym nastroju.

- Spodziewałeś się, że zostanę w kabinie? To prawda. Po tym, co między nami zaszło, byłam nieco wytrącona z równowagi, ale po rozmowie z Lani poczułam się znacznie lepiej.

- Rozmawiałas o mnie z przyjaciółką?

- Oczywiście. Uznałyśmy, że nie zaszło nic godnego uwagi.

- Cassie rozejrzała się po jadalni. Bradford stał przy oknie, ale nigdzie nie było Lani. - Gdzie ona jest?

- Nie mam pojęcia - odparł Jared przez zaciśnięte zęby. -

I nic mnie to nie ob... - Urwał nagle, a potem odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. - Boże, skończy się na tym, że wyrzucę cię za burtę, zanim dopłyniemy do Anglii. Bezustannie ranisz moją miłość własną.

Cassie nie podobała się ta manifestacja wisielczego poczucia humoru. Łatwiej byłoby jej utrzymać dystans w stosunku do człowieka, który nie potrafi się śmiać z samego siebie.

- Po prostu powiedziałam prawdę.

- Prawda rzadko bywa miła. Mężczyzna, który dołożył wszelkich starań, by uczynić twoją deflorację jak „najprzyjemniejszą”, zasługuje na lepsze traktowanie.

- Nie wiedziałam, że istnieją jakieś normy towarzyskie regulujące sposób zachowania po defloracji. Zaprowadzisz mnie teraz do stołu, czy będziesz tu stał i mówić bzdury?

- Zaprowadzę. - Podał jej ramię. - Zmieniłem zdanie. Dobrze, że włożyłaś tę suknię.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Naprawdę?

- Wiem, że odczujesz zawód, ale twój widok sprawia mi wielką przyjemność. Wiesz dlaczego?

Cassie potrząsnęła głową.

- Bo wyobrażam sobie, jak wyglądałabyś bez sukni. Uważam ją za raczej paskudne opakowanie wspaniałego prezentu. Zawsze lubiłem rozpakowywać prezenty. Zeszłej nocy pozbawiłaś mnie tej przyjemności.

Cassie poczuła, że pieką ją policzki. Serce waliło jej jak młotem. Nagle straciła całą pewność siebie.

- Będę na ciebie spoglądał i przypominając sobie, co robiliśmy minionej nocy. Któregoś dnia przekonam cię, żebyś włożyła tę suknię na gołe ciało. Będziemy jeść kolację tylko we dwoje i pozwolisz mi zsunąć suknię do pasa, żebym mógł patrzeć na twoje śliczne piersi. A potem, przy kawie, usiądziesz mi na kolanach. Zadrę ci spódnicę, będę ci się przyglądał i zaciskał dłoń na...
- Przestań - wysyczała. To tylko słowa, przekonywała samą siebie. Lecz nie mogła pozbyć się wizji, którą przed nią odmalował. Czują twardość jego wzrodu pomiędzy udami.

- Rozgniewałem cię? Chciałem tylko, żebyś wiedziała, co cię czeka. Chociaż wiem, że moje starania są „niegodne uwagi”.

Powinna się była domyślić, że Jared odgrywa się na niej. Nikt nie miał prawa obrażać go bezkarnie.

- Wcale mnie nie rozgniewałeś. Możesz sobie wyobrazić, co ci się żywnie podoba. Nie przejmuję się tym.

- Och, myślałem, że... A oto i nasza Lani.

Odwróciła się i z ulgą spojrzała na wchodzącą do jadalni przyjaciółkę. Bradford ruszył spieszenie na jej powitanie. Wygląda bardzo chłopięco, pomyślała z roztargnieniem Cassie. Jared sprawiał wrażenie starszego, bardziej doświadczonego i cynicznego.

- Bradford jest całkowicie oczarowany przez Lani. I trudno się biedakowi dziwić. Ona robi, co może, by go omotać.

- Nie, to nie tak - odparła Cassie bez zastanowienia. - Ty miałeś paść jej ofiarą.

- Co?

Nie miała zamiaru mówić mu całej prawdy. Ale co tam, teraz to już nie ma znaczenia.

- To ona miała przespać się z tobą.

Jared zeszywniał.

- Naprawdę?

- Ale to by się tatusiowi nie spodobało.

- A więc postanowiłaś poświęcić się zamiast niej. Nie potrafisz wyrazić, jak bardzo mnie to cieszy. Powiedz mi, czy ciągnęłyście losy, która z was ma pójść ze mną do łóżka?

- Nie, powiedziałam ci już, że tatuś nie byłby zadowolony, gdyby to zrobiła Lani.

- Nie mogę już słuchać o tym, co podobałoby się Deville'owi. - Jared zatrzymał się przy stole. - Bradford, czekamy.

- Już idę - rzucił Bradford przez ramię. - Bądź cierpliwy. Mówię właśnie tej pani, że prześlicznie wygląda.

- A ja zaczynam się niecierpliwic. - Lani zostawiła go i podeszła do stołu. - Nie mam czasu na wysłuchiwanie komplementów. Jestem głodna.

- Lubię kobiety, które mają dobry apetyt - powiedział Jared spoglądając na Cassie. - Są mi szczególnie bliskie. Właśnie mówiłem Cassie, jak bardzo podoba mi się jej suknia.

Cassie zamarła. Nie powtórzy chyba wszystkiego, co jej przed chwilą powiedział. A może właśnie powtórzy. Wyglądał na bardzo rozgniewanego.

- Chyba postradał pan zmysły - odrzekła Lani zasiadając do stołu. - Suknia jest paskudna.

- Wielka szkoda. - Jared skinął na marynarza, by zaczynał podawać. - Wina? - zapytał, by zmienić temat

Cassie westchnęła z ulgą, a Jared spojrział na nią z drapieżnym uśmiechem.

Podczas kolacji Jared po raz pierwszy odgrywał czarującego, uprzejmego gospodarza. Nadskakiwał Lani i żartował z Bradfordem. Tylko w stosunku do Cassie pozostał zimny jak kamień.

Właśnie tego pragnę, przekonywała samą siebie. Dopóki traktuje mnie chłodno, nie dojdzie do niebezpiecznego zbliżenia.

Kolacja dobiegała końca, gdy Jared zwrócił się do Lani i zapytał od niechcenia:

- Gdzie leży Ku'aihelani?

Cassie spojrzała mu prosto w oczy. Przeczuwała, że zbliża się koniec zawieszenia broni, ale nie spodziewała się, że zostanie ono zerwane w taki właśnie sposób.

Lani zmarszczyła czoło.

- Ku'aihelani?

- Nie słyszała pani o takiej krainie?

- Oczywiście, że słyszałam. Po prostu zaskoczył mnie pan. Po raz pierwszy ktoś zapyta mnie o drogę do raj - odparła z błyskiem w oku.

- Do raj? - powtórzył unikając wzroku Cassie. - Ach, więc o to chodzi. Usłyszałem to słowo przypadkiem.

Wypowiedziane przez moje niewybaczalnie głupie usta, pomyślała Cassie z niesmakiem.

- Ku'aihelani to kraina baśniowa - ciągnęła Lani. - I nie potrafie powiedzieć, gdzie się znajduje, bo według naszych podań unosi się na pływającej wyspie. Jest stale w ruchu, nigdy w jednym miejscu, żeby nikt jej nie zniszczył ani nie zdeprawował. Raj.

- Bardzo interesujące - mruknął Jared. Zwrócił się do Cassie i spytał uprzejmie: - Nie uważasz?

Najchętniej spoliczkowałaby go.

- Nic specjalnego - odparła krótko. Odsunęła krzesło i wstała. - Muszę sprawdzić, co z Kapu. Dobranoc.

- Ach tak, Kapu. - Jared wstał i ukłonił się. - Nie możemy zapominać o twoim wspaniałym ogierze. Ale uważaj na suknię. Nie chciałbym, byś ją zniszczyła tak jak szarą.

„Pozwolisz mi zsunąć ją do pasa.”

Znów ogarnęła ją fala gorąca. Odwróciła twarz, by Jared nie spostrzegł jej rumieńców, i podbiegła do wyjścia.

- Zaczekaj! - Jared już był obok i otwierał przed nią drzwi.
- Zejdź z tobą do ładowni.

- Nie potrzebuję twojego towarzystwa. Wracaj do Lani i Bradforda.

- Będę czekał - powiedział zniżając głos.
- Naprawdę?
- A czemu nie? Skoro to dla ciebie tak niewiele znaczy. Odmawiając mi przyznałabyś się, że jednak przywiązujesz do tego wagę. Nie chcesz chyba, żebym pomyślał, że wycofujesz się po pierwszym starciu.

Cassie nic na to nie odpowiedziała.

- I należę do mężczyzn, którzy wymagają nieustannych starań. Jeżeli do mnie nie przyjdiesz, poszukam sobie pociechy u Lani i twój tatuś będzie niezadowolony.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Zrobiłbyś coś takiego?
- Nie dowiesz się tego, chyba że pozbawisz mnie swego... towarzystwa.

- Idź do diabła.

Twarz Jareda przybrała gniewny wyraz.

- Nie trzeba mnie było zaopatrywać w broń, skoro nie chcesz, bym się nią posługiwał. - Zwrócił się w stronę stołu i z promiennym uśmiechem ukłonił Lani i Bradfordowi.

Gdy Cassie otworzyła drzwi do kabiny Jareda, leżał nago na koi. Blask świecy złocił jego szczupłe, muskularne ciało i wznosił aurę otaczającą go leniwej zmysłowości. Lecz na jej widok wszelkie objawy lenistwa zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Cholera, mówiłem ci, żebyś nie przychodziła tu nie ubrana - powiedział szorstko. - Sprawia ci przyjemność paradowanie nago przed marynarzami?

- Nie muszę cię słuchać. - Cassie weszła do kabiny i zamknęła za sobą drzwi. - Nie paradowuję nago, a poza tym twoi marynarze już dawno przywykli do widoku nagich kobiet. - Przystanęła nad nim. - Jeżeli nie odpowiada ci mój strój, to po prostu wyproś mnie stąd.

- Ani mi się śni - mruknął. - Zdejmij z siebie ten strzępek materiału i chodź tutaj.

Cassie drżącymi palcami rozsunęła węzeł sarongu.

- Nie podobały mi się pytania, które zadawałeś dziś wie-

czorem Lani. To była zdrada. - Sarong upadł na podłogę. - Nie rób tego więcej.

- Zrobię to, co zechcę. - Przewrócił się na bok. - Masz niewiele słabostek, więc nie możesz mnie winić za to, że staram się wyjaśnić jedną z nich. - Pociągnął Cassie za rękę, aby usiadła na koi. - Na moim miejscu zrobiłabyś to samo. - Mówił z ustami tuż przy jej piersi, a ciepły oddech muskał wrażliwą brodawkę. - Masz wspaniałe piersi, pełne... jędrne. Czułem ich smak jeszcze długo po twoim odejściu. Pragnąłem cię, przeklinałem za to, że odeszłaś, chciałem, żebyś wróciła.

- Więc mnie do tego zmusiłeś.

- Zmusiłem?

Wiedział, że wcale nie musiał jej zmuszać. Zdawał sobie sprawę, że jest równie nieodparty jak poprzedniego wieczoru i że Cassie poddaje mu się. A ona czuła, że całkowicie topnieje i jej ciało staje się posłuszne Jaredowi.

- Ta część twojego ciała nie sprawia wrażenia zmuszanej - mruknął pieszcząc delikatnie wewnętrzną stronę jej ud. - Jesteś gotowa, by mnie przyjąć.

To prawda, pomyślała z rozpaczą. Była gotowa przekraczając próg jego kabiny.

- Ja także jestem gotowy. - Przekręcił się nagle na plecy i uniósł ją, by go dosiadła okrakiem.

- Co ty wyprawiasz? - spytała zdumiona.

- Wyglądasz na bardzo zasmuconą. Chcę cię uszczęśliwić - odparł kpiąco. - Widzisz, teraz ty jesteś górą, a ja jestem zależnym od ciebie więźniem.

- Nie chcę...

Wszedł w nią głęboko.

Westchnęła poczuwszy rozpychającą ją od spodu męskość. Miała wrażenie, że ją rozerwie. Z rozkoszy zamknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu. Nie czuła się górą. Była całkowicie zniewolona.

Jared zacisnął dłonie na jej piersiach.

- Jedź - wyszeptał. - Wyobraź sobie, że jestem tym twoim wspaniałym ogierem. Dobrze wiem, że tego właśnie pragniesz.

Nie mogła się poruszyć. Czuła się jak zakotwiczona, przykuta łańcuchem.

Przesunął dłonie na jej pośladki i przydusił do siebie.

- Jedź - wydyszał.

Z trudem uniosła biodra. Poczła obejmujące ją fale rozkoszy. Chwyła go za ramiona i instynktownie ścisnęła udami jego uda.

- Właśnie tak. - Uniósł ją, a potem opuścił. Powoli, pieśczośliwie, tak by poczuła każdy centymetr. - Teraz już wiesz, o co chodzi. Przygotuj się i...

Zaczęła się poruszać, huścić, ujeżdżać, szaleńczo wciągając go do swego wnętrza. Poprzedniego wieczoru zdawało się jej, że zachowują się jak dzicy, ale dzisiejsza żądza przesłaniała jej wszystkie dotychczasowe doznania...

- Jeszcze - wyęczał. - Daj mi więcej. - Przyciągnął ją ku sobie i chwycił ustami sutek. Ssał żarłocznie, nie przestając podrzucać biodrami.

Te wszystkie wrażenia przerastały ją. Cassie zagryzła wargi, by powstrzymać jęki. Na próżno. Już po chwili krzyczała na całe gardło...

- O tak. - Ścisnął ją ramionami z taką siłą, że nie mogła złapać tchu. Po chwili rozluźnił uścisk.

Zdjął ją z siebie i ułożył na koi.

- Zmusiłem cię? - wyszeptał.

Nie miała siły, by mu odpowiedzieć.

- Ku'ahelani? - zapytał z uśmiechem.

- Nie! Ja wcale nie chciałam... To było przez sen. - Odechnęła z wysiłkiem. - Muszę już iść.

Przytrzymał ją.

- Wcale nie musisz.

- Ale chcę!

Uniósł się na łokciu i spojrzał jej w twarz.

- W takim razie muszę coś zrobić, żebyś zmieniła zamiar, prawda? Mam nieprzepartą ochotę, by obudzić cię jutro w najprzyjemniejszy z możliwych sposobów.

Spoglądał na Cassie spod na wpół przymkniętych powiek. Oczy mu lśniły. Na czoło opadł zmierzwiony kosmyk kędzierzawych włosów - poganin, demoniczny, zmysłowy poganin. Patrząc na niego Cassie poczuła przeszywającą jej ciało mroczną falę.

- Wygrałeś tej nocy. Pokonałeś mnie. Czemu nie pozwalasz mi odejść?

- Nie czuję się jak zwycięzca - odparł z leniwym uśmiechem. - Czuję się... - Zamilkł i cofnął rękę. - Idź sobie - powiedział szorstko. - Ale jutro zostaniesz na całą noc.

Potrząsnęła głową i zsunęła się z koi.

- Dlaczego? - zapytał gniewnym tonem. - Co za różnica? Teraz wszyscy na statku wiedzą już, że ze mną sypiasz. Paradując nago po pokładzie nie starałaś się tego ukryć.

- Nie dbam o to, co sobie pomyślą. - A potem dodała nagle: - A twój stryj także wie?

- Nie wspominałem mu o tym, ale idę o zakład, że się domyśla. Bradford zawsze wie, co się wokół niego dzieje. Nawet gdy sobie popije. - Zamilkł. - Dlaczego pytasz? - dodał po chwili. - Zależy ci na jego zdaniu?

- Nie... Ja tylko... był dla mnie miły.

- I nadal pozostanie miły. Nie ma zamiaru wtrącać się w nasze sprawy. A jakby co, utrę mu nosa. Sama więc widzisz, że nie ma powodu, żebyś nie została ze mną na noc.

- Owszem, jest powód. - Owinęła się sarongiem. - Nie chcę, żebyś... - Nie chciała mu powiedzieć, że boi się intymności, która zrodziłaby się ze spędzonych w jego ramionach długich godzin nocnych. Namietność była wystarczająco niebezpieczna. - Nie chcę być z tobą przez całą noc. Przyjdę do ciebie, ale potem odejdę.

- Persefona? - zapytał zaglądając jej w oczy.

Cassie zmarszczyła czoło.

- Persefona to kobieta, która tak ogłupiła Hadesa, że pozwolił jej spędzać pół roku na powierzchni ziemi, w słońcu, byle tylko wracała do jego mrocznego świata na pozostałą połowę. - Rozejrzał się po mrocznej, rozświetlonej jedynie słabą świecą kabinie. - Dostrzegam pewne podobieństwo.

- Bzdura. Nie ogłupiłam cię i nie zamierzam cię prosić o żadne pozwolenie.

- Dobrze - zgodził się kiwając głową. - Bardzo dobrze. Pofolgujemy sobie w najprzyjemniejszy sposób, a potem rozdaniemy się. Utrzymywanie dystansu ma pewne zalety. Żadnych nudnych dyskusji, żadnej potrzeby manifestowania uczuć, których nie żyjemy do siebie. - Położył się na plecach i wsunął ręce pod głowę. - Dopóki przychodzisz tu do mnie i dajesz mi to, czego pragnę, nie mam powodu do skarg.

- Nie masz.

- Pewnie. - Zamknął oczy. - Jutro po kolacji przeprowadzę cię przez próg tej kabiny. I chcę, żebyś włożyła na siebie coś innego niż ten sarong.

- Ubiorę się tak, jak zechcę.

- Jeżeli przyjdiesz do mnie z odsłoniętymi piersiami, następnej nocy ja złożę wizytę tobie. A kabinę obok zajmuje twoja ukochana Lani. Czy chcesz, by słyszała, jak jęczysz i krzyczysz z rozkoszy?

Dobry Boże, na to nie mogła pozwolić! Lani zrozumiałaby wprawdzie, że Jaredowi uległo tylko jej ciało, nie zaś umysł, ale Cassie i tak wstydziłaby się okazać słabość.

- Nie.

- Więc nie wprawiaj mnie w złość. Nie życzę sobie, byś uganiała się nago po statku.

Cassie wyszła nie oglądając się i trzasnęła drzwiami.

Ruszyła przez pokład zaciskając pięści. Jego ostatnie, pełne arogancji słowa były kroplą przepełniającą czarę. Tej nocy przegrała zbyt wiele. Czowała się kompletnie zdominowana. Jared posiadał ją bez reszty. Nie może pozwolić, by odniósł nad nią pełne zwycięstwo.

Następnego wieczoru musiała zatrzymać się przed drzwiami kabiny Jareda, by zebrać całą odwagę. Dlaczego tak drży? Powzięła przeciwieństwo decyzję i nie ma zamiaru się wycofać. Lepiej nie zastanawiać się, tylko po prostu działać.

Westchnęła i gwałtownie otworzyła drzwi. Wpadła do kabiny jak burza.

- Po kolacji, Wasza Wysokość. Dokładnie, jak sobie życzyłeś. Śpieszyłam się, by nie zasłużyć na twój gniew.

Patrzył na nią ze zdumieniem.

- Mój Boże!

- Czemu mi się tak przyglądasz? Zrobiłam wszystko, czego sobie życzyłeś. - Dotknęła sarongu okrywającego jej piersi i ramiona. - Nie paraduję z gołym biustem, prawda? Nie jesteś zadowolony?

Była naga od pasa w dół. Wzrok Jareda powędrował od odsłoniętych ud ku kręconym włosom przykrywającym jej kobiecość.

- A niech cię diabli!

Zwycięstwo. Poczwała dziką satysfakcję.

- Po drodze do ciebie minęłam dwóch marynarzy i zapewniam cię, że żaden z nich nie spojrzął nawet na moje piersi.

Jared wstał z łóżka i Cassie poczuła niepokój.

- Przyglądali się trochę... - Przerwała gdy schwycił ją za

ramiona. Uniosła głowę i dodała kpiąco: - Mówiłam ci już, że sam nie wiesz, czego chcesz. Dlaczego jesteś taki zły?

- Doskonale wiesz, dlaczego jestem zły - wysyczał przez zęby i zacisnął dłonie na jej ramionach. - Chętnie bym cię udusił. - Potrząsnął nią. - Paradujesz jak ładacznica zachęcająca mężczyzn, by ją posiadli. Masz szczęście, że nie zostałam zgwałcona, zanim tu doszłaś.

- Co za różnica, czy zostaną zgwałcona przez marynarza na pokładzie, czy przez ciebie w kabinie?

- Doskonale wiesz, jaka różnica. Ja ciebie nie zgwałciłem.

- Potrząsnął nią jeszcze raz. - Prawda?

- Boli. Czyżby to miał być wstęp do gwałtu?

- Chcę, żeby bolało. - A jednak jego uścisk zelżał. - Chciałbym...

- Udusić mnie - skończyła za niego. - Wiem. Nie musisz się powtarzać. Nudzisz mnie.

Nagle zdała sobie sprawę, że posunęła się zbyt daleko.

- Nie mogę znieść myśli, że cię nudzę - rzekł aksamitnym głosem. - Zobaczmy, co się da zrobić, by cię... trochę rozerwać.

- Przesunął dłonie na jej biodra. - Najwyraźniej chcesz zwrócić uwagę na te partie twojego ciała. Pokusa nie do odparcia.

- Do niczego cię nie zachęcam.

- Rozsuń nogi.

- Nie.

Poczwała, jak błędzą po niej zręczne palce Jareda i oblała ją fala gorąca.

- Przecież lubisz, jak cię dotykam.

- Ale to nie oznacza, że ci się pozwolę... - westchnęła, gdy jego palce natrafiły na najwrażliwsze miejsce - ...obmacywać.

- Obmacywać? - zapytał patrząc na swój kciuk i palec wskazujący. - Co masz na myśli?

Cassie zdrząła i poczuła napięcie w dole brzucha. Nie odpowiedziała.

Jej milczenie rozgniewało Jareda jeszcze bardziej. Zerwał okrywający ramiona Cassie sarong, chwycił ją w ramiona i położył na koi.

- Nie chcę - powiedziała zrozpaczona.

- To po co tu przyszłaś? Wiedziałaś, co się stanie.

Posadził ją i ukląkł na podłodze obok koi. Rozsunął jej nogi i Cassie poczuła pulsowanie gorącej krwi.

- Właściwie nie powinienem się gniewać, że chciałaś wy-

stawić ten skarb na widok publiczny. Jesteś tu bardzo piękna - powiedział ochryple.

Chciała zsunąć nogi, lecz Jared okazał się silniejszy.

- Lecz mimo wszystko jestem rozgniewany - powiedział i zagłębił w niej trzy palce. Wysunął je, a potem wsunął z powrotem. Powtarzał to rytmicznie mówiąc przy tym: - Nie-ży-cze-sobie-byś-odważyła-się-na-to-jeszcze-raz.

Cassie poczuła, że ogarnia ją mroczna rozkosz. To było coś zupełnie nowego. Wczoraj pokazał jej, jak wygląda dzika namiętność, teraz traktował ją z bezlitosną gwałtownością.

- Zrobię... co mi się będzie... podobało. Nie możesz... mnie... do niczego... zmusić.

- A właśnie że mogę. - Popchnął ją na koję i wpełzł na nią. - Widzę, że nie jesteś w nastroju... - Zamilkł i zamknął oczy. - O, Boże. - Zsunął się z niej i wstał. - Zadałem ci... ból? - zapytał.

Wycofał się tak nagle, że Cassie nie rozumiała, co się stało. Wpatrywała się w niego zaskoczona.

- No jak, boli?

- Nie. - Czuła ogromne zmęczenie, jakby przeżyła huragan, ale nie był to ból.

Położył się obok niej i mocno przytulił.

- Nie rób mi tego więcej - powiedział chowając twarz w jej włosach. - To niebezpieczne. Nigdy nie byłem bliższy zgwałcenia kobiety.

Jego uścisk był pełen czułości i to zdumiewało ją jeszcze bardziej niż poprzednia gwałtowność. Nigdy dotąd nie zaznała jego czułości. Miała ochotę zostać przy nim i pławić się w niej.

- Nie rozumiesz mnie, nie mogę ci pozwolić... - Przerwała, a potem dodała znużonym głosem: - Nie mogę ci obiecać.

Uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Milczał. Potem odsunął się od niej.

- Ach tak - wymamrotał. - Bardzo dobrze - dodał po chwili. - Ale nie zachowuj się tak wyzywająco.

Nie miała wyboru. On trzymał w ręku wszystkie atuty.

- Będę się ubierała, jak zechcę.

- Do diabła, czy ty nigdy nie dajesz za wygraną? - Potrząsnął głową. - W porządku. Ubieraj się, jak chcesz. Możesz do mnie przychodzić nago, albo w sukni balowej. Wszystko mi jedno.

- Naprawdę? - spytała zaskoczona.

- Prawdę powiedziawszy, wolałbym suknię balową. Mówię ci już, lubię rozpakowywać prezenty.

Słyszając te słowa Cassie poczuła ten sam niepokój, co przy kolacji. Dziwne, że słowa robią na niej tak wielkie wrażenie. Przecież przed chwilą doświadczyła z nim najgłębszej, zmysłowej intymności.

- Nie mam sukni balowej.

- Nie? Musimy się o to zatroszczyć zaraz po przybyciu do Anglii. - Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po brzuchu. - Czerwoną. Lubię czerwony kolor i będzie ci w nim do twarzy.

- Nigdy nie ubieram się na czerwono. Klara mówi, że to pogański kolor. - Zesztywniała czując na sobie jego rękę, lecz zaraz się odprężyła, bo pieścizota pozbawiona była zmysłowości. Był to czuły, bezpłciowy, niemal przyjazny dotyk podobny do tych, jakimi ona obdarzała Kapu. - Nie żartuj. Po co mi sukni balowa? Nie jadę do Anglii, żeby chodzić na bale.

- Ach, prawda. Jakże mogłem zapomnieć. Ale ja chadzam czasami na bale. Myślę, że jeśli zechcesz mnie pilnować, będziesz musiała przebrać się za lokaja. - Spojrzał na jej biust, po czym dodał: - Nie, kragłości są zbyt... obfite. No cóż, z pewnością coś wymyślisz.

Żartował. Po wszystkim, co przed chwilą przeżyli, ośmielał się z niej żartować.

- To wcale nie jest zabawne - powiedziała wyprowadzona z równowagi.

- Jestem zdruzgotany faktem, że nie doceniasz mego poczucia humoru. Moje znajome uważają je wprawdzie za niewybredne, ale ty jesteś inna.

Poczuła dziwaczny ból. Nie, ona nigdy nie będzie taka jak kobiety z jego świata. Ona nigdy nie stanie się miła i łagodna. Nigdy nie nabędzie wdzięku ani słodyczy.

- Coś nie tak? - zapytał zaglądając jej w oczy.

- Nie - odparła unikając jego wzroku. - Nie chciałabym stać się taka jak twoje znajome damy. Ale nie jestem niewybredna. Nie zbłaźniłabym się w twoich wspianiałych salonach.

- Jezu, nie powiedziałem, że jesteś... Spójrz na mnie.

- Nie mam ochoty.

Wzięła ją pod brodę i zwrócił jej twarz ku sobie.

- Naprawdę sprawiłem ci przykrość.

Potrząsnęła głową.

- Posłuchaj mnie. Masz odwagę i jesteś uczciwa jak żadna ze znanych mi kobiet. Jesteś również impulsywna i w gorącej wodzie kapana oraz niesłuchanie uparta. Czasami chętnie bym cię udusił, ale z pewnością nie przyniosłabyś mi wstydu.

Mówił szczerze, patrząc jej prosto w oczy, a ona nie mogła oderwać od niego wzroku. Poczwała, że traci grunt pod nogami. Niebezpiecznie. Mój Boże, bardzo niebezpiecznie.

- Muszę już iść - wyszeptała.

Wyraz jego twarzy uległ zmianie.

- Tak - zgodził się z nią.

Nie chciała, żeby się z nią zgadzała. Pragnęła, by ją zatrzymywał. Niebezpieczeństwo było jeszcze poważniejsze niż przypuszczała. Zsunęła się z koi.

- Jak się ma Kapu?

- Denerwuje się. Ale czasami bywa spokojniejszy. - Podniosła z podłogi sarong i obwiązała nim biodra.

- Nadal sypiasz w ładowni?

- Tylko gdy morze jest wzburzone. Powiedziałeś kiedyś, że masz konia lepszego od Kapu.

- Moja klacz biega prędko jak wiatr. Wygrała dla mnie wszystkie możliwe nagrody.

- Klacz? - Cassie potrząsnęła głową z niedowierzaniem. - Żadna klacz nie może się równać z Kapu.

- Sama mi powiedziałaś, że nie należy oceniać konia na pierwszy rzut oka, a ty w ogóle nie widziałaś Morgany.

- To co innego.

- Bo zagraża pozycji twego ukochanego ogiera? - zapytał z uśmiechem. - Opowiedzieć ci, skąd mam Morganę? Przebyła kawał świata podobnie jak twój Kapu.

- Naprawdę? Skąd? Myślałam... - Co ona wyprawia? Rozmowa prowadzi do intymności, a tego właśnie należy unikać.

- Wcale mnie nie obchodzi, skąd masz swoją Morganę.

- Ciekawość prowadzi do piekła - rzekł z uśmiechem. - Doskonale cię rozumiem. Chciałbym ci zadać tysiące pytań, ale to zabronione, prawda?

- Tak - odparła i lekceważąc zaczepkę otworzyła drzwi. - Rzeczywiście masz zamiar przyjść jutro do mojej kabiny? - spytała nie patrząc na Jareda.

- Powiedziałem ci już, co się stanie, jeśli odwiedzisz mnie ubrana w sarong.

- Nie chcę... - Nie będzie się z nim targować. - Och, rób sobie, co zechcesz.

- Właśnie taki mam zamiar. - Zamilkł, a potem dodał: - Ale prawdę powiedziałem, że ty przyszła do mnie.

Poczwała ulgę.

- Ubiorę się w...

- Poznałem już twoje gusta - przerwał jej Jared. - Dobranoc.

- Dobranoc.

Był bardzo rozgniewany. Dlaczego uparł się, by nią dyrygować? Nie pragnęła jego zainteresowania. Bała się, że może naruszyć barierę, którą się od niego odgradzała.

Wszystko będzie dobrze.

Musi tylko pamiętać o tym, by się do niego zanadto nie zbliżać.

Ku'aihelani.

Pływający, dryfujący na błogosławionych falach, rozświetlony słońcem...

Nie trzeba było tego mówić na głos. Jared nie powinien wiedzieć...

Przysunęła się bliżej i wyszeptała:

- Dziś wieczorem na pokładzie nie było marynarzy.

- Owszem, byli. Tylko po przeciwnej stronie. Powiedziałem im, że jeśli zobaczą kogoś z okna mojej kabiny, to go wyrzucę za burtę.

- Zupełnie niepotrzebnie - odrzekła łagodnie. - Już i tak widzieli...

- Cicho bądź - powiedział szorstko i zamknął jej usta pocałunkiem. - Już cię więcej nie zobaczą. Nigdy.

- Zobaczą, jeśli ja tego zechcę. Nie możesz...

Rozsunął jej uda i wszedł w nią zdecydowanym pchnięciem.

- Nie zobaczą - powtórzył i jego biodra rozkołysały się w dzikim, pogańskim tańcu. - Cholera, czy to jedyny sposób, by cię zniechęcić do kłótni?

Kłótni? Nie pamiętała już nawet, o czym rozmawiali. Przygryzła wargi, bo wsunął dłoń pod jej pośladki i przyciskał do siebie zgodnie z rytmem. Napięcie rosło, stawało się nie do zniesienia...

Wygięła się w łuk. Ciałem wstrząsnęły drgawki. Krzyczała czując ogarniające ją fale rozkoszy.

Ku'aihelani...

Lani, popatrz, delfiny! - zawołała Cassie wychylając się ponad barierką. - Płyną za statkiem. Pamiętasz, jak pierwszy raz zabrałaś mnie, żebym sobie popływała z delfinami w zatoce Hanlua?

- Jakżebym mogła zapomnieć? Mało nie utonąłaś. Chciałaś za nimi wypłynąć daleko w morze.

Cassie uśmiechnęła się patrząc na wyskakujące z wody gładkie, szare ciała.

- Było cudownie... tyle miłości i radości. Czulałam się zupełnie tak, jakbym była jednym z nich.

- Niestety, nie pływasz wystarczająco dobrze jak na delfina. Musisz więc żyć na lądzie. Masz za to Kapu. Czasami wydaje mi się, że chciałabyś, aby bawił się pod wodą z tobą i delfinami.

- O, nie. Nie jestem aż taka dziecinna. Wiem, że praw natury nie da się zmienić.

- Ale wierzysz, że odnajdziesz Ku'aihelani, gdzie delfiny i konie figlują pospołu.

- Widzisz to maleństwo? Cudowne. - Cassie roześmiała się i spojrzała na Lani. - Nie sądzę, by w tych marzeniach było coś złego.

- Są piękne, ale musisz pamiętać, że to tylko marzenia.

Cassie pojęła, że Lani nie ma na myśli delfinów, i uśmiech zamarł jej na twarzy. Wiedziała, że ten moment musi w końcu nadejść. Przez cztery tygodnie Lani ani razu nie poruszyła delikatnego tematu, ale widać było, że nie jest zadowolona.

Bardzo dziwne cztery tygodnie. Persefona. Obruszyła się, gdy Jared użył tego porównania, ale czasami czuła się jak zawieszona między mrokiem nocy a jasnością dnia. Za dnia Jared i Cassie prawie się nawzajem nie dostrzegali. Nie rozmawiali ze sobą, pozdrawiali się skinieniem głowy, jak nieznajomi. Nawet przy kolacji nie prowadzili bezpośrednich rozmów. Ale z chwilą, gdy przekraczała próg jego kabiny, opuszczała ją cała sztuczna obojętność i Cassie bez reszty zagłębiała się w mrocznym, zmysłowym świecie, którym rządził Jared. Dopóki te dwa światy istniały oddzielnie, nie miała powodów do obaw.

- Moje marzenia nie zmieniły się. Były takie, jeszcze zanim wsiadłam na statek.

- Wszystko w porządku? Czy on ci się podoba?

Na myśl o ubiegłej nocy Cassie dostała wypieków. Jared z głową pomiędzy jej nogami i jego język płaszający, pieszczący... Przełknęła ślinę.

- Owszem, podoba mi się.

- A ty jemu. Kiedy tego nie widzisz, pożera cię wzrokiem, jakby cię chciał pochłonać.

Cassie spojrzała na delfiny.

- I o to właśnie nam chodzi. Żeby trzymał się blisko mnie, gdy dotrzemy do Anglii.

- Tak. O to właśnie nam chodzi - niechętnie zgodziła się Lani. - Ale nadal uważam, że byłoby lepiej, gdybym to ja sypiała z Jaredem. Nie podoba mi się, że...

- Że co?

- Powinłam była przewidzieć, że świat zmysłowych rozkoszy wciągnie cię tak samo jak inne przyjemności. Przeżywasz wszystko tak intensywnie. Na przykład delfiny... Boję się, że możesz utonąć.

Cassie przykryła rękę Lani dłonią opartą na barierce.

- Nie utonę.

- Dopóki tu jestem, by cię ratować. - Lani westchnęła. - Ale obawiam się, że teraz jest już za późno na zamianę. Wątpię, czy zamiast ciebie wpuściłby do swego łóżka samą Wenus. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Zagrałabym w karty. Masz ochotę?

Cassie potrząsnęła głową.

- Wolę popatrzeć na delfiny, a potem zejść do Kapu.

- Spodziewałam się tego. Chyba poszukam Bradforda. On zawsze chętnie mi towarzyszy, o ile nie jest zbyt zajęty butelką.

Cassie wróciła do podziwiania delfinów. Bradford jest nie tylko chętny, on po prostu rwie się do spełniania wszelkich życzeń Lani, pomyślała. Rozpaczliwie pragnął przypodobać się jej i przyjmował jej szorstkie polecenia i chłodne słowa ze spokojną pogodą ducha. A jednak Cassie podejrzewała, że Lani bawia cyniczne dowcipy Bradforda. W ciągu spędzonych na statku tygodni nawiązały się pomiędzy nimi stosunki równie niezwykle jak te, które łączyły Cassie i Jareda... Nie, co też ona wymyśla? Tego się nie da porównać. Gorące płomienie

i chłód. Wymiana zarcików i pełne napięcia wybuchy napiętości.

Poczuła na sobie czyjś wzrok.

Obejrzała się. Kilka metrów od niej, przy mostku kapitańskim, stał Jared. Na widok jego wyrazu twarzy westchnęła głęboko. Pomimo że był starannie ubrany, wręcz wymuskany, sprawiał wrażenie nagiego, dzikiego grzesznika, który czekał na nią co wieczór w kabinie, a nie eleganckiego, spotkanego w biały dzień nieznanego. Władca podziemi, nie zaś księżę Morlandu.

„Kiedy tego nie widzisz, pożera cię wzrokiem, jakby cię chciał pochłonać.”

Patrzyła na niego czując, jak jej ciało nabrzmiewa i staje się gotowe, by go przyjąć. A przecież miało być inaczej. Wytyczyła granice, lecz one zatarły się, stopniały. Mrok nocy i światło dnia... jedność.

Twarz Jareda pojaśniała. Ruszył w kierunku Cassie.

Nie! Poczuła paniczny strach. Granice muszą pozostać nie naruszone.

Odwrociła się plecami do Jareda i nie widzącym wzrokiem wpatrzyła się w delfiny.

Usłyszała jego słumiony okrzyk Pełna napięcia oczekiwa-
ła, że pomimo odrzucenia podejdzie do niej.

Ale się pomyliła.

Upłynęło kilka minut i Cassie odważyła się znowu odwrócić.

Odszedł.

Ale to nie koniec. Odrzuciła go tak ostentacyjnie, że przyjdzie jej za to zapłacić.

Co prawda nie teraz. Na razie bariery pozostały nietknięte. Jared nie miał prawa wyłaniać się z mroku i obejmować w posiadanie pory dziennej.

Zaskoczona Cassie zatrzymała się w progu. W kabinie panowały kompletne ciemności.

- Wejść - powiedział Jared.

- Nie widzę cię - odparła z wahaniem i zrobiła krok naprzód.

- Wiem. Ale ja widzę ciebie. Zamknij drzwi.

Teraz, kiedy jej oczy przywykły do braku oświetlenia, zaczęła dostrzegać zarysy jego ciała. Leżał na koi po przeciwnej

stronie kabiny. Zamknęła za sobą drzwi i poczuła, się niepewnie, bo znów ogarnęły ją nieprzeniknione ciemności.

- Zapal świecę - powiedziała.

- Potem. - Cassie usłyszała szelest. - Nie chcę, żebyś ogładała moją twarz.

- Dlaczego?

Już był przy niej i rozwiązywał sarong.

- Mogłabyś się przestraszyć - odparł odrzucając go.

Zrobiła niekontrolowany krok w tył i zderzyła się z drzwiami. Poczuła gładkie, chłodne drewno. Ciemność wyostrzała jej zmysły; ogarnął ją zapach i ciepło ciała Jareda. Pochylał się nad nią. Nagle zdała sobie sprawę z jego siły i własnej słabości.

- Nigdy się ciebie nie bałam.

- Udowodniłaś to przychodząc dziś do mojej kabiny. Zastanawiałem się, czy ci na to starczy odwagi.

Nie przyszło jej do głowy, że mogłaby nie przyjść. Czuła do niego nieodparty, ślepy pociąg. Była przecież noc... i on na nią czekał.

- Ta noc niczym się nie różni od poprzednich.

Wzięła ją za rękę i poprowadził w stronę łózka.

- Mylisz się. Jesteś inteligentną kobietą i orientujesz się, że akcja powoduje reakcję.

- Chcesz mi dać do zrozumienia, że jesteś na mnie zły?

Popchnął ją na łóżko.

- Jeszcze jak

- To bez sensu.

- Czasami postępuję bezsensownie. Odwróć się.

- Co?

- Nie powinnaś się dziwić. Zaledwie kilka godzin temu sama się ode mnie odwróciłaś. Czemu nie miałabyś zrobić tego teraz?

- Bo nie wiem po co... - Zamilkła i przeturlała się na brzuch. - Zadowolony?

- Jeszcze nie, ale za chwilę będę. - Usiadł obok i zaczął ją głaskać. Najpierw po ramionach, a potem powoli przesuwając się w stronę kręgosłupa. Cassie poczuła jak napinają się jej mięśnie. Ciemność czyniła go obcym, lecz jego dotyk miał ten sam magnetyzm co zawsze.

- Dlaczego odwróciłaś się do mnie plecami? - zapytał cicho.

Serce waliło jej tak mocno, że z trudem oddychała.

- Wiesz, dlaczego.

- Niewykluczone. Wydaje ci się, że złamałem te przekłete reguły, które ustanowiłaś. - Dłoń Jareda powędrowała ku jej pośladkom. - Nie rób tego więcej, rozumiesz?

Milczała.

Jego ręce znalazły się niespodziewanie pod nią. Jared unosił ją w górę tak, że oparła się na łokciach i kolanach.

- Co robisz? - spytała zdumiona.

- Najwyraźniej nie lubisz zwracać się ku mnie twarzą. Pomyślałem więc, że łatwiej ci będzie przyjąć mnie w taki sposób.

Przytrzymał jej biodra i przybrał dogodną pozycję, po czym ostrożnie i łagodnie wsunął się w nią.

Napięła mięśnie, by stawić mu opór, lecz po chwili dała za wygraną. Poczuli jego dłonie na pośladkach. Pieściły ją i ścisnęły. Pozycja była niewiarygodna; piersi zwisały ciężkie i znużone, a on wypełniał ją tak doszczętnie, że nie mogła się poruszyć.

- Wiesz, jak się poczułem, kiedy odwróciłaś się ode mnie? - wyszeptał. - Jakbyś mnie spoliczkowała i odepchnęła.

Właśnie takie były jej intencje, pomyślała z rozpaczą. Odepchnąć go, by powrócił na swoje miejsce.

- Miałem ochotę zejść z mostka i przechylić cię przez barierkę - mówił i poruszał się akcentując każde słowo mocnym pchnięciem. - Zadrzeć ci spódnice... i wejść w ciebie... tak jak teraz... i teraz...

Oddychała przez otwarte usta. Z trudem utrzymywała się na łokciach, lecz każdy jego ruch napełniał ją nową falą rozkoszy.

Żywioł, gorączka. Bezgraniczne, bezlitosne posiadanie. Nie pragnęła litości. Pragnęła jego...

Lecz nagle już go nie miała. Odszedł. Nie, był przy niej, w ciemności. Muskał jej piersi doprowadzając ją do stanu gorączkowego podniecenia, lecz nie dając jej pełni, której potrzebowała.

- Jared... - Spróbowała się odwrócić, lecz ją powstrzymał.

- Nie. Zostań tak, jak jesteś. - Znów był w niej. Pieścił jej brzuch. - Chcę tego.

Wprowadzenie i wyciągnięcie i nowe wprowadzenie. Szaleństwo. Trwało to tak długo, aż pomyślała, że dłużej tego nie

zniesie. A gdy Jared wreszcie zezwolił na wybuch, nad którym oboje tak długo pracowali, Cassie rozpląkała się.

Szczytowanie było niezrównane.

Opadła na łóżko. Wyczerpana, bez czucia i kompletnie bezsilna. Nie byłaby w stanie unieść ręki.

Jared leżał obok i oddychał równie ciężko jak ona.

- Nie rób mi tego nigdy więcej - powtórzył.

Poprzez mgłę spowijającej ją rozkoszy dotarło niemiłe wrażenie.

- Czyżby to miała być kara? Nie nauczyłeś się jeszcze, że w ten sposób mnie nie wychowasz? Było bardzo przyjemnie.

Jared zeszywniał.

- Mam nadzieję, że powtórzymy to jeszcze, gdy tylko nabiorę sił - dodała.

- Nie ma mowy. - Zamilkł na chwilę, a potem zachichotał.

- Nie do wiary. Jesteś zupełnie inna niż wszystkie znane mi kobiety. - Wziął ją w ramiona. - Dzięki Bogu.

Nie był już ani trochę zły. Przytuliła się do niego.

- Inne kobiety, z którymi sypiałeś, nie są takie jak ja? To bardzo interesujące.

Pocałował ją w skroń.

- Ty lubisz wszystko to, co i ja. Jesteś zachwycająco pogańska... Kanoa.

Nie nazywał jej tym imieniem od czasu pierwszej nocy. Będąc przy nim czuła się jak poganka. Ich dziki erotyzm w mrocznym świecie nocy stał się zmysłowym rytuałem, którego nie mogłaby sobie odmówić.

- Ale nie lubię, gdy bierzesz mnie rozgniewany. Następnym razem będzie lepiej.

- Tak myślisz? Będziesz musiała zaczekać, aż dojdę do siebie. Poza tym nie jestem wcale pewien, kogo chciałem ukarać. Może samego siebie? Kiedyś znajdę sposób na to, by podczas naszych spotkań nie czuć się jak ofiara.

- To bardzo proste. Nie złość się bez powodu. Ja tylko odwróciłam się od ciebie. Czy to takie okropne?

- Okropne. To mnie zabo... sprawiło mi przykrość. - Pogłaskała ją po włosach. - Zgadzam się, że zareagowałem dziwnie. Chyba mam dosyć tego cholernego układu.

Ubożliwość ją do żywego.

- Nie muszę do ciebie przychodzić.

- Owszem, musisz. - Objął ją mocniej. - Co noc. - Zamilkł.

- Ale to nie wystarczy. Chcę, żebyś przeniosła rzeczy do mojej kabiny.

Cassie zeszywniała. Odepchnęła go i usiadła.

- Powiedziałaś ci...

- Pamiętam, co mi powiedziałaś. I mam to gdzieś. Chcę, żebyś była przy mnie, gdy cię zapragnę. - Przyciągnął ją do siebie. - Pragnę cię mieć w zasięgu ręki. Chcę, żebyś... - Pocałował ją niezręcznie. - Dziś po południu marzyło mi się...

- Pozwól mi odejść - szepnęła.

- Wcale tego nie chcesz.

Nie, nie chciała. Miała ochotę zostać i stopić się z nim w jedno. Ale zostając ustąpiłaby mu, a na to nie mogła sobie pozwolić.

„Wstając i wychodząc wcale go nie zdradzisz.”

Słowa Lani. Słowa prawdy. Mrok i jasność. Poznawali się coraz lepiej. Zbliżało ich każde pytanie, słowo, uwaga. Oddzielając namiętność od intymności, przegra.

Odepchnęła go po raz drugi, usiadła i opuściła nogi na podłogę.

Przez chwilę wydawało się jej, że Jared zechce ją zatrzymać, ale nawet nie spróbował. Wstała i szukała po ciemku sarongu.

- Którejś nocy zostaniesz - powiedział łagodnie. - Za każdym razem ustępujesz troszeczkę.

Znalazła sarong i popędziła do drzwi. Chciała odciąć się od jego słów i jego pewności. Przerazały ją bardziej niż wszystkie jego dziwne wyczyny.

Lubię twoje włosy. Czasami, długo po twoim wyjściu, wydaje mi się, że czuję ich dotyk. - Zamilkł, a potem jego głos znowu zabrzmiał w ciemności. - Dłużej tak być nie może.

- Co? - spytała. Słyszała bicie jego serca.

- Nie mogę pozwolić, by tak było nadal. - Głaskał jej włosy. - Dalila...

Poczuła euforyczną radość. Tatus. On mówi o tatusiu. Jared nigdy nie wspominał o ojcu. Ona także. Był stale obecny w ich myślach, ale w miarę upływu czasu wspomnienie o nim zblakło i stał się kimś na kształt ducha.

- Nie jestem Dalilą.

- Ty tak twierdzisz. - Głaskał ją po plecach. - To dlaczego nie mogę się z tobą rozstać? Myślałem, że w końcu się tobą nasycę...

Ona także miała taką nadzieję. Po burzliwej nocy sprzed dwóch tygodni wmawiała sobie, że Jared nie robi już na niej takiego wrażenia jak na początku, ale wiedziała, że to nieprawda. Lani powiedziała jej, że namiętność zazwyczaj nie trwa długo, ale jej ciągle było mało. Wystarczyło, że spostrzegła Jareda na pokładzie, by zaczynała drżeć. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy wejdzie do jego kabiny, i wiedziała, że on czuje to samo. Za każdym razem rzucał się na nią jak wygłodniały.

- Nie chcę, by rozdzielały nas kłamstwa. Pamiętaj. Tak dłużej być nie może.

A więc w końcu dotarła do niego. Lani miała rację - nie był kompletnie pozbawiony uczuć. Fakt, że zażywa rozkoszy z córką wroga, wprawiał go w zakłopotanie. Jeżeli pozostanie dla niego atrakcyjna, może zmieńczy go jeszcze bardziej. Powinna teraz triumfować, czuć się szczęśliwa. Lecz tak nie było i to ją przerażało. Wolałaby, żeby ten strach nadszedł później, nie teraz. Teraz pragnęła jeszcze raz zatracić się w miłosnym zapamiętaniu, które stało się dla niej rajem.

- Porozmawiamy o tym później. - Uniosła głowę i spojrzała na Jareda. - W tej chwili oczekuję od ciebie czego innego.

- Stałaś się bardzo wymagającą miłośnicą. Ale masz rację: nie spotykamy się po to, by tracić czas na rozmowy - powiedział ironicznie. - Przepraszam, Dalilo.

Zamknęła oczy, by nie okazać, że poczuła się urażona. Myślała tylko o tym, żeby być jak najbliżej niego; nigdy nie starała się go uwodzić.

Już był w niej i pieścił ustami jej piersi.

Westchnęła i wbiła paznokcie w jego ramiona. Ruszyli zgodnym rytmem.

- Taka bliska... taka moja. Jezu, taka moja. - Oczy miał zamknięte, na twarzy wyraz zmysłowości. Widywała ten wyraz bardzo często, ale czułe słowa wymknęły mu się tylko dwukrotnie...

- Dalila...

9

Bradford mówi, że za kilka dni powinniśmy dopłynąć do Anglii - odezwała się Lani.

- Tak szybko? - zdumiona Cassie spojrzała na nią odwracając się od barierki. - Wyobrażałam sobie, że podróż będzie trwała znacznie dłużej.

- To bardzo długa podróż - odparła Lani unosząc brwi. - Ale ty zupełnie straciłaś poczucie czasu. Miałeś wiele... rozrywek.

Lani powiedziała to zupełnie beznamiętnie, lecz Cassie poczuła, że się rumieni.

- Nie... wcale nie... nie miałam.

- Nie wspomniałabym o tym, ale widzę, co się dzieje. To bardzo silny mężczyzna, a ty masz gorący temperament. Czy on aby nie sprowadza cię na niebezpieczną ścieżkę?

- On mnie nigdzie nie sprowadza.

Czy to aby prawda? Ostatnio spędzając z nim czas zapomniała o bożym świecie. Myślała tylko o jego dotyku, zapachu i błogich rytmach rozkoszy. Ostatniej nocy nie podjęła rozmowy o najważniejszym, byle tylko nie wyrzec się przyjemności.

Zdrada.

Poczuła mdłości. Nie chciała się do tego przyznać. To nie może być prawda.

- Cassie? - Słodki głos Lani, który nigdy nie powiedział jej złego słowa.

Lecz Cassie sama się obwiniała. Zapomniała o celu, który jej przyświecał. Myślała tylko o własnej przyjemności. Wydawało jej się, że jest wystarczająco silna, by wykorzystać Jareda, a tymczasem to on ją omotał.

Lecz wcale nie musi pozostać w jego sieci.

- Muszę już iść - powiedziała niepewnie. Odwróciła się plecami do barierki i ruszyła przez pokład. Musi odejść i opłamać się, zanim znów stawi czoło Lani. - Nie mogę tu zostać...

Czuła na twarzy bezlitosne, zdradzające prawdę, promienie słońca. Jakże inne od bezpiecznego mroku kabiny, w której co noc czekał na nią Jared. Drżąc zdała sobie sprawę, że niezależnie od poczucia winy, nadal go pragnie. Ile nocy pracował nad nią, by zupełnie zapomnieć o swoim celu? Nie mogła uwierzyć, że doszło do czegoś podobnego.

To nieprawda. Jeszcze nie jest za późno. Ma wystarczająco wiele siły, by wyzwolić się z tego szaleństwa. Musi sobie po prostu zdać sprawę z tego, że jej siła ma pewne granice.

Zniewalała ją wizja pochylonego nad nią Jareda. Zmysłowego, namiętnego, uśmiechniętego, poruszającego się powoli i rytmicznie. Myśląc o nim czuła, że nabrzmiewają jej piersi, napinają się mięśnie, że jest gotowa na jego przyjęcie.

Jared nie pozwoli jej odejść. Była chyba ślepa nie dostrzegając, że on sam dał się schwytać w swoje własne sieci.

Dobry Boże, czekało ją niełatwe zadanie.

Lani przyglądała się Cassie ze zmarszczonym czołem. Wiedziała, że wystarczy jedno jej słowo, by sprowadzić Cassie z powrotem na właściwą drogę. Zrobiła więc, co do niej należało, lecz bez najmniejszej przyjemności.

- Co jej pani powiedziała? - Lani odwróciła się i ujrzała zbliżającego się Bradforda. - Wygląda na zdenerwowaną. Nie mogę uwierzyć, że się kłócicie.

- Cassie i ja nigdy się nie kłócimy.

- Bo ona święcie wierzy w pani mądrość. Oszczędza siły na kłótnie z resztą świata. - Spojrzał na Lani. - Jared?

Udawała, że go nie rozumie.

- O ile wiem, nie kłóci się także z Jaredem.

- Ale będzie. Prawda?

Spojrzała na niego oczami pozbawionymi wyrazu.

- Bo uznała pani, że nadszedł czas, by ją obudzić i rozwiązać zły czar.

- Zły czar?

- Jared bez trudu zawraca w głowie wszystkim napotkanym kobietom. Radzi sobie z nimi prawie tak dobrze jak

z końmi. - Uśmiechnął się. - I założę się, że bardzo się starał. Tym razem sam wygląda na ogłupiałego.

- Nie wiem, o czym pan mówi.
- Zdarza się, że jestem pijany, ale nie jestem ślepy. Odkąd podsunęła mu pani naszą uroczą Cassandrę, obydwójce sprawiają wrażenie lunatyków.

Lani zamarła.

- Pan uważa, że mu ją podsunęłam?
- A nie?
- Nie. Myli się pan.
- Ulżyło mi. Nie mogłem uwierzyć, że posunęła się pani aż tak daleko, by ratować Deville'a. Choć prawdopodobnie pogodziłbym się z tą myślą.

- Nie ma pan najmniejszego wpływu na moje postępowanie. Nie interesują mnie pańskie opinie.

- Och, nie wierzę pani. Nie chce się pani do tego przyznać, lecz uważa mnie pani za czarującego i zabawnego.

- Czyżby? A przede wszystkim za skromnego.
- Z całą pewnością jestem dla pani pociągający - odparł lekceważąc jej ironię.

- Nie pociąga mnie pan. Chwilami uważam pana za zabawnego, ale nic poza tym. Pijaństwo pozbawiło pana rozsądku.

- Jest pani okrutna.
- Po prostu mówię prawdę.
- Okrutna - powtórzył. - Ale tylko dla mnie. Dziwne, prawda?
- Raczej przykre.
- I dlaczego? A ja uważałem panią za najbardziej tolerancyjną osobę na świecie. Znosiła pani nawet tę okropną Klarę Kidman.

- Tak już jest. A poza tym Klara nic nie może poradzić na swoją zatrutą duszę, a pan zatruwa się z własnej, nieprzymuszonej woli.

- Ale ta trucizna czyni ze mnie słabszego przeciwnika. A to powinno zasługiwać na pani aprobatę. Uważam, że pani rozumowanie jest pozbawione sensu. A ja oceniam sytuację właściwie. Bez wątplenia jestem dla pani pociągający.

Lani prychnęła.

- Widzi pani? Założę się, że w obecności tego całego Deville'a nie wydałaby pani z siebie podobnego dźwięku. Jego

idealna partnerka jest kulturalną damą i on urabia panią tak jak zechce.

- Postępuję zgodnie z własnym sumieniem.
- Zgodnie z jego wyobrażeniem.
- Zgodnie z oczekiwaniami wszystkich obcokrajowców.
- I jakież ono jest?
- Pełna wdzięku dama przy stole i poganka w łóżku.
- Przyznaję, że to doskonała kombinacja. Ale skoro jest pani jego ideałem, to dlaczego pani nie poślubi?

- Nigdy go oto nie prosiłam.
- Zazwyczaj prosi dzentelmen.
- Nie chcę już o tym rozmawiać.
- Bo to bolesny temat?
Bolesny.

- Nie chcę wychodzić za męż. To wy, cudzoziemcy, potrzebujecie przysiąg.

- Tak, potrzebujemy ich. - Zamilkł, a potem dodał oficjalnym tonem: - Czy robi mi pani ten zaszczyt i zostanie moją żoną, Lani?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Była wstrząśnięta. To niemożliwe, nie powiedział tego, co usłyszała.

- Uchodzę za niezłą partię. Nie jestem taki bogaty jak Jared, ale stać mnie na to, by zapewnić pani życie na odpowiednim poziomie.

- Co też pan opowiada? - wyszeptwała.
- Och, i jeszcze coś. - Spojrzał jej prosto w oczy i dodał szczerze: - Będę panią kochał i szanował do końca moich dni.

Poczuła się jak oślepiąca ostrym światłem. Zdumiona... i niewypowiedzianie wzruszona. Spojrzała na morze.

- Lub do chwili, gdy podsłucha pan, jak przyjaciele rozmawiają na temat okropnej pomyłki, którą pan popełnił poślubiając dziwą Polinezyjkę. O wiele lepiej zrobić z niej dziwkę.

- Nie, moje uczucie by nie wygasło. Zgasłoby życie tego, kto to powiedział.

- Mogę sobie bez trudu wyobrazić, że walczy pan o skrzynkę francuskiego koniaku, lecz nie o kobietę.

- Następny cios. Widzi pani, znów stara się pani być dla mnie okrutna. Uważam, że to bardzo zachęcające.

- W takim razie głupiec z pana. Nie mam dla pana odrobiny uczucia. Kocham Charlesa Deville'a.

- Dlaczego?

- Bo jest miły, czuły i...

- Ja także jestem miły. I mogę być czuły. - Zamilkł. - I potrzebuję pani tak samo on. Bardziej. To powinno świadczyć na moją korzyść.

- Bzdury.
Potrzęsnał głową.

- Uważam, że pani urodziła się, by dawać. Potrzebuje pani kogoś, o kogo mogłaby się pani troszczyć. - Wskazał na siebie kpiącym gestem. - Proszę na mnie spojrzeć, miła pani. Jestem bezdenną studnią potrzeb.

Lani była wstrząśnięta. Nie spodziewała się, że Bradford tak ją przejrzał.

- Jestem pewna, że odczuwa pan bezdenne pragnienie, to jednak zaspokoić można...

- Przeszanę pić.

- Co?

- Alkohol stoi nam na drodze, daje pani powód, aby mnie odepchnąć. - Machnął ręką. - To już przeszłość.

Spojrzała na niego sceptycznie.

- To ja panuję nad mymi nawykami, a nie one nade mną. Picie należy już do przeszłości - powtórzył. - Choć być może popełniam pomyłkę. Moje pijaństwo sprawiało, że czuła się pani bezpieczna, przemawiało też do pani opiekuńczych uczuć.

- Bezpieczna?

- Pijaka nie traktuje się poważnie - odparł z prostotą. - A teraz będzie pani musiała potraktować mnie z całą powagą.

- Nie mam zamiaru. Kocham Charlesa.

- Po prostu przywykła pani do myśli, że go pani kocha. - Zmarszczył brwi. - Nie, kocha go pani. Ale serce pani jest wystarczająco wielkie, by obdzielić miłością nie tylko jednego mężczyznę. Ale on nie jest pani wart. Nie mam najmniejszych oporów na myśl o tym, że próbuję mu panią odebrać.

- Zwłaszcza że uważa go pan za zabójcę swego brata - odparła ironicznie.

- Nienawidziłem mego brata. John był szalony i nie liczył się z innymi. Zatrzymał mi życie, dopóki nie uciekłem z Morlandu do zdeprawowanego Londynu. Jedyną osobą, którą obdarzał uczuciem, był Jared. Uwielbiał go. Szkoda. Gdyby traktował go tak jak wszystkich innych, Jareda nie prześladowałaby teraz myśl o zemście.

- Najwyraźniej jednak zależało mu na tym, by ratować kuzyna od śmierci.

- On to traktował jako przygodę. Nigdy nie odmawiałem łajdakowi odwagi.

- A więc chce pan odebrać mnie Charlesowi, bo nienawidził pan brata?

- Nie powoduje mną chęć zemsty. Jestem w pani namiętnie zakochany. Nigdy przedtem nie czułem niczego podobnego. To... nadzwyczajne.

- Bo jestem Polinezyjka?

- Bo jesteś najpiękniejszą, najsilniejszą, najmądrzejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. - Wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć, lecz powstrzymał się. - Jesteś mi przeznaczona, Lani. Jesteś stworzona, bym cię kochał i opiekował się tobą. Zostałaś mi zesłana, aby wypełnić pustkę w moim życiu. Jared nie wierzy w przeznaczenie, ale ja wierzę. Naprawdę wierzę. To moja jedyna nadzieja.

Mówił pośpiesznie i z takim przejęciem, że słuchała go ze współczuciem. Chciała go jakoś pocieszyć, utulić, pogłaskać po przyprószonych siwizną lokach. Nie powinna. Przełknęła ślinę.

- Nie ma dla ciebie nadziei. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - I wkrótce zapomnisz o namiętym uczuciu, jakim mnie darzyłeś. Wystarczy, że znów spojrzysz na te jasnoskóre Angielki.

- Do diabła, nie zapomnę... - Zamilkł i westchnął głęboko.

- Chcesz, bym ci to udowodnił? Nic dziwnego, że tak myślisz, po tym, jak traktował cię Deville.

- Charles traktował mnie bardzo dobrze.

- Wmówiłaś to sobie. - Grube rysy rozświetlił pełen ciepła i słodczy uśmiech. - Ale ja będę dla ciebie o wiele lepszy. Nigdy nie miałem na własność skarbu. Wiem, jak go polerować i dbać o niego.

Lani ponownie poczuła przypływ czułości, ale prędko ją odepchnęła.

- Nie jestem miedzianym garnkiem nad kuchennym paleńskim. Nie potrzebuję żadnego polerowania. A zwłaszcza twojego.

- A zwłaszcza mego. - Spojrzał jej w oczy. - Lepiej już pójdę i zostawię polerowanie na później. Dałem ci wystarczająco wiele do myślenia.

Odwrocił się i odszedł niespiesznym krokiem.

Więcej niż wystarczająco, pomyślała oszołomiona Lani. Oczywiście nie będzie brać pod uwagę jego propozycji. Kochała Charlesa, a Bradford był niestały jak kurek na wietrze. Przy najbliższym spotkaniu z pewnością znowu będzie pijany.

A jednak dostrzegła w nim dzisiaj nieoczekiwaną głębię i siłę. Ukazał nie znane jej dotychczas oblicze.

Lecz ona nie chciała go wcale oglądać.

Bradford miał rację: jego pijaństwo dawało Lani pretekst, by się od niego odsunąć. Od pierwszego wejrzenia wiedziała, że pod maską beztroski kryje się siła i inteligencja. To ją rozniewało, a potem...

A potem stała się czujna. Tak, czujna. Zastąpiła tym słowem inne, które przyszło jej na myśl. Tylko czujna.

I pozostanie czujna. Powiedziała Cassie, że musi teraz powrócić do rzeczywistego świata. Dotyczyło to także jej samej.

Doznawała niemiłego przeczucia, że Bradford, jakiego dostrzegła dzisiaj, stanie się przeciwnikiem, którego nie można lekceważyć.

Gdzież ona się, do diabła, podziewa?

Jared wiercił się niespokojnie, aż wreszcie wstał z koi. Cassie wkrótce nadejdzie. To tylko spóźnienie, tłumaczył samemu sobie.

Lecz dotychczas nigdy się nie spóźniała.

Podszedł do luku i spojrzął na morze. Gładkie i spokojne. Nie miała powodu, by siedzieć przy Kapu.

A może zachorowała?

Poczuł niepokój. Czy przy kolacji sprawiała wrażenie niezdrowej? Nie, była tylko cicha i zamknięta w sobie, jak zawsze, gdy spotykali się poza jego kabiną. Kiedy przekraczała próg kabiny, stawała się inną osobą. Stawała się ognistą pięknoscią. Boże, ależ była pełna życia!

Poczuł dotkliwy ból w łędźwiach. Jak do tego doszło? Z innymi kobietami było inaczej. Cassie była jak choroba, jak gorączka.

Dlaczegoż on stoi tutaj i czeka? Powinien się ubrać i pójść do jej kabiny, tak jak zagroził.

Zaczął się ubierać, lecz zmienił zamiar.

Wstyd. Cassie nie patrzyła mu w oczy pytając, czy upiera się przy odwiedzinach w jej kabinie. Była zbyt dumna, by go

prosić, lecz on dobrze wiedział, że za nic nie chce zdradzić się przed Lani. Zupełnie jak mała, pozbawiona pewności siebie dziewczynka. I Jared zmięknął.

Ostatnio w ogóle stał się wobec niej wyrozumiały, pomyślał z rozpaczą. Niezależnie od tego, jak bardzo czuł się rozgniewany i sfrustrowany, nie mógł jej narażać na wstyd.

Ale gdzież ona się, do diabła, podziewa? Przecież on jej potrzebuje.

Zbliżał się do niej.

Cassie nie odwróciła się od rozstłonecznionego morza, lecz śledziła Jareda kątem oka. Wyglądał dziś jak przystało na księcia Morlandu. Obojętny wyraz twarzy, spokojny sposób bycia. Może nie będzie tak źle, jak się obawiała.

- Dzień dobry - powitał ją aksamitnym głosem. - Mam nadzieję, że dobrze spałaś.

- Zupełnie nieźle.

- Kłamiesz.

Nagle zdała sobie sprawę z furii drzemiącej pod maską obojętności. - Jesteś blada i wymęczona. Założę się, że nie zmrużyłaś tej nocy oka. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mnie to cieszy.

- Jesteś samolubny i nietaktowny.

- Wcale tego nie ukrywam. Jestem zły i rozdrażniony, i najchętniej rzuciłbym cię rekinom na pożarcie. Spójrz na mnie.

Cassie nadal wpatrywała się w morze.

- Spójrz na mnie!

Posłuchała go z ociąganiem. Miał ciemne sińce pod oczami i blade policzki. Bezsensowność osłabiła Cassie i rozjątrzyła Jareda. Wydawał się ostry jak miecz. To tylko wyobraźnia, pomyślała znużona Cassie. Przez całą noc wyobrażała sobie to spotkanie.

- Źle się czułaś?

- Nie.

- Tak sądziłem. - Westchnął głęboko i oparł się o barierkę. - Więc dlaczego nie przyszłaś?

- Czas z tym skończyć - powiedziała odwracając wzrok. - Wkrótce będziemy w Anglii.

- Już jutro.

- Naprawdę? Myślałam, że za kilka... - Zamilkła, bo Jared chwycił ją za ramiona i obrócił twarzą ku sobie. - Puść mnie!

- Czas z tym skończyć? - wyszczał przez zęby. - Nie miałaś zamiaru skończyć tego, gdy przybędziemy do Anglii. Mam ci przypomnieć? Zostaniesz przy mnie i wykorzystasz mnie dla swoich celów.

- Sytuacja uległa zmianie. Uznałam, że lepiej będzie, jeśli przestanę z tobą sypiać.

- Lepiej dla kogo? Bo nie dla mnie i, na Boga, na pewno nie dla ciebie. Pragniesz mnie równie mocno jak ja ciebie.

- To prawda, że polubiłam sypianie z tobą - powiedziała Cassie wyniośle. A potem spojrzała mu prosto w oczy i dodała celowo używając jego sformułowania: - Ale nie mogę pozwolić, by stało się to dla mnie najważniejsze.

- Mało powiedziane, że polubiłaś.

- Zgodnie z tym, co mówiła Lihua, jesteś bardzo zręczny w sprawianiu kobiecie przyjemności. Nie miałam doświadczeń z innymi mężczyznami, ale przypuszczam, że ona ma rację. - Przełknęła ślinę. - Obydwoje jednak wiemy, że to nie ma znaczenia.

- Skoro to jest bez znaczenia, to dlaczego mielibyśmy z tego rezygnować?

- Ponieważ uznałam, że przeszkadza mi w osiągnięciu celu.

- A jeśli ja się nie zgodzę?

- Poznałam cię wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie będziesz mnie zmuszał. Brutalność nie jest w twoim stylu.

- Kto wie? - Uśmiechnął się niewesoło. - Mogę się zmienić. Cassie potrząsnęła głową.

- Nie, nie ty. Nawet gdy byłeś na mnie bardzo rozgniewany, nie zrobiłeś mi krzywdy.

- A więc rezygnujesz z próby zawrócenia mnie z obranej ścieżki?

- W żadnym razie. Ale to nie oznacza, że zostanę twoją nałożnicą. Przekonałam się, że tym sposobem nic nie wskóram. Sam mi to powiedziałeś. - Zamilkła, a potem dodała pośpiesznie: - Ale nie jestem pewna, czy ci do końca uwierzyłam. Wydaje mi się, że teraz będzie ci znacznie trudniej zabić mego ojca.

- Nie licz na to.

Musiła na to liczyć. Musiała wierzyć, że w ciągu minionych tygodni szaleństwa czegoś dokonała. - I wątpię, czy

wrzucisz mnie do lochu, kiedy dotrzemy do Morlandu. Jestem przecież twoją zakładniczką. A jak długo pozostanę wolna, tak długo mam szansę uratować ojca.

- Wykorzystując mnie?

- Nigdy nie ukrywałam swoich zamiarów.

- Nie, nie ukrywałaś. Chciałaś posłużyć się mną i odejść. Prawda?

- Tak. - Marzyła, by zostawił ją samą. Każda spędzona z nim chwila napełniała ją bólem. - Tak właśnie będzie.

- Ale ty wcale nie odchodzisz. Uciekasz jak wystraszony zając.

- Skoro tak uważasz.

- Wiem, że tak właśnie jest. I nie pozwolę ci na to. Zanim minie tydzień, znów znajdziesz się w moim łóżku.

Potrząsnęła głową.

- Owszem, będziesz! Będziesz!

Jego pewność siebie zachwiała resztką opanowania Cassie.

- Jak mnie do tego zmusisz? Może zagroźisz, że będziesz sypiał z Lani?

- Do diabła z Lani. Wiesz dobrze, że nie o nią mi chodzi. Przyjdiesz do mnie, bo tego właśnie pragniesz. Potrzebujesz tego, co nas łączy. - Uśmiechnął się ponuro. - A ja będę na ciebie czekał. Moja sypialnia w Morland jest znacznie większa od kabiny, ale nie zauważysz różnicy. Będziemy się w niej czuli tak samo.

Ten sam płomień, ta sama żądza, to samo dzikie spółkowanie. Zadrzała na samo wspomnienie. Nie, nigdy więcej do niego nie przyjdzie. To zbyt niebezpieczne.

- Wpuść mnie.

Opuścił ręce.

- Puszczam cię, lecz nie na długo. Już ci powiedziałem, że nie pozwolę ci odejść.

Odsunęła się od niego i odetchnęła głęboko. Bolesna scena miała się ku końcowi. Nie poddał się, ale pogodził z chwilowym odrzuceniem.

- Jeszcze się przekonamy - powiedział.

Z uniesioną głową i wyprostowanymi plecami ruszyła do swojej kabiny. Czuła na sobie jego spojrzenie i miała ochotę się obejrzeć. Domyślała się wyrazu twarzy Jareda: był na niej gniew, frustracja, i ta niezachwiana pewność siebie, i upór.

Dokonała tego. Więzy zostały zerwane. Nie obawiała się już, że zdradzi swego ojca.

Musi tylko wytrwać przy swoim i wszystko będzie dobrze.

Muszę przyznać, Jared, że ten sposób schodzenia na ląd odpowiada mi o wiele bardziej - powiedział Bradford przyglądając się, jak Cassie ostrożnie prowadzi Kapu przez pomost na molo. - Strasznie bym się zdenerwował, gdyby Cassie znowu musiała płynąć konno do brzegu.

- Twoja aprobatą niezwykle mnie cieszy. - Jared uśmiechnął się ironicznie. - Za nic nie chcielibyśmy sprawić ci przykrości. Jesteś gotowy?

- Nie mogę się doczekać. Mam dosyć tego marynarskiego życia. Kiedy będziesz odwoził swoją zakładniczkę do domu, nie licz na mnie. Ja zamierzam pozostać na lądzie. - Ruszył za Jaredem. - Bo chyba masz zamiar odwiedzić ją z powrotem na wyspę, prawda?

- Jeszcze o tym nie myślałem. Na razie liczę na to, że może mi się przydać.

- Niby do czego? - mruknął Bradford.

Jared od dawna na to czekał.

- Powiedz to.

- Słucham?

- Zastanawiałem się, kiedy zgłosisz protest.

- Nie gadam po próżnicy. Skoro już ją uwiodłeś, nie ma o czym mówić. Równie dobrze mógłbym się rzucić ze statku do morza.

- Ja jej nie uwiodłem. Sama do mnie przyszła.

- I nie przekonywałaś jej, by z tobą została? - Bradford potrząsnął głową. - Oczywiście że tak. Robiłeś, co mogłeś, byle tylko ją zatrzymać. Trzeba by być ślepym, by tego nie dostrzec.

- A czemuż by nie? - Jared uśmiechnął się beztrząsco. - Powiedziała mi, że chce mnie wykorzystać. Ja się tylko zgodziłem. - Uśmiech zamarł na jego twarzy. - Już zaprotestowałeś.

I wystarczy. Nie wtrącaj się, Bradford.

- Obawiam się, że będę zmuszony. - Bradford ukłonił się Lani, która ruszyła pomostem. Za nią śpieszyli marynarze dźwigający pudła i walizy. - W naszej konfiguracji przybył nowy składnik. Jeżeli jeszcze tego nie spostrzegłeś...

- Co? - Oczy Jareda zaokrągliły się ze zdumienia. - Sypiasz z nią?

- Jeszcze nie. Ale taki jest mój najszczerzy zamiar. - Stryj popatrzył Jaredowi w oczy. - Poza tym może się zdarzyć, że będę musiał z tym poczekać, aż dama wyrazi zgodę na ślub.

Jared zachłysnął się powietrzem.

- Bradford... nie.

- Tak. - Uniósł dłoń, bo Jared otworzył usta, by coś dodać.

- Teraz ty się nie wtrącaj.

Jaredowi rzadko zdarzało się słyszeć w głosie stryja podobną stanowczość.

- Oszalałeś. To kochanka Deville'a

Bradford skrzywił się.

- Stanowi to pewną przeszkodę, podobnie jak twoja żądza zemsty. - Wskazał głową Cassie. - Następną jest twój pociąg do małej przyjaciółki Lani. Dopóki dziewczyna była chętna, nie stanowiło to problemu, lecz teraz sytuacja się zmieniła. Nie życzę sobie, byś mi utrudniał zadanie denerwując Lani. Nie chcę, by coś ją zaprzętało. Musi mieć swobodną głowę i myśleć wyłącznie o mnie.

- Ona myśli wyłącznie o Deville'u. - Jared milczał przez chwilę. - Na miłość boską, była gotowa przespać się ze mną, byle mu tylko pomóc.

- Wiem. Lani jest pełna poświęcenia i nie widzi niczego złego w pójściu z kimś do łóżka, by ratować swego ukochanego. Miałem szczęście, że do tego nie doszło. - Bradford uśmiechnął się. - I już się nie zdarzy. Wybiłbym ci ją z głowy.

- Do diabła, nie mam najmniejszego zamiaru...

- Wiem - przerwał mu Bradford. - Ale lepiej sobie wszystko wyjaśnić. W każdym razie życzę ci, żebyś jak najszybciej schwycił Deville'a. Twoje poszukiwania psują mi szyki.

- Bardzo mi przykro. Obiecuję zrobić, co w mojej mocy. Chyba pamiętasz, że próbuję załatwić sprawę od przeszło dziesięciu lat. Zanim opuścimy port, wyślę wiadomość do Guillaume'a do Paryża. Czy to cię zadowala?

- Musi. Gdzie chcesz umieścić nasze damy?

- Możesz być spokojny. Nie zamierzam wtrącić ich do lochu. Zapewnię im odpowiedni dozór, choć nie sądzę, by zechciały uciekać, zanim się upewnią, że Deville dotarł do Francji.

- A jak mają zdobyć tę pewność?

- Cóż, oczywiście za moim pośrednictwem. Cassie nie kryje się z tym, że chce mnie wykorzystać. Będzie robiła, co tylko

w jej mocy, by zdobyć informacje. Nie muszę cię chyba ostrzegać, byś się miał na baczności.

Bradford potrząsnął głową.

- Tym razem nie licz na mnie. Nie obiecuję ci żadnej pomocy.

- W takim razie będę słuchał wyłącznie własnego rozsądku. - Jared nie czuł się równie samotny od czasu, gdy jako chłopiec przybył do domu stryja. Cóż, niech tak będzie. Wyplął pierś i uśmiechnął się beztrosko. - Ale nie próbuj szpiegować, Bradford. Takiej zdrady bym ci nie wybaczył. Obawiam się, że wymierzyłbym ci najwyższą karę. - Spojrzał na Cassie i powtórzył: - Najwyższy wymiar kary.

- Nie boję się. Wkrótce sam zrozumiesz, że wojowanie z kobietami przynosi hańbę.

Jared nic nie odpowiedział. Przyglądał się Cassie. Uśmiechnięta mówiła coś do Lani, lecz na widok Jareda jej uśmiech zamarł.

- Witamy w Anglii, miłe panie - powiedział pogodnie. - Mam nadzieję, że spodoba się wam.

- Nie - odparła Cassie. - To zimna i opuszczona kraina. - Spojrzała na drzewa rosnące wzdłuż drogi. - Drzewa nie mają liści.

- Jest jesień i liście opadły. Żałuję, że nie mogę wam zapewnić kwitnących krzewów jak w raj, z którego przybywacie.

- To nie ma znaczenia. Nie zabawimy tu długo.

- Nie wiadomo - stwierdził Jared.

Cassie spojrzała mu prosto w oczy.

- Wiem.

- Jak daleko stąd znajduje się Morland? - spytała pośpiesznie Lani.

- Kilka kilometrów. W oberży trzymają dla mnie konie. Po południu powinniśmy być już na miejscu. Będziecie się tam mogły swobodnie poruszać, ale, oczywiście, pod nadzorem.

- Oczywiście - powtórzyła Cassie. - Nie macie się czego obawiać, dopóki nie dowiemy się, gdzie jest tatuś. A wtedy i tak uciekniemy i nie zdołacie nam w tym przeszkodzić.

- Ciekawe w jaki sposób...

- Chodź, Cassie. - Lani ruszyła w kierunku gospody, którą wskazał im Jared. - Zimno mi. Chcę już ruszać w drogę.

Cassie posłusznie ruszyła jej śladem.

Jared stał i przyglądał się im. Był wściekły. Cassie robiła wszystko, co kazała jej Lani, jemu natomiast okazywała wyłącznie niechęć.

- Utańczy ci nosa? - spytał Bradford. - Nie spodziewałem się, że to tak szybko nastąpi.

- Nie utarły.

Jared ruszył w kierunku gospody.

10

Wspaniałe, imponujące - powiedziała półgłosem Lani przyglądając się Jaredowi defilującemu pośród długiego szpaleru służących zebranych na dworskim podwórku. - Wszystko wskazuje na to, że Anglicy gustują w ceremoniach bardziej niż my. Mogliby chociaż zadbać o kolorystykę. Cóż za ponure barwy. Myślisz, że udałoby się ich namówić, żeby zamienili te sztywne, ciemne stroje na porządne sarongi?

- Wątpię. - Cassie zachichotała zsiadając z Kapu przy pomocy usłużnego Bradforda. Błogosławiła poczucie humoru Lani, bo oneśmielała ją ten pokaz siły i bogactwa Z trudem przypominała sobie pałace i zamki we Francji, ale miała pewność, że nie dorównywały Morlandowi. A jednak Lani nie myliła się: tutejszy zamek był wprawdzie rzeczywiście ogromny, ale ich wyspa była o wiele piękniejsza. Jared mógł być tutejszym władcą, lecz one przywykły do innych obyczajów. - Zamierzasz spróbować?

- Na Boga, lepiej nie - jęknął Bradford patrząc na starszą, siwowłosą kobietę, której ciało przypominało budyń. - Pani Blakely huśtała mnie na kolanach, gdy tylko wyrosłem z powi-jaków. Nie wyobrażam jej sobie bez nakrochmalonych spód-nic i wysokich kołnierzy.

- To bardzo samolubne z pana strony - odparła Cassie z uśmiechem. - Niech pan pomyśli o niej. Jej skóra, spowita w stertę ubrań, nie może swobodnie oddychać. Biedna kobieta ubrana jest w strój równie okropny jak te, które wybierała dla mnie Klara.

- To niemożliwe - odezwał się Jared, który właśnie do nich podszedł.

Uśmiech Cassie natychmiast zgasł. Były to pierwsze słowa, jakie usłyszała od niego po opuszczeniu portu.

- W takim razie spodoba ci się pomysł Lani.

- Jaki pomysł? - zapytał marszcząc czoło.

- Lani uważa, że twoja służba powinna nosić sarongi.

- Z całą pewnością nie - rzekł dobitnie. - Żadnych saron-ów. Nie tutaj. Rozumiesz?

- Lani tylko żartowała.

- A ty?

Cassie szybko zmieniła temat.

- Gdzie są stajnie? Muszę gdzieś umieścić Kapu.

Jared nie dał się zbić z tropu.

- A ty żartowałeś, Cassie? - powtórzył.

- Być może. Ta twoja Anglia jest taka zimna, że trzeba się ciepło opatulać. Czy to są stajnie? - zapytała spoglądając na długi, niski budynek po przeciwnej stronie podwórca. Jared skinął głową i Cassie ruszyła w ich stronę odpędzając chłopca stajennego, który wyciągnął rękę po cugle. - Nie potrzebuję twojej pomocy. Sama sobie poradzę.

- Miło z twojej strony, że dajesz mi wolne - rzekł Jared. - Zaprowadzisz ją, Bradford? Chcę pokazać Lani, gdzie będzie mieszkała.

- Z przyjemnością. Konie w tej stajni napawają mnie dumą, ponieważ większość z nich wybrałem osobiście. Myślę, że nawet Cassie będzie musiała przyznać, że są doskonałe.

- Nie przyzna, bo nie noszą sarongów - wycodził zgryźliwie Jared.

Bradford roześmiał się i ruszył za Cassie.

- Wyobrażam sobie, jak by w nich wyglądały. - Wyprzedził Cassie, otworzył drzwi stajni i odstąpił na bok, by przepuścić ją i konia. - Obawiam się, że zirytowaliśmy naszego drogiego Jareda. Odkad pojawiłaś się w jego życiu, stracił poczucie humoru. - Bradford zamknął wrota i spojrzał na nią wyczekującym wzrokiem. - I co powiesz?

- Tak tu... czysto. - Pomieszczenie było jasne i doskonale utrzymane. Nawet mosiężne zamki na drzwiach boksów lśniły jak świeżo wypolerowane. Stajnia była ogromna, mogła pomieścić co najmniej trzydzieści koni. Cassie zauważyła również wozownię, jeszcze większą niż stajnia.

- Jared uważa, że czystość dobrze wpływa na stan zdrowia koni. Jest bardzo wymagający. - Bradford zatrzymał się

przed pustym boksem. - Odpowiada ci? Po obu stronach pu-
sto, żadnego sąsiedztwa. Twój Kapu nie przywykł do towarzy-
stwa.

- W porządku. - Cassie wprowadziła Kapu do boksu i zdję-
ła z niego siodło. Otaczały ją dobrze znane zapachy siana
i koni. Napięcie zaczęło ją stopniowo opuszczać. - W porów-
naniu do naszej stajni to prawdziwy pałac. Dziękuję panu,
Bradford.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Stał pod ścianą
i przyglądał się Cassie i Kapu. - Nadzwyczajne zwierzę. Jak
szybko biega?

- Nie wiem. Nigdy nie mierzyłam mu czasu. - Spojrzała na
niego z uśmiechem. - Na Hawajach nie urządzamy wyścigów
konných.

- Pozwolisz mi zmierzyć jego czas?

- Po co? - spytała marszcząc czoło.

- Bo wszystko, co dotyczy koni, niesłychanie mnie intere-
suje. - Uśmiechnął się przymilnie. - Proszę?

Cassie poczuła, że mięknie. Bradford był dla niej zawsze
bardzo miły. A poza tym nie prosił o wiele.

- Skoro pan sobie życzy.

- Jutro przed południem. O jedenastej?

Skinęła głową.

- Ale dla mnie nie ma znaczenia, jak szybki jest Kapu.

- A dla mnie ma. - Uśmiechnął się promiennie. - Szybkość
to powód do chwały. Nie ma nic piękniejszego niż mknący jak
wiatr rasowy koń.

Cassie przypomniała sobie galopującego po plaży Kapu.
Rozwiana wiatrem grzywa, lśniąca sierść, napięte, drgające
pod skórą mięśnie.

- To prawda - przyznała cicho - nie ma nic piękniejszego.
Spojrzeli na siebie ze zrozumieniem.

Bradford skłonił się i ruszył w stronę wyjścia. - Zostawiam
cię teraz samą. Pójdę sprawdzić, czy Lani jest zadowolona ze
swego lokum. Spotkamy się we frontowym hallu zamku. Czy za
godzinę będziesz gotowa?

Cassie potrząsnęła głową.

- Sama trafię. Kapu może mnie potrzebować dłużej niż
godzinę - powiedziała i zaczęła wycierać konia.

- Dobrze, ale obiecaj mi, że nie zostaniesz tu przez całą
noc. Tutaj nic mu nie grozi.

- Chcę tylko, żeby się zadomowił.

- Chłopcy stajenni Jareda nie są przyzwyczajeni do wido-
ku dam zajmujących się końmi. Będą zdumieni.

Cassie tylko się skrzywiła.

- Nie sądzę, by ten argument był dla ciebie przekonujący.

- Niech pan zaczeka!

Odwrocił się zaciekawiony.

- Gdzie stoi Morgana?

Bradford uśmiechnął się.

- Ach, Królowa? Powinieniem się był domyślić, że Jared ci
o niej opowie. - Przywołał ją gestem dłoni. - Chodź, pokażę ci
Morganę. Jest na końcu stajni.

Cassie poklepała Kapu i wyszła z boksu.

- Jared właściwie niewiele mi o niej mówił. - Sama go
powstrzymała z obawy przed zbytnią zażyłością. Bradford nie
napawał ją lękiem, a była ciekawa, jak wygląda klacz, którą
Jared uważał za lepszą od Kapu. - Dlaczego nazywa ją pan
Królową?

- Sama zobaczysz. - Bradford odstąpił na bok i wskazał
konia w końcu stajni. - Oto Jej Wysokość.

Cassie westchnęła i podeszła bliżej. Był to naprawdę piękn-
ny okaz. O wiele mniejsza od Kapu, ale doskonale ukształto-
wana, pełna gracji i siły. Nic dziwnego, że Bradford nazywał
ją Królową. Cassie nigdy nie widziała konia o równie szlach-
etnym wyglądzie.

- Sliczna - wybałała. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jej py-
ska, lecz Morgana uchyliła się. - Dobrze - powiedziała Cassie
łagodnie. - Jesteś nadzwyczajnie piękna i masz swoje kapry-
sy. Najpierw musimy się zaznajomić.

- Ona przynajmniej nie odgryzła ci ręki, co twój Kapu
zrobiłby na jej miejscu - skwitował Bradford.

- Ale ona także nie jest łagodna. - Wielkie nieba, ależ jest
piękna. - Czy pozwala, by dosiadał jej ktoś inny niż Jared?

- Czasami ja jej dosiadam. Jeśli Jej Wysokość zezwoli mi
na to. Ona z całą pewnością wie, czego chce. - Bradford pod-
szedł bliżej i wyciągnął rękę. Morgana nie odwróciła łba i po-
zwoliła się pogłaskać. - Na niej się dosłownie płynie. Myślę,
że na Kapu jeździ się zupełnie inaczej.

- O, tak. - Jazda na Kapu to jakby ujarzmianie burzy. Pod-
niecające, niebezpieczne, lecz napawające radością. - Zupeł-
nie inaczej. Od jak dawna jest w posiadaniu Jareda?

- Od czterech lat. Otrzymał ją jako żrebaka od szejka Gale – Ben Hassana z Sedikhan.

- Sedikhan? - Cassie zmarszczyła czoło zastanawiając się, gdzie to może być. - Nigdy o nim nie słyszałam.

- Słyszeli o nim tylko nieliczni. To barbarzyńska, pustynna kraina leżąca bardzo daleko stąd. - Bradford uśmiechnął się. - Szejk również bywa dziki, ale z Jaredem dobrze się zgadza. Jest właścicielem wspaniałych stajni, a koniarze zawsze znajdują wspólny język.

- Więc Jared kupił ją od szejka?

- Nie, szejk nigdy by jej nie sprzedał. Jared założył się o nią i wygrał.

- O co się założyli?

Bradford po raz pierwszy sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Po prostu się założyli - odparł niejasno.

- Ale o co?

- Zapomnij o tym - powiedział stanowczo. - Nie powinienem być w ogóle o tym wspominać. To nieodpowiednie dla twoich uszu.

Bardzo ją kusiło, by go pociągnąć za język, lecz sprawiał wrażenie nieustępliwego.

- Dziwię się, że tak bardzo pragnęła ją zdobyć.

- Popatrz na nią.

- Jako żreback wyglądała inaczej. Nie ma nic dziwniejszego i bardziej nieproporcjonalnego niż żreback.

- Jeśli chodzi o konie Jared posiada nieomylny instynkt. A poza tym widział jej matkę. Dobrze wiedział, że Morgana wyrośnie na Królową. I to prędko. Jest najszybszym koniem w całej Anglii. Każdy koniarz oddałby za nią duszę.

- Jared powiedział mi, że wystawia ją w wyścigach.

- Oczywiście, Jared ma żyłkę zawodnika. Lubi wygrywać.

O tym Cassie zdążyła się już przekonać.

- A Morgana?

- Och, tak. Konie z Sedikhan mają wyścigi we krwi. Uwielbia zostawiać niższe istoty daleko za sobą. Pozostawanie na równi z nimi obrażałoby jej królewską dumę.

Cassie wyobraziła sobie pełną dumnej pogardy klacz i uśmiechnęła się rozbawiona.

- Lubię ją. - Roześmiała się. - Chociaż jej wcale na tym nie zależy.

- Będzie jej zależało. Niech cię tylko lepiej pozna. Ona ma wielkie serce.

Lecz możliwe, że Cassie nie zostanie tu aż tak długo, by wspaniała klacz poznała ją wystarczająco dobrze. Za miesiąc lub dwa może już być we Francji, a jeśli wszystko pójdzie dobrze nawet na Hawajach, pomyślała z bólem serca. Nie w tym rzecz, że tego żałuje, napomniała szybko samą siebie. Przede wszystkim marzyła o powrocie do dawnego życia. Po prostu ta klacz była zupełnie niezwykła...

Ale nie tak cudowna jak Kapu. On należał do niej, kochała go. Po co jej drugi koń, skoro ma swego ogiera? Gdy wreszcie będzie po wszystkim, zabierze go na Hawaje i znajdzie mu odpowiednią klacz, i założy hodowlę koni. Nie będzie...

Odpowiednią klacz.

Spojrzała na Morganę. Gdzie znajdzie odpowiedniejszą niż Morgana? Doskonałość nad doskonałościami. Wyniosła diablaka.

- O co chodzi? - Bradford przypatrywał się Cassie. - Coś nie w porządku?

- Wszystko dobrze - skłamała. Coś było bardzo nie w porządku. Teraz, kiedy ujrzała Morganę, żadna inna klacz nie wyda jej się godna Kapu. Cóż, będzie się musiała zadowolić gorszym okazem. Dobrze wiedziała, że nie może mieć Morgany. Ale, mój Boże, jakże jej pragnęła dla Kapu.

- Nie porównuj ich - powiedział Bradford. - Każde z nich jest jedyne w swoim rodzaju.

Bradford pomyślał, że Cassie zwątpiła w wyższość Kapu i próbował ją pocieszyć.

- Nie da się ich porównać - odparła Cassie i z wymuszonym uśmiechem odwróciła się plecami do klaczy. - Muszę wracać do Kapu.

- Przypuszczam, że nie zobaczymy się przy kolacji.

- Nie, nawet jeśli wrócę na czas, zjem u siebie.

- Domyślasz się pewnie, że Jared nie będzie tym zachwycony.

- W takim razie nie musi mnie w ogóle karmić.

- Zamierzasz pewnie sypiać i jadać z końmi, ale zapewniam cię, że siano i owies wkrótce ci się znudzą.

Cassie weszła do boksu Kapu i zaczęła go wycierać. Bradford z westchnieniem skierował się ku wyjściu.

- Przypuszczam, że w takim razie Lani również nie przyjdzie na kolację - stwierdził.

- Lani decyduje sama za siebie. Niech pan ją zapyta.

- Och, możesz być spokojna. Z pewnością zapytam.

Cassie skończyła wycieranie Kapu i odrzuciła szmatę. Na szczęście ogier nie był tak zdenerwowany, jak się obawiała. Może cieszyło go, że znalazł się wreszcie na stałym łądzie.

Podeszła bliżej i wtuliła twarz w jego grzywę.

- To piękna, czysta stajnia - wyszeptała - ale ja się do niej nie przyzwyczaję. My do niej nie pasujemy. Musimy sobie znaleźć odpowiednie miejsce.

Usłyszała ciche rzenie. Morgana? Mógł to być którykolwiek z dwunastu koni, lecz Cassie instynktownie wyczuła, że to właśnie Morgana.

Kapu znieruchomiał i zastrzygł uszami.

- Ona jest piękna, Kapu. Ale także nie dla nas. Więc nie szkodzi, że nie możesz jej zobaczyć.

Nie mogła jednak odżałować pięknej klaczy. Jaka wspaniałą parę tworzyliby razem.

Cichy odgłos kroków...

Oszołomiona Cassie uniosła głowę z siana. Właśnie zasypiała. To prawdopodobnie nic ważnego. Zaraz po zapadnięciu zmroku do stajni zajrzał jeden z chłopców stajennych, lecz Cassie odesłała go i od tamtej pory nikt się już nie pojawił.

Delikatny brzęk dzwoneczków.

Od strony wozowni.

Trzask drzwi!

Cassie usiadła. Serce waliło jej jak młotem. Co to może być? Któż mógłby się włóczyć po stajni w środku nocy?

„Każdy koniarz oddałby za nią duszę”.

Koniokrad.

To możliwe. Skoro Morgana stanowi taki skarb, zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce zaryzykować, by ją zdobyć.

Zerwała się na równe nogi. Nie pozwoli skraść pięknej klaczy. Morgana należy do Jareda i jest tutaj traktowana jak prawdziwa królowa.

Kapu leciutko zarżał.

- Ciii - szepnęła i wyszła z boksu. Drżącymi rękami zapaliła latarnię i zdjęła ją z haka w ścianie. Nie miała żadnej broni, lecz w razie czego mogła posłużyć się ciężką latarnią. - Zaraz wrócę.

Dlaczego szepcze? Intruz przestraszyłby się i uciekł, gdyby ją usłyszał. Ruszyła w stronę wozowni.

Może już sobie poszedł? Przecież usłyszała trzaśnięcie drzwi. Może zabrał to, na co miał ochotę, i odszedł.

Żeby go już nie było, modliła się w duchu.

Światło latarni wydobywało z mroku niezliczone cienie. Na ścianach pojawiały się ogromne potwory gotowe rzucić się na Cassie.

Ostry metaliczny szczepek.

Zatrzymała się gwałtownie. Skąd dochodził? Pokonując suchość w gardle, krzyknęła:

- Wiem, że tu jesteś. Gdzie się ukry...

Drzwi do wozowni były otwarte na oścież!

Pochwyciła zarys szczupłej, chłopięcej sylwetki, która rzuciła się na nią.

Upadła na podłogę i straciła oddech.

Uderzyła na oślep.

Intruz jęknął, gdy trafiła go w oko.

Cassie przeturlała się. Teraz on znalazł się pod nią.

Sięgnęła po latarnię, którą padając wypuściła z dłoni i uniosła ją. Mogłaby go teraz uderzyć i pobiec do zamku po pomoc...

- Cholera, zaczekaj! Poddaję się.

Cassie zamarła. Głos był pełen furii, niesmaku i... bez wątpienia kobiecy. Powoli zniżyła latarnię i przyjrzała się intruzowi.

Z anielskiej twarzyczki, takiej samej jak na obrazku w Biblii Lani, spoglądały na nią zielone oczy. Dziewczyna miała krótkie, jasnozłote kręcone włosy. Zupełne dziecko... wyglądała na piętnaście, szesnaście lat.

- Pozwól mi wstać!

- Niby dlaczego? Żebyś się znowu na mnie rzuciła?

- Nie rzuciłam się na ciebie. Po prostu wpadłam na ciebie. Gdybym cię zaatakowała, nie poszłoby ci tak łatwo.

- Przewróciłaś mnie i straciłam oddech.

- Ale nie zamierzałam przyłożyć ci latarnią. Pozwól mi wstać.

- Najpierw mi powiesz, co tu robisz. Jesteś córką kogoś ze służby?

- Nie twój interes - odparła pogardliwie.

- No to zostaniemy tu całą noc.

- Znudzi ci się, albo do tego czasu przyjdzie po ciebie Jared.

Jared. Gdyby dziewczyna była córką służącej, tak by się nie spoufalala.

- Może już za tobą tęskni - ciągnęła dziewczyna. - Pozwól mi wstać i chodźmy do niego.

- Wie, gdzie mnie szukać - odparła Cassie. - I kim jesteś dla Jego Wysokości?

- Kimś znacznie ważniejszym niż koścista dziwka, której potrzebuje tylko do łóżka. - Spojrzała pogardliwie na znoszony strój do konnej jazdy, w który ubrana była Cassie. - Skąd on cię wystraszał? Z Londynu? Nie. - Potrząsnęła głową. - Damulka z Londynu byłaby znacznie atrakcyjniejsza. Przyplłynął z Tahiti i zabrał cię prosto z portu. Słyszałam, jak jeden z przyjaciół Jareda mówił, że po wielu spędzonych na morzu tygodniach mężczyźni zupełnie tracą rozum.

Cassie niespodziewanie poczuła, że jej gniew słabnie. Dziewczyna była wobec niej całkowicie bezsilna, a jednak odważyła się bluźnąć pogardą. Ona w podobnych okolicznościach zachowałaby się tak samo.

- Co tu robisz w środku nocy? - spytała.

Dziewczyna milczała zacisnąwszy usta.

- Kim jesteś?

Cisza.

- Dobrze. Pójdę zapytać Jareda.

Na twarzy dziewczyny pojawił się złośliwy grymas.

- Doskonały pomysł. Idź.

A kiedy Cassie wróci, już jej tu nie zastanie. Na jej miejscu też by uciekła.

- Ale najpierw poszukam liny i cię zwiążę.

- Nie! - Dziewczyna zawahała się, a potem dodała niechętnie: - Mam na imię Josette.

- A nazwisko?

- Zejdz ze mnie. Gnieciesz mój brzuch. Ważysz chyba co najmniej tyle co Morgana.

- Znasz Morgane?

- Jasne, że znam. A co ty robisz w stajni w samym środku nocy? - spytała z podejrzliwym błyskiem w oku. - Ktoś ci zapłacił, żebyś sypiała z Jaredem, a potem ukradła mu Morgane?

- Nie jestem koniokrada. Prawdę powiedziałszy o to sa-

mo podejrzewałam ciebie. Dlatego zdecydowałam się przeszkukać wozownie.

- Wyszłaś naprzeciw koniokradowi z samą tylko latarnią? - Josette prychnęła. - Co byś zrobiła? Podpaliłabyś go? Nie udałoby ci się.

- Myśl sobie, co zechcesz. Nie jestem tu nieproszonym gościem. Pozwolono mi zostać przy moim koniu - odparła Cassie niezupełnie zgodnie z prawdą. Sama sobie dała to przyzwolenie. - A założę się, że ty przysłaś tu bez pozwolenia.

- Co z twoim koniem? - spytała Josette marszcząc czoło. - Chory?

- Po prostu oszołomiony. To jego pierwsza noc w tej stajni. - I ostatnia - rzuciła gniewnie Josette. - Zanim się obejrzyz, Jared wyrzuci cię ze swego łóżka, a konia ze stajni.

- Nie. Nie mam zamiaru zajmować jego łóżka. - Cassie skrzywiła się. - I możesz być pewna, że Jared nie rozstałby się z Kapu, gdyby to od niego zależało.

- Kapu?

- Mój ogier. Przywiozłam go z Hawaii.

- Skąd?

- Z wyspy. - Dziewczyna nadal patrzyła na nią nic nie rozumiejąc. - Niedaleko Tahiti.

- Jared przywiózł cię z Tahiti?

- Nie przywiózł. Przyplłynęłam z własnej woli.

- I tę drugą kobietę także?

Wyglądało na to, że dziewczyna dobrze się orientuje w tym, co dzieje się na zamku.

- Skąd wiesz o Lani?

- Tak jej na imię? Ktoś wspomniał o dwóch kobietach, które przybyły na zamek. To ona musi być ta ładna - dodała ze świadomym okrucieństwem.

- Nie - poprawiła ją Cassie. - Ona jest piękna.

- A więc to ona sypia z Jaredem - rzekła Josette beznamietnie. - On zawsze wybiera to, co najlepsze.

- Wybór nie zawsze należy do mężczyzny.

- Zawsze. Zejdziesz wreszcie ze mnie?

- Tak. - Cassie zsunęła się z dziewczyny i wstała. - Nie stanowisz żadnego zagrożenia, a ja nie mam czasu do stracenia. Muszę wracać do Kapu. Zrób to, po co tu przysłaś, i zabieraj się stąd. Chcę się przespać.

Josette spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Naprawdę pozwolił mi odejść?
- Nie mogę przesiedzieć na tobie całutkiej nocy. - Cassie ruszyła w stronę stajni. - Naprawdę zaniepokoiłaś się o Morganę, więc nie możesz być koniokrądem. Ukradnij stąd każdy powóz, który sobie życzysz, bylebyś tylko nie ruszała koni.
- Nie jestem złodziejką! - Dziewczyna skoczyła na równe nogi i pośpieszyła za Cassie. - A poza tym mówisz bez sensu. Jak mogę ukraść powóz nie mając konia, który by go pociągnął?
- To prawda - odparła Cassie z uśmiechem. - Nie możesz więc także skraść powozu.
- Nie muszę kraść. Jared dałby mi każdy powóz, którego bym zażądała.
- Naprawdę? Szczęściara z ciebie. Dobranoc.
- Chyba pójdę z tobą.

Cassie obejrzała się. Josette podążała za nią. Nie była aż tak młoda, jak Cassie sądziła na początku, ale z pewnością nie była jeszcze dorosła. Szczupłe biodra tonęły w obszer-nych spodniach z szorstkiej wełny, a pod niebieską bluzką nie widać było śladu biustu.

Josette przystanęła.

- Przestań tak na mnie patrzeć. - Uniosła dumnie głowę. - Chodzi ci o te spodnie, prawda? Ja je lubię. Nic mnie nie obchodzi, że ci się nie podobają. Ubieram się tak, jak mam ochotę.

Cassie rozwarła oczy ze zdumienia, a potem roześmiała się. To samo, prawie słowo w słowo, powiedziała Jaredowi.

- Podobają mi się. A kobieta zawsze powinna ubierać się tylko tak, jak ma ochotę. Zapewniam cię, że bywają sytuacje, kiedy noszę strój znacznie bardziej szokujący.

- Och... - Josette była nieco zaskoczona.

Cassie ruszyła naprzód.

- Co to za strój? - Josette znalazła się obok.

Cassie potrząsnęła głową.

Josette milczała przez chwilę, a potem spytała:

- Czy to interesujące być dziwką?
- Nie jestem dziwką.
- Ale moje pytanie wcale cię nie oburzyło - powiedziała nieśmiało Josette. - Dlaczego Jared cię tu przywiózł... Po co przyjechałaś do Morlandu?

- Bo tak mi się podobało.
- To żadna odpowiedź.
- Ja także niewiele się od ciebie dowiedziałam.
- W porządku - jęknęła Josette. - Jared jest moim opiekunem.

Cassie spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Nie wiedziałas, że Jared kimkolwiek się opiekuje - stwierdziła Josette. - Wcale mnie to nie zaskoczyło. Jared nie lubi się tym chwalić.

- Dlaczego?

Josette wzruszyła ramionami.

- Są pewne powody. W każdym razie uczęszczam do prowadzonej przez panią Carradine szkoły dla młodych panienek tylko wtedy, gdy nie ma tutaj Jareda ani Bradforda. Carradine Hall mieści się niedaleko stąd i dziś po południu, kiedy dowiedziałam się, że wrócili, zdecydowałam się na przyjazd do domu.

- Jared posłał po ciebie?

- Nie - odparła szybko. - Ale zrobiłby to. Jutro albo pojutrze. Naprawdę zależy mu na mnie. Po prostu sama zdecydowałam, że przyjdę trochę wcześniej.

Cassie spojrzała na wozownię.

- Och, nie chciałam przeszkadzać w środku nocy. Miałam zamiar przespać noc w powozie i rano zobaczyć się z Jaredem.

- Ach, tak. - Cassie poczuła przypływ współczucia. Chyba zaczynała rozumieć. To dziecko najwyraźniej uwielbiało Jareda, a on nie bardzo się o nie troszczył. - Jak tu dotarłaś ze szkoły?

- Przyszłam piechotą.
- Jak daleko?
- Niedaleko.
- Dwa kilometry?
- Dwanaście - przyznała się Josette. - Co za różnica? Sama tego chciałam.

Cassie doskonale ją rozumiała.

- Skąd wiedziałas, że Jared wrócił?
- Mam tu przyjaciół - odparła wymijająco.

Nie chciała zdradzić służącego, który przesłał jej wiadomość. Cassie zaczynała szanować, a nawet podziwiać tę dziewczynę.

- Ale Jared i tak przyjechałby po mnie. Jesteśmy jak brat i siostra.

- Na pewno - odparła łagodnie Cassie. - Wracaj do wozow-
ni i prześpij się. Chcesz koc?

Josette spojrzała na nią niepewnie.

- Ale nie pobiegiesz powiedzieć, że tu jestem?

Cassie potrząsnęła głową.

Na twarzy dziewczyny pojawił się promienny uśmiech.

- To dobrze. Jared zawsze jest łagodniejszy, kiedy się do-
brze wyśpi. Choć nie ma właściwie powodu do gniewu - doda-
ła zuchwato.

- Dobranoc. Zbudzę cię rano, zanim pójde do zamek.

- Dziękuję. - Josette znowu ruszyła za Cassie. - Pójde z to-
bą. Nie jestem zmęczona.

- Po przejściu dwunastu kilometrów?

- Jeżeli nie chcesz, po prostu mi powiedz - wybuchnęła
Josette. - Nie potrzebuję twój towarzystwa, chciałam tylko
zobaczyć twego konia.

Cassie zorientowała się, że sprawiła jej przykrość.

- Więc przestań się kłócić i chodź go obejrzeć. Jest w bo-
ksie naprzeciwko.

Josette podeszła do wskazanego boks.

- Jeżeli podoba się Jaredowi, musi być naprawdę niezły.
Chociaż mogłaś... Wielki Boże!

Cassie uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Josette stała wpatrując się w Kapu z zachwytem bliskim
ubóstwienia.

- Wspaniały...

- Tak. - Widząc, że Josette podeszła bliżej, szybko uprze-
dziła. - Nie, nie dotykaj...

Kapu stał nieruchomo i pozwalał jej się głaskać.

- Nie bój się. Konie mnie lubią. Nie tak bardzo jak Jareda,
ale wiedzą, że nie zrobię im krzywdy. - Spojrzała na Cassie
przez ramię. - Jak się wabi?

- Kapu.

- Cóż za głupie imię. Muszę mu sama jakieś wymyślić.

- Nie jest głupie. Znaczący tyle co „tabu”, „zakazany”.

- Ach, rozumiem. - Josette głaskała chrapy Kapu. - Chcesz,
żeby należał wyłącznie do ciebie.

- Nazwałam go tak, bo jest bardzo niebezpieczny i... - Napo-
tkła pełne zrozumienia spojrzenie Josette. - Skąd wiedziałas?

- Gdybym ja miała takiego konia jak Kapu, chciałabym,
żeby był tylko mój. - A potem dodała żarliwie: - To bardzo
ważne, żeby posiadać coś na własność.

Cassie rozejrzała się po stajni.

- Z pewnością masz swojego konia. Tak ich tu dużo.

- Ale żaden z nich... - Zamilkła. - Nie zrozumiesz tego. Nikt
nie rozumie.

Cassie poczuła, że doskonale ją rozumie.

- Żadnego z nich nie ujarzmiłaś, nie oswajałaś, nie mu-
siałaś walczyć o niego z całym światem.

Josette skinęła głową.

- To nie znaczy, że Jared nie jest hojny. Pozwala mi nawet
jeździć na Morganie. Tylko że... - Wróciła do Kapu i dodała
szorstko: - Masz rację. Jared nie pozbedzie się ciebie, jak
długo będzie miał nadzieję zdobyć to чудо. - Skrzywiła się. -
Nie powinnam była tego mówić, prawda? Lady Carradine
nazwałaby to szczytem grubiaństwa.

Cassie roześmiała się.

- Lani także. Ale z zupełnie innego powodu. Ona uważa, że
jeśli prawda może być bolesna, lepiej ją przemilczeć.

- Sprawiałam ci ból? - spytała Josette nie patrząc w jej
stronę.

- Nie. Już ci mówiłam, że ani ja, ani Lani nie śpiamy
z Jaredem. Twój Jared nie może odrzucić czegoś, czego nie
posiada.

Josette odetchnęła z ulgą.

- To dobrze. Tym razem wcale nie chciałam cię zranić. Po
prostu tak mi się wymknęło. Jak szybko biega Kapu? - spytała
zmieniając temat.

- Nie mam pojęcia. Bradford chce mu zmierzyć czas jutro
rano.

- Mogłabym popatrzeć? - spytała żarliwie Josette.

Cassie uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Skoro masz ochotę. Nie rozumiem, dlaczego to takie waż-
ne. Nie mam zamiaru wystawiać go na zawodach.

- Oczywiście że go wystawisz. Każdy to robi. To bardzo
podniecające. O której?

- O jedenastej.

- Przyjde. - A potem spochmurniała. - Może. Jeśli Jared
nie będzie na mnie za bardzo rozgniewany i nie odeśle mnie
do pakowania.

- Czy to takie okropne?

- Tak. - A potem dodała: - Nienawidzą mnie tutaj.

Cassie nie mogła sobie wyobrazić, by ktoś mógł nienawidzić tego smyka. Pomimo gwałtownego usposobienia i zuchwałego sposobu bycia Josette miała w sobie coś niesłychanie ujmującego.

- Jestem pewna, że to nieprawda.

- Skąd możesz wiedzieć? Nienawidzą mnie tutaj. - Wzruszyła ramionami z udawanym lekceważeniem. - Ale mnie to nic nie obchodzi.

- Dlaczego mieliby cię nie lubić?

- Bo są głupi i zawistni. Mówią, że jestem cudzoziemką i wrogiem.

Cassie spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Cudzoziemką?

- Jestem Josette Brasnier, hrabianka de Talaisar. - Wymówiła ten tytuł z imponującym dostojeństwem. - A francuska hrabianka to znacznie więcej niż ich nędzne angielskie tytuły.

Cudzoziemka. Francuzka. Słowa wirowały w głowie Cassie jak szalone. Słyszała to nazwisko tylko raz, ale nie zapomniała go nigdy.

- O co chodzi? - spytała Josette.

- Kim był... - Słowa przychodziły jej z wielkim trudem. - Dla ciebie hrabia de Talaisar?

- Ojcem oczywiście - odparła Josette marszcząc czoło.

Dziecko. Cassie była wtedy tak zdumiona oskarżeniem jej ojca o morderstwo, że całkowicie zapomniała o dziecku, którego ojciec Jareda wyratował z rąk żołnierzy. Josette musi być jedynym żyjącym członkiem rodziny, którą według słów Jareda zdradził jej ojciec.

- Danjuet.

- Słyszałaś o moim domu.

- Tak. - Historia opowiedziana przez Jareda nagle nabrała życia w postaci tej młodej dziewczyny. Cassie wcale nie chciała, aby przeszłość stała się czymś realnym.

- Jared ci po...

- Myślę, że najwyższy czas, żebyś wróciła do wozowni - przerwała jej ostro Cassie. - Nawet jeżeli nie chce ci się spać. Ja jestem śpiąca.

- Co ja takiego zrobiłam? - spytała zaskoczona Josette. - Co

ja takiego powie... - Zamilkła gwałtownie, a potem uniosła dumnie głowę. - To dlatego, że jestem Francuzką, prawda? Nienawidzisz mnie z powodu tego bydlaka Napoleona? Jesteś taka sama jak wszyscy.

- Nie.

- Nie kłam. Wszystko dlatego, że nie jestem Angielką. Niby dlaczego miałabyś się tak nagle zmienić? Czuję, jak się ode mnie oddalasz.

Łatwiej byłoby pozwolić, żeby Josette myślała, że to jej francuskie pochodzenie uraziło Cassie... lecz nie mogła się na to zdobyć. Ona sama zbyt długo balansowała na granicy dwóch światów.

- Nie dlatego, że jesteś Francuzką. Mój ojciec także był Francuzem i nie ma w tym kraju nikogo, kto bardziej niż ja zasługuje na miano cudzoziemki. Zapytaj Jareda - dodała unikając wzroku Josette.

- Pytam ciebie.

- A ja ci nie odpowiem. Spytaj Jareda. - Cassie ułożyła się na sianie, okryła kocem i odwróciła plecami do Josette. - A kiedy to zrobisz, z pewnością nie będzie ci już zależało na mojej opinii.

Czuła na sobie wzrok Josette. Miała wrażenie, że uderzyła szczeniaka. Dziwne. Josette sprawiała raczej wrażenie młodej tygrysy. Kiedy Jared powie jej, że Cassie jest córką człowieka odpowiedzialnego za śmierć jej rodziców, dziewczynka prawdopodobnie rzuci się do ataku.

A teraz szybko spać. Nic się przecież nie zmieniło tylko dlatego, że spotkała osobę, która była zamieszana w okropne wydarzenia w Danjuet. A poza tym Josette nie była dla niej nikim bliskim. Musi pamiętać, by się tu z nikim nie zaprzyjaźniać i zachowywać właściwy dystans.

Ale Josette nie pozwoliła trzymać się na dystans. Wdarła się w świat Cassie i wywalczyła sobie w nim miejsce. Prawie od pierwszej chwili Cassie czuła się przy niej tak swobodnie, jakby ją znała całe życie.

Teraz już było po wszystkim. Dziewczyna nic dla niej nie znaczyła. Dziwne więzy zażyłości, które je połączyły, nie mają najmniejszej szansy na przetrwanie, gdy Jared udzieli informacji na pytania młodej hrabianki.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi powozu. Josette szykowała się do snu.

Cassie zadrżała i ciałniej otuliła się kocem. Do stajni zakradał się poranny chłód.

Powinna była dać Josette jeden z koców Kapu...

Cassie opuściła stajnię o świcie. Znajdowała się w połowie drogi do zamku, gdy Jared otworzył drzwi frontowe i stanął przyglądając się jej. Był bez surduta, w wymiętej koszuli i rozczochrany. Jego obecność o tak wczesnej porze nie mogła być przypadkowa. Musiał na nią czekać.

Na miłość boską, wcale nie miała ochoty na to spotkanie. Była niewyspana, w ponurym nastroju i ciągle jeszcze cierpiała z powodu odniesionej straty.

- Mam nadzieję, że Kapu spędził noc lepiej niż ja. - Jared spojrzął w oczy Cassie. - I ty.

- Ja spałam. - To prawda. Po długich męczarniach wreszcie udało jej się na kilka godzin usnąć.

- A ja nie. - Uśmiechnął się kpiąco. - Siedziałem w fotelu w bibliotece i czekałem na ciebie.

- Powiedziałam ci przecież, że więcej do ciebie nie przyjdę.

- Krzywdzisz mnie. - Jared odsunął się, by ją wpuścić. - Nie miałem żadnych złych zamiarów... tym razem. Po prostu czekałem, żeby się przekonać, czy trafisz do swego pokoju. W Morland są trzy skrzydła i mnóstwo komnat. Służba nie posiadałaby się ze zmartwienia, gdybyś zabłądziła.

- Zaczekałabym po prostu na schodach. A poza tym nigdy nie zabłądziłam na wyspie, wątpię, by mogło mi się to zdarzyć tutaj.

- Ale na wyspie byłaś u siebie, na swoim terenie. - Uśmiechnął się. - A tutaj jesteś u mnie.

Nie musiał jej o tym przypominać. Teraz, pozbawiona znajomych widoków i zapachów stajni, poczuła się bardzo samotna i oddalona od domu.

- Przestań się ze mną drażnić i pokaż mi, gdzie będę spała.

- Wcale się nie drażnię, po prostu pokazuję ci podobieństwo... - Jared przyjrzał się twarzy Cassie i jego uśmiech zamarł. - Nie będę cię okłamywał. Twoja wyspa bardzo się różni od Anglii. Znienawidzisz to miejsce. - Zamilkł. - Chyba że pozwolisz, bym ci pomógł.

- Coś za coś?

Jared zacisnął usta.

- Nie, do cholery, to, co nas łączy, to zupełnie inna sprawa. Przywożem cię tutaj i czuję się za ciebie odpowiedzialny. Nie chcę, żebyś cierpiała.

- Nie będę cierpiała. - Odwróciła się i weszła na schody. - Dałeś mi pokój obok Lani?

- Nie, dałem ci pokój sąsiadujący z moim. - Wyprzedził ją na schodach. - Jest tak blisko, że będę słyszał twój oddech. Myślę, że leżenie w łóżku i nasłuchiwanie sprawi mi przyjemność. - Obejrzał się i dodał aksamitnym głosem: - Będę się czuł prawie tak, jak u twojego boku.

Cassie napotkała jego spojrzenie i oblała ją dobrze znana fala gorąca. Poczuła się dokładnie tak, jak sobie życzył Jared.

- Te ściany są tak grube, że nie przepuszczą żadnego dźwięku oprócz wystrzału armatniego.

- To prawda. Szkoda, że to zauważyłaś.

- I chcę mieć pokój obok Lani.

- Tutaj, w Morland, goście nie mają nic do powiedzenia. Umieszczenie ciebie obok Lani mogłoby się za jakiś czas okazać niewygodne.

Pewnie sobie wyobraża, że za jakiś czas zmienię zdanie i zgodzę się z nim sypiać, pomyślała Cassie.

- Nie przewiduję żadnych zmian.

- A ja tak. - Jared zatrzymał się przed drzwiami. - Przewiduję nieustające zmiany. Zostań więc w tym pokoju. - Otworzył drzwi i wskazał brokatowy wisior na ścianie. - Dzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Powiedziałbym, że kąpiel jest nieodzowna. Sniadanie przysyłę o dziesiątej. O ile wiem, o jedenastej spotykasz się z Bradfordem.

- Powiedział ci?

- Oczywiście. Przecież wiedział, że ja także chcę tam być.

- Ale ja sobie tego nie życzę.

- Tego się właśnie spodziewałem, ale i tak przyjdę.

- W takim razie nie zgodzę się, żeby Kapu...

- Owszem, zgodzisz się. Obiecałaś to Bradfordowi i dotrzymasz danego słowa. Do zobaczenia o jedenastej.

Cassie zatrzasnęła za nim drzwi. Była zła, że tak dobrze ją znał. Nie pójdzie do stajni. Nie, nie może postąpić tak dziecinnie. Sprawiałaby zawód Bradfordowi. Nie chciała, aby Jared zmusił ją do postępowania wbrew sobie. Czas, który musi

spędzić w Morland, jest i tak wystarczająco przykry; nie będzie go sobie dodatkowo uprzykrzać.

Zaczęła rozglądać się po pokoju. Prawdopodobnie miał uchodzić za wspaniały, lecz ani łoże z baldachimem, ani ciężkie dębowe meble, ani wysoki sufit nie wzbudziły jej zachwytu. Według niej domy służyły po to, by mogła się w nich schronić, gdy nie przebywała w stajni lub na dworze. Chata na wyspie spełniała swoje zadanie nie gorzej niż ten zamek.

Ale Jared miał rację: po nocy spędzonej w stajni potrzebowała kąpieli i śniadania. Sięgnęła po dzwonek.

11

Gdy Cassie nadeszła o jedenastej, Bradford czekał już przy boksie Kapu. Jareda nie było.

- Musimy chwilę poczekać na Jareda - powiedział Bradford z uśmiechem.

- Zgodziłam się, żeby to pan, a nie Jared mierzył czas Kapu. - Cassie weszła do boksu, poklepała Kapu na przywitanie i sięgnęła po wiszące w kącie siodło. - Jeżeli nie nadejdzie, zanim osiodłam Kapu pójdziemy bez niego. - Zarzuciła siodło na grzbiet konia. - Albo w ogóle zrezygnujemy.

Bradford skrzywił się.

- Wydaje mi się, że wyczuwam ślad niechęci do Jareda. Czy ostatnio był dla ciebie szczególnie niemiły?

- Nie lubię, gdy ktoś jest niepunktualny.

- Jared zawsze przychodzi na czas. Dziś rano wydarzyło się coś nieprzewidzianego. - Zamilkł. - Chyba się orientujesz. Josette powiedziała mi, że spotkałyście się minionej nocy.

- Powiedziała? - Cassie zapięła rzemień.

- Zdenerwowałaś ją.

Cassie nic nie odpowiedziała.

- Ale polubiła cię. - Bradford błysnął zębami. - Wiedziałem, że tak się stanie.

- Dlaczego? Mamy ze sobą niewiele wspólnego.

- Bo ona jest hrabianką? To nie ma znaczenia. Przyznaje się do tytułu tylko wtedy, gdy czuje się zagrożona. Powiedz, czy kiedy ją spotkałaś...

- Upadłam. Ona się na mnie rzuciła.

- Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi. Przypominała ci kogoś?

- Nawet bardzo. Sama nie wiem dlaczego.
 - Przejrzyj się w lustrze. Ona mogłaby być twoją bliźniaczką.

- O co panu chodzi? - spytała Cassie marszcząc czoło. - Nie jesteście do siebie ani trochę podobni.

- Zewnętrznie nie, lecz musiałś odczuć podobieństwo wewnętrzne. Nie znałem cię, kiedy miałś szesnaście lat, lecz przypuszczam, że zachowywałeś się zupełnie jak Josette. Ona ma nieustające kłopoty, jest nieufna, dzika, impulsywna. - Bradford zachichotał. - I gdyby się znalazła na twojej wyspie, nosiłaby sarong zamiast tych okropnych spodni, które doprowadzają do rozpaczki lady Carradine.

To prawda. Teraz, kiedy Bradford zwrócił jej na to uwagę, dostrzegała w Josette swoje odbicie. Nic dziwnego, że tak szybko poczuła się w jej towarzystwie zupełnie swobodnie. - Czy Jared ma zamiar ukarać ją za to, że uciekła ze szkoły?

- Wątpię. Nie puści jej tego płazem, ale Josette zawsze potrafi postawić na swoim. Przekonała go nawet, żeby ochrzcił jej imieniem statek

„Josephine”. Cassie nie zwróciła na tę zbieżność uwagi.

- To dlaczego posyła ją do tej szkoły? Ona jej najwyraźniej nie cierpi.

Bradford wzruszył ramionami.

- To najlepsza szkoła w całym hrabstwie. Josette nienawidzi wszelkiej dyscypliny.

Cassie przypomniała sobie, jak Klara groziła, że ją odeśle do klasztoru, i poczuła ciarki na grzbiecie. Czułaby się tam równie źle, jak Josette w szkole.

- Powinien zostawić ją w zamku. Sprawia kłopoty, bo jest nieszczęśliwa.

- To niemożliwe. Próbowaliśmy ją zabierać na dłużej, ale pozostając w Morland zupełnie by się zmarnowała.

- Zmarnowała?

Bradford zawałał się, a potem wzruszył ramionami.

- Próbowaliśmy ci to dać dyskretnie do zrozumienia. Ale myślę, że mogę być szczerzy. Lady Carradine niezupełnie pochwała to, co się odbywa w Morland.

- A co tu się odbywa?

- Och, wyścigi konne, hazard, pijaństwa i... - wykonał nieprecyzywny gest ręką - i inne rzeczy.

Inne rzeczy oznaczają prawdopodobnie rozkosze cielesne

z kobietami przywożonymi z Londynu, które Josette najwyraźniej doskonale znała.

- Jakie to ma znaczenie, jeżeli Josette nie bierze w tym udziału?

- Tak mówi młoda, rozsądna i niewinna istota. Biedna Cassie. Przybyłaś do kraju pod wieloma względami bardziej dziwnego niż twoja wyspa. Nie powinno mieć znaczenia, ale, uwierz mi, niestety ma.

- Josette ma zupełną rację, jeżeli lekceważy takie głupoty.

- Na nieszczęście ona ich nie lekceważy, lecz z nimi walczy. Dlatego wymaga stałej kontroli, a ja i Jared wiele podróżujemy.

- W takim razie powinniście dać spokój polowaniom na mego ojca i siedzieć w domu.

- Wygląda na to, że Josette ma nowego orędownika - stwierdził Bradford, wymownie unosząc brwi.

- Nie jestem jej orędownikiem. Ona nic dla mnie nie znaczy. - Cassie otworzyła drzwi boksu i wyprowadziła Kapu. - Zresztą stanę się dla niej nikim, gdy Jared powie jej swoją wersję prawdy o moim ojcu.

- Możliwe. Nigdy nie wiadomo, jak postąpi Josette. Jest równie nieobliczalna jak ty.

Cassie wolałaby, żeby Bradford przestał je wreszcie porównywać.

- Wszystko mi jedno, jak ona postąpi.

- Chcesz powiedzieć, że nie pozwolisz sobie na to, by się tym przejmować. Josette odpowiedziałaby tak samo.

Znów je porównał.

- Nie czekam dłużej na Jareda - wycedziła przez zęby. - Gdzie jest tor wyścigowy?

Bradford wskazał jej tylne drzwi stajni.

- Tymi drzwiami i za łąkę. Prawie kilometr w kierunku północnym. Idź już. Joe osiodła mego konia i zaraz do ciebie dołączy.

Cassie zdała sobie sprawę, że ma ochotę przeprowadzić Kapu obok boksu Morgany. Zawałała się. I tak zobaczy ich kiedyś razem; Jared z pewnością często jeździ na swojej kłaczce. Może nawet dosiądzie jej dzisiaj?

- Coś nie tak? - zapytał Bradford.

- Wszystko w porządku. - Cassie ruszyła w stronę wyjścia. - Zaczekam na zewnątrz.

Morgana zupełnie zlekceważyła Kapu. Rzuciła na niego okiem i odwróciła głowę. Kapu również przeszedł obok jej boksu obojętnie.

Cassie uśmiechnęła się. Mogła sobie wyobrażać, że są dla siebie stworzeni, lecz konie najwyraźniej były innego zdania. To zupełnie naturalne. Poza sezonem ogiery rzadko kiedy interesowały się klaczami. Była głupia spodziewając się czegoś innego.

Kapu kończył trzecią rundę, gdy nadjechał Jared na Morganie.

Cassie nawet na niego nie spojrzała. Zadyszana, podniecona, z wychłostanymi chłodnym wiatrem policzkami zatrzymała się koło Bradforda.

- Wystarczy. Kapu nie lubi tych ciągłych startów i finiszów. Spędził na statku długie tygodnie. Niech się teraz popasie. Gdzie mogłabym go puścić luzem?

- Jaki rezultat? - Jared zwrócił się do Bradforda.

- Na pierwszym okrążeniu lepszy od najlepszego czasu Morgany. Na drugim gorszy. Na trzecim taki sam.

- Jezu! - Jared z płonącymi oczami zwrócił się do Cassie. - Jeszcze jedno okrążenie.

- Nie. - Cassie zwracała się wyłącznie do Bradforda. - Zrobiłam to, o co pan prosił, Bradford. Ja i koń jesteśmy zmęczeni. Gdzie mogę go puścić?

- Chcę to zobaczyć na własne oczy.

- Trzeba było przyjść na czas.

- Cholera, nie mogłem przyjść. Musiałem... - Zamilkł widząc upór na twarzy Cassie. - Pokażę ci, gdzie go możesz puścić. - Zawrócił Morgane. - Jedź za mną.

- Wystarczy, jak mi powiesz.

- Nie mam zamiaru. Nie pozwoliłaś, żebym mu zmierzył czas. Chcę go przynajmniej zobaczyć w ruchu. Wzdłuż skarpy prowadzi siedmiokilometrowa ścieżka bez krzaków i wądołów.

- Mogłabym pojeździć po plaży?

- Zbyt skalista.

Poszarpane skały, szare niebo, przenikliwy wiatr i ponure zamczysko. W nieprzyjaznej Anglii czuła się jak na obcej, nieznannej planecie.

- Jedzie pan, Bradford?

Potrząsnął głową.

- Poszukam Lani. Byłem zaskoczony, że nie przyszła z tobą.

- Lani odkryła bibliotekę - wyjaśniła Cassie z uśmiechem.

- Powiedziała, że nigdy w życiu nie widziała tylu książek. Możliwe, że nie wyjdzie stamtąd do końca pobytu.

- Dobry Boże, to oznacza, że będę musiał włożyć trochę wiedzy do mego zakutego łba. Rozpacz. - Bradford uniósł dłoń na pożegnanie i pogalopował w stronę stajni.

- Gotowa? - spytał Jared i nie czekając na odpowiedź spał Morgane obcasami i pomknął przez łąkę w stronę skarpy.

Cassie specjalnie trzymała się z tyłu. Przyglądała się Jaredowi. Razem z klaczą stanowili niewiarygodnie piękną całość. Jareda na koniu widziała tylko raz, przez krótką chwilę, wtedy na plaży. Jego szczupła, pełna wdzięku sylwetka centaury harmonizowała z uduchowionym pięknem klaczy.

Zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

Cassie zrozumiała jego nieme żądanie i zachęciła Kapu do szybszego biegu. W gorącym mroku kabiny przywykła do spełniania jego żądań, zanim je wypowiedział, tak samo jak on wypełniał jej żądania. Ale teraz wszystko uległo zmianie. Musi skończyć z tym zwyczajem. Zrównawszy się z Jaredem, celowo zwolniła.

Uśmiechnął się krzywo.

- Opuść sobie. Nie musisz ze mną stale wojować. Nie mam teraz żadnych złych zamiarów. Po prostu chciałem zobaczyć, jak biega Kapu. Czy to takie straszne?

- Nie. Ale to twoja wina, że mam się stale na baczności. Stale robisz jakieś uwagi, albo... mi grozisz.

- Dobrze, będę się pilnował.

- A co z pogrózkami?

- Pohamuję je... na razie.

- Dlaczego?

- Rozmyślałem tej nocy. To nie w porządku prześladować cię na obcym gruncie. Zanim znowu uderzę, pozwolę ci się tu zadomowić.

- Bradford twierdzi, że jesteś uczciwym człowiekiem.

- Bywam, od czasu do czasu. Wiem, czujesz się zawiedziona, widząc, że nie jestem całkowicie pozbawiony sumienia.

Miał rację. Wcale nie chciała, by zachowywał się właściwie czy szlachetnie; w ten sposób wytrącał jej broń z ręki.

- Dziś rano nie byłeś przesadnie szlachetny.

- Mam zamiar być cierpliwy, a nie głupi. Po prostu obiecuję nie dreczyć cię... chwilowo.

- Dziękuję.

Zlekceważył ironiczny ton Cassie.

- Ale żądam czegoś w zamian. - Uniósł dłoń, gdy otworzyła usta, by zaprotestować. - Możliwości uwodzenia ciebie. Nie tknę cię, jeśli tego nie zechcesz. Ale będziesz przychodzić na kolacje i poświęcisz mi część dnia, żebym mógł cię namawiać do powrotu do mego łóżka.

- Nie jestem ci nic winna.

- Jezu, ależ z ciebie uparciuch. Nie widzisz, że staram się ułatwić ci sprawę?

Odwrociła od niego głowę.

- Wolisz groźby. Mogę sprawić, że życie w Morland stanie się dla ciebie nieznośne. Pan na zamku jest również właścicielem stajni. - Spojrzał znacząco na Kapu. - Co będzie, jeśli ci zabronię dostępu do konia?

Spojrzała na niego zaniepokojona.

- Tego nie zrobisz.

- Niby czemu? Nie sądzisz, że jestem gotowy na wszystko, żeby tylko... - Przerwał i dodał znużonym tonem. - Nie. Nie zrobię ci tego. Znajdę jakiś inny sposób.

Wyrzekął się najlepszego sposobu, który zmusiłby ją do uległości. Dobrze wiedział, że dla Kapu była gotowa niemal na wszystko.

- Nie ma innego sposobu - wyszeptwała.

- Założę się, że jest. - Spojrzał jej w oczy. - Grajmy uczciwie, Cassie. Nie chcesz się czuć związana obietnicą, tak samo jak ja. Ale nie możesz odrzucić mojej propozycji. Ofiarowuję wiele, tobie i Kapu, a proszę o tak mało.

Jeśli zrobi to, o co ją prosi, będzie mogła być w pobliżu bez narażania się na powrót do jego zmysłowego, mrocznego świata. Możliwe, że dowie się czegoś, co pomoże uratować tatusię. Poczwała wielkie podniecenie. Zdradzi go. Zdradzi Jareda.

Mój Boże, przecież to nic złego, że troszczy się o własnego ojca. Właśnie po to znalazła się w Morlandzie.

- Tatuś...

Jared natychmiast domyślił się, co Cassie chce powiedzieć.

- Nie próbuję zniewolić twojej duszy, tylko ciało. Twierdzisz, że są od siebie niezależne, prawda?

- Tak. - A jednak w czasie spędzonych na statku tygodni

zaczęła w to wątpić. Teraz jednak Jared proponował jej wspólne spędzanie czasu w świetle słońca. Nie zagrażały jej cieleśne rozkosze ani przemieszanie dwóch światów - dnia i nocy. - Myślę, że możemy... razem jeździć konno.

- Niewielkie ustępstwo. Trudno uwieść kobietę siedzącą na koniu. - Udawał, że się zastanawia. - Chociaż sprawa nie jest zupełnie beznadziejna. A jeśli pogoda nie dopisze? Nieważne, coś wtedy wymyślę.

Niewielkie ustępstwo, lecz Cassie nagle poczuła wątpliwości.

- Może jednak nie powinnam...

- Oto i skarpa - przerwał jej Jared. - Nie pozwól, by Kapu zszedł ze ścieżki, bo znajdziesz się trzydzieści metrów niżej, na skałach.

- Kapu nie jest taki głupi, żeby spaść ze skarpy. Po prostu pokażę mu krawędź i sam się będzie pilnował.

- Ach, jakże mu zazdroszczę tego wspaniałego instynktu, lecz czasami warto przeżyć dreszcz emocji balansując na krawędzi. - Zamilkł, a po chwili dodał: - Spotkałaś wczoraj Josette. Co o niej myślisz?

- Nieważne, co niej myślę. Czy ona wie dlaczego tu jestem?

- Tak. Nie mogłem milczeć, skoro sama jej powiedziałaś, że ma mnie o to zapytać. Nie wspomniałem jej o naszym intymnym życiu na statku, ale opowiedziałem wszystko o tobie, Lani... i twoim ojcu.

- Czy ona... Już nic. Nie chcę wiedzieć.

Jared pomimo wszystko odpowiedział.

- Była oczywiście wstrząśnięta. Przywiozłem ją do Morlandu jako niemowlę, więc prawie nie pamięta swoich rodziców.

Cassie starała się nie myśleć o straconym hrabim i jego żonie.

- Powiedziała, że ma tytuł.

- Rząd rewolucyjny skonfiskował posiadłość, więc pozostał jej jedynie tytuł.

Jeżeli tatuś był winien śmierci rodziców Josette, pozbawił ją także dziedzictwa.

Jeżeli? Myśl pojawiła się nie wiadomo skąd, lecz Cassie zdawała sobie sprawę, że musiała drzemać w podświadomości. Po raz pierwszy zdarzyło jej się zakwestionować jego niewinność i nie powinna robić tego nigdy więcej. Musiała mu ufać.

- Jestem pewna, że zrobisz, co w twojej mocy, żeby jej niczego nie zabrakło.

- Staramy się. Ale ona potrzebuje znacznie więcej niż dachu nad głową i pożywienia. Wszystko było o wiele prostsze, gdy jako mała dziewczynka biegała troszcząc się tylko o konie i łódź.

- Łódź?

Jared spojrział na bezkresny, szary ocean.

- W razie gdybyś tego nie zauważyła, mieszkamy nad morzem. Josette miała małą żaglówkę. Jeśli nie jeździła konno, spędzała czas na żaglówce.

- Teraz spędza czas uwięziona na pensji pani Carradine.

- To było konieczne.

- Bo nie chciałeś zaniechać swego wyuzdanego trybu życia, żeby stworzyć dla niej dom.

- Kto ci powiedział... - Potrząsnął głową. - Bradford.

- Nie trzeba było podejmować się opieki, skoro miałeś zamiar pokładać się z tymi wszystkimi kobietami.

- Lepiej ją było pozostawić we Francji - odparł Jared sarkastycznie.

- Tego nie powiedziałam. Wspomniałeś kiedyś, że każda akcja równa się reakcji. Może akcja wymaga również przystosowania.

- Ani ja, ani Bradford nie mamy pojęcia o wychowywaniu młodej dziewczyny. Robimy, co możemy.

- Pozwalając jej dziczeć i oglądać wasze niemoralne zachowanie.

- Wcale go nie ogląda... - Zamilkł, szukając właściwszego sformułowania. - No, tylko czasami. I kiedy była dzieckiem nie wyrządzało jej to najmniejszej szkody. Była szczęśliwa. Zorientowałem się dopiero później. Do diabła, byłem zaledwie chłopcem. Nie miałem pojęcia, co powinien robić opiekun.

- Teraz nie jesteś już chłopcem, a twoje zachowanie na Hawajach i na statku było przesadnie wyuzdane. Wcale się nie zmieniłeś.

- Nie jestem mnichem. To, co robię z daleka od Josette, nie ma na nią żadnego wpływu. - Nagle jego oczy zwięzły się. - Dlaczego tak namiętnie interesujesz się moim zachowaniem? Sama zachowujesz się jak dzikie dziecko i nie przywiązujesz najmniejszej wagi do spraw seksu. Czy to jest w porządku?

- W porządku. - Sama nie rozumiała, dlaczego myśl o Jaredzie spędzającym czas z innymi kobietami tak bardzo ją zdenerwowała. Poczuła irytację, gdy Josette wspomniała o tym minionej nocy, a uwagi Bradforda rozjątrzyły ją jeszcze bardziej. - Ale Bradford twierdzi, że taki styl życia jest tutaj źle widziany. Dlatego Josette może być szykanowana w szkole, co ją rani, a zadawanie komuś bólu nigdy nie jest dobre.

- Nie sądzę, żeby Josette był jedynym powodem twoich ataków. - Uśmiechnął się. - Ale nie mam zamiaru kontynuować tego tematu, bo wydaje mi się, że ty sama siebie nie rozumiesz. - Jared zatrzymał się i wskazał ścieżkę. - Jesteśmy na miejscu. Teraz możesz puścić Kapu luzem. Zatrzymaj się przed lasem. Dalej ziemia jest bardzo twarda.

Cassie starała się nie okazać, że odczuła ulgę.

- A ty tam nie jedziesz? - spytała.

Jared potrząsnął głową.

- Chcę popatrzeć, jak biega. Nawet nie mierząc mu czasu wyrobię sobie pojęcie o jego szybkości.

- Nie rozumiem, dlaczego to takie ważne. Widziałeś, jak biega tej nocy, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

- Wtedy nie byłem w stanie skupić uwagi na ogierze. Zajmowało mnie coś innego.

Na wspomnienie owej nocy zapiekły ją policzki. Ona także była wtedy bardzo przejęta. Jared wyłonił się wówczas nagle z kępy drzew i zupełnie odmienił jej życie.

Cassie nachyliła się nad szyją konia i poluzowała lejce.

- Ruszaj, Kapu!

Ogier tylko na to czekał. Ruszył przed siebie jak strzała. Cassie przywarła do niego ściskając go udami. Wiatr chłostał ją po policzkach i pozbawiał tchu. Kapu wydłużył susy, tak że jego nogi ledwie muskały ziemię. Morze, niebo, ziemia zlały się w całość.

- Dobrze - zachęcała go. - Mknij!

Kapu pędził! Słyszała jego przyspieszony oddech, gdy galopował coraz szybciej i szybciej.

Wielki Boże, tęskniła za tym prawie tak samo jak Kapu.

Czuła się tak, jakby się unosili na wodzie przytwierdzeni do dna tylko grzmiotem końskich kopyt

Dobiegli do skraju lasu zbyt wcześnie dla obydwójga. Cassie z ociąganiem zatrzymała Kapu i zawróciła w stronę zamku.

Jared spotkał ją w połowie drogi do stajni. Jego oczy lśniły z podniecenia.

- Mój Boże, on jest cudowny.

- Tak - odparła Cassie. Promieniowała zadowoleniem, jakby pochwalił jej własne dziecko. Była zbyt przepełniona radością, by czuć niechęć do kogokolwiek na świecie.

- To była dobra przebieżka. Teraz Kapu czuje się lepiej.

- I ty także.

- Tak - zgodziła się Cassie. - Może ta Anglia nie jest wcale taka zła. Wiatr wieje zbyt mocno, ale zmaganie się z nim sprawia szczególną przyjemność. - Poklepała Kapu po szyi. - Dobrze było, prawda? - Spojrzała na Jareda. - No i co, oceniłeś szybkość?

Zamrugął oczami.

- Nie!

- Dlaczego?

- Cholera, zapatrzyłem się na niego i zapomniałem.

Cassie wybuchnęła śmiechem. Nigdy jeszcze nie widziała, żeby Jared stracił panowanie nad sobą. A teraz wyglądał jak mały, niezdolny chłopiec.

- Mogę cię zapewnić, że biegł naprawdę szybko - powiedziała.

- Wiem. A ja nie lubię, kiedy się ze mnie śmieją.

- Wyglądałeś na kompletnie ogłupiałego.

- Kompletnie. I nadal jestem.

Uśmiech Cassie zgasł. Jared emanował ciepłem i radością, a takie emocje są jeszcze bardziej niebezpieczne niż żądza. Szybko spojrzała na Morgana.

- Piękna klacz.

- Mówiłem ci.

- Ale nie dorównuje Kapu.

- Niby czemu ogier miałby być od niej lepszy?

- Bo jest mój - odparła po prostu.

- Ciekawe, dlaczego ta odpowiedź wcale mnie nie dziwi? - powiedział ze śmiechem.

- Bo jesteś taki sam. Nie wydaje ci się, że Morgana jest najwspanialsza tylko dlatego, że należy do ciebie?

- Przyznaję, że bywam nieco stronniczy, ale staram się nad tym panować. Teraz na przykład jestem skłonny przyznać, że Kapu może być szybszy.

Cassie chrząknęła z niesmakiem.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się podniecacie szybkością. Bradford najchętniej mówiłby tylko o wyścigach konnych.

- Przyznaję się do winy. Bardzo bym chciał zobaczyć jak Kapu i Morgana ścigają się ze sobą.

- Nie zgodzę się na to - odparła szybko Cassie. - Nie chcę, żeby kiedykolwiek ze sobą rywalizowały.

- Dlaczego?

- Bo lubię Morgana.

- Więc?

- Nie rozumiesz? Nie przepadają za sobą. Na razie tylko się lekceważą. A ja nie chcę, żeby się stały wrogami.

- Wcale się nie lekceważą.

- Właśnie że tak.

- Nie jest to bardzo widoczne, ale ja zauważyłem kilka powłóczyстых spojrzeń.

- Mylisz się - upierała się Cassie marszcząc czoło.

- Przyjrzyj się im. Może ja jestem po prostu bardziej wyczulony na takie subtelności. - Spojrzała na sylwetkę przy ogrodzeniu łąki. - Josette. Czeka na ciebie.

Cassie zeszywniała na widok niewielkiej postaci.

- Nie ma powodu, by chciała ze mną rozmawiać. Na pewno czeka na ciebie.

- Zapewniam cię, że po naszej dzisiejszej rozmowie przez jakiś czas nie zechce się do mnie odzywać. A poza tym przyszedł jej do głowy raczej niezwykły pomysł dotyczący ciebie. Prawdopodobnie ma ochotę go przedyskutować.

Prawdopodobnie zechce mnie utopić, a potem poćwiartować, pomyślała Cassie ponuro.

- W każdym razie zostawiam was same. - Jared pogalopował do stajni. Mijając Josette skinął jej głową. Obrzuciła go znużonym spojrzeniem i skierowała uwagę na Cassie.

- Strasznie długo to trwało. Czekałam całe godziny - powitała Cassie. - Spojrzała na Kapu. - Szybko biegał?

- Nie czekałaś tu na mnie, żeby zapytać, jak szybko biegał Kapu. - Cassie doprowadziła konia do ogrodzenia i przywiązała go. - Prawda?

- Cóż, nie tylko po to, ale zawsze jestem ciekawa. - Spojrzała jej prosto w oczy. - Myślisz, że będę cię obwiniać za to, co zrobił twój ojciec?

- Za to, o co Jared oskarża mego ojca - poprawiła ją Cassie.

- Jared zwykle miewa rację.

- Tym razem nie...

Josette uciszyła ją ruchem ręki.

- Nie przyszłam tu po to, żeby się kłócić. Sprawa dotyczy Jareda i twego ojca, a nie nas. Nigdy nikogo nie winię za to, że urodził się w nieodpowiednim kraju albo z nieodpowiedniego ojca. Sama dość się nacierpiałam z racji mego urodzenia.

Cassie poczuła ogromną ulgę. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo obawiała się oskarżeń Josette.

- Dziękuję, jesteś bardzo wspaniałomyślna.

- Nie tak bardzo, jak ci się wydaje. - Oczywiście Josette nagle załśniły. - Musisz mi za to zapłacić. Kiedy będę mogła dosiąść Kapu?

Cassie potrząsnęła głową. Dziewczyna była niemożliwa.

- Zabiłby cię.

- Niekoniecznie. Mówiłam ci już, że umiem obchodzić się z końmi. - Zeskoczyła z ogrodzenia i ruszyła naprzód, żeby otworzyć wrota. - Chodź, pomogę ci.

Cassie nie posiadała się ze zdumienia. Od chwili kiedy dowiedziała się, kim jest Josette, obawiała się tego spotkania. Tymczasem dziewczyna zachowywała się zupełnie beztrzesko.

- To nic dziwnego - powiedziała Josette, jakby czytała w jej myślach. Kiedy moi rodzice zostali zabici, byłam bardzo mała. Jared i Bradford są jedynymi członkami rodziny, jakich pamiętam. Wiesz, że kiedy zabito jego ojca, Jared sam przywiózł mnie do Anglii?

- Nie.

- Trzymał mnie na rękach, kiedy mordowali jego ojca. A potem związali mu ręce, ale mimo to udało mu się uciec i Ukrywał się w lesie przez trzy dni. Później przedostał się na statek, który miał czekać na jego ojca. Nie umiał zerwać więzów, więc jego nadgarstki były związane i krwawiły, gdy dotarł do wybrzeża.

„Nie znoszę więzów”.

Nic dziwnego. Musiał się czuć straszliwie bezsilny ze związanymi rękami, trzymając w ramionach małe dziecko. Takie przeżycie na każdym wywarłoby niezatarte piętno.

- Więc jeśli ty lub twój ojciec zechcecie skrzywdzić Jareda, nie liczcie na moje zrozumienie. - Josette zamknęła wrota za Cassie. - Ale ty jesteś bardzo interesująca. Nie mogę znieść tych lalek ze szkoły. Mam nadzieję, że twój pobyt w Morland

trochę mnie rozerwie. Opowiesz mi o tym dziwnym miejscu, w którym mieszkasz, będziemy jeździć konno i mieć kupę zabawy.

- Tak myślisz? Jared trzyma mnie jako zakładniczkę. Wiedziałas o tym?

- Bardzo szczególną zakładniczkę, która może swobodnie poruszać się po posiadłości. Nie widzę w tym żadnego problemu. - Josette otworzyła drzwi do stajni. - Powiedz mi teraz o Lani. Czy naprawdę jest kochanką twego ojca?

Cassie zesztywniała.

- Tak.

Josette zdawała się nie zauważać zmiany jej nastroju.

- Wielu przyjaciół Jareda ma kochanki, ale zwykle nie pozwalają mi się z nimi spotykać. Kiedyś w czasie jednego z przyjęć natrafiłam na jedną z takich dam lekkich obyczajów w jego pokoju.

- Lekkich obyczajów?

- Dziwkę.

Cassie poczuła wypieki na policzkach.

- Lani nie jest dziwką. Żebyś się nie ośmielała ich porównywać. Jest tak godna szacunku jak...

- Nie wiedziałam - przerwała jej Josette. - Przepraszam. Tutaj, w Anglii kochanki nie są uważane za... - Urwała i westchnęła głęboko. - Zawsze palnę coś nieodpowiedniego. Nie chciałam cię obrazić.

Dziewczyna była tak zakłopotana, że cały gniew Cassie wyparował.

- Lani jest moją przyjaciółką.

- Jak myślisz, polubię ją?

- Możliwe. - Cassie wróciła myślą do owych dni, gdy Lani zawitała do ich domu. Cassie odczuwała wówczas zazdrość i obrzydzenie. Potrzeba było czasu, żeby Lani zwalczyła w niej te uczucia. Josette jest teraz starsza niż ona wtedy, ale równie dumna i niezależna. - Może nie od razu, ale z pewnością ją pokochasz.

- Och, pewnie jest jak Jared. Czasami mam ochotę rozerwać go na kawałki. Zawsze musi mieć rację. - Uśmiechnęła się. - Ale potem robi coś absolutnie wspaniałego i zapominam o całej reszcie.

Najwyraźniej Josette uwielbia Jareda, pomyślała Cassie. Cóż on takiego zrobił, by sobie zasłużyć na taki podziw?

- Jared nie jest do niej ani trochę podobny - odparła sztywno i zsiadła z konia.

Morgana była już w swoim boksie i Cassie patrzyła uważnie, czy nie dostrzeże powłóczyстых spojrzeń, o których wspominał Jared.

Cholera!

Jak on mógł spozrzeć coś równie subtelnego? Będzie się musiała zgodzić z Josette co do tego, że Jared jest pod pewnym względem zupełnie nieznośny: ma zawsze rację.

- Marszczysz czoło. Wciąż jesteś na mnie zła? - spytała zmartwiona Josette.

- Nie, nie jestem - odparła Cassie z uśmiechem.

- W takim razie, kiedy już skończysz zajmować się Kapu, czy przedstawisz mnie swojej Lani?

- Świetnie. Pójdziemy do biblioteki.

Idąc przez podwórzec Cassie i Josette zauważyły stojący przed frontowym wejściem elegancki powóz.

- Och, nie! - krzyknęła przerażona Josette. - Przyjechała!

- Kto?

- Lady Carradine. - Josette chwyciła Cassie za ramię. - Nie spodziewałam się, że przyjedzie tak szybko. Mogłaby mi dać trochę wolnego.

- A cóż to za różnica? Powiedziałaś przecież, że Jared i tak pozwoli ci zostać.

- To nie takie proste. Musisz mi pomóc. Słuchaj: jesteś moją kuzynką. Twój ojciec opuścił Francję i wyemigrował na Tahiti wiele lat temu. Został farmerem. Uprawia... - Zastanawiała się gorączkowo. - Rum.

- Rum to napój. Robi się go z trzciny cukrowej.

- Dobrze, w takim razie uprawia trzcinę cukrową. Uprawia się trzcinę na Tahiti, правда?

- Nie wiem. Mieszkam na Hawajii.

- Ciagle zapominam. Przez to, że Jared pływał na Tahiti. Zresztą, kto słyszał o Hawajii? Może kapitan Cook, ale...

- Za Boga, nie wiem, o czym mówisz.

- Potrzebna mi przyzwoitka, bo inaczej Jared nie pozwoli mi zostać.

Cassie spojrzała na nią oszołomiona.

- Mam być nie tylko zakładniczką, ale i przyzwoitka?

- Nie jesteś wystarczająco stara na przyzwoitkę, ale myślę, że twoja Lani mogłaby się nadać. Oczywiście nie może być kochanką twego ojca. Musi być wdową. - Wepchnęła Cassie na schody. - Musi być w średnim wieku.

Cassie pomyślała o Lani. Młodzieńcza, pełna życia, niezwykle piękna.

- Nie da rady - powiedziała beznamiętnie.

- Ale spróbować możemy. - Josette zatrzymała się przed drzwiami biblioteki i spojrzała na Cassie błagalnym wzrokiem. - Spróbujmy, proszę. Nie chcę z nią wracać.

Cassie zawahała się. Cała intryga była zupełnie szalona, ale trudno się oprzeć rozpaczliwemu błaganu Josette.

- Jared się na to zgodzi?

- Powiedział, że ten plan ma szansę powodzenia. Musi mieć jakieś wytłumaczenie na twoją obecność. Nie jesteś mi nic winna, po prostu proszę cię o przysługę. Nie każ mi stąd wyjeżdżać. - Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi na oścież. - Lady Carradine, nie spodziewałam się pani.

Na te słowa kobieta rozmawiająca z Jaredem odwróciła się. Lady Carradine była drobna, o bardzo jasnej cerze, a jej doskonale regularne rysy przypominały Cassie kameę.

- A ja nie spodziewałam się, że będę musiała za tobą gościć. Mam ważniejsze sprawy na głowie, Josette - powiedziała patrząc na dziewczynę z dezapobata. - I znowu nosisz te okropne spodnie. Mówiłam ci, że są nie do przyjęcia. - Przeniosła wzrok na Cassie. - Kto to?

- Lady Carradine, zechce pani poznać moją kuzynkę Cassandrę Deville. - Josette zacisnęła palce na ramieniu Cassie, jakby się obawiała, że jej ucieknie. - Moja starsza kuzynka.

- Najwidoczniej nie dosyć dorosła, by wiedzieć, co na siebie włożyć. - Spojrzała na znoszone ubranie Cassie. - Wielkie nieba! Rozcięta spódnica. To musi być rodzinne. Strój niewiele lepszy od tych okropnych spodni.

Cassie poczuła nagły przypływ gniewu.

- Służy mi wystarczająco dobrze. Nie widzę powodu...

- Nie szata zdbi człowieka, Carolyn - powiedział szybko Jared stając pomiędzy nimi. - Doceniam, że pofatygowałaś się, aby sprawdzić, czy nic nie grozi memu urwisowi, ale, jak widzisz, wszystko jest w porządku.

- Niczego takiego nie widzę - odparła Carolyn Carradine.

Podeszła do Jareda i ze słodkim uśmiechem położyła mu dłoń na ramieniu. - Posłuchaj mnie, Jared. Musimy na nią bardzo uważać. Pozwól mi zabrać Josette do Carradine Hall, gdzie nie grozi jej żaden skandal.

- Tu także nie grozi jej żaden skandal.

Pani Carradine potrząsnęła głową i jej uśmiech stał się nieszczerzy.

- Rozmawialiśmy już na ten temat. Jesteś zbyt wielkim łajdakiem, abym mogła uwierzyć, że się zmieniłeś. Przynajmniej dopóki się nie ożenisz.

- Ale ja mam przyzwoitkę. - Josette zwróciła się do Jareda.

- Powiedziałeś o madame Deville?

- Tak - odparł sztywno.

- Wdowa. I stara. Pod trzydziestkę.

Lady Carradine, którą Cassie oceniła na po trzydziestce, nie wyglądała na zachwyconą. Zagryzła wargi.

- Chcę poznać tę panią Deville - rzuciła.

- Źle się czuje i chwilowo nie przyjmuje wizyt - powiedział Jared. - Jest słabego zdrowia i podróż bardzo ją zmęczyła.

- W takim razie nie może sprawować opieki nad dwiema młodymi dziewczynami.

- Za dzień, dwa Lani poczuje się lepiej - wyrwało się Cassie, choć wcale nie zamierzała mieszać się do tej rozmowy.

- Lani? - spytała podejrzliwie Carolyn Carradine. - Jakie dziwne imię.

- Z pewnością nie tak piękne jak Carolyn - zapewnił ją Jared z przymilnym uśmiechem. - Poznasz madame Deville nieco później.

- Chcę ją poznać teraz. Czy to nie... - Spojrzała Jaredowi w oczy i właściwie odczytała ich całkowity brak wyrazu. Wycofała się z promiennym uśmiechem. - Oczywiście, jeśli nie czuje się dobrze, nie będę jej przeszkadzać, ale musiałam sprawdzić, czy droga Josette znajduje się w dobrych rękach. Za sześć tygodni wydają bal. Jeżeli madame Deville wyzdrowieje, chciałabym ją zaprosić. Dopilnujesz tego?

- Któż by się ośmielił nie przyjść na jeden z twoich wieczorów? - Jared podniósł do ust jej dłoń w rękawicze. - Z przyjemnością przyjdziemy.

Lady Carradine cofnęła rękę wdzięcznym ruchem i poklepała Jareda po policzku.

- Wspaniale. - Odwróciła się i szybko ruszyła do drzwi. - I nie chcę więcej oglądać tych spodni. Musisz jej bardziej pilnować, Jared.

Jared spojrział z niesmakiem na Josette.

- Masz rację. Zauważyłem, że ostatnio trochę mi się wymyka spod kontroli. - Pośpieszył za Carolyn. - Pozwól, że cię odprowadzę do powozu.

Drzwi zamknęły się za nimi i Josette wydała głębokie westchnienie.

- Dzięki Bogu, już po wszystkim.

- Nie jestem pewna, czy po wszystkim. Dla mnie to brzmi jak odroczenie.

- W każdym razie zrobiliśmy dobry początek. - Josette przerzuciła nogę przez oparcie krzesła i zaczęła nią huścić. - Bałam się, że może być znacznie gorzej.

- Wygląda na raczej zdecydowaną. Byłam zaskoczona, że tak łatwo zrezygnowała.

- Nie chciała zadzierać z Jaredem, kiedy zrozumiała, że jej nie ustąpi. Chciałaby zostać księżną. - Widząc minę Cassie, Josette uniosła brwi. - Co cię tak dziwi? Połowa kobiet w Anglii chciałaby wyjść za Jareda.

Nie powinna się dziwić. Zawsze myślała o Jaredzie jako o kochanku, nie małżonku.

- Od dawna się znają? - spytała starając się, by jej ton zabrzmiał obojętnie.

- Przeszło siedem lat. Była żoną przyjaciela Jareda, lorda Marcusa Carradine. Kiedy Marcus zabił się spadając z konia, została sama z kilkoma funtami i Carradine Hall. Zamieniła go w szkołę dla panien.

- Godne pochwały.

- Sprawa ambicji. Utorowała sobie drogę do domów najlepszych rodzin w Anglii poprzez ich córki. Teraz marzy jej się rozszerzenie wpływów poprzez Jareda aż na dwór Prinny'ego.

- Prinny'ego? - spytała zdziwiona Cassie.

- Syna króla.

- Ach, tak. - Cassie przypomniała sobie uwodzicielski uśmiech, którym Jared obdarzył Carolyn Carradine. - A co na to Jared?

- Nie życzę sobie, żebym ją obrażała. Sama nie wiem, czy dlatego, że chce mieć święty spokój, czy dlatego że ją lubi. Czy Lani naprawdę jest taka piękna, jak twierdzi Joseph?

- Jest śliczna.

- W takim razie cieszę się, że jej tutaj nie było. Maszkaron nie lubi, gdy w pobliżu Jareda kręcą się ładne kobiety. Miałybyśmy mnóstwo kłopotów. Dobrze, że jesteś dziś taka blada i wymięta. Nie zwróciła na ciebie uwagi.

- Mam szczęście - odparła Cassie ironicznie.

- Och, nie miałam zamiaru... Mówiłam ci już, że język płata mi figle.

- Wiem coś o tym - odezwał się Jared od drzwi. - Co znowu palnąłeś?

- Odjechała? - spytała Josette.

- Tak. - Jared zamknął drzwi. - Nie mogłem się już doczekać. Cały czas bałem się, że mnie przyłapie na jakimś twoim kłamstwie.

- Jesteś na to o wiele za sprytny. - Josette się uśmiechnęła. - Świetnie sobie radziłeś.

Jared skłonił się przesadnie.

- Dziękuję, ale dlaczego się nie przebrałaś? Przecież wiesz, że nienawidzi tych spodni.

- Chyba może nosić to, na co ma ochotę? - nie wytrzymała Cassie.

- Jared nie ma nic przeciwko temu - wyjaśniła Josette. - Pierwszą parę spodni dostałam od niego w wieku czterech lat.

- Moda modą - powiedział Jared. - Ale siedzenie na koniu po damsku jest bardzo niebezpieczne. Rozcięta spódnica, taka jak twoja, jest lepsza, ale potrzeba na nią mnóstwo materiału. Ty także zaczniesz tu nosić spodnie.

- Wtedy sprawisz zawód lady Carolyn. - Cassie wciąż jeszcze odczuwała satysfakcję po tym, jak Josette nazwała panią Carradine maszkaronem.

- I przyjdzie mi za to zapłacić - odparł Jared z krzywym uśmieškciem. - Mam nadzieję, że niezbyt wysoką cenę.

- Według mnie wszystko się świetnie składa. Jedyne, jaka przychodzi mi do głowy, to wydalenie mnie ze szkoły, a to sama przyjemność - stwierdziła Josette.

- To bardzo wysoka cena - powiedział Jared poważnie. - I nie chciałbym, żebyś musiała ją zapłacić. Carolyn może

dwoma zdaniem zamknąć przed tobą dostęp do towarzystwa. lepiej, żeby ich nie wypowiedziała.

Sam nie dbasz o swoją reputację - prychnęła gniewnie Josette. - To nieuczciwe, że...

Ciii... - Jared łagodnie nakrył dłonią jej usta. - W przy--dku kobiety sprawa wygląda inaczej. Zaufaj mi. Czy kie--dykolwiek zrobiłem coś, co nie okazało się dla ciebie dobre?

Nie. - Josette ucałowała jego dłoń, a potem odepchnęła ją i dodała nadąsana: - Ale i tak uważam, że to nie jest sprawiedliwe. Sama powinnam decydować o sprawach, które mnie dotyczą.

Kiedy będziesz starsza. - Jared pochylił się i musnął ustami jej czoło. - Nie jestem najlepszym przewodnikiem dla młodej dziewczyny, ale masz tylko mnie. Nie chciałybyś chyba, żebym miał wyrzuty sumienia?

Patrząc na nich Cassie poczuła się bardzo samotna. Nigdy dotąd nie widziała, by Jared był równie czuły. Widać było, że toczy tych dwoje wielka wzajemna sympatia i przywiązanie. Z jakichś niezrozumiałych powodów było to dla niej bolesne. Poderwała się i skierowała do drzwi.

- Pójdę do Lani. Nie jest naprawdę chora, prawda?

- Nie. Kiedy zobaczyłem powóz Carolyn, poprosiłem Bradforda, żeby ją wywabił z biblioteki. Pomyślałem, że tak będzie lepiej.

- Bo maszkaron jest zbyt próżny, by tolerować atrakcyjne kobiety?

- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś jej tak nie nazywała?

- Przepraszam, ale jest próżna.

- Trochę - przyznał Jared. - W każdym razie uznałem, że lepiej uniknąć komplikacji. - Spojrzała na Cassie. - I nie było powodu, by martwić Lani.

- O, jak miło.

- Do diabła - rozżłościł się Jared. - Próbuję robić, co w mojej mocy.

- W takim razie dobrze, że kazałeś wywabić Lani z biblioteki. Jest tak piękna, że w każdym obudzi zazdrość. Podczas gdy ja, jak to ujęła Josette, jestem zbyt blada i wymięta, by stanowić jakiegokolwiek zagrożenie.

- Błada? - powtórzył ochryple. - Wymięta?

Cassie odwróciła się i ujrzała wyraz twarzy Jareda.

- Muszę iść zobaczyć się z Lani - powtórzyła i otworzyła drzwi.

- Mogę pójść z tobą? - spytała Josette. - Obiecałaś, że mnie przedstawisz.

- Nie teraz. - Musiała od nich za wszelką cenę uciec. - Później. - Zatrzasnęła drzwi i pobiegła korytarzem.

- Cassie! - Jared dogonił ją. - Co się stało? Nie mogłem nie powiedzieć, bo ugrzązłbym w sieci kłamstw.

- Mogłeś jej powiedzieć prawdę.

- Nie chciałem sprawić zawodu Josette.

- Ja także.

- I nie chciałem zranić ciebie. Twoja obecność tutaj mogłaby zostać uznana za niewłaściwą.

- Niewłaściwą? - Spojrzała na niego z niedowierzaniem. - To, co jest właściwe, a co nie, w ogóle mnie nie interesuje. Dobrze wiesz, po co tu jestem. Cóż mnie może obchodzić, co sobie o mnie pomyśli któraś z twoich przyjaciółek?

- Ale mnie obchodzi - odparł Jared szorstko. - Sam nie wiem dlaczego, ale mnie obchodzi. Myślisz, że lubię przemycak się chyłkiem?

Spojrzała na niego zdziwiona, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego.

- Wyobrażam sobie, jak wślizgujesz się chyłkiem na salę balową. Naprawdę nie wyobrażam sobie, żebyś mógł przemycak się chyłkiem, Jared.

- Ja także. Po prostu źle się wyraziłem. Jeśli pomożemy Josette, nic złego się nie stanie - dodał korzystając z poprawy nastroju Cassie. - Wytrwasz przy tej maskaradzie?

- Nie wydaje się zbyt uciążliwa. A ten bal, w którym obiecałeś wziąć udział, będzie...

- Mamy więcej niż miesiąc. Kto wie, co się wydarzy w ciągu miesiąca? Jeśli nadal tu będziesz, wymyślimy jakiś sposób żeby się od tego wykręcić.

Jeśli nadal tu będzie.

Poczuła rozpacz. Głupota. Jeśli nie tutaj, to albo będzie w drodze do Francji, do tatusia, albo obydwójce będą na statku płynącym na ich wyspę.

- Dobrze, jeśli zgodzi się Lani.

- Nie sądzę, żeby z nią mogły wynikać jakieś trudności. - Zawahała się. - Czemu tak na mnie patrzysz? O co chodzi?

Intymność. Wesołość. Wspólne cele. Wszystko to, czego udało jej się uniknąć na statku. Bardzo niebezpieczne.

- Nic - wymamrotała.

Odwrociła się i uciekła.

Następnego dnia przed przejażdżką konną Cassie zabrała Josette do biblioteki, żeby przedstawić ją Lani.

Maszkaron nie może cię zobaczyć - rzekła Josette na jej widok. - Nawet z odległości kilometra.

- Maszkaron? - zdziwiła się Lani.

- Lady Carradine.

- Ach, tak. Cassie mówiła mi o niej. Czy przezwisko „maszkaron” nie jest zbyt okrutne?

- Jest odpowiednie dla maszkaronów. - Josette zamilkła i dodała niezręcznie: - Cassie powiedziała, że zgodziłaś się mi pomóc. Bardzo... dziękuję.

- Niby czemu nie miałabym pomóc? - Lani roześmiała się. Wystarczyło tylko, żeby nie pobiegła za tą niemiłą osobą i nie naskarzyła, że ją okłamałaś. Pewnie że wolę być uczciwa, ale to jeszcze nie grzech.

- Idziemy pojeździć konno - powiedziała Cassie. - Poszła - byś z nami?

Lani potrząsnęła głową.

- Zostanę tutaj, przy kominku. Na dworze jest za zimno.

- To dopiero jesień - odparła Josette. - I wcale nie jest zimno. Śnieg spadnie dopiero za jakieś dwa miesiące.

- Śnieg? - Lani wzdrygnęła się. - Czytałam o tym w książkach, ale myślę, że najlepiej wygląda przez okno. Chociaż Cassie wspomina go z przyjemnością.

- Na waszej wyspie nigdy nie ma śniegu? - zdziwiła się Josette. - Nie do wiary.

- Nie ma w tym nic dziwnego. To śnieg jest niezgodny z naturą. - Lani uśmiechnęła się. - Musisz kiedyś do nas przyjechać i zobaczyć, jak tam pięknie.

- Może - odparła Josette. - Ale Cassie mówi, że nie macie tam tak pięknych koni jak nasze.

- To rzeczywiście poważny mankament - zgodziła się poważnie Lani. - O wiele większy niż wasz śnieg.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Tak.

- Nie lubię ludzi, którzy się ze mnie... - zaczęła Josette,

lecz prędko zamilkła, a potem dodała niechętnie: - Ale ja ciem ci winna wdzięczność za pomoc w sprawie z maskarone. Możesz się ze mnie naśmiewać, ile chcesz.

- Zawsze życzliwie - odparła Lani łagodnie. - Śmiech to balsam dla duszy. Bez śmiechu świat byłby bardzo nudny.

- Te głupie dziewczuchy w szkole naśmiewają się ze mnie, ale w sposób zupełnie pozbawiony życzliwości - powiedziała Josette, a potem dodała unosząc dumnie głowę. - Ale ja nie zwracam na nie uwagi.

- Zawsze życzliwie - powtórzyła Lani. - Obiecuję.

Josette przyglądała jej się uważnie.

- Serio?

- Lani zawsze mówi to, co naprawdę myśli - wtrąciła się Cassie.

Na twarzy Josette pojawił się złośliwy uśmiech.

- W takim razie nie będę ci musiała wrzucać do zupy karaluchów, tak jak tym głupim lalkom. Zresztą chwywanie ich jest zbyt uciążliwe.

- Niewątpliwie - zgodziła się Lani. - Ale muszę przyznać, że masz niezłe pomysły. Karaluchy w zupie to coś znacznie obrzydliwszego niż żaba w łóżku, a tak właśnie powitała mnie w swoim domu Cassie.

- Byłam wtedy młodsza od Josette. - Cassie roześmiała się.

Lani spojrzała na nią porozumiewawczo.

- My także mamy swojego maskarona.

- Naprawdę? - spytała zdumiona Josette. - Kogo?

Lani machnęła ręką.

- Cassie ci opowie. Idźcie teraz pojeździć.

Cassie podeszła do drzwi, lecz Josette zawahała się.

- Chciałabym... Nie jesteś taka jak te inne... - Zamilkła, a potem prędko dodała: - Chodź z nami.

Lani poczuła się wzruszona. Josette tak bardzo przywykła, by z wszystkimi walczyć, że zaakceptowanie osoby dorosłej stało się dla niej prawie niemożliwe. Czy powinna z nimi pójść? Nie, tylko by im przeszkadzała. Cassie czekają tu trudne chwile i dobrze będzie jeśli znajdzie w Josette przyjaciółkę.

- Innym razem - powiedziała. - Ale ty możesz przychodzić do mnie, kiedy tylko zechcesz.

Josette skinęła głową i odeszła.

Lani wyjrzała przez okno. Patrzą, jak obie dziewczyny

przechodzą przez podwórzec. Rozmawiały z ożywieniem, Joselle gestykulowała. Lani poczuła się nagle bardzo samotna, Zapragnęła otworzyć okno i zawołać, żeby na nią zaczekały, aż mieniła zamiar. Książki książkami, ale w tej ponurej forticy potrzebowała towarzystwa ludzi.

Nie zawołała.

Odeszła od okna i sięgnęła po książki, które odłożyła, gdy dziewczyny wtargnęły do biblioteki. Musi teraz przywołać wspomnienia czasów, gdy była w domu z Charlesem. Przerażało ją, że owe wspomnienia coraz bardziej się zacierały. Jeśli Francja jest podobna do Anglii, to nic dziwnego, że Charles był taki szczęśliwy po ucieczce na wyspę.

Ajednak pozostał wierny swoim dziwnym obyczajom i tradycjom i nigdy do końca nie zaakceptował wyspiarskiego sposobu życia. Dlaczego? Jego opór wydał jej się teraz jeszcze dawniejszy niż dawniej.

Dlaczego wraca do spraw, z którymi pogodziła się wiele lat temu? Lepiej wspominać dobre chwile. Pomyśleć o tym, jaki był dla niej czuły i jak bardzo jej potrzebował.

Mogę wejść?

Odwrociła się. W progu stał Bradford i uśmiechał się do niej. Ten niemal chłopięcy uśmiech w jego smagłej, pomarszczonej twarzy zawsze ją zaskakiwał.

Powinna go wyprosić. Przecież właśnie odświeża wspomnienia o...

Proszę - przymilał się Bradford. - Jestem taki samotny.

Samotny dzień w opuszczonym kraju. Nie ma sensu obwiniać się za to, że chce ulżyć samotności, którą poczuli obydwój.

- Wejdz. - Usadowiła się na fotelu przy kominku i otworzyła książkę. - Ale nie spodziewaj się, że cię będę zabawiała. Ta książka jest zbyt interesująca.

Cassie! - rozległo się w hallu wołanie Josette.

- Jestem z Lani w bibliotece! - odkrzyknęła Cassie.

- Chodźcie poznać Rose.

- Rose? - spytała zdumiona Cassie.

Lani wzruszyła ramionami; wstała.

- Idziemy.

Obok Josette stała szczupła kobieta pod czterdziestkę, o pięknej jasnej cerze i przyjemnym wyrazie twarzy. Na widok Lani i Cassie uśmiechnęła się radośnie.

- Ach, śliczne. Przyjemnie dla takich szyc. - Ruszyła ku schodom. - Chodźmy do pokoju Josette. Muszę wziąć wasze miary.

Cassie i Lani ani drgnęły.

Rosę zwróciła się do Josette:

- Nie mają do mnie zaufania. Powiedz im, jak wspaniale je ustroję.

- Rosę? - spytała Cassie.

- Rosę Wintrop. Jest najlepszą krawcową w Kornwalii. To ona uszyła moją pierwszą parę spodni. Nie chciała, ale Jared ją przekonał.

- Uszyje mi spodnie? - spytała Cassie.

- I kilka sukien.

- Nie potrzebuję żadnych sukien.

- Jared uważa, że potrzebujesz. A po ostatniej kolacji zgadzam się z nim.

- Przyjmę spodnie, ale...

- Nic się nie stanie, jeśli zgodzisz się także na kilka sukien - przerwała jej Lani. - Nie mogę już patrzeć na stroje, które sprawiła ci Klara.

- A jeśli ktoś wpadnie do Jareda z nieoczekiwaną wizytą?

- spytała Josette. - Nikt nigdy nie uwierzy, że jesteś jego krewną. Twoje suknie są okropnie niemodne, a Jared doskonale się zna na damskich strojach.

- Mogę się ukryć w tajni.

Lani potrząsnęła głową z uśmiechem.

- Nie wygłupiaj się.

Cassie zdała sobie sprawę, że postępuje nierozsądnie. Kilka sukien nie sprawi różnicy, a protesty tylko dodadzą wagi pomysłowi Jareda.

- Dobrze, zgodzę się, jeśli i ty zamówisz sobie suknię.

- Oczywiście - odparła Lani wchodząc po schodach. - Nawet kilka. Mam zamiar wykorzystać Jareda na wszelkie możliwe sposoby.

Cassie postanowiła pójść w jej ślady. Ale wykorzystując go, czuła się coraz bardziej z nim związana.

- Zobaczysz, obejdzie się bez kłopotów - przekonywała ją Josette. - Nie będziesz się musiała na nic decydować. Jared już jej wyjaśnił, o co mu chodzi. - Chwyliła Cassie za rękę i pociągnęła na schody. - I na pewno polubisz Rosę. Jest bardzo szybka i uważa, żeby nie kłuć szpilkami.

- Bardzo pocieszające - powiedziała Cassie. - Konna jazda ze szpilkami w zadku nie byłaby specjalnie wygodna.

Po tygodniu nadeszły dwie pary spodni, koszule i żakiety. Kuknie były gotowe trzy tygodnie później.

Cztery utrzymane w delikatnych, pastelowych odcieniach. Piąta suknia uszyta została z lśniącego, szkarłatnego jedwabiu.

- Nie możesz jej nosić - orzekła Josette potrząsając głową. - Jest o wiele... zbyt wyzywająca. Cóż ten Jared sobie wyobraża?

Cassie doskonale wiedziała, o co mu chodziło.

Chciał jej przypomnieć o nocach spędzonych na statku. Zapewnić bez słów, że nie rezygnuje z zamiaru zwabienia jej do swojej sypialni. Oddając się wspomnieniom patrzyła na suknię nie widzącym wzrokiem.

- Cassie? - Josette była zaintrygowana.

Cassie oderwała wzrok od czerwonej sukni.

- Rzadko rozumiem, co Jared sobie wyobraża. - Gwałtownym ruchem wsunęła suknię głęboko do szafy, tak aby jej nie oglądać. - Ale masz rację, jest zbyt wyzywająca.

- Sprawiasz wrażenie bardzo spokojnej. A gdzie jest Cassie? spytał Bradford wchodząc do biblioteki ze srebrną tacą, na której niósł filiżanki i czajnik z herbatą.

- Tam gdzie zawsze. - Lani spojrzała znad książki i uśmiechnęła się do niego. Jeździ konno z Josette.

Bradford odstawił tacę i usiadł w fotelu naprzeciw Lani.

- To świetnie. Będę cię miał tylko dla siebie.

Nalał do filiżanki herbatę, dodał mleko i kawałek cukru, tak jak lubiła. Zawsze pamiętał. Od tamtego wieczoru, który spędził z nią w bibliotece kilka tygodni temu, zaczął powoli wrastać w jej życie. Czasami siedział z nią godzinę, kiedy indziej zostawał skulony przy kominku, aż nadchodziła pora, by przebierać się do kolacji. Na początku czuła się w jego towarzystwie niezręcznie, ale z czasem przywykła do jego stałej obecności.

Bradford nalał sobie herbaty i upił odrobinę.

- Wiesz, zaczyna mi smakować. Nie przypuszczałem, że polubię taki mdły napój.

- Ale wolisz brandy? - spytała Lani z uśmiechem.

- Herbata nie działa równie stymulująco. Ale jeśli chcesz

mi zasugerować, że odczuwam brak alkoholu, to się mylisz. Twoje towarzystwo w pełni mi go rekompensuje. - Przyjrzał się jej. - Wyglądasz dziś szczególnie pięknie. Lubię cię w żółtym kolorze.

- Naprawdę? - Zamilkła na chwilę i dodała z rozmysłem: - Charles także.

Bradford wbił wzrok w filiżankę z herbatą.

- Ale ja bardziej. - A potem spytał zmieniając temat: - Masz żal do Josette?

Lani spojrzała na niego zdziwiona.

- Bardzo lubię Josette.

- Każdy lubi Josette. Ale nie o to cię pytałem. Czy czujesz do niej żal?

- Za co?

- Cassie spędza z nią o wiele więcej czasu niż z tobą.

- Nie jestem rozkapryszonym dzieckiem - odparła krótko.

- To całkiem naturalne, że Cassie i Josette spędzają ze sobą większość czasu. Obie szaleją za konną jazdą, są prawie w tym samym wieku i mają podobne usposobienia. Wcale nie mam do niej żalu.

- W takim razie jesteś bardziej tolerancyjna niż Jared. On wcale nie jest z tego zadowolony. Ale myślę, że i ty czujesz się trochę samotna.

- Możliwe. - Przyznając się, że jest zazdrosna o Josette, pokazałaby, że jest małostkowa. - Cassie nigdy nie lubiła przesiadywać w domu, ale na wyspie widywałam ją częściej. A może po prostu byłam tam bardziej zajęta. - A potem dodała: - Ale nie mów jej o tym. Kiedy jesteście razem, czuję się jak dawniej, a przebywanie z Josette dobrze jej robi. Byłam dla niej zawsze przyjaciółką i matką. Teraz ona pełni podobną rolę wobec Josette.

- Nie zauważyłem, by traktowała Josette po macierzyńsku. Wczoraj demonstrowała jej jazdę konną na stojąco.

- Nieraz widziałam ją stojącą na grzbiecie galopującego Kapu. - Lani roześmiała się. - Z początku byłam przerażona, ale nigdy nie spadła. I stopniowo się z tym pogodziłam.

- Jared się nie pogodził. Ściągnął ją z konia, potrząsnął nią i zapowiedział, by nie robiła tego nigdy więcej.

- A co na to Cassie?

- Powiedziała, że jeździ na swoim koniu tak, jak jej się podoba, i odeszła.

- Nie przestanie - stwierdziła Lani.

- Na pewno. - Bradford zgodził się, a potem powrócił do poprzedniego tematu. - Skoro nie chcesz, abym wpłynął na Cassie...

- Cassie nie ma obowiązku dotrzymywać mi towarzystwa.

- Pozwól mi skończyć. Powiedziałaś, że czujesz się samotna, bo nie masz tu nic do roboty. Wygląda na to, że potrzebne ci jest jakieś zajęcie.

- A co mogłabym robić?

- Czy podjęłabyś się zarządzania zamkiem?

- Jared ma już gospodynię.

- Pani Blakely radzi sobie bardzo dobrze, ale każde gospodarstwo potrzebuje pani domu.

- Dlaczego myślisz, że umiałabym zająć się takim wielkim zamczyskiem? Nigdy nie miałam własnego domu. W naszej zagrodzie na wyspie rządziła Klara.

- Założę się, że tylko oficjalnie.

Lani nie zaprzeczyła.

- Ale zagroda to nie to samo co zamek.

- Moja droga, nie przekomarzaj się ze mną. Obydwoje dobrze wiemy, że gdybyś tylko zechciała, mogłabyś rządzić całą Anglią.

- Po tym, co mi opowiadałeś o waszym królu, wiem, że poradziłabym sobie nie gorzej od niego.

- A więc się zgadzasz.

- Rządzić Anglią?

- To może później.

Lani zastanawiała się. Propozycja była bardzo kusząca. Lani nie przywykła do bezczynności i nieróbstwo źle jej działało na nerwy.

- A co na to Jared?

- Jared nie dba o to, kto zarządza zamkiem, byleby tylko wszystko było w porządku. Więc jak?

Lani powoli skinęła głową.

- Porozmawiasz ze służbą?

- Już to zrobiłem. Będą posłuszni i chętni do współpracy.

- Wiedziałeś, że się zgodzę?

- Znam cię - odparł łagodnie. - Poznawanie ciebie sprawia mi wielką przyjemność.

Lani napotkała jego wzrok i szybko spojrzała w inną stronę.

- Miło z twojej strony, że pomyślałeś o moich potrzebach.

- Zawsze je będę brał pod uwagę i starał się zaspokajać - odrzekł Bradford. - Nie jestem taki jak Deville. Ty zawsze będziesz dla mnie najważniejsza. - Zanim Lani zdążyła odpowiedzieć, wstał z fotela. - A teraz chodź ze mną, porozmawiamy z panią Blakely. - Podszedł do drzwi. - Ale wiesz, będzie mi ciebie brakowało tutaj, w bibliotece. Bradford przystanął i przepuścił ją pierwszą. - Obiecuj mi, że nie będziesz spędzała zbyt wiele czasu w pobliżu kuchni. Chętnie zapoznałem się z książkami, które czytasz, ale nie mam najmniejszego pociągu do garów.

Teraz, kiedy nie groziło jej spędzanie czasu z Bradfordem, nie musiała już być taka sroga. Uśmiechnęła się do niego i odparła:

- Nie dopuszczę cię do garów, nie chcę nadwierać naszych żołądków. Mam dla ciebie inne zajęcia: skubanie kurczaków.

Czy to młody Joe Barry pilnuje dziś stajni? - spytała Cassie wyglądając przez okno zza ciężkiej czerwonej zasłony z aksamitu. - W tak zimną noc Jared powinien wysiać tam kogoś starszego.

- Możesz mu to powiedzieć przy kolacji - odparła grzejąca się przy kominku Lani. - Ale nie sądzę, by się przejął twoimi uwagami na temat doboru służby. Lubisz tego chłopaka?

- Tak. To on przekazuje wiadomości dla Josette, kiedy ona jest na pensji. - Cassie odeszła od okna i usiadła na brokatowym fotelu przy kominku. - I nawet kiedy mnie szpieguje i łązi za mną, robi to sympatycznie. Nie tak jak ten wielki twardziel, Jack Ramgale, który przez cały czas robi do mnie głupie miny. - Pochyliła się do przodu i wpatrzyła w ogień. - Josette zabrała mnie dziś nad zatokę i pokazała swoją żaglówkę.

- I twardziel Jack poszedł za wami?

- Szedł tak blisko, że niemal następował mi na pięty. - Skrzywiła się Cassie. - Czy on sobie wyobraża, że jestem aż tak głupia, by odpłynąć żaglówką, kiedy on na mnie patrzy?

- Służba jest bardzo lojalna wobec Jareda.

- Zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie przyszło mi do

głowy, żeby się nauczyć żeglować. Przecież mieszkaliśmy na wyspie, otoczeni wodą.

- Za bardzo pochłaniała cię konna jazda. A ja... ja nie umiem żeglować. Pływałam tylko na canoe. Kiedy nadejdzie czas, będziemy musiały wymyślić coś innego.

Kiedy nadejdzie czas... Cassie miała wrażenie, że pora na działanie nie nadejdzie już nigdy.

- Zeszłej nocy przyśnił mi się tatuś.

- Ach, więc dlatego jesteś taka niespokojna. Czy to był dobry sen?

- Nie. - Był to niezrozumiały, męczący koszmar. Ojciec obracał się w kółko, porwany przez jakiś ciemny wir, i pełnym rozpaczem gestem wyciągał do niej ręce. - Musimy go odnaleźć, Lani.

- Masz zamiar skakać do morza i płynąć do Francji? Może go tam jeszcze nie ma? Lepiej pozwolić, by Jared prowadził za nas poszukiwania. Teraz, kiedy służba musi mnie słuchać, będzie mi znacznie łatwiej przechwycić wiadomość, jeśli nadejdzie.

- To prawda. - Ich sytuacja w Morland była bardzo dziwna: ni to goście, ni to zakładniczki. A od wczoraj Lani zaczęła zarządzać całym ogromnym zamczyskiem. - Ale musimy mieć jakiś plan.

- Nie możemy wyruszyć z portu, do którego przypłynęłyśmy. Bradford wspominał coś o małym porcie położonym piętnaście kilometrów na południe od posiadłości. To nasza szansa.

- Wypytam Josette. - Teraz, mając coś do zrobienia, Cassie poczuła się znacznie lepiej. Lani miała rację. Muszą tu zostać, dopóki Jared nie otrzyma wiadomości. - Już czas przebierać się do kolacji - powiedziała wstając z fotela.

- Idź już. Ja jeszcze chwilę posiedzę. Nie muszę zmywać z siebie stajennych woni.

Cassie podeszła do drzwi.

- Lani... czy tobie śni się tatuś?

- Rzadko. Rzadko miewam sny, a kiedy przychodzą, są zawsze pogodne. Charles postępuje zgodnie ze swoim sumieniem. Bóg go nie opuści, Cassie.

Jednak Cassie niepokoiła się. Sen naprawdę ją wystraszył. To nieszczęsne stworzenie, porwane przez ciemny wir, najwyraźniej zostało opuszczone przez Boga.

- To tylko sen, Cassie - powiedziała łagodnie Lani. - Kiedy znów ci się coś przyśni, przyjdź do mnie, to o tym porozmawiamy.

Przybiec do Lani jak wtedy, gdy była mała, a wszystko będzie dobrze... Teraz jej problemy stały się poważniejsze, sny bardziej przerażające i musi sobie z nimi radzić sama. Lani ma na głowie swoje własne kłopoty.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Jestem pewna, że więcej nie przyśni mi się żaden zły sen o tatusiu.

12

*1 października, 1806
Paryż, Francja*

Pan David czeka w salonie, monsieur Bonille - powiedział Gaston otwierając frontowe drzwi. Wziął od Raoula kapelusz i rękawiczki. - Jest tutaj już od dawna. Powiedziałem mu, że będzie musiał poczekać, ale on uparł się, że musi z panem koniecznie porozmawiać.

- Naprawdę? Czuję się bardzo zaszczycony. Monsieur David nie zwraca sobie głowy zwykłymi śmiertelnikami, odkąd stał się protegowanym Napoleona. - Ruszył w stronę drzwi do talonu. - Mam nadzieję, że dobrze go przyjąłeś.

- Ależ oczywiście, proszę pana - żarliwie zapewnił go służący. - To wielki człowiek i sławny artysta.

Raoul skrzywił się z niesmakiem. Ci durnie rodem ze wsi zawsze uważali, że ludzie z otoczenia byli równie wielcy jak sam Napoleon i Robespierre. Mógłby im powiedzieć, że najmądrzejsi są zawsze ci, którzy trzymają się za kulisami.

Otworzył delikatnie rzeźbione drzwi do głównego salonu.

- Ach, Jacques-Louis, jakże się cieszę. Gdybyś mnie zawiadomił, że masz zamiar przyjść, odłożyłbym swoją wizytę.

- Sam nie wiedziałem. - David podniósł się z fotela. - Miałem dziś rano gościa.

Raoul uniósł brwi.

- Napoleona?

- Wyobrażasz sobie, że przybiegłbym do ciebie, gdyby to był Bonaparte? - zapytał niecierpliwie David. - Nie, ktoś zupełnie inny. - Zamilkł dla lepszego efektu. - Charles Deville.

- O, cóż za... niespodzianka. - Raoul starał się zachować kamienny wyraz twarzy. - Jakże się czuje nasz drogi przyjaciel?

- Jest w całkowitej rozsypce. Chce wiedzieć, gdzie jest Raoul Cambre.

- Powiedziałaś mu?

- Nie, oczywiście że nie. Przecież zmieniając nazwisko wy mogłeś ode mnie przysięgę.

I przypieczętowałem ją niezliczonymi przysługami i protekcjami.

- Brandy?

- Muszę już wracać. Mam pilną pracę. Dość czasu zmarnowałem wyczekując na ciebie.

- Nie odchodź. - Raoul nalał sobie brandy. Musiał się napić. - Co rozumiesz przez określenie „w rozsypce”?

- Przeważony, napięty, zdeorientowany. Upiera się, że musi z tobą porozmawiać. Że musi się upewnić. Mówi, że przybył do Paryża zeszłej nocy.

- I natychmiast zjawił się u ciebie. Interesujące.

- Wiedział, że byliśmy przyjaciółmi.

David nigdy nie był moim przyjacielem, pomyślał Raoul pogardliwie. Po prostu posługiwałem się nim, jak innymi głupcami.

- Wielkimi przyjaciółmi - powiedział z uśmiechem. - A jak wygląda? Czy sprawia wrażenie człowieka dobrze prosperującego?

- Nie. Był blady i w zniszczonym ubraniu. Czuję się winny okłamując artystę. - A po chwili dodał: - Choć nie jest to artysta mego kalibru.

- Oczywiście, nikt ci nie dorównuje, Jacques-Louis. Cały Paryż zdaje sobie sprawę z twojej świetności.

- Nie lubię kłamać - powiedział poirytowany. - Moje życie dobrze się teraz układa. To bardzo kłopotliwe być nagabywanym przez ludzi z przeszłości. Najpierw ten Jean Guillaume wypytyjący o księcia Morland, a teraz znowu Deville.

Raoul powstrzymał się przed przypomnieniem Davidowi, że wygodne życie zawdzięcza głównie jemu. Zadbał o to, by w chaosie, który zapanował po śmierci Robespierre'a, zapewnić wpływy sobie i swoim protegowanym. Dobrze będzie przypomnieć Davidowi o ich wspólnej przeszłości.

- To oczywiste, że nawiedzają nas duchy z tamtych dni. To były trudne czasy - powiedział w zamyśleniu. - Pamiętam twój wielki zapał rewolucyjny i tę marynarkę z guzikami ozdobionymi wizerunkiem gilotyny.

- To były inne czasy - odparł rumieniąc się David. - A Deville jest twoim duchem, nie moim. Ostrzegłem cię i moja rola jest skończona - dodał wstając.

- Obawiam się, że znów cię odwiedzi. Ludzie w trudnym położeniu są bardzo kłopotliwi. Twoja wspiana sytuacja może się odmienić, jeśli ktoś zacznie grzebać w przeszłości. Jeżeli Napoleon dowie się o twoim entuzjazmie dla rewolucja, może uznać, że twoja lojalność jest bardzo zmienna.

- Więc powstrzymaj Deville'a - odparł David znużonym głosem. - Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego, Raoul.

- A czy ja mówię, że będziesz miał coś wspólnego? - spytał uspokajającym tonem. - Dobrze, porozmawiam z nim. Po prostu potrzebna mi jest twoja pomoc w przygotowaniu spotkania. Muszę być bardzo dyskretny ze względu na nas obojgu. Czy wiesz, gdzie można go zastać?

- Powiedział, że w razie gdybym cię odnalazł, czeka pod numerem szesnastym na ulicy Grenadier.

- W takim razie daj mu znać, że jego przyjaciel Raoul, jest bardzo rad i chętnie spotka się z nim w Cafe Dumonde, jutro o jedenastej przed południem.

- Dlaczego nie przyjmiesz go tutaj?

- Mój drogi Jacquesie-Louis. - Raoul rozejrzał się po luksusowo urządzonej salonie. - Powiedziałaś, że wygląda na wynędzniałego i ma znoszone ubranie. Nie jest ani uprzejmie, ani rozsądnie obnosić się z bogactwem wobec tych, którzy mogą zwrócić się do nas po pomoc. Mam nadzieję, że nie dałeś mu odczuć, jak zamożny stałeś się za rządów naszego wspianego cesarza.

- Nie dałem mu odczuć. Wiesz, że pieniądze nic dla mnie nie znaczą. Powiedziałem mu tylko, że po jego wyjeździe stałem się bardzo sławny.

- W takim razie już mogę powiedzieć, że mamy go z głowy - ucieszył się Raoul. - Przekaż mu moją wiadomość i zapomnij o nim. Możesz na mnie liczyć jak zawsze dotychczas.

Dawid odetchnął z ulgą.

- Dziękuję ci, Raoul. Artysta nie powinien zaprzętać sobie głowy tymi przyziemnymi sprawami. - Szybko podszedł do drzwi. - Zostawiam je tobie. Do widzenia.

- Do zobaczenia, przyjacielu. - Gdy tylko drzwi zamknęły się za Davidem, uśmiech znikł z jego twarzy. Zmiażdżył kieli-szek.

Sacre bleu, czy ta tragedia w Danjuet wciąż będzie go niepokoić? Pozwalając uciec chłopakowi popełnił błąd, za który płaci przez wszystkie te lata. Inne więzy łączące go z przeszłością zostały przecięte, lecz nasłanianie zabójcy na młodego księcia było zbyt niebezpieczne. Ten utracjusz Bradford Dane-mount okazał się zaskakująco skutecznym opiekunem.

Do diabła, gdyby udało mu się zabić wtedy chłopaka, nie musiałby wysłać Deville'a na Tahiti. Nie musiałby tak uważać i nie potrzebowałby nowego wcielenia. Zawsze wolał pozostać w cieniu, ale zupełnie nowe papiery przysporzyły mu sporo kłopotów. Danemount był mu solą w oku, którą należało wreszcie usunąć.

A teraz ten głupiec Deville powracał do jego życia i zagrażał nową ruiną.

- Przepraszam pana, *monsieur*, Marie chciałaby wiedzieć, czy zje pan kolację w domu? - zapytał Gaston, dyskretnie nie przekraczając progę.

Władza, bogactwo, dom równy pałacom Napoleona, lecz urządzony ze znacznie większym smakiem, służba gotowa na każde skinienie, kobiety pragnące mu się przypodobać. Mój Boże, nie pozwoli, by Deville pozbawił go tego wszystkiego.

- Nie, Gaston, cały wieczór spędzę poza domem. - Wstał i podeszedł do drzwi.

Musi przygotować niespodziankę dla swego starego przyjaciela Deville'a.

Ostatnio nieźle się sprawujesz, Jared - stwierdził Bradford. - Zauważyłem nawet pewne oznaki prowadzenia się godne księcia. To nadzwyczajne.

- Wiedziałem, że to zauważysz. - Jared wychylił się ponad ogrodzeniem nie spuszczać oka z Josette i Cassie, które właśnie nadjeżdżały. - Ale nigdy przedtem nie doceniałeś moich zalet.

- Od tygodnia nie wykazujesz najmniejszego zainteresowania naszą Cassie.

- Dlaczego tak myślisz?

- Mam otwarte oczy. Przyznaję, że mój osąd może być nieco zafałszowany, bo zajmuję się głównie Lani. To niezwykle uparta kobieta.

- Jest naprawdę nadzwyczajna. Zarządza zamkiem zupełnie bezkonfliktowo.

Wszyscy za nią przepadają. Ale nie rozmawiamy o Lani. Chwaliłem twój powrót do wstrzemięźliwości.

Chciałbym ją zachować. - Jared nie spuszczał wzroku z Cassie. Wyglądała wspaniale. Rozmawiała z Josette. Jej twarz jaśniała, oczy błyszczały. Z dala od ponurego wpływu Klary rozkwitła niczym jakiś tropikalny kwiat z jej wyspy. - Żebyś się nie przeliczył.

Nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć, ale tak byłoby lepiej dla nas wszystkich. Josette i Cassie zaprzyjaźniły się, Lani jest zadowolona, ja zmiierzam powoli ku celowi. Stając się... agresywnym, mógłbyś wszystko popsuć.

Na miłość boską, przecież nie mam zamiaru jej zgwałcić.

- Ale zaczynasz tracić cierpliwość.

Do diabła! Rzeczywiście tracił cierpliwość. Ten stan rzeczy trwał zbyt długo. Cekał, żeby Cassie była gotowa. Spodziewał się, że zbliży ich wspólnie spędzany czas. Ale za każdym razem, gdy miał zamiar ją uwodzić, coś stawało na przeszkodzie. Albo go rozśmieszała, albo mówiła przykre rzeczy. Miał tego dość. Chciał się znaleźć z powrotem na statku, gdzie bez kłopotliwych rozmów mógł sycić swoje żądze.

Nie, to nieprawda. Zauważył, że długie przejażdżki z Cassie sprawiają mu coraz większą przyjemność. A gdy się rozstawiali, miał uczucie, że coś traci. Jezu, sam już nie wie, czego chce.

- Masz jakieś wieści z Marsylii? - spytał Bradford.

- Od dwóch dni nie ma nic nowego - odparł niecierpliwie. Powiedziałbym ci, gdybym coś wiedział. Deville jeszcze się tam nie pojawił.

- Wróciliśmy przeszło miesiąc temu. Najwyższy czas, żeby już dotarł.

- Wiem. - Wiedział również, do czego prowadzi ta rozmowa. Bradford chciał mu unaocznic, jak pozbawiona sensu jest jego namiętność dla Cassie, skoro wszystko spełźnie na niczym, gdy pojawi się jej ojciec. - Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać.

- Wielkie nieba, stałeś się niesłuchanie cierpliwy. Czyżbyś złagodniał w stosunku do Deville'a?

- Nie, po mnie się nie spodziewaj. Idę teraz do stajni. Pójdiesz ze mną?

- Wrócę do zamku zobaczyć, co robi Lani. Powiedziała, że może... A to co? - spytał patrząc na zajeżdżający na podwórzec pojazd. - Mam gościa.

Jared rozpoznał powóz i zdusił przekleństwo.

- Carolyn. Miałem nadzieję, że się odczepi.
- Najwyraźniej byłeś w błędzie. Wyjdiesz na jej spotkanie?
- Tak - odparł Jared krótko. - Pójdź do stajni i powiedz Cassie i Josette, żeby nie wracały do zamku, dopóki Carolyn stąd nie odjedzie.
- Nie sądzę, by Josette tęskniła za jej towarzystwem. Ale zadbam o to, by obie znalazły sobie zajęcie przy koniach.

Jared wszedł do hallu i zastał tam Carolyn i Lani. Przyglądały się sobie nawzajem.

Nie, nie przyglądały, spoglądały wyzywająco. Carolyn pełna była niechęci. Postawa Lani wyrażała godność i znudzenie.

- Carolyn, jaka miła niespodzianka. - Wszedł pomiędzy obie kobiety i ujął dłoń gościa. - Nie spodziewałem się ciebie.
- A ja nie spodziewałam się natknąć na panią Deville. Właśnie zawarłyśmy znajomość.

- W takim razie nie muszę was przedstawiać.
- Nie tak wyobrażałam sobie twoją kuzynkę. - Spojrzała znacząco na jaskrawoniebieską jedwabną suknię Lani. - Spodziewałam się, że jako wdowa ubiera się na czarno.
- W moim kraju nie nosimy żałoby - rzekła Lani. - Nie obnosimy się ze swymi uczuciami po stracie bliskiej osoby.
- Obnosimy? - parsknęła Carolyn. - To nie jest obnoszenie się...

- Wyglądasz na zmęczoną, Lani - przerwał tę przemowę Jared. Do diabła, chciałyby, żeby tak było naprawdę. Niestety, Lani jak zwykle tryskała zdrowiem i urodą, co tylko podzegało zawiść próżnej Carolyn. - Nie powinnaś była wstawać z łóżka. Mam nadzieję, że lady Carradine nie będzie ci miała za złe, jeśli się oddalisz.

- Pani Deville wygląda na osobę w doskonałym stanie zdrowia - zaprotestowała Carolyn. - Ale nie można mieć pewności, bo jej skóra nie jest biała jak nasza, prawda? - Nie czekając na odpowiedź odwróciła się i poszła do biblioteki. - Oczywiście, może nas pani zostawić samych, pani Deville. Nie pogniwamy się.

- Lepiej będzie, jeśli odejdziesz - szepnęła Jared na widok rumieńców, które pojawiły się na twarzy Lani.

- Nie mam zamiaru uciekać. Nie pierwszy raz poniżono mnie ze względu na kolor mojej skóry. W szkole pani Denworth było wiele białych dzieci, które nie traktowały mnie zgodnie z nakazami ich religii. - Skrzywiła się. - Klara także stale wypominała mi, że moja rasa jest niewiele warta.

- Do diabła, na szczęście nie ma tu Klary, a ja nie pozwolę, by ci ubliżano w mojej obecności.

- Niby dlaczego? Jestem kochanką twego wroga.

Takie gorzkie słowa nie były w stylu Lani. Przytyk Carolyn musiał ją dotknąć bardziej, niż to okazywała.

- Idź do swego pokoju - powiedział. - A ja zajmę się Carolyn.

- Robię to po raz ostatni. Nie mam zamiaru ukrywać się, kiedy słuszność jest po mojej stronie.

- To się na nic nie zda i dobrze o tym wiesz - powiedziała Carolyn, gdy Jared zamknął za sobą drzwi do biblioteki.

- Przepraszam, ale nie rozumiem?

- Trzymanie tutaj tej... kobiety. Nawet jeżeli jest twoją kuzynką i wdową, nie nadaje się na przyzwoitkę dla Josette, która wobec tego powinna wrócić do szkoły.

- Nie zgadzam się z tobą. Lani jest doskonałą przyzwoitką. Lata pierwszej młodości ma już za sobą, jest wykształcona, inteli...

- Nie jest taka jak my - przerwała mu Carolyn. - Miałam wątpliwości od razu, kiedy usłyszałam to dziwaczne imię. Powinieneś mi być powiedzieć, że jest kolorowa. Oto dlaczego tłumienie nakazało mi tu powrócić. Na jej widok zrozumiałam, że instynkt mnie nie zawiódł. Ona powinna stąd wyjechać.

- Rozumiem twoją troskliwość, ale nie mam zamiaru odmawiać Lani gościnności.

- Wyślij ją do mnie. Znajdę dla niej przyzwoite lokum. - Carolyn uśmiechnęła się słodko. - Uwierz mi, tak będzie najlepiej. Jeżeli zostanie u ciebie, ludzie zaczną gadać. Nasze sfery nigdy ci nie wybaczą, że zaprosiłeś do swego domu kolorową kobietę.

Jared opanował gwałtowną falę gniewu i zmusił się do uśmiechu.

- Masz rację, moja reputacja nigdy nie należała do najlepszych. Może nawet wybuchnąć skandal... jeśli ktoś o twojej pozycji nie zainterweniuje.

Carolyn zeszywniała.

- Co masz na myśli?
- Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, wiem, że mnie nie zawiedziesz.
- Co miałabym zrobić?
- Jestem pewien, że jedno czy dwa twoje słowa załatwiłyby sprawę.
- Chcesz, żebym wstawiła się za tą kobietą? - spytała z niedowierzaniem.
- Wyświadczyłabyś mi wielką przysługę. - Jared mówił przymilnie starając się ją oczarować. - Byłbym ci nieskończenie wdzięczny.
- Nie mogę tego zro... - Napotkała jego spojrzenie. - Oczywiście, nigdy ci nie odmawiam, ale to nie będzie dla mnie łatwe. - Poklepała go po policzku. - Przyrowadź ją na mój bal jutro wieczorem. Przedstawię ją wszystkim obecnym.
- Cudownie. Teraz, skoro rozwiązaliśmy ten problem, czy zostaniesz na lunch?
- Muszę wracać do domu. Trwają tam wielkie przygotowania do jutrzejszego balu. Mam nadzieję, że w przyszłości będziemy mieć niejedną okazję, by wspólnie spożyć posiłek.

Przysługa za przysługę, pomyślał cynicznie Jared. Carolyn nie przepuści okazji.

- Przejedźmy się razem konno.
- Wspaniały pomysł. - Carolyn posłała mu jeszcze jeden promienny uśmiech i podeszła do drzwi. - Do jutra wieczorem. Nie mogę się już doczekać.

A ja wolałbym, by ta chwila nigdy nie nadeszła, pomyślał ponuro Jared.

Dopiero przy kolacji Jared zrelacjonował, jak przebiegło spotkanie z Carolyn.

- I mam nadzieję, że będziecie się zachowywać przyzwoicie - zwrócił się do Josette, Bradforda i Cassie. - Miałem już wystarczająco wiele kłopotów i nie chcę, żeby wszystko poszło na marne.
- Lani nie może pójść - oświadczyła Josette. - Lady Carolyn mogłaby jej zrobić jakąś przykrość. - A potem dodała radośnie: - Właściwie nikt z nas nie musi iść na ten bal. Będzie wspaniale, jeśli wszyscy zostaniemy w domu.

Pójdziemy. Nic złego się nie wydarzy. Carolyn obiecała przedstawić Lani wszystkim gościom.

- Zastanawiam się, jak ją do tego zmusiłeś - odezwał się Bradford.

Cassie nie musiała się zastanawiać. Już raz oglądała Jareda w towarzystwie maskarona. Wiedziała, że uciekł się do swego neodpartego wdzięku i czułych słówek.

- Jeżeli Carolyn zgodziła się wprowadzić Lani do towarzystwa, nie będzie mogła twierdzić, że nie nadaje się na przyzwoitkę. - Jared spojrzał na Josette. - I nie będzie miała podstaw, by żądać twego powrotu do szkoły.
- Och - jęknęła Josette. - Znajdź jakiś inny sposób. Ja jej me ufam.
- Nie ma innego sposobu. To ty wpadłaś na pomysł, by przyjąć Cassie i Lani do rodziny i wykorzystać je we własnym celu. - Jared skłonił się kpiąco w stronę Cassie. - Ja miałem wobec nich inne plany.

Cassie zacisnęła dłoń na kieliszku. Nie podobało jej się to wszystko. Zwłaszcza perspektywa wyprawy do siedziby maskarona.

- Spytajmy Lani - podsunął Bradford. Zwrócił się ku niej i rzekł łagodnie: - Nie musisz tam iść. Nie musisz robić nic, na co nie masz ochoty.

Lani przez chwilę milczała.

- Pójdę - oświadczyła wreszcie.

Cassie pochyliła się ku niej i chwyciła Lani za rękę.

- Wydaje mi się, że Josette ma rację. Nie ufam lady Carolyn. - A potem zwróciła się do Jareda. - Nie życzę sobie, by Lani spotkała tam jakąś przykrość. Rozumiesz?
- Powiedziałam, że pójdę. - Lani odłożyła serwetkę i wstała od stołu. - Nie roztrząsajcie więcej tego tematu - rzekła i opuściła jadalnię.
- Mam nadzieję, Jared, że nie mylisz się co do lady Carolyn powiedział Bradford wstając od stołu. - Nie chciałbym być zmuszony do skrucenia ci karku - dodał i pośpieszył za Lani. Cassie i Josette spojrzały na Jareda.
- Carolyn nie ośmieli się złamać obietnicy. Dopilnuję tego rzekł przez zaciśnięte zęby.

Josette jęknęła ironicznie. Cassie nie spuszczała z niego oka.

Jared odrzucił serwetkę i wymaszerował z jadalni.

- Czy on rzeczywiście jest w stanie upilnować lady Carradine? - spytała Cassie.

- Maszkaron nie zrobi nic otwarcie. - Josette uśmiechnęła się gorzko. - Ona ma swoje sposoby. Nigdy nie wspominała uczennicom o moim pochodzeniu. Zadała im tylko lekturę o okropieństwach, które spotkały uczciwych Anglików ze strony tego rzeźnika Napoleona, a potem odwróciła się do nas plecami i udawała, że nie słyszy, jak mi dokuczają.

- Dlaczego nie powiedziałaś o tym Jaredowi?

- Nie jestem skarżypytą. - Josette skrzywiła się z niesmakiem. - A poza tym nie miałam żadnych dowodów. Ona jest tchórzem i ucieka się do bardzo subtelnych środków okrucieństwa. Kiedyś marzyłam o tym, żeby tak ją wyprowadzić z równowagi, aż mnie uderzy. Jared nie zniósłby tego. Dawałam jej niezliczone powody.

- Wyobrażam sobie. - Cassie uśmiechnęła się. A potem jej uśmiech zbladł. - Nic nie wiem o waszych obyczajach. Czy to takie ważne należeć do towarzystwa?

- Nie dla mnie. Ale to prawda, że te głupie lalki ze szkoły zamartwiłyby się na śmierć, gdyby je tak lekceważono jak mnie.

- Okrutny jest ten wasz świat. - Cassie zmarszczyła brwi. - Jeśli ta kobieta skrzywdzi Lani, nie puszcę jej tego płazem.

- Naprawdę? - spytała zaintrygowana Josette. - Co byś jej zrobiła?

- Coś bardzo nieprzyjemnego - odparła Cassie z ponurym wyrazem twarzy.

- Nie licz na mnie. Ja jestem gotowa wycierpieć wszystko. Znieść każde poniżenie, byleby tylko pozostać z dala od szkoły, móc jeździć konno, od czasu do czasu zagrać w szachy z Jaredem...

- Musimy przekonać Lani, żeby nie szła na ten bal - stwierdziła Cassie.

Cassie, nie chcę już na ten temat rozmawiać. Nie boję się jej. Nie mam zamiaru się ukrywać.

Cassie westchnęła zrezygnowana.

- Jesteśmy tutaj, żeby pomóc tatusiowi, a nie żeby chodzić na bale. Wszystko stało się takie skomplikowane.

- Zapominasz o ojcu pomagając Josette?

- Nigdy o nim nie zapominam.

- Ja także. - Lani uśmiechnęła się i przytuliła Cassie. -

A teraz pójdz się przebrać. Robi się późno. Bradford powie-----, że powinniśmy wyjechać o siódmej. Co na siebie włożysz?

- Suknię z białego jedwabiu. - Skrzywiła się. - Josette twierdzi, że według lady Carradine młode, niezamężne kobiety zawsze powinny się ubierać na biało.

- Wiem, że chcesz pomóc Josette, a poza tym w białym jest ci bardzo do twarzy. - Lani zajrzała do swojej szafy. - Ja chyba włożę żółtą suknię. Na złość lady Carradine. To coś równie odległego od tutejszej wdowiej żałoby jak nasza wyspa od Anglii.

- A może nie powinnaś... - Cassie zamilkła, bo Lani potrząsnęła głową. - Będiesz tam najpiękniejszą ze wszystkich kobiet.

Po chwili stała przed własną szafą i przeglądała uszyte na polecenie Jareda suknie.

Biała była bardzo ładna. Przyozdobiona koronkami i kryzą. Suknia, jaką lady Carradine poleciłaby młodej, skromnej panience. Cassie wyjęła ją z szafy.

„Coś równie odległego od tutejszej wdowiej żałoby jak na-d/a wyspa od Anglii”.

W uszach zabrzmiały jej słowa Lani. Lubiła Josette i chciała dla niej jak najlepiej, ale nie była z nią związana wspólnie przeżyтыми latami. Poczowała, że Lani jest jej o wiele bliższa.

Odwiesiała białą suknię z powrotem i sięgnęła w głąb szafy.

- Dobry Boże. - Na jej widok Bradford szeroko otworzył oczy ze zdumienia. - Wyglądasz zachwycająco, ale wątpię czy to się spodoba Jaredowi.

- W takim razie niepotrzebnie kazał mi ją uszyć. - Rozejrzała się wokół. - Gdzie on jest?

- Pojechał jako pierwszy do Carradine Hall sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Kazał mi zawieźć wszystkie panie. Lani i Josette już czekają w powozie. - Zmarszczył czoło i dodał: - Nie wydaje mi się, by przeznaczył tę suknię na tego rodzaju okazje.

Cassie dobrze wiedziała, na jakie okazje. Na odwiedzin w jego sypialni. Była to suknia uwodzicielki. Już sam jej kolor działał na zmysły, a głęboko wycięty dekoltd odsłaniał sporą część biustu.

- Nie mam zamiaru zmieniać jej na inną.
 - Pokazałaś się Lani?
 - Nie. - Właśnie dlatego zwlekała z przebieraniem się do ostatniej chwili. - Lani myśli, że włożę białą suknię. Zmieniłam zamiar bez jej wiedzy.

Bradford wziął od Cassie czarny aksamitny płaszcz, narzucił jej na ramiona i starannie zapiął pod szyją.

- Oszczędźmy Jaredowi przynajmniej pierwszego szoku, gdy wkroczysz do sali balowej.

- Nie będę nosić płaszcza przez cały wieczór.

- Ostatnio byłaś bardzo spokojna. Skąd ta nagła odmiana?
 - spytał Bradford prowadząc ją do wyjścia.

Lokaj otworzył przed nimi drzwi powozu. Bradford spojrzął na Lani promieniejącą w żółtej sukni i białym płaszczu.

- Ach, tak, szykujesz się na bitwę - szepnął do ucha Cassie.
 - Mam nadzieję, że się bez tego obejdzie. Ale Lani jest tego warta. - Pomógł jej wsiąść do powozu. - Zapowiada się ciekawy wieczór.

Lani z uśmiechem wzięła ją za rękę.

- Spóźniłaś się. Wszystko w porządku?

Cassie nerwowo ścisnęła dłoń Lani. Nie była pewna, czy postępuje słusznie. Rozgniewa Jareda i może sprawić kłopoty Josette. Cóż, nie będzie to jej pierwsza pomyłka, a teraz jest już za późno, by się wycofać. Uśmiechnęła się i rzekła nie odpowiadając na jej pytanie:

- Wyglądasz jak królowa. Jesteś królową, Lani.

Lani roześmiała się.

- Rozmawiałaś pewnie z Bradfordem. On uważa, że mogłabym rządzić tą okropną Anglią.

- Pod twoimi rządami stałaby się znacznie bardziej interesującym krajem - powiedziała. - Nie macie pojęcia, jak okropnie nudny będzie dzisiejszy bal - stwierdziła Josette. - Z pewnością inny niż przyjęcia Bradforda i Jareda.

- Których nie powinnaś oglądać - skwitował Bradford.

- Moja niania zasypiała - wyjaśniła Josette. - A ja wymyślałam się z łóżka i zakradałam na dół, żeby się przyglądać. Aż raz przyłapał mnie Jared. Był wściekły.

- Nie byłyby aż tak złe, gdyby nie to, że przyłapał cię w pewnym szczególnym momencie. Takie przyjęcia nie są odpowiednie dla niewiniątek.

I

Orgie - stwierdziła z lubością Josette. - Bachanalia. Wszyscy wspaniale się zabawiają.

Czy moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? - spytał płaczącym tonem Bradford. - Wspominanie mojej niechlubnej przeszłości wprawia mnie w zakłopotanie. Jeździłaś dziś I d u Morganie?

Josette pogodziła się ze zwrotem w konwersacji i do końca podróży paplała na swój ulubiony temat.

Carradine House tonął w światłach. Rosnące wzdłuż prowadzącej do dworu alei drzewa udekorowano lampionami, które oświetlały mnóstwo najrozmaitszych powozów.

Oto i Jared - stwierdził Bradford wysiadając z powozu. Jego wzrok powędrował ku otwartym drzwiom frontowym. - I nasza uroczą gospodyni.

Cassie zeszytniała na widok ich dwojga. Stali u szczytu schodów. Carolyn Carradine, ubrana w błoniebieską suknię z jedwabiu, uśmiechała się do Jareda. Jared, ubrany w ciemny stój wieczorowy, wyglądał jak zawsze. Szczupły, pełen wdzięku, nieco niebezpieczny i demonicznie przystojny niczym jakieś pogańskie bóstwo. Nic dziwnego, że maskaron wpatruje się w niego z takim zachwytem, jakby go chciał porzeć na kolację, pomyślała niezadowolona Cassie.

Cassie? - Bradford zwrócił się do niej.

Szybko odeszła na bok, aby lokaj mógł pomóc wysiadającej Lani i Josette. A potem przyglądała się jak Lani, z pełną wdzięku godnością, idzie przywitać gospodynię.

- Dobry wieczór, lady Carradine - rzekła Lani uśmiechając się do niej. - Bardzo mi miło, że zechciała mnie pani zaprosić do swego domu.

Lady Carradine odsłoniła w uśmiechu swoje idealne zęby.

Cieszę się. - Obrzuciła wzrokiem suknię Lani, która oddała lokajowi swój biały aksamitny płaszcz. - Ach, jaka piękna suknia. Wygląda pani jak promień słońca.

Jej słowa można było uznać za komplement, a ton brzmiał serdecznie. Może nie będzie tak źle, jak obawiała się Cassie.

Lady Carradine zwróciła się do Josette:

- Zaprowadź swoją przyzwoitkę do lady Huntley. Prosiłam ją, żeby mnie zastąpiła, w czasie gdy witam gości. Jej córka Joan właśnie mi powiedziała, że bardzo jej Ciebie brakuje na zajęciach w szkole.

- Brak jej poduszeczki na **243** - wymamrotała Josette wy-

swobodzając się z płaszcza. Lecz napotkawszy ostrzegawcze spojrzenie Jareda uśmiechnęła się skwapliwie i ujęła Lani pod ramię. - Chodźmy. Lady Huntley nie jest taką prostytutką jak jej córka.

Cassie patrzyła na oddalającą się Lani. Mężczyźni i damy odwracali się za nią. Nic dziwnego, była najpiękniejszą kobietą w zatłoczonej sali balowej.

- Nie wstydź się, moja droga. Zdejmij płaszcz i dokończ je.

Cassie odwróciła się akurat w momencie, gdy lady Carolyn z promiennym uśmiechem brała pod rękę Jareda.

- Wkrótce przyłączymy się do was.

- Dobrze - powiedziała Cassie i zsunęła płaszcz z ramion.

Usłyszała okrzyk lady Carolyn i westchnienie Jareda.

- Ta suknia jest absolutnie nieodpowiednia dla młodej dziewczyny - wyjąkała lady Carradine oblewając się rumieńcem. - To... jest... to...

- Wyglądam jak zachód słońca? - Cassie pogardliwie uniosła głowę. - Jeśli suknia Lani przypomina promień słońca, moja posuwa się trochę dalej.

- Posunęłaś się o wiele za daleko - powiedział Jared złośliwie. - Chcę z tobą zamienić parę słów, Cassie.

- Ale lady Carradine mówi, że mam biec szybko na spotkanie pani Huntley. - Wzruszyła ramionami. - Jeśli chcesz ze mną porozmawiać musisz pójść ze mną - rzekła Cassie i ruszyła przez salę balową.

Jared szedł obok niej ze wzrokiem utkwionym w oddali.

- Dlaczego, dlaczego to zrobiłaś?

- Dobrze, że nie ubrałam się w sarong.

- Miałas się zachowywać przyzwoicie.

- Będę się zachowywała przyzwoicie, dopóki ci ludzie nie skrzywdzą Lani.

- Czy Carolyn zrobiła coś, co by wskazywało, że tak się stanie?

- Na razie nie. Ale dopiero przyjechaliśmy. Nie mam do niej zaufania.

- A więc przybyłaś na najbardziej nobliwy w całej Anglii bal ubrana jak...

- Jak ładacznicą?

- Tego nie powiedziałem.

- Ale po to dałaś mi tę suknię. Chciałaś, żebym wyglądała jak jedna z twoich kobiet lekkich obyczajów. Bo za taką mnie masz.

- Teraz każdy obecny tutaj mężczyzna zastanawia się, czy lulu mu się zwabić cię do łóżka.

- Możliwe - odparła uśmiechając się wyniośle. - Od długiego czasu nie miałam mężczyzny, a ty byłeś wspaniałym nauczycielem. Chodź, Jared, przedstaw mnie swoim przyjaciołom. Wybiorę sobie mężczyznę, który mi będzie odpowiadał.

Jared zbladł jak ściana.

- Idź do diabła.

Nigdy dotąd nie sprawiał wrażenia równie niebezpiecznego - lecz Cassie nie przejmowała się tym. Czuła się jak wtedy, gdy przeskakiwała wodospady siedząc na grzbiecie Kapu. Zbyt podniecona, by zawrócić.

- Dlaczego tak się złościś? Przecież chętnie przespałbyś się z Carolyn. A może już to zrobiłaś? Ja także mam prawo dokonać wyboru...

- Nie, nie masz. Nie masz już wyboru. Właśnie je straciłaś.

- Ubierając się w suknię, którą dla mnie wybrałaś? Mówiąc ci, że kobieta nie jest niewolnicą? Wracaj do swojej lady Carradine, ona powie ci dokładnie to, co zechcesz usłyszeć. Nie musisz mi towarzyszyć. Sama przejdę wśród tych ludzi.

- Mam wielką ochotę zostawić cię samą. Każda z tych kobiet mogłaby cię użądlić jakąś kaśliwą uwagą.

- I co cię to obchodzi?

- Obchodzi mnie, i to bardzo. To przywilej, który zarezerwowałem wyłącznie dla siebie. - Jared zatrzymał się przed lady Huntley, Lani i Josette. Ujął dłoń lady Huntley i rzekł ze służalczym uśmiechem: - Wyglądasz dziś zachwycająco, Amando. To wymarzony dla ciebie kolor. Pozwól, że ci przedziwie moją kuzynkę Cassandrę Deville. Właśnie poznałaś jej uroczą macochę.

- Coś jest nie w porządku. - Cassie przyglądała się zaniepokojona, jak lady Huntley prowadzi Lani od jednej grupki do drugiej. - To mi się nie podoba.

- Ale co? - spytała Josette.

- Nie wiem. Lani uśmiechała się, lecz miała ściągniętą twarz, jak wtedy, kiedy cierpiała z powodu dokuczliwości Klary. - Spróbuj się zorientować.

- To musiałyby potrwać. Ci ludzie nie przepadają za mną. Nie możesz jej po prostu zapytać?

Jadąc na ten bal Lani poświęciła się dla Josette. Cassie dobrze wiedziała, że nie poskarżyłaby się ani słowem.

- Nie, nie mogę.

- W takim razie ja pójdę - odparła Josette wzruszając ramionami i ruszyła w tłum.

Pozbawiona towarzystwa Josette, Cassie natychmiast poczuła się odizolowana. Otaczali ją obcy. Miała ochotę uciec. Kobiety spoglądały na nią z pogardą i oburzeniem, mężczyźni w ogóle unikali jej wzroku. Poszukała Bradforda. Stał w rogu, ale był bardzo zajęty rozmową z młodym, złotowłosym mężczyzną.

A Jared znów był obok lady Carradine w palarni. Napotkała jego wzrok i wzdrgnęła się. Jakże on mógł spoglądać na nią tak pożądliwie i władczo stojąc obok innej kobiety? Poczuła gniew. Te wycackane damy mogą jej nie akceptować, ale mężczyźni? Przecież oni rzadko kiedy kierują się czymś innym niż potrzeby cielesne. Nie miała żadnego doświadczenia w grze uwodzenia, ale całymi latami przypatrywała się Lihui. Teraz specjalnie odwróciła wzrok od Jareda i spojrzała na złotowłosego mężczyznę, z którym rozmawiał Bradford. Poczekała, aż pochwycił jej spojrzenie, i uśmiechnęła się do niego.

Młody adonis zamilkł w pół słowa.

Dobrze, Cassie opuściła powieki i przesunęła językiem po dolnej wardze.

Młody człowiek zbliżał się do niej.

Szybko rzuciła okiem na Jareda. Tak, bez wątplenia zauważył, co się święci, i był wściekły. Cassie poczuła przypływ dzikiej satysfakcji. Nic się nie stanie, jeśli zabawi się jeszcze trochę.

Rozejrzała się wokół sali w poszukiwaniu następnej ofiary.

Przestań się w nią wpatrywać, Jared - powiedział cicho Bradford wręczając bratankowi kieliszek ponczu. - Robisz więcej zamieszania niż ona. W końcu to tylko suknia.

- Ty zawsze wiesz najlepiej. - Cassie była czerwonym sztandarem, na który miał ochotę każdy obecny mężczyzna. I specjalnie zachowywała się wyzywająco. Ani ona, ani Lani nie tańczyły. Stały w dwóch przeciwnych końcach sali otoczone wianuszkiem mężczyzn.

„Wybiorę sobie mężczyznę, który będzie mi odpowiadał”.

- Uważaj, zmiażdżysz ten kieliszek. I dorobisz się paskudnego skaleczenia - zauważył Bradford.

- Więc weź go ode mnie - odparł zniecierpliwiony Jared. - I tak nie piję ponczu.

- Tak, ale lepiej, żebyś ścisnął w dłoni kieliszek niż szablę.

- Nie mam przy sobie szabli.

- Ale wkrótce możesz mieć. Powiedz, kogo masz zamiar wyzwać? Młodego Freda Monetti? Wygląda na bardzo zainteresowanego. Czy hrabiego Tempkara? Nie, on nie stanowiłby odpowiedniego przeciwnika. Ma już chyba z siedemdziesiątkę.

- Jesteś w doskonałym humorze - odparł zgryźliwie Jared.

- Prawdę powiedziawszy nie jestem zachwycony obrotem upraw. I to nie z powodu tych wszystkich zalotników. Nie podoba mi się wyraz twarzy Lani.

- Co?

- Kiedy jest zdenerwowana, zagryza lekko wargi i odwraca głowę. Coś jest nie w porządku.

- Nie widzę nic...

- Bo nie dostrzegasz niczego prócz szkarłatnej sukni. Nie zaskodziłoby, gdybyś myślał głową, a nie niższymi partiami ciała. Zapytałeś Cassie, czemu ubrała się w tę suknię?

- Nie musiałem pytać. Pogarda mówi sama za siebie.

- A ona prawdopodobnie i tak nie powiedziała ci prawdy - Bradford wskazał Lani ruchem głowy. - Cassie nie chciała dopuścić, by Lani jako jedyna w towarzystwie została zlekceważona.

- Bardzo szlachetnie.

- Ale ty w to nie wierzysz?

- Wierzę, że kocha Lani.

- Mam już dość wyklócania się z tobą - powiedział wreszcie Bradford. Odstawił kieliszek. - Idę do Lani. Wygląda na bardzo zdenerwowaną.

- I wyobrażasz sobie, że ci powie dlaczego?

- Prawdopodobnie nie. Ale będzie wiedziała, że ma we mnie oparcie. Przestań tu sterczeć przez resztę wieczoru. Ludzie gotowi pomyśleć, że cię źle wychowałem. Postaraj się naprawić szkody, jakie wyrządziłeś zaniedbując naszą gospodynię. Jeżeli się omyliłem i z Lani jest wszystko w porządku, zostaniemy do końca balu.

Jared spojrzał na Carolyn. Otoczona przez grupkę swoich

wielbicieli uśmiechała się promiennie i mówiła coś bardzo szybko. Zbyt szybko. Była wściekła. Powinien teraz posłuchać rady Bradforda i podejść do niej.

„Przecież chętnie przespałbyś się z lady Carolyn”.

Na wspomnienie słów Cassie poczuł przypływ gwałtownego gniewu. To prawda, brał pod uwagę przespanie się z Carolyn po to, by ją dobrze usposobić do Lani. I dlaczego nie? Carolyn znała reguły gry, ale przeceniła swój wpływ na Jareda.

Dla Jareda pociąg fizyczny był czymś chwilowym. Pojawiał się i szybko wygasał. Tak przynajmniej było, dopóki nie pojawiła się Cassie. Ta mała dzikuska wkroczyła w jego życie i ośmieliła się zakomunikować mu, że ma ochotę na innego mężczyznę. Po nim.

Chryste!...

Najchętniej zabiłby ją. Nie, zabiłby wszystkich otaczających ją zalotników, którzy garnęli się do niej jak muchy do miodu. Jeżeli będzie dłużej stał i patrzył, podejździe do nich i... Odwrócił się na pięcie i pomaszerował w kierunku Carolyn.

Powinien ratować ten nieudany wieczór. Powinien być czujący, starać się ugłaskać Carolyn, a może wszystko będzie dobrze.

Jeżeli coś może jeszcze uratować ten przeklęty bal.

Muszę ci coś powiedzieć - wyszeptwała Josette dopchawszy się do otoczonej przez zwały tłum Cassie. - Wymknij się im i podejź do czary z ponczem.

- Staram się od godziny - odpowiedziała zrozpaczona Cassie. Rozpoczynając tę grę, by dokuczyć Jaredowi, nie miała pojęcia, że stanie się to aż tak uciążliwe. - Oni natychmiast przynoszą mi wszystko, na co mam ochotę. Czuję się... czuję się... zagłaskana.

- Pomogę ci. - Josette roześmiała się. - Mdlejesz? - spytała głośno. - Och, musimy wyjść na zewnątrz, zaczerpnąć świeżego powietrza. - Otoczyła Cassie współczującym ramieniem i wbiła łokieć w żołądek najbliższego młodzieńca, który koniecznie chciał się okazać pomocny. Powlokła Cassie do drzwi balkonowych, a potem dalej, do ogrodu. Zamknęła drzwi i westchnęła: - Zrobione. Mamy kilka minut spokoju. Chyba tu zamarzną.

Cassie wciągnęła haust zimnego powietrza.

- Nie dbam o mróz, bylebym tylko nie musiała tam wracać. Macie tu dziwaczne obyczaje. Mężczyźni nic tylko sterczą wokół, gapią się i prawią komplementy. W ogóle nie słuchają, co się do nich mówi. Za każdym razem, kiedy próbowałam powiedzieć im coś interesującego, wybuchali śmiechem.

- O Kapu?

- Hrabia Tempkar powiedział, że powinnam mieć małą, łagodną klaczkę, która nie wyrządziłaby mi krzywdy. To idioci - Parsknęła z niesmakiem.

- Nie są tacy głupi, ale wydaje im się, że to my jesteśmy idiotkami - wyjaśniła Josette. - Zaraz tu będą. Muszę z tobą porozmawiać.

- O Lani?

- Tak. Lady Carradine obarczyła lady Huntley zadaniem, którego sama nie mogła wykonać.

- To znaczy?

- Obrażliwe uwagi, drobne ukłucia, po których się krwawi, ale nie umiera. Lady Carradine najwyraźniej wszystko ukarowała z góry. Stara się sprawiać wrazenie osoby, która serdecznie zaopiekowała się Lani, a jednocześnie wysłała swoją przyjaciółkę, żeby jej dokuczała. Gdyby Lani spróbowała się poskarżyć, Carolyn wykpi się mówiąc, że robiła, co w jej mocy, ule na niektórych ludzi nie mogła wpłynąć. W ten sam zawołany sposób znęca się nade mną. Córka lady Huntley jest jeszcze lepiej wykształcona w okrucieństwie niż jej matka.

- Jesteś pewna? - spytała przerażona Cassie.

- Podśluchałam, jak lady Huntley mówiła Lani, że nigdy się nie spodziewała dożyć chwili, w której dzicy będą zapraszani do Carradine House, ale lady Carradine jest taką bogobojną osobą. Zatrudniła nawet Murzynów i te brązowe stworzenia z Indii jako służących - powiedziała Josette. - I wszystko to mówiła tonem oczekującym słodyczy.

Cassie zacisnęła pięści. Czerwona fala gniewu zasnuła jej oczy. Jak śmiało znęcać się nad Lani? Nie widzą, ile jest warta? Miała ochotę spuścić im porządne lanie.

- A co na to Lani?

- Nic. Tylko ma minę przygotowującą o dreszcze. To co robimy?

- Ty nie rób nic. Ta sprawa ciebie nie dotyczy. - Cassie odwróciła się i gwałtownie ruszyła w stronę drzwi balkonowych. - Nie mieszaj się do tego.

- Owszem, ta sprawa bardzo mnie dotyczy. Lani przysłała tutaj ze względu na mnie.

- Więc staraj się, by jej poświęcenie nie poszło na marne odparła Cassie i wtargnęła na salę balową.

- Och, widzę, że już pani lepiej - powiedział Freddy podchodząc do Cassie. - Jakie piękne rumieńce zdołała pani policzki. Odrobina świeżego powietrza czyni...

Cassie wyminęła go, podeszła do Lani i Bradforda. Widząc ją Lani powiedziała:

- Nie, Cassie.

- Josette wszystko mi powiedziała.

- Jeszcze kilka godzin i będzie po wszystkim.

- Ja się na to nie zgadzam.

- Nie mieszaj się do tego. Sama powzięłam decyzję i sama stoczę batalię.

- Ty nie walczysz, Lani, ty bierzesz na przetrzymanie.

- To nie jest wina lady Huntley. Ona jest tylko marionetką. Nie mieszaj się w to, Cassie.

- Muszę. - Cassie odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku stojącej obok Jareda Carolyn Carradine. Lani miała rację, to ona była wszystkim winna.

- Wyjdźmy na chwilę do ogrodu - zwróciła się do Carolyn.

- Słucham? - Carolyn uniosła ze zdziwieniem brwi.

- Albo pani wyjdzie, albo gorzko tego pożałuje.

- Wielkie nieba, ty mi grozisz!

- Jeszcze nie. To tylko ostrzeżenie.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał zdumiony Jared.

- Idziemy - powtórzyła Cassie i lekceważąc Jareda skierowała się ku drzwiom.

Carolyn nadeszła po chwili. A za nią Jared.

- Na dworze jest mróz. To czyste szaleństwo.

- Wiem, co pani kazała robić lady Huntley - stwierdziła Cassie.

Na delikatnej twarzy lady Carolyn pojawił się wyraz niepokoju.

- Jared, nie mam pojęcia, o co tu chodzi. Powiedziałam Amandzie, żeby przedstawiła panią Deville naszym przyjacielom, w czasie gdy ja czyniłam honory domu.

- Kazała jej pani stwarzać pozory serdeczności, a jednocześnie dać Lani do zrozumienia, że nie jest tu mile widziana. I to w najokrutniejszy sposób.

- Nie możesz mnie oskarżać z powodu czyjejś złośliwości.

- Nie oskarżam pani o cudzą złośliwość. Oskarżam panią o jej własną hipokryzję, małostkowość i okrucieństwo. - Cassa podeszła bliżej. - Mówią, że Lani jest dzikuską, ale tak naprawdę to pani zachowuje się jak dziki człowiek.

- Carolyn? - zapytał powoli Jared.

- To kłamstwa. Ona nie ma żadnych dowodów.

- Nie, nie mam - odparła Cassie. - Jedyne słowa Josette wyraz - pani twarzy w chwili, gdy powiedziałam, co myślę.

- W takim razie nie mam zamiaru wystawać dłużej na mrozie wysłuchiwać tych bredni. Porozmawiamy o tym później, Jarred

- Nie. - Cassie zatrzymała ją w drodze do domu. - Najpierw naprawi pani uczynione krzywdy. Nie pozwolę bezkarnie ranić Lani.

- I co zrobisz? - spytała Carolyn wykrzywiając usta.

- Stanę się naprawdę dzika. Lani wierzy w poczucie godności i miłości i w nadstawianie drugiego policzka. Próbowałam nauczyć tego i mnie, ale bezskutecznie. - Cassie zajrzała jej prosto w oczy. - Lani nigdy nie zrozumiała wojowników Kalaniopuu, ale ja rozumiem ich doskonale.

- Kalaniopuu? - powtórzyła Carolyn. - A cóż to takiego?

- Wasz kapitan Cook próbował pojmać wodza Kalaniopuu jako zakładnika. Wie pani, co mu zrobili?

- Wszyscy wiemy, że ten dzielny człowiek został zabity przez tubylców.

- Odkroili ciało od kości i odesłali marynarzom zapakowane w worki. Ja zrobię to samo z panią.

- Rzeczywiście jesteś dzika. - Carolyn wzdrygnęła się.

- Tak, i nie zawaham się przed wtargnięciem do pani sypialni. Zarżnę panią z zimną krwią. Nic mnie nie zdoła powstrzymać, będę czekać na odpowiedni moment i uderzę w najmniej spodziewanej chwili.

- Jared! Powstrzymaj ją! - krzyknęła pobladła Carolyn.

- Nie jestem pewien, czy mi się uda - wybąkał Jared. - Ona naprawdę jest przerażająca.

Cassie nie zwracała na niego uwagi.

- Teraz wróci pani na bal i będzie błagała Lani o przebaczenie. Powie jej pani, że jest o wiele więcej warta od pani. Będzie pani uniżona i...

- Uniżona?

- Powinna pani paść jej do nóg i całować stopy. Jeżeli to nie wprawi Lani w zakłopotanie, zmuszę panią do tego.

- Bzdury - rzekła Carolyn unosząc głowę. - Nie boję się ciebie.

- Niech pani na mnie spojrzysz. Przybywam z innego świata, nie kieruję się waszymi normami. Każdego wieczoru, kładąc się spać, będzie się pani zastanawiać, czy dożyje następnego ranka.

- Ona jest obłąkana. - Carolyn zadrżała. - Jared, pomóż mi.

- Żeby mi odkroiła ciało od kości? Wolę pozostać w stanie nienaruszonym.

- Idziemy! - Cassie popchnęła ją w stronę w drzwi. - Będę się przyglądać.

Carolyn otworzyła drzwi i wyszczała w kierunku Jareda:

- Nigdy ci nie wybaczę, że się na to zgodziłeś. Dobrze, zrobię to, ale to się na nic nie zda. Jesteście tutaj nikim, a ja jestem szanowana i budzę respekt.

Przeszła przez salę balową i stanęła obok Lani. Zawahała się i nisko pokłoniła.

Lani przyglądała jej się ze zdumieniem.

Mówiła bardzo cicho, ale chyba właściwe słowa, bo osoby najbliższej stojące słuchały z niedowierzaniem.

- Zadowolona? - wyszeptał Jared do ucha Cassie.

- Nie, ale muszę na tym poprzestać. - Odwróciła się na pięcie. - Wychodzę, nie zostanę tu ani chwili dłużej.

- Masz już dosyć? - Jared dostrzegł Bradforda w przeciw-nym końcu sali i ruszył ku niemu. - Ja też nie jestem tu już mile widziany, więc odwiozę cię do domu. Zaczekaj na ze-wnątrz, powiem coś Bradfordowi.

Po chwili znalazł się obok Cassie i okrył ją płaszczem.

- Prawdopodobnie wcale go nie potrzebujesz. Wątpię, byś odczuwała chłód.

- Gdzie jest Bradford? - spytała Cassie, gdy Jared sprowa-dzał ją po schodach.

- Zaraz przyjdzie. Odwiozę cię do zamku moim powozem, a on zabierze Lani i Josette. - Skinął na stangreta. - Wydaje mi się, że powinnaś stąd natychmiast wyjechać.

Cassie nie protestowała, gdy pomagał jej wsiąść do powozu i zajął miejsce naprzeciw. Teraz, kiedy dopięta swego, nie marzyła o niczym innym. Otuliła się płaszczem. Jared miał rację: nie odczuwała wprawdzie zimna, lecz trzęsała się z wściekłości.

Światła Carradine Hall zbladły w oddali i Cassie ode-tchnęła z ulgą.

- Zrobiłabyś to? - spytał nagle Jared.

- Czy zarznąłabym ją? Nie bądź śmieszny. Nawet życie... takiego... maskarona jest cośkolwiek warte. Ale chciałam ją tak wystraszyć, żeby już nigdy nie czuła się bezpieczna.

- Chyba ci się udało.

- Doskonale. - Cassie odchyliła się na oparcie i przymknę--oczy. Drżała coraz mocniej. Może Jared tego nie zauważy, jeśli będzie udawała, że śpi.

Przez dłuższy czas nie odzywał się i Cassie pomyślała, że udało jej się wprowadzić go w błąd.

- Przestań dygotać, do diabła - odezwał się niespodziewanie.

- Zimno mi.

- Przestań!

Otworzyła oczy i spojrzała na niego gniewnym wzrokiem.

- Nie mogę. Jeśli ci się nie podoba, to zamknij oczy i nie patrz na mnie. Nie wyobrażaj sobie...

- Cicho bądź. - Już był przy niej i przyciskał ją do siebie. - Po prostu się zamknij.

Promieniował siłą i ciepłem. Powinna go odepchnąć, poka-zać mu, że go nie potrzebuje. Ale, dobry Boże, potrzebowała go. Może nie stanie się nic złego, jeżeli pozwoli mu, by ją trochę pocieszył. Odprężyła się.

- Zaraz mi będzie lepiej. To był... trudny wieczór.

- Dla nas wszystkich. - Objął ją mocniej. - A ty dołożyłaś wszelkich starań, by go uczynić nieznośnym.

Cassie poczuła, że on nie ma na myśli Lani ani Carolyn.

- To ty postępowaleś nieuczciwie.

Jared nic nie odpowiedział.

Wyglądało na to, że nie ma zamiaru kłócić się z nią. Co za ulga. Miała już dosyć konfliktów. Jak to dobrze, że nie jest na nią zły.

Naprawdę nie jest zły, pomyślała nagle. Czuła, że jest znu-żony, ale nie zły. Złościł się wcześniej, a jej atak na lady Carradine powinien był jeszcze dolać oliwy do ognia. Dlaczego tak się nie stało? Była tak zaabsorbowana lady Carradine, że nie zauważyła reakcji Jareda, ale teraz przypominała so-bie, że nie wystąpił przeciwko niej. Zrzućnowała jego plany, a on jej nie opuścił. Jego poparcie zdumiało Cassie.

- Dlaczego nie... lady Carradine była na ciebie bardzo roz-gniewana.

- Tak.
- Znajdzie sposób, żeby cię ukarać.
- Przecenisz ją.
- A Josette?
- Nie sądzę, by Josette miała powrócić do szkoły dla młodych pań w Carradine Hall.
- Lady Carradine będzie wściekła. Powiedziałaś, że może zniszczyć reputację Josette.
- Znajdę sposób, by temu zapobiec.
- Jaki?
- Zniszczę ją - rzucił Jared nonszalancko. - Ona stara się uchodzić za wzór wszelkich cnót. Wystarczy kilka rzuconych od niechcenia słów, które trafią do odpowiednich osób... Nie trudno będzie zburzyć ten wizerunek.
- Beztraska, z jaką to powiedział, wstrząsnęła Cassie.
- Zrobiłbyś to?
- Ja przynajmniej nie grozę, że ją zarżnę i wrzucę ciało do worka. Ale owszem, zrobię to, jeśli ona spróbuje skrzywdzić Josette.
- Ale dlaczego?
- Okłamała mnie i zagrała nieuczciwie.
- Niepotrzebnie go zapytała. Jared miał silne poczucie sprawiedliwości, a lady Carradine oszukała go.
- Uwierzyłeś mi?
- Widziałem wyraz jej twarzy. Ale i tak bym ci uwierzył. Już się przekonałem, że jesteś uczciwa aż do przesady.
- Przepraszam, że sprawiłam kłopoty tobie i Josette, ale musiałam tak postąpić.
- Wiem. Odezwała się w tobie Kanoa.
- Dziękuję za wyrozumiałość - odparła pośpiesznie. - Nie mogłam...
- Wyrozumiałość? - Jared odsunął ją od siebie, zajął jej twarz i zapytał szorstko: - Za co ty mi, do diabła, dziękujesz? Zaufałem Carolyn i na skutek mojej pomyłki Lani została zraniona, a ty wpadłaś w rozpacz. Nie powinnaś mi dziękować. To ja okazałem się głupcem.
- Nie jesteś głupcem. Ona postępowała bardzo podstępnie i sprytnie.
- Popełniłem błąd, który spowodował cierpienie innych osób. A to oznacza, że muszę to naprawić.
- Lady Carradine już to naprawiła.

- Ale nie za mnie. Gdyby to się nie zdarzyło, zaciągnąłbym go dziś do łóżka.

- Nie!
- Tak. - Spojrzał na nią płonąącym wzrokiem. - Chciałaś tego. Możliwe, że włożyłaś tę suknię ze względu na Lani. Ale wszystko, co zrobiłaś potem, było dla mnie. Prowokowałaś mnie, żebym w końcu zrobił to, na co miałaś ochotę.

Czyżby miał rację? Nigdy dotąd się tak nie zachowywała. Zobaczyła go z Carolyn i poczuła gniew. Gniew czy zazdrość?

- Nie obawiaj się. Nie zrobię tego. Przynajmniej dopóki nie przestanę się czuć winny z powodu dzisiejszego wieczoru. Mam nadzieję, że to nastąpi wkrótce.

Pragnęła Jareda i spróbowała go sprowokować. Działała instynktownie, nie rozumiejąc, co robi, i to ją przerażało. Jak może mieć pewność, że coś takiego się nie powtórzy?

- Puść mnie - wyszeptła.

Zacisnęła dłonie na jej ramionach, lecz po chwili odsunął aleod niej.

- Nie na długo. - Wrócił na miejsce naprzeciwko. - Przysięgam ci, Cassie. Nie na długo.

Zamknęła oczy i starała się o nim nie myśleć. Czuła na twarzy jego spojrzenie, czuła jego obecność, jak gdyby nadal jej dotykał.

Dobry Boże, nie mogła się od niego wyzwolić. Już nigdy jej się, nie uda.

13

Spisz? - wyszeptła Lani od progu.

- Nie. - Cassie popatrzyła na osobę stojącą w progu. Lani miała na sobie balową suknię; najwyraźniej dopiero co wróciła. - Niedawno się położyłam. Zaraz wstanę.

- Nie, porozmawiamy jutro rano. Zostanę tylko chwileczkę.
- Lani wsunęła się do pokoju, postawiła świecę na stoliku przy łóżku i usiadła obok Cassie. - Powiedz mi tylko, jak ją do tego zmusiłaś?

- Postraszyłam ją opowiadając o straszliwej śmierci, jaką Kalaniopuu zgotowali kapitanowi Cookowi.

- Josette mówiła mi, że lady Carradine jest tchórzliwa. - Nachyliła się nad Cassie i pocałowała ją w czoło. - Nie powinnaś była tego robić, ale jestem zadowolona, że tak się stało. Dobrze jest mieć kochającą przyjaciółkę. - Wzięła świecę i podeszła do drzwi. - Dobranoc, Kanoa, śpij dobrze.

Najpierw Jared powiedział, że odezwała się w niej Kanoa, a teraz Lani nazwała ją tym hawajskim imieniem. Może była bardziej dzika, niż się jej wydawało.

Lani zatrzymała się przy drzwiach i spojrzała na Cassie.

- Naprawdę opowiedziałaś jej o Kalaniopuu?

- I okazało się, że miałam rację.

- O, tak. - Lani z uśmiechem zamknęła za sobą drzwi.

Dowiedziałaś się, co nasza tygryśnica powiedziała tej suce? - zapytał czekający na nią Bradford.

- Postraszyła ją w sposób naprawdę niecodzienny. - Lani ruszyła przed siebie korytarzem. - A co ty tu właściwie robisz? Myślałam, że poszedłeś spać.

- Poczekaj, żeby się przekonać, czy wszystko jest w porządku. Wiedziałem, że najpierw zajrzysz do Cassie. - Bradford pośpieszył za nią. - Odprowadzę cię do pokoju.

- Nie musisz. Znam drogę.

- Na miłość boską! - Rozgniewał się nagle. - Pozwól mi coś dla ciebie zrobić.

Spojrzała na niego zdziwiona. Nigdy dotąd nie widziała, by pogodny kpiarz Bradford był równie zdenerwowany.

- I nie patrz na mnie tak, jakby w mojej chęci opiekowania się tobą było coś zdrożnego. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo zazdrościłem dziś Cassie. Stałem tam i przyglądałem się, jak broni cię przed jakąś mnie nawet nie znaną zniewagą. Bo nie powiedziałaś mi, o co chodziło. Nie zgodziłaś się, że- bym ci pomógł. Nigdy nie dopuszczasz mnie...

- Nie potrzebuję obrony - przerwała mu Lani. - Byłoby lepiej, gdyby Cassie dała jej spokój. Mogła narobić kłopotów Josette.

- A twoje kłopoty są nieważne?

- Ci ludzie nie mogą mnie skrzywdzić, jeśli ja im na to nie pozwolę.

- Zranili cię. Widziałem to na twojej twarzy.

- Mylisz się. - Stanęli przed drzwiami do jej sypialni i Lani ujęła klamkę. - Nie znasz mnie wystarczająco dobrze, by czytać z mojej twarzy.

- A właśnie, że cię znam! - Bradford chwycił ją za ramiona i zwrócił twarzą ku sobie. - Znam cię lepiej niż ktokolwiek na świecie. Znam twoją dumę i wspaniałomyślność, inteligencję i upór. Wiem, że za kogoś, na kim ci zależy, poszłabyś choćby do piekła i chciałbym być jednym z tych szczęśliwców. Pragnę tego aż do bólu.

Gwałtownie ucałował jej usta.

Oblała ją fala gorąca i oszołomiła zmysłowa namiętność Bradforda. Działał tak szybko i niespodziewanie, że nie zdążyła odeprzeć jego ataku. Instynktownie rozchyliła wargi i poczuła w ustach jego język.

- Widzisz, co tracisz? - spytał ochrypłym głosem. - Potrzebujesz mnie.

Oszołomiona Lani patrzyła na niego. Wydawał jej się bardzo męski i zmysłowy, a ona nie mogła mu się oprzeć i reago- wała na niego jak młoda dziewczyna na swego pierwszego chłopca.

Oczy Bradforda zalśniły triumfalnie.

Zarzuciła mu ręce na szyję i odchyliła głowę do tyłu. Tak, przyjdź do mnie. Spraw, by moje ciało śpiewało. Złączmy się w tańcu...

Nie!

Odkoczyła od niego tak gwałtownie, że wpadła na drzwi. Zadrzała na myśl o tym, jak mało brakowała, by mu uległa.

- Nie rób tego. Wiem, że mnie potrzebujesz.

- Nie potrzebuję cię. Po prostu brak mi mężczyzny.

Na twarzy Bradforda pojawił się wyraz bólu.

- Więc weź mnie - powiedział zmuszając się do uśmiechu.

- Jestem do twojej dyspozycji.

- Charles nie byłby z tego zadowolony.

- Nie musisz mi mówić. Widzisz, jak nisko upadłem - dodał z kpiącym uśmiechem. - Jestem gotów podzielić się tobą. Staję się pożałowania godnym osobnikiem.

Gorycz jego słów zabolowała Lani.

- Nie jesteś godny pożałowania. Jesteś wspaniałym mężczyzną. Ale nawet gdyby nie Charles... - dodała szybko. - Nie widzisz, że nie moglibyśmy być razem? Twoi przyjaciele mają mnie za dzikuskę. Nigdy by mnie nie zaakceptowali.

- A więc zerwałbym z nimi.

- Nie podoba mi się w tej waszej Anglii.

- Pojedziemy dokądkolwiek zechcesz.

- Wkrótce zacząłbyś żałować.

- Spróbujmy. Włóż płaszcz i pojedziemy do Gretna Green. Pobierzemy się, zanim nastanie ranek. Lani, pozwól mi pokazać, jak bardzo cię kocham. Będę się tobą opiekował, spełniał twoje życzenia, nie będę pytał, czy mnie kochasz. Tylko pozwól, bym ja mógł kochać ciebie.

Lani zaniknęła oczy. Mogła sobie wyobrazić, jak by to było. Bradford kochałby ją gorąco, namiętnie i słodko. Dbałby o jej bezpieczeństwo i szanowałby ją. Nigdy dotąd nie zaznała takiej miłości. Przez całe życie ona była tą, która daje. Jakież to mogło być cudowne...

Szybko uniosła powieki. Nie mogła uwierzyć, że tak bardzo uległa pokusie. Lojalność i honor nie powinny jej pozwolić nawet na wysłuchanie prośby Bradforda.

- To niemożliwe. - Nagle zdała sobie sprawę, że jej oczy są pełne łez. Odwróciła głowę i namacała klamkę. - Już ci mówiałam, nie mogę nawet tego słuchać. Kocham Charlesa.

- Nie, nie kochasz go - odparł żarliwie. - Troszczysz się o niego, ale, na Boga, zależy ci na mnie. Z każdym dniem coraz bardziej. Jeszcze miesiąc, a nie będziesz w stanie żyć beze mnie.

Lani wpadła do sypialni i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Miała ściśniętą klatkę piersiową i nie mogła oddychać, tak bardzo chciało jej się płakać. Ostatnie kilka minut sprawiło jej więcej cierpienia niż okropne godziny spędzone w Carradine House. Dobry Boże, ona przecież nie chce sprawiać Bradfordowi przykrości. Za nic na świecie nie chciała go zasmucać.

Za nic na świecie.

Niebezpieczna myśl. Groźna prawda.

Podeszła do łóżka i usiadła. Czuła się jak obita, posiniaczona i jakby miała ze sto lat.

„Z każdym dniem coraz bardziej”.

Jeżeli Bradford miał rację, ona musi położyć temu kres.

A wszystko wskazywało na to, że się nie mylił.

Następnego ranka Cassie zastała w stajni Josette.

- Osiodłałam dla ciebie Kapu - rzekła z triumfalnym uśmiechem. - Zaczyna mnie lubić. Jeszcze trochę, a pozwoli się dosiąść. Oczywiście, jeżeli ty się zgodzisz.

Nie wiadomo, czy do tego dojdzie, pomyślała Cassie z uczuciem niespodziewanej przykrości. Wkrótce rozegrają się wydarzenia, które zabiorą ją daleko stąd. Ogarną ją wielki smutek. Nic dziwnego, że jest mi smutno, pomyślała pośpiesznie. Josette stała się jej przyjaciółką, a rozstania z przyjaciółmi zawsze napawają smutkiem.

- Chciałabyś spróbować już dziś? - spytała pod wpływem nagłego impulsu.

- Mogę? Myślisz, że Kapu jest już gotowy?

- Spróbujmy. Kiedy będziesz wsiadała, stanę przy jego głowie. Na wypadek, gdyby zechciał stawać dęba.

- Marzę o tym od owej nocy, kiedy go pierwszy raz zobaczyłam. - A potem dodała z niepokojem: - Jesteś pewna? Nikomu na to nie pozwalasz. Nawet Jaredowi.

- Najwyższy czas, żebym się stała mniej egoistyczna. Lani mówi, że kiedy się coś ofiarowuje, dostaje się w zamian znacznie więcej. To jedno z wyspiarskich wierzeń... Ale w przy-

padku Kapu kierował mną nie tylko egoizm. Mam powody, żeby uważać. Kapu jest niebezpieczny.

Josette wzięła lejce.

- Chodźmy, Kapu. Będę dla ciebie bardzo dobra. - Podprowadziła go do drzwi wychodzących na pastwisko. - Już myślałam, że będę skazana na kucyka.

Cassie zdała sobie nagle sprawę, że boks Morgany jest pusty.

- Gdzie jest Morgana?

- Nie było jej, kiedy przyszedłam. Pewnie zabrał ją Jared.

- Pojedziemy przez las. - Jared zawsze jeździł wzdłuż skarpy; jeśli wybiorą drogę w stronę lasu, nie natkną się na niego.

- Ja osiodłam kuca. Nie próbuj wsiadać na Kapu, dopóki do ciebie nie przyjdę.

- Nie chcesz spotkać Jareda? Bardzo się wczoraj złościł? - spytała Josette.

- Nie był zachwycony, ale potraktował mnie nadspodziewanie uczciwie.

- Jared zawsze postępuje uczciwie.

- Oskarżał samego siebie o to, że źle osądził lady Carradine.

- Mamy szczęście. Bałam się, że zmusi nas, abyśmy przeproszały maskarona.

- I nie będzie cię już wysyłał do jej szkoły.

- Naprawdę? - Oczy Josette zalśniły z podniecenia. - Zostanę w zamku?

- Prawdopodobnie.

Josette wypuściła lejce, rzuciła się na Cassie i obróciła ją dookoła. - Kiedy tylko cię zobaczyłam, wiedziałam, że zajdą tu zmiany na lepsze.

- I dlatego mnie przewróciłaś? - spytała Cassie.

- To tylko drobna pomyłka.

- Dla mnie raczej poważna. Jared powiedział, że nie pozwoli, abyś cierpiała przez to, co zrobiłam na balu. Mam nadzieję, że dotrzyma słowa. Nie mogłam pozwolić, żeby Lani...

- Ciii, wiem. Ostrzegałaś mnie, że coś takiego może się wydarzyć. Na twoim miejscu zrobiłabym to samo. Nie mogę przekonać Jareda, aby mi wierzył, że ci ludzie nic dla mnie nie znaczą. Umarłabym z nudów wysiadując nad malowaną filiżanką herbaty i wyczekując, by któryś z dzentelmenów oświadczył się o moją rękę. Ja chcę czegoś więcej.

- Czego byś chciała? - spytała wyrozumiale Cassie.

- Chciałabym mieć setki koni. Przeżyć wspaniałe przygody. Chcę pojechać do Sedikhan i zdobyć swego własnego Kapu, albo Morgane. Chciałabym zaznać, popróbować wszystkiego. Chciałabym...

- Poczekaj. - Cassie roześmiała się. - Lepiej będzie, jak ustalisz sobie jakieś granice. Na to wszystko nie starczy ci jednego życia.

- Jakoś to wszystko skomasuję. Spójrz, dzisiaj dosiędę Kapu!

Taka młoda i pełna marzeń. Cassie miała tylko jedno marzenie, a to czyniło życie o wiele prostszym. Będzie tęskniła za Josette.

- Weź lejce, zanim Kapu zmieni zamiar, a ja przyprowadzę kuca.

Cassie! - Jared z całych sił walił w jej drzwi. - Wpuść mnie!

Cassie zdejmowała właśnie suknię. Nie miała najmniejszego zamiaru wpuszczać go do swojej sypialni. Od ostatniej nocy skrzętnie go unikała. Posunęła się nawet do tego, że nie przyszła na kolację.

- Nie chcę cię oglądać. Idź spać.

- Otwórz drzwi.

- Nie jestem ubrana.

- Więc się ubierz. - Jared otworzył drzwi na oścież.

Był bez marynarki, a koszulę miał rozpiętą pod szyją. Rozczochrane włosy opadały mu na czoło, na ustach błąkał się dziwny uśmieszek. Wyglądał podobnie jak owej burzliwej nocy na statku, kiedy pomagał jej uspokoić Kapu. Wtedy poczuła na jego widok ulgę, teraz nie.

- Nie zapraszałam cię do mego pokoju.

- Wcale nie jesteś rozebrana. Cóż za rozczarowanie.

- Mówiłam prawdę. Właśnie zaczęłam się rozbierać. Rozpinałam suknię.

- Pomogę ci ją zapiąć. - Jared odwrócił ją plecami do siebie i zaczął zapinać guziki.

Cassie stała zdumiona. Nie spodziewała się, że Jared kiedykolwiek będzie jej pomagał wkładać suknię.

- W porządku. - Klepnęła ją w pośladek, złapał leżący na krześle obok łóżka płaszcz i chwycił Cassie za rękę. - Chodź!

- Ale ja nie chcę... - Jared ciągnął ją wzdłuż korytarza w kierunku schodów. - Dokąd idziemy?

- Zapobiec złu i oczyścić drogę.

- Mówisz bez sensu. Chcę wrócić do mego pokoju.

Jared nic nie odpowiedział.

- Powiedz mi, co się dzieje!

Gwałtownie otworzył frontowe drzwi i pociągnął ją na podwórzec.

- Dokąd idziemy?

- Do stajni.

- Coś złego z Kapu? - zapytała ogarnięta paniką.

- Nie. Coś bardzo dobrego dla Kapu i dla ciebie. - Jared wypuścił dłoń Cassie i zarzucił jej płaszcz na ramiona. - A teraz przestań się kłócić i chodź ze mną.

Zawahała się chwilę i ruszyła ku stajniom.

- Nie rozumiem, po co idziesz do stajni w środku nocy?

- Tak będzie bardziej odpowiednio. Za dnia kręci się tam zbyt wielu ludzi.

- Bardziej odpowiednio?

- Tak, przynajmniej według ciebie. Chociaż ja osobiście nie mam nic przeciwko widzom. - Otworzył drzwi do stajni. - To ty traktujesz swego konia, jakby był istotą ludzką.

- Nie jest istotą ludzką, ale ma wielką duszę. I skoro mamy jeździć konno, powinnam się przebrać.

- Nie będziemy jeździć. - Jared przystanął obok boksu Kapu i poklepał pysk ogiera. - Ale on będzie. Wyprowadź go z boksu i zabierz na południową łąkę.

- Po co? - spytała Cassie marszcząc czoło.

- Bo tam czeka na niego Morgana.

- Co ty opowiadasz?

- Morgana ma ruję.

- Chcesz, żeby Kapu ją pokrył?

- I chcę coś za to dla siebie.

- Będziesz miał wspaniałego żrebaka i Morgana.

- Zachowam żrebaka dla siebie. Morgana będzie twoja.

- Co?

- Naprawiam wyrządzone krzywdy. Czy nie tego właśnie pragnęłaś najbardziej na świecie? Spełnienie marzeń, klacz dla Kapu.

- Tak - wyszeptała Cassie. - O, tak.

- W takim razie Morgana jest twoja.

Cassie nie wierzyła własnym uszom.

- Naprawdę?

- Mówię serio. I nie staram się oszukać cię, żeby zdobyć żrebaka po Kapu.

Takiej możliwości Cassie w ogóle nie brała pod uwagę.

- Wiem, że nie zrobiłbyś czegoś takiego. Tylko, że... nawet o tym nie marzyłam. - Morgana była tym, co miał najcenniejszego, i hojność Jareda po prostu nie mieściła się jej w głowie. - Jesteś pewien?

- Naprawiam krzywdy - powtórzył Jared. - Nie tylko ty wierzysz, że za grzechy trzeba odpokutować. Będę musiał wymyślić coś, żeby wynagrodzić Lani. - Cofnął się i otworzył drzwi boksu. - Zaprowadź go do Morgany.

Cassie stała przyglądając się Jaredowi. Przypomniała sobie słowa Josette:

„Czasami robi coś tak wspaniałego, że wszystko inne idzie w niepamięć”.

- Nie sądziłem, że potrafię zrobić coś, co odejmie ci mowę.

- Sama nie wiem.. To zbyt... - Cassie przełknęła ślinę i chwyciła lejce. - Idziesz? - spytała ochryple.

- Za nic nie stracę takiego widowiska. - Jared ruszył za nimi. Minał pusty boks Morgany.

Klacz stała w przeciwległym końcu pastwiska. Światło księżyca wydobywało z mroku jej piękne kształty. Na ten widok Cassie poczuła najczystsza radość. Jej marzenie. Jej klacz. Już niedługo Morgana będzie należeć do niej.

Kapu, stuliwszy uszy, wyrwał się naprzód.

Cassie roześmiała się widząc, że Kapu zwęszył klacz. Najwyraźniej nie zgadzał się z Cassie i uważał Morgana za swoją własność.

- Otwórz furtkę.

Jared otworzył furtkę i odstąpił na bok.

Kapu wpadł na pastwisko.

Morgana znieruchomiała, a potem uskoczyła w przeciwną stronę.

- Nie założyłeś jej pęt - powiedziała Cassie. Zazwyczaj związywano klacze, aby ułatwić zadanie kryjącym je ogierom.

- Nie lubię więzów - odparł Jared. - Chyba nie zapomnieliś. Kapu będzie sobie musiał zapracować na tę przyjemność.

Wyglądało na to, że Morgana w pełni podziela zdanie swego pana. Galopowała po pastwisku przez co najmniej pięć

minut, nie pozwalając Kapu zbliżyć się do siebie. Kiedy się zmęczyła, zmieniła taktykę. Przystawała i czekała na niego, a kiedy się zbliżał, zadzierała pogardliwie ogon i odskakiwała.

Jared roześmiał się i potrząsnął głową.

- Biedny Kapu.

Widok był naprawdę komiczny. Kapu zupełnie zgłupiał, jego duma została podeptana przez umykającą klacz. A potem, nagle, wszystko się zmieniło.

Morgana zatrzymała się i zwróciła pyskiem do Kapu.

- Jest gotowa - mruknął Jared.

Cassie wpatrywała się w napięciu w stojące naprzeciw siebie konie. Coś się między nimi działo, przekazywały sobie jakieś mistyczne, a jednocześnie prymitywne przesłanie. Przekaz stary jak świat, piękny, tajemniczy i zagadkowy.

W następnej chwili cały mistycyzm zniknął bez śladu.

Kapu stanął dęba i triumfalnie zarżał.

Morgana ustawiła się zadem do niego.

Cassie usłyszała stłumiony okrzyk Jareda. Ona sama miała zbyt ściśnięte gardło. Zdawało się jej, że cała noc została zredukowana do pary koni na łące.

Nie, był tu także Jared, ale w jakiś sposób zdawał się być częścią tego widowiska.

Kapu wspiał się na Morganę. Wielkie nieba, jak to możliwe, by te cieniutkie nóżki wytrzymały taki ciężar?

Morgana stała nieruchomo.

Surowa, prymitywna siła. Klacz i ogier zapamiętali się w tańcu życia.

Cassie poczuła oblewającą ją falę gorąca, a potem doznała wrażenia, że topnieje. Znała ten taniec. Pragnęła tego samego dla siebie.

Dłoń Jareda spoczęła na jej ręce, wspartej na ogrodzeniu.

Cassie wzdygnęła się, lecz nie odrywała oczu od spółkujących na łące koni.

Kapu zacisnął zęby na szyi klaczy. Cassie dobrze wiedziała, że Morgana nie czuje teraz bólu. W takiej chwili nie czuje się nic prócz zapełniającej się pustki, gorącego wtargnięcia wycekiwanego przez całe ciało.

Zacisnęła dłonie na ogrodzeniu.

- Cassie? - wyszeptał Jared.

Spojrzała na niego. Kahuna. Żądza. Ogier.

Zamknęła oczy, ale nadal czuła jego niepokojący zapach.

Krzyknęła, gdy chwycił jej piersi. Uniosła powieki.

- Na miłość boską, nie mów nie.

Nie? Teraz nie mogłaby mu odmówić, tak samo jak Morgana, która w kulminacyjnym momencie przestała się oganiać od Kapu. Potrząsnęła głową.

- Dzięki Bogu. - Chwycił ją w ramiona i uniósł.

- Dokąd idziesz? - wyszeptała.

- Nie tutaj. Nikt by nas tutaj nie zauważył, ale nie chcę, żebyś zmarła. - Wszedł do stajni. - Boks Morgany jest bliżej...

Miękkie siano pod nią, Jared ponad nią. Jego ręce pośpiesznie zrywające suknię. Pomagała mu drżącymi palcami. Dygotała na całym ciele.

Naga na łożu z trawy. Jared rozsunął jej nogi...

Nie, nie tak.

Odepchnęła go i podparła się na łokciach i kolanach.

Natychmiast ją zrozumiał.

- Jak Morgana? - wyszeptał. - Jak sobie życzysz.

Wszedł w nią, pokrył ją. Spodziewała się, że będzie tak samo jak owej nocy w kabinie, ale nie. Było jak nigdy przedtem. Jęczała, cofała się, nadziewała. Chwycił jej piersi i wchodził w nią głębiej i głębiej...

Z trudem oddychał. A potem, nagle, wyszedł z niej i ułożył ją na plecach.

Spojrzała na niego oszołomiona.

- Dlaczego...

- Bo nie jesteś klaczą, do cholery. - Naparł na nią na nowo. - Jesteś kobietą. Moją... - Wchodził coraz głębiej i głębiej. - Moją.

Cassie zagryzła wargi, ale nie czuła bólu. Nie pragnęła niczego na świecie, tylko jego. Na zawsze...

Szczytowanie. Tym razem inne. Trwające bez końca...

Jared krzyknął i jego plecy wygięły się w łuk. Widziała, jak grymas bólu powoli znika z jego twarzy. Spojrzeli sobie w oczy.

Tajemnica. Życie. Przeznaczenie. Jakie to dziwne, że chwila zrozumienia nadeszła po, a nie przed, jak w przypadku Morgany i Kapu...

- Cassie... - Nuta zdziwienia, zdumienia.

- Nie. - Nie chciała, żeby teraz mówił. Przyciągnęła go do siebie i trzymała mocno, dopóki nie wygasły ostatnie drgnie-

nia namiętności. To ona dała mu tę rozkosz. Poczuła falę radości, tak żywej, że fizyczna przyjemność wydała jej się mdła i niewiele znacząca. On był jej, tak jak Kapu i Lani.

Nie, bardziej. O wiele bardziej. Ta prawda spadała na nią zniecierpliwienie i przywróciła do rzeczywistości.

Na Boga, jak do tego doszło?

Leżała zdumiona, nie mogąc uwierzyć, że nie zorientowała się wcześniej. Jared z mroku i Jared ze światła dziennego połączyli się, stali się jednością i już nigdy nie uda się ich rozdzielić.

- Nie zaplanowałem tego - powiedział Jared z twarzą wtuloną w jej włosy. - Nie chciałem, żeby to się stało w ten sposób. Morgana miała być podarunkiem.

- Oczywiście. - Znała go teraz tak dobrze. Znała jego nastroje i niecierpliwość, namiętność i zmysłowość, łagodność i wrażliwość. Znała jego wielkie poczucie sprawiedliwości i zdolność do poświęceń. Z całego serca pragnęła nie znać go tak dobrze. - To nie twoja wina.

To była jej wina. Postąpiła niewybaczalnie lekkomyślnie.

Jared uniósł się na łokciu i spojrzał na nią zdziwiony.

- Co się z tobą dzieje?

Milcząco potrząsnęła głową.

Jared przełknął przekleństwo, zsunął się z niej i poprawił ubranie.

- Do diabła, pragnęłaś tego! Nie zgwałciłem cię.

- Nie. - Cassie usiadła i odgarnęła włosy z twarzy.

- To dlaczego zachowujesz się tak, jakbym cię do tego zmusił?

- Chcę wrócić do mego pokoju. - Nie patrząc na niego poprawiała ubranie. - Czy Kapu i Morgana mogą zostać na pastwisku?

- Tak, zostawimy ich tam na całą noc. Będą się parzyć jeszcze kilka razy.

- A ty będziesz miał swojego żrebaka. - Wstała i wyskubywała ze spódnicy żdźbła trawy. - Wszystko układa się po twojej myśli.

- O co ci chodzi, do diabła?

- O nic. Jestem ci bardzo wdzięczna za ofiarowanie mi Morgany. To miło z twojej strony.

- Miło? Chyba jesteś chora. Nigdy nie przypuszczałem, że uznasz mnie za miłego.

- Potrafisz być miły. - Miły i okrutny. Łagodny i gwałtowny. Mroczny i pełen światła. Jak dzień i jak noc. Poczuła napływające do oczu łzy. Musi przed nim uciekać. - Dobranoc... - Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia.

Dogonił ją na podwórzu i zwrócił twarzą ku sobie.

- Porozmawiaj ze mną - wycedził przez zęby. - Na miłość boską, powiedz, o co ci... - Spostrzegł płynące po jej policzkach łzy i gwałtownie zamilkł. - Mój Boże...

- Muszę wracać. - Wyrwała mu się. - Muszę...

- Nie puszczę cię, dopóki... W porządku, już nic, ale, na miłość boską, przestań płakać. - Pozwolił jej odejść. - To jeszcze nie koniec. Jutro mi powiesz, co cię tak wyprowadziło z równowagi.

Nigdy mu tego nie powie.

Odwróciła się i pobiegła w stronę zamku. Czuła na plecach jego zdziwione, pełne niezadowolenia spojrzenie. Nigdy nie dopuści się tej ostatecznej zdrady.

Nigdy nie powie Jaredowi, że go kocha.

Cassie? - Na najniższym stopniu schodów siedziała Josette w nocnej koszuli i szlafroku. Bose stopy podwinęła pod siebie. Spojrzała na Cassie z rozpaczą. - Ty płaczesz. Co on ci zrobił?

Cassie otarła łzy wierzchem dłoni.

- Co ty tu robisz?

- Słyszałam, jak kłóciliście się z Jaredem na korytarzu. Zaniepokoiłam się... Nie mogłam zasnąć. Mówiłaś, że się nie gniewał.

- Nie gniewał się. Wracaj do łóżka - odparła Cassie i zaczęła wchodzić na górę.

Josette zerwała się i pobiegła za nią.

- To dlaczego płaczesz? Przecież ty nigdy nie płaczesz.

- Ot tak, po prostu.

- Ale dlaczego?

Łzy, podobnie jak pytania Josette, nie ustawały. Cassie nagle poczuła zniecierpliwienie.

- To moja sprawa. Zostaw mnie w spokoju! - A potem, widząc wyraz zaskoczenia na twarzy Josette, dodała: - Nic takiego... Wszystko jest takie... to już za wiele.

- Czy to przez Jareda? Chcesz, żebym z nim porozmawiała?

- Nie! - Cassie starała się opanować. - Nie zrobił mi nic złego. Był bardzo miły. Podarował mi Morgane.

- Powinnaś się cieszyć - wyszeptwała Josette.
 - A sobie weźmie żrebaka po Morganie i Kapu. Więc wszystko jest w porządku.

- To dlaczego płaczesz?

- Bo nie mogę... - Zamilkła, a potem dodała: - Bo muszę wyjechać z Morland. Nie mogę tu dłużej zostać.

Właśnie słowa zdziwiły ją tak samo, jak Josette, ale z chwilą, gdy zostały wypowiedziane, zdała sobie sprawę, że nie ma innego wyjścia. Kochała Jareda i wiedziała, że jeśli go teraz nie opuści, nie uda jej się odejść nigdy potem.

- Nie! - krzyknęła Josette. - Dlaczego miałabyś wyjeżdżać? Wszystko tak dobrze się układa. Ja nie muszę wracać do szkoły. Ty dostałaś od Jareda Morganę. Możemy wspaniale spędzać czas.

- Josette. Ja nie mogę tu zostać. Zapomniałaś o moim ojcu? Josette przed chwilą milczała.

- Tak mi żal, że musisz wyjechać. Jared cię nie wypuści.

- W takim razie muszę to zrobić bez jego wiedzy, prawda?

- Masz jakieś pieniądze?

- Około sto funtów, które ojciec zostawił Lani.

- Lani wyjedzie z tobą? - A potem sama odpowiedziała na to pytanie. - Oczywiście że tak. Po prostu tak się do was obydwu przyzwyczaiłam. Będę z wami tęskniła...

- My także będziemy za tobą tęskniły.

- Naprawdę?

Cassie skinęła głową.

- Naprawdę. Ale muszę wyjechać.

- Ostatnio trudno jest dotrzeć do Francji. Wątpię, czy znajdziecie jakiś statek. I jak się dostaniecie do portu? Nie sądzę, by udało się wam opuścić Morland bez wiedzy Jareda.

- Jeszcze nie wiem. - Cassie potrząsnęła głową. Jeszcze się nie pogodziła z odkryciem, że kocha Jareda. Na razie nie była w stanie myśleć o niczym innym. - Zastanów się później. Teraz idę spać. I ty także powinnaś się położyć.

- A co z dokumentami? Myślę, że jednak powinnyście zostać.

Cassie potrząsnęła głową.

- W takim razie chyba muszę wyruszyć z wami.

- Co? - Cassie odwróciła się i spojrzała na nią zdumiona.

- Mogłabym was przewieźć przez kanał na mojej żaglówce.

W małym, nieznanym porcie nie będziecie miały kłopotów z powodu braku dokumentów.

- Zrobiłabyś to dla nas?

- Potrzebujecie mnie - odparła Josette z szerokim uśmiechem. - A jeśli chodzi o ucieczki, to jestem bardzo doświadczona. Odkąd Jared oddał mnie do Carradine Hall, uciekałam co najmniej dwa razy w roku. Myślisz, że łatwo było umknąć maskaronowi? Jestem do tego lepiej przygotowana niż ty byłabyś za rok.

- Carradine Hall to nie Morland. - Cassie ostygła z pierwszego zapału. - Nie mogę ci na to pozwolić.

- Jestem bardzo dobrą żeglarką - namawiała ją Josette. - Wysadzę ciebie i Lani na brzegu koło jakiejś wioski i wrócę. To wcale nie jest niebezpieczne.

- Jared bardzo by się na ciebie gniewał.

- Niedługo. A poza tym wolę się narazić na gniew Jareda, niż umierać z niepokoju o was.

Była to bardzo kusząca propozycja. Rozwiązanie wszystkich problemów.

- Zastanowię się nad tym.

Josette skinęła głową.

- Zobaczysz, że to najlepszy sposób. Zacznę już wszystko planować. Trzeba dużo namysłu, żeby zorganizować udaną ucieczkę.

W obliczu nowego przedsięwzięcia Josette natychmiast poseselała. Cassie zazdrościła jej łatwości zmiany nastroju. Czowała smutek i cały świat wydawał jej się pograżony w mroku. Miała ochotę pobiec do Lani i usłyszeć od niej, że wszystko będzie dobrze.

Lecz teraz nie mogła tego zrobić. Lani nie byłaby w stanie zrozumieć, że Cassie pokochała śmiertelnego wroga własnego ojca. Cassie także nie mogła tego pojąć. Na dodatek nie miała żadnej pewności, czy Jared także ją kocha. Pragnął jej, ale namiętność to nie to samo co miłość. Przez wiele długich lat zżerała go nienawiść do jej ojca, więc sądzić, że kiedykolwiek ją pokocha, byłoby szaleństwem.

Z oczu znów popłynęły jej łzy. Dosyć już tego głupiego mazgajenia się. Musi wyratować tatusia i wrócić do domu na wyspie.

Musi sobie ułożyć życie z dala od Jareda. Na drugim krańcu świata...

14

Nie chciałabym w ten sposób wykorzystywać Josette - powiedziała Lani, siedząc na swoim ulubionym fotelu w bibliotece. - To może być dla niej niebezpieczne.

- Nie mamy wyboru - odparła Cassie. Jej także nie podobał się ten pomysł, ale nie widziała innego rozwiązania. - Jeżeli zostawi nas na brzegu i natychmiast powróci do Anglii ryzyko będzie mniejsze.

- To prawda. I mamy do przepłynięcia tylko około trzydziestu pięciu kilometrów. Ludzie z mojego plemienia przebywają o wiele większe dystanse na canoe. Czy wiesz już, gdzie zaczniesz szukać Charlesa? Może jeszcze nie dotarł do Paryża. Wspominałam ci o wiadomości, którą Jared otrzymał od swojego człowieka, Guillaume'a, że jeszcze go tam nie ma. Nie wiem, może później nadeszła inna wiadomość. Pierwszą z nich potraktował podejrzanie bez troski. Wydaje mi się, że chciał, abym ją znalazła.

Ale ojciec prawdopodobnie jeszcze tam nie dotarł, pomyślała Cassie. W przeciwnym razie Jared już by tam wyruszył.

- Mam nadzieję, że jeszcze go tam nie ma. Kiedy tam trafi, pójdzie wprost do Jacques-Louisa Davida po informacje na temat Raoula Cambre.

- Myślisz, że to niebezpieczne posunięcie?

Cassie zadrżała.

- Widziałam Cambre'a tylko raz, ale nie spodobał mi się.

- Dziecko może się mylić.

- Ale ma doskonały instynkt. Nie chcę, żeby tatuś znalazł się blisko niego.

- A my pójdziemy do tego Davida i poprosimy, żeby nas skontaktował z Charlesem, gdy się do niego zwróci?

Cassie skinęła głową.

- Do tego czasu możemy się zatrzymać w małym pensjonacie niedaleko posiadłości Davida.

- Jesteśmy cudzoziemkami. Będą nas wypytywać.

- Mogę się czuć jak cudzoziemka, ale nie zapominaj o tym, że urodziłam się we Francji. Mam nadzieję, że zaakceptują mnie tam bez problemów. Powiemy, że jesteś... - Zastanawiała się nad tym. Złocista skóra Lani wyglądała egzotycznie i rzucała się w oczy. - Egipcjanką. Wdową po jednym z napoleońskich oficerów. Poznaliście się, gdy tam stacjonował, i zabrał cię ze sobą do Paryża.

- Najwyraźniej spędziłaś zbyt wiele czasu w towarzystwie Josette - stwierdziła sucho Lani. - Nadzwyczaj łatwo posługujesz się kłamstwem.

- Oczywiście, tatuś może dotrzeć do Cambre'a w inny sposób. Zobaczmy na miejscu.

- A kiedy wyruszymy w naszą podróż? - spytała Lani wpatrując się w ogień na kominku.

- Dziś w nocy, kiedy wszyscy położą się spać. Josette mówi, że możemy się wymknąć do stajni i dalej przez wyjście na pastwisko. Do wyrzeża, gdzie stoi żaglówka, jest tylko półtora kilometra. Josette zajmie się strażnikiem pilnującym stajni, a potem nas dogoni.

- Zostawiasz tu Kapu i Morgane. Zdajesz sobie sprawę, że Jared będzie wściekły. A jeśli nie zechce ci ich zwrócić?

- Nie robi mi tego.

- Sprawiasz wrażenie bardzo pewnej siebie.

- On dotrzymuje obietnic. A nawet jeśli nie dotrzyma, nie mogę na to nic poradzić. Najwyższy czas, żebyśmy opuściły Morland.

Lani przez chwilę siedziała w milczeniu.

- Masz rację - powiedziała wreszcie. - Za długo tu tkwimy. Zaczynam się... niecierpliwic.

W tonie Lani zabrzmiała jakaś dziwna nuta. Czyżby doznała tej samej pokusy co ona? To chyba niemożliwe. Lani zawsze była stała w uczuciach, całkowicie lojalna, nigdy nie traciła z oczu wytyczonego celu.

- Lani?

- Ale kiedy odnajdziemy Charlesa, wszystko wróci do nor-

my - odparła z uśmiechem. - Wszystko stanie się proste, takie samo jak przedtem. Prawda, Kanoa?

Dla Cassie życie nigdy nie będzie już takie samo jak dawniej. Ale może ból osłabnie?

- Powinniśmy zabrać po jednej walizce - powiedziała wstając. - Nie pakuj więcej niż trzy suknie i strój do konnej jazdy. Josette zabierze je do stajni i ukryje pod sianem w pustym boksie. Och, i owiń się ciepłym szalem. Josette mówi, że na wodzie o tej porze roku jest bardzo zimno.

Lani skrzywiła się.

- Wygląda na to, że Josette jest kapitanem tej wyprawy.

Cassie skinęła głową.

- I sprawia jej to wielką frajdę. - Podeszła do drzwi. - Zobaczymy się przy kolacji. Postaraj się odpocząć. Żaglówka Josette jest bardzo mała i nie ma na niej kabin. Czeka nas ciężka podróż.

- W takim razie ty także staraj się odpocząć - rzekła Lani i wróciła do książki.

- Powinnam trochę pojeździć na Kapu. Po moim wyjeździe będzie trochę zaniedbany... zapomniałam, przecież Josette może na nim jeździć. Bardzo dobrze sobie radziła.

- Ale i tak chcesz na nim pojeździć. Idź, pożegnania są bardzo ważne.

Cassie zamknęła drzwi do biblioteki i szybko odeszła.

Ta przejażdżka będzie nie tylko pożegnaniem z Kapu, ale również rozstaniem z Morland. Być może powróci tu na krótko, żeby zabrać Kapu i Morganę, ale już nigdy więcej nie będzie mieszkała w tych murach, nigdy więcej nie pojedzie konno ścieżką ponad skarpą, nie zobaczy, jak Jared przekonarza się z Bradfordem...

- Cassie!

Jared. Słyszała jego szybkie kroki.

Poczuła jego dłoń na ramieniu.

- Do diabła, nie uciekaj przede mną.

- Wcale nie uciekam.

- Właśnie, że uciekasz. Unikasz mnie przez cały dzień.

- Nie mam teraz czasu na rozmowy. Idę pojeździć na Kapu.

- Pojadę z tobą.

- Nie! - Cassie oblizała wargi. - Nie dzisiaj.

- Staram się zachowywać cierpliwość, ale tak dłużej być nie może. Zobaczymy się przy kolacji?

- Tak, oczywiście. - Ostatni wspólny posiłek. Jeszcze jedno pożegnanie.

- Obiecujesz?

Cassie skinęła głową.

- Ale teraz muszę odejść.

- Cassie... - Zaciśnął dłonie na jej ramionach. - Czuję, że... Czy skrzywdziłem cię jakoś?

Nie odrywała oczu od jego krawata.

- Nie.

- Nie chciałem ci sprawić przykrości. Ja nigdy... Do diabła, popatrz że na mnie.

Jeżeli teraz spojrzy na niego, Jared domyśli się prawdy. Była tak przepełniona smutkiem i miłością, że musiała to mieć wypisane na twarzy. Przełknęła ślinę.

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

- Dziś wieczorem?

Cassie potrząsnęła głową.

- Jutro? Umawiamy się na jutro.

Jutro już będzie we Francji, w drodze do Paryża, daleko od Jareda.

- Dobrze, umówmy się na jutro.

Wreszcie pozwolił jej odejść. Pobiegła przez podwórzec do stajni.

Następnego dnia przed świtem Josette przybiła do brzegu w małej zatoczce niedaleko francuskiej wioski rybackiej.

- Czyż nie jestem wspaniała? Mówiłam, że się uda. - Chwytała jedną z walizek, wyskoczyła z łódki i wyszła z wody. - Teraz musicie już tylko pójść do wioski i zapytać o drogę do Paryża.

- Zdaje mi się, że czeka nas jeszcze parę przygód. - Lani roześmiała się i sięgnęła po drugą walizkę.

- Może i tak - zgodziła się Josette. - W każdym razie przywiozłam was do Francji.

- Tak, przywiozłaś - powiedziała Cassie. - I jesteśmy ci za to bardzo wdzięczne.

- Och, nie ma za co. - Josette machnęła ręką. - To pestka dla tak wspaniałego żeglarza i nawigatora.

- A łut szczęścia nie miał z tym nic wspólnego? - spytała Lani.

- Nic a nic. - Josette sięgnęła do kieszeni żakietu. - Wzię-

łam te franki z szuflady w biurku Jareda. Zawsze trzyma pod ręką trochę franków na swoje zagraniczne wypadki. - Wepchnęła banknoty do ręki Cassie. - Mogą wam się przydać, dopóki nie znajdziecie bezpiecznego miejsca, żeby wymienić wasze funty.

- Ukradłaś je?

- Pożyczyłam - sprostowała Josette. - Wy potrzebujecie ich bardziej niż Jared. - Pogrzebała w drugiej kieszeni i wyjęła coś błyszczącego. - Rubinowy naszyjnik, który Jared podarował mi na zeszłe urodziny. Sprzedajcie go w razie potrzeby.

Cassie poczuła napływające do oczu łzy.

- Josette, nie mogę wziąć...

- Ciii. - Wsunęła naszyjnik do kieszeni płaszcza Cassie i jeszcze raz sięgnęła do swoich, najwyraźniej pozbawionych dna, kieszeni. - Jeszcze coś. Leżał na biurku w bibliotece.

Wręczyła Cassie mały sztylet z wysadzaną drogimi kamieniami rękojeścią w skórzanej pochwie.

- Musicie mieć przy sobie jakąś broń, skoro nie chcecie, żebym z wami podróżowała. Nie mam czasu na dyskusje - dodała prędko, widząc, że Cassie zamierza protestować. - Objęła i przytuliła Cassie. - Idźcie z Bogiem. - Odwróciła się i ucałowała Lani. - Będę za wami tęskniła.

Zanim zdążyły jej odpowiedzieć, Josette ruszyła z powrotem do łodzi. Zepchnęła ją na głębszą wodę i przeskoczyła przez burzę.

- Wy także będziecie za mną tęskniły! - zawołała. - Powinam z wami zostać. Same widzicie, jak wszystko się udaje, kiedy jesteśmy razem.

- Jakoś sobie poradzimy! - zawołała Lani. - Jared nigdy by ci nie wybaczył, gdybyś z nami odeszła.

- I tak nie będzie zachwycony. - Josette spojrzała na szarejące niebo. - Wkrótce przeczyta mój list.

- List? - Zdziwiła się Cassie. - Napisałaś do niego list?

- Oczywiście. Kocham Jareda. Nie chciałam, żeby się martwił dłużej, niż to konieczne. Zostawiłam kartkę na drzwiach boksu Kapu. Napisałam mu, dokąd się udałam i że wrócę przed zapadnięciem nocy.

- Nie powinnaś tego robić - powiedziała Cassie.

- Dlaczego? Teraz, kiedy wie, że wkrótce wracam, poczeka

na mnie w Morland, żeby się dowiedzieć, dokąd się wybieracie. Dzięki temu będziecie miały dość czasu, żeby dotrzeć do Paryża. Czy to nie sprytnie? - spytała Josette z szerokim uśmiechem.

Cassie uznała jej rozumowanie za słuszne.

- Myślę, że to nam nie zaszkodzi.

Josette pracowicie odwracała swoją żaglówkę.

- Przebierzcie się w tej kępie drzew. Macie mokre spodnie, a to może zwrócić czyjąś uwagę. Obmyślcie sobie jakąś wiarygodną historyjkę na temat waszej obecności na tym odludziu. Powinam była coś dla was wymyślić podczas drogi. Trzeba... - Wiatr napełnił żagle i łódka natychmiast znalazła się poza zasięgiem słuchu.

Cassie machała ręką, aż drobna postać Josette rozplynęła się w szarości przedświt. Czekala ją teraz długa, samotna droga powrotna.

- Żeby tylko jej się udało - mruknęła Cassie.

- Na pewno jej się uda. Zanim się rozwidni, zniknie z horyzontu, a morze jest spokojne. - Lani delikatnie wzięła Cassie za rękę. - Chodź, musimy posłuchać rozkazu *mademoiselle General* i przebrać się w suche suknie.

Uciekły. - Jared zmiażdżył kartkę. - Jezu, udusiłbym tę Josette.

Bradford wyjął mu z ręki pomięty list i rozprostował go drżącymi palcami.

- Kiedy ruszamy?

- Wyślij wiadomość, żeby przygotowali „Josephine”. - Jared spojrzał na Kapu nie widzącym wzrokiem. - Wyruszmy natychmiast po powrocie Josette.

- Jeśli ta mała diablica w ogóle wróci - odparł Bradford. - Może zdecydować, że zostanie z nimi.

- Wróci. Obiecała. A poza tym Cassie nie zgodzi się, żeby Josette ryzykowała bardziej, niż to jest konieczne. - Ale niebezpieczeństwa czyhają na Cassie i Lani. Dwie samotne kobiety bez przyjaciół i dokumentów we wrogim kraju. Jared poczuł panikę na myśl, że coś im zagraża już teraz, kiedy on stoi tutaj zupełnie bezsilny. I jak ma ich szukać, kiedy wreszcie dotrze do Francji?

Josette prawdopodobnie będzie coś wiedzieć. Już on ją zmusi, żeby mu powiedziała.

Ale niemożliwe, by wróciła przed zapadnięciem nocy. Jest

więc zmuszony czekać i umierać z niepokoju. Powinien się czymś zająć.

- Idę polecić, by spakowano nasze rzeczy i przygotowano ubrania Cassie i Lani. Na pewno zabrały ze sobą tylko najniezbędniejsze.

Była zaledwie dziewiąta rano, ale na bezchmurnym niebie świeciło jaskrawe słońce.

Boże, spraw, by wiatry były pomyślne.

- Wiesz, czułem, że to nadchodzi - powiedział spokojnie Bradford.

- Ale nie w taki sposób. - Jared zdawał sobie sprawę, że specjalnie starał się zapomnieć o przyczynie, dla której Cassie znalazła się w Morland. Nie chciał pamiętać o Deville'u, bo to przypominałoby mu, że Cassie nie należy do niego.

Ale przecież ona należała do niego.

- To mądre kobiety - powiedział Bradford. - Będą ostrożne.

- I to ma być dla mnie pociecha? - zapytał zdenerwowany Jared.

- Nie, to ma być pociecha dla mnie. W tej chwili nic mnie nie obchodzą twoje odczucia.

Jared spojrział na Bradforda i dopiero teraz zauważył, że jego twarz jest blada i poorana. Kiedy indziej współczułby mu, ale nie teraz.

- Myślisz, że to moja wina?

- Nie, nie mogłeś się powstrzymać od poszukiwania Deville'a, tak samo jak one muszą zrobić wszystko, co w ich mocy, aby go ratować. Przeznaczenie, chłopcze - dodał z krzywym uśmiechem.

Przeznaczenie. Jared nie próbował dyskutować. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że sprawy wymykają mu się spod kontroli, że został wciągnięty w ogromny wir zdarzeń, na który nie ma żadnego wpływu.

- Przepraszam, Jaśnie Panie - zwróciła się do niego czekająca przy frontowych drzwiach pani Blakely. - Ale właśnie przybył posłaniec i przyniósł to. - Podała Jaredowi kopertę. - Powiedział, że to bardzo pilne.

- Dziękuję, pani Blakely. - Odebrał kopertę i odesłał gospodynię ruchem dłoni. - Proszę przyjść do biblioteki za piętnaście minut. Chcę pani zlecić kilka ważnych spraw.

- Tak jest, Wasza Wysokość.

Jared rozłamał pieczęć, otworzył kopertę i wydobył list. Czytając czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Przeczytał po raz drugi.

- Co to takiego? - zapytał przejęty Bradford. - Na miłość boską, od kogo?

- Od Guillaume'a.

Kiedy wkrótce po zapadnięciu zmroku Josette zwinęła do małej zatoczki, Jared już tam na nią czekał.

Na jego widok wyraz zmęczenia na jej twarzy jeszcze się pogłębił.

- Musiałam to zrobić. One mnie potrzebowały! - zawołała. Wskoczyła z żagłówki i przycumowała ją unikając jego spojrzenia. - Więc nie wrzeszcz na mnie.

- Nie mam zamiaru wrzeszczeć na ciebie.

- Naprawdę? Jesteś bardzo wyrozumiały. Nie spodziewałam się, że będziesz...

- Gdzie one są?

- We Francji.

Jared odetchnął głęboko.

- Josette, staram się zachować cierpliwość. Gdzie we Francji?

- Wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć. One mi zaufały. To byłoby nieuczciwe.

- Uważasz, że będzie uczciwie, jeśli podetną im gardła i utopia je w Sekwanie?

- Co? Niemożliwe! - krzyknęła przerażona Josette.

- Tak uważasz?

- Nie, oczywiście że nie, ale one... Próbujesz mnie podejść sposobem? - dodała marszcząc czoło.

- Próbuję ci wytłumaczyć, że być może wywiozłaś je na pewną śmierć.

- Wiem, że to niebezpieczne, ale Cassie musi odszukać ojca. - A potem dodała niechętnie: - Zanim ty to zrobisz.

- Charles Deville nie żyje.

Josette spojrzała na niego wstrząśnięta.

- Nie możesz być tego pewien.

- Dziś rano otrzymałem wiadomość od Guillaume'a, mego człowieka w Paryżu.

- Nie sprawiło ci to chyba przykrości. Pragnąłeś jego śmierci.

- Nie chciałem, żeby został zamordowany przez Raoula Cambre. Chciałem, żeby mnie do niego doprowadził.

- Skąd ten Guillaume może o tym wiedzieć?

- Bo go śledził. Guillaume śledził malarza, Jacques-Louisa Davida, który pośpieszył do Raoula Bonille'a po tym, jak złożył mu wizytę mężczyzna mogący być Deville'em. Bonille spotkał się z Deville'em w kawiarni nad Sekwaną. Wtedy widzieli się po raz ostatni.

- Jesteś pewien? - spytała drżąca Josette.

- Guillaume jest pewien.

- A ten David miał z tym coś wspólnego?

- Pośrednio lub bezpośrednio. Znał Raoula Bonille. A Guillaume jest święcie przekonany, że Bonille i Cambre to ten sam człowiek. Bardzo się interesujesz tym Davidem - stwierdził Jared zaglądając Josette w oczy.

- Mówisz prawdę? - spytała Josette. - Nie starasz się mnie nabrać, żebym wydała Cassie i Lani?

- Czy kiedykolwiek cię okłamałem?

- Nie. - Josette oblizwała wargi. - Ale to zupełnie inna sytuacja. Wiem, że zawsze nienawidziłeś Deville'a.

- Chcesz przeczytać list od Guillaume'a?

Josette spojrzała mu w oczy i powoli potrząsnęła głową.

- Nie. Ale muszę być pewna.

- Czy one wspominały coś o Davidzie?

Josette skinęła głową.

- Mówiły o nim na żaglówce. Cassie powiedziała, że ojciec pójdzie najpierw do niego. Miała zamiar skontaktować się z nim zaraz po dotarciu do Paryża

- Chryste!

- Myślisz, że on powie Raoulowi Cambre?

- Nie mam wątpliwości. A Cambre nie chce być odnaleziony. Już zabił człowieka, żeby temu zapobiec.

- Ale Cassie nie chce odnaleźć nikogo innego poza własnym ojcem.

- On naprowadziłby ją na Cambre'a. Czy wiesz, gdzie zamierzają się zatrzymać?

- Same nie wiedziały. Mówiły coś o pensjonacie w pobliżu rezydencji Davida.

Jared odwrócił się i ruszył w stronę zamku.

- Dokąd idziesz? - spytała biegnąca za nim Josette.

- A jak myślisz? Do Paryża. Bradford czeka na mnie na statku.

- Chcę płynąć z wami.

- Zostaniesz tutaj.

- Winisz mnie o to, że są w niebezpieczeństwie. Może i jestem winna, ale cała ta nienawiść wydaje mi się bez sensu. Nie wiedziałam, co się stanie...

- Wiem. - Spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem. - O nic cię nie obwiniam. Może Bradford ma rację i takie jest nasze przeznaczenie, ale nie chcę, żeby ci groziło niebezpieczeństwo. Zostaniesz tutaj i zaopiekujesz się Kapu i Morgana. Cassie nie byłaby zadowolona, gdybyś pozostawiła jej konie chłopcom stajennym, prawda?

- Nie, nie byłaby. Ale nie chcę tutaj zostawać sama. Będę o ciebie niespokojna.

- Może na przyszłość nie będziesz działać tak pochopnie.

- Nie jesteś miły.

- Wcale się nie staram. - Jared jeszcze bardziej wydłużył kroki. - Gdybym nie był taki przerażony sprawiłbym ci porządne lanie.

- Jesteś przerażony? - Josette dała za wygraną i nie próbowała dotrzymać mu kroku. - Nigdy nie przypuszczałam, że możesz się czegośkolwiek bać! - Krzyknęła za nim.

- Więc ciesz się, że uczysz się czegoś nowego - odparł Jared i wszedł do stajni.

Przykro mi, *mademoiselle* - David zwrócił się do Cassie z przeproszającym uśmiechem. - Żałuję, ale nie miałem okazji odnowienia znajomości z pani ojcem. I nie ma w tym nic dziwnego, bo nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

- Ale był pan bardzo bliskim znajomym Raoula Cambre - wtrąciła się Lani. - Mamy powody przypuszczać, że Charles będzie się starał odnaleźć pana Cambre'a.

- To niemożliwe. - David westchnął. - Raoul i ja rozstaliśmy się po wyjeździe Deville'a na Tahiti. Raoul zawsze był samotnikiem.

- Więc pan nie ma pojęcia, gdzie on teraz może być? - spytała Cassie.

- Najmniejszego. - David szybko spojrzał na Lani i zmienił temat. - Jest pani bardzo piękna. Czy Charles kiedykolwiek malował panią?

- Nie, Charlesa interesowało wyłącznie malowanie pejzaży.

- To wielki błąd. W ciągu całej mojej kariery namalowałem tylko jeden pejzaż. Artysta ma do wypełnienia obowiązków wobec siebie i historii. Powinien odzwierciedlać życie. Wszyscy najwięksi ludzie we Francji błagają mnie, bym ich sportretował.

- Ma pan wielkie szczęście - odparła Lani beznamiętnie.

- To nie szczęście, to geniusz. Przynajmniej tak mnie zapewniano. Nawet Napoleon ceni sobie moje...

- Jeżeli ojciec jeszcze się z panem nie skontaktował, wkrótce to uczyni - przerwała mu Cassie. - Zawiadomi nas pan, kiedy to się stanie?

- Bardzo prosimy - wtrąciła się Lani zmieniając żądanie w prośbę. - To dla nas bardzo ważne, proszę pana.

- On do mnie nie przyjdzie. - David zniecierpliwił się. - Już raz wam powiedziałem. Jestem bardzo zajęty człowiekiem. Dlaczego wy wszyscy musicie mi się naprzykrzać... - Przerwał gwałtownie i zmusił się do uśmiechu. - Musicie wybaczyć moje zniecierpliwienie, mieszkaliście przecież z Charlesem. Artysta żyje sprawami ducha, nie zajmuje się prozą życia.

- Chyba że zmusi go do tego Napoleon - rzekła cierpko Cassie. Wstała i podeszła do drzwi. - Będziemy czekać na wiadomość od pana.

- Dziękujemy, że poświęcił nam pan swój cenny czas - dodała Lani.

- Jest rzeczywiście bardzo cenny - powiedział David znacząco. - I nie chciałbym go marnować.

Lani obdarzyła go oszałamiającym uśmiechem.

- Postaramy się nie sprawiać panu kłopotów.

David burknął coś w odpowiedzi i odszedł nie czekając, aż zamkną się za nimi drzwi.

- Myślę, że teraz ja będę rozmawiać. Byłaś nieuprzejma - stwierdziła Lani.

- On kłamał. Ja to wiem. - Cassie ruszyła do wynajętego powozu.

- Nie potrzeba wielkiego znawcy, żeby to stwierdzić. Kłamał bardzo nieudolnie.

- Myślę, że tatuś był u niego.

- Co znaczy, że David kłamie na jego prośbę - powiedziała Lani wsiadając do powozu. - Albo też na prośbę... kogoś innego.

- Masz na myśli Raoula Cambre? - spytała Cassie dając znak stangretowi.

- To możliwe.

- Dobry Boże, mam nadzieję, że nie - odparła Cassie czując, że przejmuje ją chłód. - Wyrzała przez okno i zawołała: - Pojedź za róg i zatrzymaj się.

- Co robisz? - spytała Lani.

- David może teraz pojechać do tatusia, żeby go uprzedzić, że jest poszukiwany. - Wolała głośno nie mówić, jaka inna możliwość przyszła jej do głowy. - Poczekamy i zobaczymy, co zrobi.

- I będziemy go śledzić?

Cassie wyskoczyła z powozu.

- Pójdę do kawiarni naprzeciw rezydencji Davida i będę patrzeć na drzwi. Ty zostań w powozie. Jeżeli wyjdzie z domu, dołączę do ciebie.

I nie czekając na odpowiedź poszła w kierunku kawiarni.

Zapomniałem już, jakim okropnym gustem Guillaume kieruje się w doborze knajp - stwierdził Bradford rozglądając się po zatłoczonej tawernie. - Tyle tu dymu, że w ogóle nie widać sufitu.

- Ani ludzi przy sąsiednim stoliku - dodał Jared. - Co jest bardzo ważne, kiedy się nie chce być rozpoznanym. - Rozejrzał się po sali. - Gdzież on jest, u diabła? Powiedział, że dopóki się z nim nie skontaktuję, będzie tu przychodził co wieczór.

- W takim razie na pewno przyjdzie. Guillaume jest może troszkę nieokrzesany, ale zawsze można na nim polegać.

- Nieokrzesany? Nazywasz mnie nieokrzesanym? - Jared odwrócił się i dostrzegł stojącego o metr od ich stolika Guillaume'a. Brzuchaty Francuz był oburzony. - Nie jestem nieokrzesany. Po prostu jestem zbyt uczciwy, żeby postępować zgodnie z waszymi dziwacznymi, angielskimi manierami.

- Gdzie się podziewałeś? - zapytał Jared niecierpliwie.

Guillaume rzucił okiem na Bradforda.

- Zbierałem informacje od moich nieokrzesanych ziomeków.

- Jakie informacje?

Guillaume milczał spoglądając wyzywająco na Bradforda.

- Przyjmij moje uniżone przeprosiny - mruknął Bradford z westchnieniem.

Guilliamie wzruszył ramionami.

- Po Angliki można się było tego spodziewać.

- Spodziewasz się po nim także, że ci zapłaci za węszenie - dodał Jared. - Jakie wieści o Raoulu Cambre?

- David złożył mu dzisiaj jeszcze jedną wizytę. Mój człowiek, Valbain, twierdzi, że Cambre był bardzo niezadowolony.

- Nikt więcej go nie odwiedzał?

- Nie. Tylko David. I zaraz wyszedł. A potem Cambre także wyszedł i udał się do małego pensjonatu przy rue de Lyon.

- Po co?

- Szukał *mademoiselle* Deville.

- I? - spytał pełen napięcia Jared.

- Nie było jej tam, więc wyszedł.

Jared odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu!

Guilliamie zachichotał.

- Ale gdyby skierował swe kroki dwie przecznice dalej, odnalazłby ją. Valbain powiedział, że gdy Cambre wyszedł z domu, śledziły go dwie damy. Poczekwały, aż wyjdzie z pensjonatu, a wtedy odesłały powóz i poszły tam pieszo.

- Chryste - powiedział Bradford.

- Znacie te damy? - zapytał Gilliaume.

- Znamy - odparł Jared. - Czy Cambre wrócił potem do pensjonatu?

- Nie wrócił tam, zanim wyszedłem na spotkanie z wami. - Spojrzał z wyrzutem na Bradforda. - Oczywiście najpierw zjadłem kawałek chleba z serem. Wiem, że nie chcielibyście, żebym był głodny.

Jared usłyszał tylko pierwszą część jego wypowiedzi.

- Kiedy to było? - spytał.

- Ze dwie godziny temu.

Jared odsunął krzesło.

- Prowadź mnie tam!

- Teraz? - Guilliamie wzruszył ramionami. - Myślałem, że chcesz trafić do Cambre'a. Wydaje mi się, że nie może być wątpliwości co do tego, czy to twój dawny wróg. Dokładnie odpowiada rysopisowi, a na dodatek przyjaźni się z Davidem...

- Później. - Zanim zajmie się Raoulem musi mieć pew-

ność, że Cassie i Lani nie grozi niebezpieczeństwo. Przez całą drogę z Morland wyobrażał sobie, że Cassie jest ranna lub nawet nie żyje, i nie chciał ryzykować.

Guilliamie spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Po tych wszystkich latach poszukiwań? Nie mogę uwierzyć... Och, dobrze, to nie moja sprawa. - Odsunął krzesło i wstał. - Chodźmy. Pensjonat jest o dziesięć minut jazdy stąd.

Cassie znajduje się tak niedaleko, a Guilliamie kazał im czekać dwie godziny! Jared poczuł nagłą wściekłość i miał ochotę rozwalić Francuzowi głowę.

- On nie wiedział, że panie są dla nas ważne - zwrócił mu uwagę Bradford. - Nie trać na niego czasu.

Ważne? Cassie była dla niego najważniejsza na całym świecie, a Guilliamie pozostawił ją bez opieki z deptającym po piętach Raoulem Cambre.

I nadal jest bez opieki. Gniew ustąpił panice. Bradford miał rację. Nie było czasu do stracenia.

Wziął kapelusz i rękawiczki i wyszedł za Guilliamie'em.

Nie chcę tu siedzieć i czekać beczynn timer. - Cassie niespokojnie chodziła po pokoju. - Chodźmy do domu Cambre'a i porozmawiajmy z nim.

- Bezpieczniej będzie, jeśli on przyjdzie do nas.

- Tam może być tatuś.

- Wyobrażasz sobie, że Cambre udzieliłby mu gościny? - Lani potrząsnęła głową. - Jeśli jest taki zły, jak twierdzisz, to na pewno tego nie zrobił.

- A może tatuś jest jego więźniem?

- A może jest zbyt sprytny, by dać się nabrać. - Zamyśliła się. - Charles nie jest głupi. Nie mamy wcale pewności, czy poszedł do domu Raoula.

- Po co się ze mną sprzeczasz? - Cassie zacisnęła pięści. - Wszystko może się zdarzyć. Jared pewnie już jest w Paryżu. Jeżeli Cambre nie znajdzie tatusia, zrobi to Jared.

- Nie sprzeczasz się z tobą. Chcę, żebyś myślała rozsądnie.

- Powinnyśmy były porozmawiać z Cambre'em, kiedy wychodził z pensjonatu. Niepotrzebnie pozwoliłam ci się powstrzymać.

- I co byś zrobiła? Nie miałyśmy żadnego planu. Nie miałyśmy przy sobie broni. Najwyraźniej nasza obecność bardzo

go poruszyła, inaczej nie poszedłby natychmiast do naszego pensjonatu. Jeżeli tu wróci, porozmawiamy z nim w bezpiecznym miejscu i zobaczymy co dalej. - Lani siedziała przy oknie i opierała głowę o parapet. Była bardzo zmęczona. - A teraz przestań wreszcie chodzić z kąta w kąt. Boli mnie od tego głowa.

- Przepraszam. - Cassie zatrzymała się na środku pokoju. - Tylko że... jesteśmy już tak blisko... Boję się o tatusia.

- Nie możemy mu pomóc, jeśli same jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Cassie wiedziała, że Lani ma rację, ale nie mogła się uspokoić. Od czasu kiedy przybyły do Paryża, odczuwała nieustającą panikę, jakby zawisła nad nimi czarna chmura, spowijająca świat mrokiem.

Przeszła przez pokój i usiadła na podłodze u stóp Lani.

- A jeśli nie dotrzemy do tatusia, zanim znajdzie go Jared? - szepnęła. - Nie zniosłabym...

- Och, nie.

Lani wie, pomyślała Cassie.

- To, co czuję do Jareda, nie ma żadnego znaczenia. Myślisz, że przyjechałabym tutaj, gdybym przywiązywała do tego wagę?

- Biedna Kanoa. - Lani czule pogłaskała ją po policzku. - Wybrałaś sobie ciernistą drogę.

- Ja jej nie wybierałam. Nie chciałam, żeby to się stało. - Cassie zamknęła oczy. - To nie w porządku, że kocham ich obydwo. Bóg nie powinien był dopuścić, aby mnie to spotkało. Co będzie, jeśli nie uda mi się powstrzymać Jareda od zabicia tatusia?

- Przeżyjesz to.

Cassie otworzyła oczy i zamrugała, aby powstrzymać łzy.

- Czy ty mnie nienawidzisz?

- Za coś, na co nie masz wpływu? - Lani potrząsnęła głową. - Jak możesz tak myśleć?

- Bo czasami nienawidzę sama siebie. - Cassie uśmiechnęła się z trudem. - Ale cieszę się, że tak nie jest. Myślę, że to by mi złamało serce.

- Jeżeli Cambre nie przyjdzie do nas wieczorem, pójdziemy do niego jutro rano - powiedziała zakłopotana Lani.

Cassie skinęła głową i zerwała się na nogi.

- Zrobimy tak, jak zadecydujesz. Nie chciałabym...

Rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi.

Cassie poczuła ulgę. Cambre. Skończyło się oczekiwanie i będzie mogła coś zrobić.

Przebiegła szybko przez pokój i otworzyła drzwi.

- Chciałem wam zrobić niespodziankę - powiedział ponuro Jared.

Patrzyła na niego w niebotycznym zdumieniu.

- Jak...

- Nie mogłaś się mnie doczekać, prawda? - zapytał i wymijając ją wszedł do pokoju.

- Żebyś go znalazł przed nami?

Za Jaredem wszedł Bradford i zamknął drzwi.

- Rozumiemy was, ale wasz pośpiech był nie na miejscu. - Spojrzał na Lani i dodał: - Wystraszyłaś mnie.

Ku zdumieniu Cassie Lani gwałtownie się zarumieniła.

- Nie prosiłam cię, żebyś się o mnie troszczył.

- Ale ja już dawno sam sobie dałem takie prawo.

- Oszalałaś? - zwrócił się Jared do Cassie. - Po co poszłaś za Davidem do Cambre'a?

- Skąd... Cambre był śledzony?

- Przez człowieka Guillaume'a, Valbaina. - Złapał ją za ramiona. - Trzymaj się z daleka od Cambre'a, słyszysz?

- Słyszę. Ale to nie oznacza, że cię posłucham. - Valbain mógł powiedzieć Jaredowi, gdzie należy jej szukać, ale skąd wiedział, że śledziła malarza? - Jak się dowiedziałeś, że spotkałyśmy się z Davidem?

- Od Josette.

- To nieprawda. - Cassie spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Ona by nas nie zdradziła.

- Zrobiła to, żeby ratować wam życie.

Cassie potrząsnęła głową.

- Nie wierzę ci. Nic by jej nie zmusiło...

- Wiedziała, że to już nie ma znaczenia. - Na twarzy Jareda pojawił się smutek. - Wiedziała, że przyjechałyście tu na darmo.

- O czym ty mówisz? Mój ojciec jest tutaj.

- Już nie. Cholera, jestem najmniej odpowiednią osobą, żeby cię o tym zawiadomić.

Cassie znieruchomiała.

- O czym zawiadomić?

- On nie żyje. - A widząc, że wpatruje się w niego, jakby

nie rozumiała znaczenia słów, powtórzył: - Twój ojciec nie żyje, Cassie.

Poczuła ból i przerażenie. Zniknęła oczy i zachwiała się.

- Zabiłeś go? - wyszeptała.

- Nie! - Jared przycisnął ją do siebie. - Cambre go zabił.

Ból był tak wielki, że nie odczuła ulgi.

- Skąd wiesz?

- Zanim opuściłem Morland, dostałem list od Guillaume'a. Cambre spotkał się z twoim ojcem w zeszłym tygodniu w kawiarni nad Sekwaną. Rozmawiali tam przez dwie godziny. Na początku wyglądało, że są w serdecznych stosunkach. Wyszli z kawiarni śledzeni przez Valbaina. Było bardzo późno. Szli ciemną uliczką wzdłuż Sekwany... - Zamilkł na chwilę. - Nie chciałybyś wiedzieć, co było dalej.

- Owszem, chciałabym. - Powinna się od niego odsunąć, pomyślała, ale jego ramiona były dla niej jedyną pociechą na tym świecie. - Chcę usłyszeć całą prawdę.

- Skreślili za róg i Valbain na chwilę stracił ich z oczu. Kiedy dotarł do rogu, zobaczył Cambre'a wrzucającego ciało twego ojca do Sekwany.

Cassie zdrzała. Po przybyciu do Paryża przekraczała tę rzekę dziesiątki razy.

- Czy zostało... odnalezione?

- Jeszcze nie. - Jared zmilkł. - Guillaume twierdzi, że to nic dziwnego.

- Tatusi odszedł... za grób ma szarą, zimną rzekę. Ominęło cię to - powiedziała znużonym głosem. - Musisz być bardzo rozczarowany, że nie zabiłeś go własnymi rękami.

- Cassie... - Głos Jareda przepełniony był bólem.

- Wyglądasz na zdenerwowanego. Nie rozumiem czemu. Przecież tego właśnie pragnąłeś, prawda? - W końcu znalazła dość siły, by go odepchnąć. - On nie żyje.

- Czego chcesz ode mnie? - Twarz Jareda wyrażała najwyższą mękę.

- On nie żyje, a tego właśnie chciałeś.

- Przestań mi to powtarzać.

- Dlaczego nie mam mówić prawdy? - Po jej policzkach pociekły łzy. - Przecież o to ci chodziło, o jego śmierć. - Okropne słowo, przerażające słowo. - Powtórzyła je jeszcze raz. - Śmierć.

Podszedł do niej.

- Nie dotykaj mnie. Skąd mam mieć pewność, że zabił go Cambre? A może to ty.

- Chcesz przeczytać list od Guillaume'a? - spytał pobladły Jared.

- List, który równie dobrze mogłeś napisać własnoręcznie. Powiedziałeś, że chcesz znowu ze mną sypiać. Jeżeli zabiłeś mego ojca, nigdy do tego nie dojdzie.

- Nie zabiłem go. Nie zaprzeczam, że kiedy spotkałem cię po raz pierwszy, miałem taki zamiar. Nie będę również zaprzeczał, że mógłbym go zabić, gdybym go odnalazł wcześniej niż Cambre. Nienawidziłem go bardzo długo i nie wiem, jak bym postąpił. Ale go nie zabiłem, Cassie - powiedział dobitnie.

Z poczuciem niesmaku zdała sobie sprawę, że bardzo chce mu uwierzyć. Jared nienawidził jej ojca, a ona mimo wszystko kochała go i chciała mu ufać. Na myśl o tym, że zdradzała tatusia nawet po jego śmierci, poczuła mdłości.

- Odejdź ode mnie! - Cassie podbiegła do siedzącej przy oknie Lani i zapłakane padły sobie w ramiona. Lani kochała jej ojca. Lani rozumiała jej ból.

- Jared mówi prawdę, Cassie. - Usłyszała nad sobą głos Bradforda.

Ale Bradford kochał Jareda, więc jemu także nie mogła ufać.

- Wrócimy tu jutro rano - powiedział Bradford. - Mam nadzieję, że do tego czasu zrozumiesz, że cię nie okłamałem. Jesteście tutaj bezpieczne. Guillaume będzie stał na straży. To niewysoki człowiek z wydatnym brzuszkiem. W razie gdyby ktoś wam groził biegnijcie do niego.

Cassie milczała.

- Chodźmy, Bradford.

- Zaczekajcie - powiedziała Lani. - Dokąd idziecie?

Jared zwlekał z odpowiedzią.

- Guillaume przenocuje nas w swoim pensjonacie.

- Macie inne zamiary - stwierdziła Lani. - Chcecie zabić Cambre'a. Dość śmierci na dzisiaj.

Jared nic nie odpowiedział.

- Słyszysz, co mówię? Dosyć tych okropieństw. Dość przemocy. Niech to będzie noc żałoby.

- Dobrze - zgodził się w końcu Jared. - Ale moja obietnica dotyczy tylko najbliższej nocy.

- Jeżeli ten potwór zamordował Charlesa, nie będę cię powstrzymywać. A teraz zostawcie nas same.

- Lani, jeżeli chcesz, zostanę z tobą - zaproponował Bradford.

- Nie potrzebujemy ciebie - odparła chłodno Lani. - Ty nie masz kogo opłakiwać.

Bradford westchnął, a potem Cassie usłyszała jego ciężkie kroki. Wreszcie zamknęły się drzwi.

- Lani... - szepnęła Cassie.

- Ciii... ja wiem. - Lani otoczyła ją ramionami. - Najpierw będziemy opłakiwać stratę, a potem będziemy wspominać Charlesa.

- Wspominać?

- Będziemy rozmawiać o czasach, kiedy kochałyśmy go najgoręcej. - Lani pocałowała ją w czoło. - To nam dobrze zrobi.

- Ja nie mogę... nie mogę teraz rozmawiać.

- Owszem, możesz. Ja zacznę, a ty się przyłączysz. - Głos jej zadrżał. - Ale nie teraz. Teraz nie mogę mówić.

Dopiero po upływie kilku godzin przestały płakać i Lani powiedziała:

- Wiedziałaś o tym, że spotkałam Charlesa na plaży, w dniu kiedy umarli moi rodzice?

- Nie. - Cassie nigdy nie pytała o okoliczności, w jakich Lani wkroczyła w jej życie. Na początku była zbyt rozgoryczona, a potem czuła się tak, jakby Lani była przy niej zawsze.

- Twoi rodzice umarli jednocześnie?

- Zostali zabici podczas burzy, która zwała drzewo na nasze domostwo. Byliśmy bardzo kochającą się rodziną i po ich śmierci czułam smutek taki jak teraz. - Patrzyła w okno nie widzącym wzrokiem. - Charles usłyszał, że zginęli i przyszedł do mnie. Nie znał ani mnie, ani moich rodziców, ale widział, że ich opłakuje. Został ze mną przez cały dzień, rozmawiał ze mną i trzymał mnie za rękę, żeby mnie pocieszyć. Klara powtarzała zawsze, że pragnął jedynie mego ciała, ale to nieprawda. Potem przyszła także namiętność, lecz tego dnia okazywał mi wyłącznie czułość. Następnego miesiąca przychodził do mnie codziennie, a ja stopniowo czułam się coraz lepiej. Będę mu za to wdzięczna do końca życia. - Lani uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Dlatego postanowiłam dać mu coś w zamian. Był wstrząśnięty i zawstydzony,

kiedy go uwiodłam. Bąkał coś, że jestem prawie dzieckiem. A to on był dzieckiem. Potrzebował opieki i miłości. Potrzebował mnie - zakończyła z prostotą.

- Tak, potrzebował cię... zawsze.

- Dla ciebie także był bardzo czuły - szybko powiedziała Lani.

Cassie nie potrzebowała już żadnej zachęty; nagle zdała sobie sprawę, że chce rozmawiać o tatusiu. Ale nie o jednym zdarzeniu, jak to uczyniła Lani. Po prostu o okrucinach troski i miłości, o małych prezencikach, które od niego otrzymywała, o chwilach, kiedy chronił ją przed złośliwością Klary.

- To on dał mi Kapu. Pamiętasz ten wieczór, Lani? Chcieli go zabić, ale ja nigdy bym do tego nie dopuściła. Chciałam im wykraść konia i uciec. Tatuś pocieszał mnie, ale nie mogłam opanować płaczu. Wyszedł z domu bardzo zdenerwowany. - Zamilkła wspominając jego powrót - A kiedy wrócił do domu, prowadził Kapu. Podarował królowi pięć swoich ulubionych obrazów i opłacił sześciu wojowników Kamehamehy, żeby związali i przeprowadzili Kapu poprzez wzgórze i umieścili w stajni. - Pamiętała wszystko tak dobrze, jakby to miało miejsce wczoraj. - Albo ten poranek, kiedy umarła mama. Nie poznałaś jej, ale myślę że polubiłabyś ją. Była zawsze łagodna i miła, i kochała tatusia ponad wszystko na świecie. Tatuś płakał po jej śmierci, ale potem przyszedł do mnie i powiedział, że ona jest wśród aniołów. Uwierzyłam mu, bo ona sama była jak anioł...

Godziny mijały, a one snuły nie kończące się wspomnienia. Kiedy wreszcie nie miały już nic do powiedzenia, rozebrały się i ułożyły do snu w wielkim łożu pod baldachimem.

- Lepiej ci teraz? - spytała Lani przerywając milczenie.

Cassie czuła się zmęczona i jakby pusta, ale może na tym właśnie polegała owa kuracja.

- Tak.

- Byłaś dziś okrutna dla Jareda.

- Nie chcę rozmawiać o Jaredzie.

- Naprawdę mu nie wierzysz?

Powinna. A mimo to rozpaczliwie chciała mu zaufać. Teraz kiedy pierwszy, najdotkliwszy ból przeminał, zdała sobie sprawę, że Jared nigdy jej nie okłamał. Ale jeśli to był wyjątek?

- Nie ma żadnych dowodów na to, że to nie on zabił tatusia.

- Ani na to, że go zabił. Może jutro dowiemy się czegoś więcej. - Lani zamknęła oczy i powiedziała niewyraźnie: - To wszystko jest takie zagmatwane.... Nie można osądzać człowieka nie mając... - Usnęła.

Cassie wpatrywała się w ciemność. Myślała, że jest wystarczająco zmęczona, by od razu zasnąć, lecz leżała zupełnie przytomna.

Nie ma dowodów.

Brak dowodów na to, że Jared nie był mordercą, i na to, że był nim Cambre, a nawet na to, że ojciec nie żyje. Poczula nowe łzy, lecz czas opłakiwania minął. Łzy nie przywróca tatusia do życia ani go nie pomszcza.

Zemsta.

Myśl pojawiła się nie wiadomo skąd, a jednak wcale jej nie zaskoczyła. Jej ojciec został zabity. Poczula nagły przyływ wściekłości i po raz pierwszy zrozumiała kierującą Jaredem potrzebę zadośćuczynienia. Zaczęła się zastanawiać, czy to właśnie owa potrzeba doprowadziła do śmierci ojca.

Ale nie miała żadnych dowodów. Możliwe, że Jared powiedział prawdę. Rzeczywiście mógł to zrobić Cambre.

Cóż, jeśli Jared zabije Cambre'a, ona nigdy nie pozna prawdy.

Zastygła na myśl o tym, że Jared bez wątplenia jutro go zabije. Szukał, odnalazł, a teraz dokona egzekucji. A ona będzie tu siedzieć i beczynn timer czekać, aż Jared zniszczy i Cambre'a, i jedyną możliwość poznania prawdy o owej nocy nad Sekwaną.

Nie może mu na to pozwolić. Najpierw musi porozmawiać z Cambre'em. Oskarżyć go i przyglądać się mu, gdy będzie odpowiadał na jej zarzuty. Wtedy dopiero nabierze pewności.

Ale jeżeli Cambre jest winny, takie spotkanie może okazać się bardzo niebezpieczne.

Czemu się waha? Ryzyko było minimalne w porównaniu z perspektywą życia w niepewności, czy Jared zabił jej ojca.

Spojrzała na Lani, a potem ostrożnie zsunęła się na brzeg łóżka i wstała.

Lani nie poruszyła się.

Cassie włożyła spodnie do konnej jazdy, bluzkę i zakiet. Podeszła do okna, ale zatrzymała się i zawróciła do szafy.

Szylet, który dostała od Josette.

Cassie wyjęła go z pochwy. Ostrze załśniło w bladym świetle księżycy.

Zafascynowana Cassie przez chwilę wpatrywała się weń ze strachem, a potem wsunęła z powrotem do pochwy i umieściła za paskiem spodni. Wyjrzała przez okno. Brak pieniędzy zmusił je do wynajęcia pokoju na drugim piętrze, o oknach wychodzących na uliczkę, gdzie składano śmiecie. Ta lokalizacja mogła się teraz okazać bardzo przydatna.

Guilliamie będzie pilnował pensjonatu od strony frontowego wejścia. W cuchnącej alejce nie będzie żywego ducha.

Wspięła się na parapet, a potem opuściła na kryty dachówkami daszek. Podeszwa zgrzytnęła na dachówce i Cassie zniechęciła się przerażona.

Czy Lani się nie obudzi?

Żadna twarz nie ukazała się w oknie i Cassie odetchnęła z ulgą.

Powoli położyła się na brzuchu i zsunęła po dachu. Po piętnastu minutach dotarła do krawędzi.

Zatrzymała się, by odetchnąć, i spojrzała w dół.

Od ziemi dzieliły ją przeszło trzy metry. A alejka wcale nie była pusta. Coś się tam roiło. W ciemności lśniły czerwone oczy.

Szczury.

Zadrzała na widok niezliczonych gryzoni. Czy rzuca się na nią, gdy wylądję na stercie śmieci?

Ale nie może tu pozostać przez całą noc. Zebrała się na odwagę, chwyciła krawędź dachu i powoli zwiesiła w dół.

Słyszac tupot drobnych łapek zamarła ze strachu.

Skoczyła i opadła na stertę śmieci.

Upadła

Błoto. Odpadki. Po ręce przebiegł jej szczur. Dookoła niej było ich mnóstwo!

Wstała i na ślepo rzuciła się przed siebie.

Spod stóp czmychały szczury. Wpatrywały się w nią lśniące oczka. Ciemna alejka zdawała się ciągnąć całymi kilometrami. Potknęła się i omal nie upadła. Serce waliło jej jak młotem.

Nagle błoto skończyło się i pod stopami poczuła bruk. Dzięki Bogu, dojrzała do bocznej ulicy.

Zatrzymała się pod latarnią gazową. Oddychała z trudem. Wielkie nieba, alejka cuchnęła i ona przesiąknęła tym odo-

rem. Wspomniała nagle swoją wyspę, gdzie wszystko było czyste, wymyte przez morze i wiatry, gdzie ludzie nie żyli jeden nad drugim. Jak jej ojciec mógł dawniej wytrzymać w takim brudzie?

Ale teraz odszedł z tego świata.

Otrząsnęła się ze smutku, który odezwał się na wspomnienie ojca. Traciła cenny czas. Za kilka godzin nadejdzie świt. Cambre mieszka na drugim końcu miasta, a ona musi tam dotrzeć przed Jaredem.

15

Cassie dotarła do imponującej rezydencji Cambre'a przed świtem. Dom tonął w ciemnościach i cała służba spała. To dobrze... Żeby tylko dostać się do środka.

Najpierw drzwi frontowe. Zamknięte.

Czyż mogło być inaczej? Wyprawa nie należała do łatwych. Kiedy już będzie w środku, musi nie zauważona odszukać sypialnię Cambre'a.

Jeżeli wybije okno, usłyszą ją w całym domu. Ogród? Ogródził go wysoki kamienny mur. Taka zaporą może spowodować, że ktoś niedbały pozostawi otwarte okno lub tylne drzwi.

Najwyraźniej jest to noc wspinaczek, pomyślała ponuro Cassie. Dobrze się składa, że będąc dzieckiem spędzała czas na wdrapywaniu się na palmy kokosowe. Ale gładkie, strome i wysokie mury to nie to samo co giętkie, chropowate pnie drzew. Po trzech próbach udało jej się sforsować ogrodzenie.

Przysiadła na szczycie muru i patrzyła na ciemne krzaki i wdzięcznie zarysowaną sadzawkę. Zupełna cisza. Z lewej strony biegła prowadząca na zaplecze, ukryta wśród kępy drzew, ścieżka.

Jak zwykle, zejście było łatwiejsze niż wspinaczka. Cassie zeskoczyła na ziemię i pobiegła w stronę zarośli.

Z lewej strony coś się poruszyło.

Znieruchomiała. Może to tylko złudzenie. Kątem oka spostrzegła tylko niewyraźne... lśnienie.

- Na twoim miejscu nie ruszałbym się. Masz za plecami

pistolet. - Cassie poczuła na kręgosłupie coś twardego i okrągłego.

Cambre. Nie słyszała tego gładkiego, głębokiego głosu od czasów dzieciństwa, lecz nigdy go nie zapomniła.

- Czekałem na pana, panie Guillaume. Miałem nadzieję, że spotkam Jego Wysokość, ale on najwyraźniej lubi się wysługiwać. - Cambre pociągnął nosem. - Wolałbym, żeby emisariusz był mniej cuchnący.

Guillaume? Najwyraźniej zmylił go męski strój Cassie, ale skąd wiedział o Guillaume?

- Zapal latarnię - zwrócił się do kogoś stojącego obok. - Przyjrzyjmy mu się. Chociaż wyobrażam sobie, że nie wygląda specjalnie interesująco.

O, Boże, jak mogła postąpić tak nieostrożnie? Po przejściu przez ogrodzenie powinna była zaczekać i przekonać się, czy w ogrodzie rzeczywiście nikogo nie ma.

Wszystko dlatego, że nie spodziewała się zasadzki. Sądziła, że to ona będzie agresorem.

Za jej plecami rozbłysło migotliwe światło.

- I cóż my tu mamy? - mruknął Cambre. Przeszukał ją i szybko znalazł sztylet.

- Jaka wyszukana broń, o wiele subtelniejsza od mojego prostackiego pistoletu. - Jego dłoń natrafiła na długie, sięgające pasa, włosy. - Nie wydaje mi się, by mi wspomniano, że Guillaume ma takie jedwabiste sploty.

- Obróć się.

Cassie ani drgnęła. Poczuła nacisk pistoletu.

- Lepiej, żebyś mnie słuchał. Mam powody, by zachować przy życiu Guillaume'a, ale ty nie masz dla mnie żadnej wartości.

Obróciła się twarzą do niego.

- Kobieta? Tak sądziłem. Kim też ty możesz być? - Udawał, że się zastanawia. - Moim śladem podążają ostatnio tylko dwie kobiety. *Mademoiselle Deville*?

Zlekceważyła kpiący ton jego głosu i rzekła hardo:

- Chcę z panem porozmawiać.

- A ja z tobą. - Znowu pociągnął nosem. - Ale na odległość. Pamiętam cię jako małą dziewczynkę i muszę stwierdzić, że stan obecny dorównuje zapowiedzi. Przysuń latarnię - zwrócił się do człowieka w cieniu.

Światło osłepiło ją na chwilę, ale nie dlatego znierucho-

miała. Spojrzawszy na trzymającego latarnię człowieka odniosła wrażenie, że ogród zawirował wokół niej.

- Boże miłosierny, nie - wyszeptała.

Pan jest Guillaume? - spytała Lani zatrzymując się przed niskim mężczyzną opartym o witrzynę kawiarni. - Niech mnie pan zaprowadzi do księcia Morlandu.

- Nie mam takiego polecenia.

- Właśnie je pan otrzymał, ode mnie.

- Nie słucham kobiet. Mam obserwować pensjonat i czuć nad waszym bezpieczeństwem.

- Więc nie wywiązał się pan z obowiązku. Cassie zniknęła.

- Niemożliwe. Mam sokole oko. Nikt nie wszedł do pensjonatu.

- Ale ktoś z niego wszedł. Niech mnie pan zaprowadzi do Jego Wysokości.

- Pani próbuje mnie nabrać. - Guillaume pokręcił głową.

Lani westchnęła z rozpaczą. Miała ochotę nim potrząsnąć.

- Więc niech pan pójdzie i zobaczy na własne oczy. Ona zniknęła!

Spojrzała na nią marszcząc czoło, a potem powoli przeszedł przez ulicę.

- Szybciej!

Przyśpieszył odrobinę kroku i zniknął w pensjonacie.

Lani żałowała, że nie udało jej się nakłonić uparciucha do większego pośpiechu. Przepełniał ją paniczny strach i nie miała nastroju do prowadzenia dyskusji.

Tatuś? - wyszeptała Cassie.

- A co, myślisz, że to mój duch? - Charles Deville uśmiechnął się do Cassie, podał latarnię Raoulowi i zbliżył się, by objąć córkę. - Czy sprawiam wrażenie ducha?

Cassie przylgnęła do niego. Był ciepły, silny i żywy.

- Ty... on ciebie zabił.

- Moje drogie dziecko - powiedział Cambre. - Czy wyobrażasz sobie, że zabiłbym swego starego przyjaciela? Złączyliśmy nasze siły, żeby zniszczyć wspólnego wroga.

- Nie rozumiem. - Cassie poczuła zawrót głowy.

Ojciec odepchnął ją.

- Bo to nie twoja sprawa. Nie miałem pojęcia, że jesteś w Paryżu, dopóki nie przyszedł do mnie David z wiadomo-

ścią, że mnie poszukujesz. Powinnaś zostać w domu, tak jak ci kazałem - dodał marszcząc brwi.

- Byłeś tu, kiedy przyszedł David?
- Oczywiście - odparł z uśmiechem. - Zajmuję tu pokój od chwili mojej... śmierci. Przesiaduję w jednym pokoju jest trochę nużące, ale Raoul zaopatrzył mnie w płótna i farby i zacząłem malować widok ogrodu.

- Ale dlaczego? Po co?
- Książę Morlandu stał się zbyt groźny - wyjaśnił Cambre. - Jego człowiek, Guillaume, wypytywał Davida dwa lata temu, i Jacques-Louis wysłał go na poszukiwanie na Tahiti. - Klepnął Deville'a po ramieniu. - Oczywiście bez porozumienia ze mną. Byłem na niego bardzo rozgniewany, za to, że naraził cię na niebezpieczeństwo, mój przyjacielu. Ale powinienem był wiedzieć, że okażesz się zbyt sprytny dla niego.

- Dzięki pomocy Cassie - potwierdził ojciec z uśmiechem.
- Ale kiedy kilka tygodni temu Guillaume powrócił do Davida, domyśliłem się, że coś podejrzewa - powiedział Raoul. - A kiedy po jego wizycie David przyszedł do mnie, Guillaume śledził go. Ponieważ jednak dobrze zatarłem ślady mojej przeszłości, ta wizyta nic mu nie dała. Ale my przekonaliśmy się, że Guillaume jest małym, odpychającym człowieczkiem. Podejrzewając, że mogę go naprowadzić na jakiś ślad, kazał mnie śledzić. - Cambre zacisnął usta. - Nie należę do ludzi, którzy lubią być śledzeni. To mi przeszkadza.

- Raoul, w ogrodzie jest zimno - powiedział ojciec Cassie i skierował ją w stronę domu. - A moje zmartwychwstanie najwyraźniej wywołało u Cassie wstrząs. Nie stójmy na zewnątrz.

- Oczywiście. Jak mogłem być taki niedomyślny? - Raoul ruszył za nimi. - Więc kiedy pojawił się Charles i próbował mnie odnaleźć, uznałem to za szczęśliwy zbieg okoliczności. Ponieważ zajmuję się bardzo delikatnymi sprawami i Danemount zagrażał również mnie, nie mogłem powierzyć zadania podwładnemu. Mógłby mnie potem szantażować. Ponieważ jednak książę Danemount jest niebezpiecznym człowiekiem, mogę potrzebować pomocy. Jakie widzisz rozwiązanie?

- Nie mam pojęcia - odparła Cassie.
- Więc ja ci powiem. Urządzą zasadzkę. Potwierdzam podejrzenia księcia, a jednocześnie zapewniam sobie współnika, któremu na zniszczeniu Danemounta zależy w równym

stopniu co mnie. Dlatego pozwalam, aby szpieg księcia zobaczył jak „morduję” twego ojca. Charles płynie pod wodą, a potem wraca na brzeg i, zgodnie z planem, wraca do mego domu. - Uśmiechnął się do ojca Cassie. - Woda w Sekwanie jest znacznie zimniejsza niż w twoich ciepłych morzach, prawda?

Ojciec skinął głową.
- Za to ubrania, które od ciebie dostałem, są znacznie wygodniejsze od tych, które nosiłem przez wiele lat
- To dla mnie przyjemność - odparł Cambre, a potem zwrócił się do Cassie: - Jak więc widzisz, kiedy książę złoży mi wizytę, natrafi na niespodziewanego przeciwnika. To, czego się nie spodziewamy, jest zawsze najgroźniejsze. Czy nie uważasz, że to bardzo sprytny plan?

Cassie zadrżała.
- Bardzo sprytny.
- Przepraszam, zapomniałem, że damy są aż tak wrażliwe. Ale muszę przyznać, że jestem ciekawy, skąd Cassie wie o twojej rzekomej śmierci. Powiedziałaś mi, że pozostawiłaś ją bezpieczną w domu na Hawajach, a ona zjawia się niespodziewanie i zadaje pytania Davidowi. - Uśmiechnął się do Cassie. - Twój ojciec i ja byliśmy zdumieni. Poszedłem do waszego pensjonatu, aby cię uspokoić, że z ojcem jest wszystko w porządku, ale cię nie zastałem.

Uspokoić? Cassie zastanawiała się, jak przebiegłaby wizyta Cambre'a w pensjonacie, gdyby ją wtedy zastał. Cambre był dokładnie taki sam, jakim go zapamiętała. W jego obecności czuła się jak w pobliżu jadowitego węża.

- Nie widzę w tym nic dziwnego. Przypłynęłam tu za ojcem, ponieważ bałam się o niego.

- Zastanawiam się, skąd wiesz o przedstawieniu, które urządziliśmy nad Sekwaną. Jestem przekonany, że istnieje na to jakieś racjonalne wyjaśnienie, ale tylko wynagęły przez księcia człowiek widział, jak wrzucałem Charlesa do rzeki. Musisz więc mieć jakieś powiązania z Jego Wysokością.

- Przestań ją wypytywać, Raoul. - Ojciec otoczył ramiona Cassie opiekuńczym gestem. - Jestem pewien, że, jak sam powiedziałeś, istnieje na to jakieś racjonalne wytłumaczenie, ale Cassie nie chce go teraz podać. Musi wziąć kąpiel i odpocząć.

Raoul przyglądał jej się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- Masz rację, przyjacielu. Obudzę służbę i każę przygotować wannę z gorącą wodą. Myślę, że znajdzie się jakieś zapasowe ubranie, zamiast tych cuchnących spodni. - Otworzył drzwi i uklonił się Cassie. - Ale nalegam, żebyśmy za godzinę zjedli razem śniadanie. Jeżeli przyjdzie mi czekać choć trochę dłużej, umrę chyba z ciekawości.

Bardzo pożądane, pomyślała Cassie patrząc, jak zapala świecę i odchodzi.

Ojciec nie zwracał sobie głowy świecą. Ujął Cassie pod ramię i poprowadził przez pograżony w ciemności dom. W luksusowej rezydencji Cambre'a najwyraźniej czuje się bardzo swobodnie, pomyślała z rozpaczą Cassie, równie swobodnie jak w obecności Cambre'a.

- Powiedziałem ci, że sam się o siebie zatroszczę - zwrócił się do Cassie. - Miałś zostać w domu. Chciałbym, żebyś wreszcie zaczęła mnie słuchać.

- Nie mogłam. Musiałam ci pomóc. Nic z tego wszystkiego nie rozumiem, tatusiu. Dlaczego czekaliście w ogrodzie? Skąd wiedzieliście, że ktoś nadejdzie?

- Raoul ma wszędzie swoich szpiegów. Wiedział, że książę w końcu zjawi się w Paryżu. Kiedy Guillaume spotkał się w tawernie z księciem i jego stryjem, zostaliśmy o tym bezzwłocznie powiadomieni przez człowieka Cambre'a. - Zatrzymał się i otworzył drzwi. - Raoul był pewien, że po tych wszystkich latach spędzonych na poszukiwaniu, Danemount natychmiast go zaatakuję.

I miał rację. Gdyby nie Lani, Jared wpadłby w zastawioną na niego pułapkę.

- Miałeś go zabić?

- Porozmawiamy o tym innym razem. - Zapalił świecę na stole przy drzwiach, przeszedł przez pokój i zaciągnął blado-niebieskie, jedwabne zasłony. - Czyż dom Raoula nie jest piękny? Bardzo miło z jego strony, że dał mi taki elegancki pokój.

Cassie rozejrzała się dookoła. Cały pokój był utrzymany w bladoniebieskiej tonacji z dodatkami w kolorze kości słoniowej i beżu. Meble miały piękne wykończenie, lecz brakowało w nim żywych barw i ciepła.

- Nie podoba mi się. I on także mi się nie podoba.

Ojciec zdawał się nie słyszeć jej słów. Wpatrywał się w niebo.

- Zaczyna się rozwidniać. Poranki w Paryżu są zupełnie inne, bledsze i bardziej delikatne. Wszystkie kolory są mniej rozedrgane. Ogród Raoula jest piękny, ale brak mi naszych orchidei i kwiatów imbiru.

- Więc wracajmy - powiedziała żarliwie Cassie. - Odejdźmy stąd natychmiast.

- Ja nie mogę - odparł ojciec nie odwracając oczu od ogrodu. - Mam tu coś do zrobienia.

- Nie możesz zabić Jareda. Nie pozwolę ci na to. - Cassie przeszła przez pokój i stanęła obok ojca. - Wiem, że się go boisz, ale nie chcę, żeby został zamordowany.

- *Mon Dieu*, ostatni raz słyszałem w twoim głosie podobne emocje, kiedy król zapowiedział, że zabije Kapu.

- Spójrz na mnie. - Cassie chwyciła ojca za ramię. - Nie możesz tego zrobić. Nie widzisz, że Cambre chce się tobą posłużyć? Ty nie jesteś taki jak on. Nie jesteś mordercą.

- Jestem mordercą - odparł ze smutkiem. - Płynąc statkiem miałem mnóstwo czasu na rozmyślanie. W ciągu minionych lat przekonywałem samego siebie, że jestem niewinny, bo nie miałem bezpośredniego wpływu na te zabójstwa. Ale to kłamstwo. Zabiłem ich.

Cassie patrzyła na niego przejęta grozą.

- Nie mogłeś ich zdradzić. Jared powiedział, że jego ojciec zwrócił się do ciebie, bo pomogłeś uciec innej rodzinie arystokratów.

- To było, zanim złapałem bakcyła. Nie masz pojęcia, jak to jest. To było... zaraźliwe. Wszyscy mężczyźni nosili na kapeluszach trójkolorowe kokardy i opowiadali o swoich wyczynach. Wysiadywaliśmy w tawernach i piliśmy za wolną republikę, za Marata i Dantona. Rysowaliśmy naszych bohaterów i śpiewaliśmy *Marsylianke*. Pewnego wieczoru przyszedł do mnie Raoul i powiedział mi, że mógłbym pomóc republice jak przystało na prawdziwego patriotę. W Komitecie Bezpieczeństwa Publicznego dowiedziano się, że pomagałem w ucieczce rodzinom arystokratów, ale wszystko zostanie mi wybaczone, jeśli udowodnię moją lojalność donosząc im o wszystkim, jeśli zwróci się do mnie następna rodzina. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Miałem żonę i dziecko; wydało mi się, że tak powinienem postąpić. Raoul miał dar przekonywania. Obiecał mi, że każdy arystokrata, na którego doniosę, będzie uczciwie osądzony i jeśli okaże się, że nie

działał na szkodę republiki zostanie tylko wysiedlony ze swojej posiadłości.

Cassie spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- I ty mu zaufałeś?

- Byłem młody i zarażony bakcylem rewolucji.

- Nie tylko hrabia i jego żona zostali ścięci. Ludzie Cambre'a zamordowali także ojca Jareda.

- Raoul mi powiedział, że Jareda, jego ojca i małą córeczkę hrabiego odesłał pod eskortą na ich statek. Niestety po drodze zostali zaatakowani przez bandytów, którzy zabili ojca Jareda. - Spojrzał na córkę. - Wiem, że nie powinienem był uwierzyć w tę bajeczkę, ale tak mi było wygodniej. Obydwoje wiemy, że idę zawsze po najmniejszej linii oporu.

Cassie poczuła mdłości. Rozpaczliwie pragnęła, aby się okazało, że Jared nie miał racji, ale nie była zaskoczona; podświadomie spodziewała się takiej możliwości.

- Miałem nadzieję, że nie dożyję chwili, w której będziesz na mnie patrzyła w taki sposób - powiedział zamyślony. - Nie chcę, żebyś mnie znenawidziła, Cassie.

Nie był zły, tylko słaby i ślepy na zło, które wyrządził.

- Nie czuję do ciebie nienawiści. - Pozwoliła mu się objąć i oparła głowę na jego piersi. Bez względu na to, co uczynił przed wielu laty, był jej ojcem. Pełne miłości wspomnienia, które snuły tej nocy z Lani, w pełni jej to uświadomiły. - Nie mogłabym cię znenawidzić.

Przytulił ją mocniej, a potem odepchnął od siebie.

- Doceniam czułe gesty - powiedział z uśmiechem. - Ale tego odoru nie zniosę ani minuty dłużej. Pójdę sprawdzić, dlaczego służba nie przynosi wanny z gorącą wodą. - Podszedł do drzwi. - A kiedy wrócę, obmyślimy jakieś dobre wytłumaczenie na to, skąd wiesz o mojej rzekomej śmierci. Raoul nie może się dowiedzieć, że jesteś zdrajczynią. Przyjechałaś do Paryża z Danemountem?

- Nie, z Lani.

- Więc może zechcesz mi wyjaśnić, jak się dowiedziałas?

Cassie zagryzła wargi. Co mu powiedzieć? Czy ma opowiedzieć o nocach na „Josephine”? Czy ma mu opowiedzieć o żądzy, która przerodziła się w miłość?

- Nie pozwolę, byś go zabił.

Przyjrzał się jej twarzy.

- Ach, więc to tak? Los płata nam, nieszczęsnym śmiertel-

nikom, dziwne figle. Być może Cambre ma większe szczęście, niż podejrzewa. Jeżeli Danemount darzy cię podobnym uczuciem, może wpaść w zastawioną pułapkę.

Cassie poczuła paniczny strach.

- On tu za mną nie przyjdzie. Nie wie, że tutaj jestem.

A zresztą jemu na mnie nie zależy.

- Niemożliwe - powiedział z czułym uśmiechem. - Jesteś piękną i wyjątkową kobietą, Cassie. Mężczyzna, który nie odpowiedziałyby uczuciem na twoją miłość, musiałby być idiotą, a Danemount nim nie jest.

- Tatusiu, nie próbuj mnie wykorzystywać - szepnęła. - Tego bym nie zniosła.

- A przecież powiedziałaś, że nie potrafiłabyś mnie znenawidzić, Cassie. - Otworzył drzwi. - O, a oto i twoja wanna z gorącą wodą. - Odsunął się na bok, żeby przepuścić pochód służby. - I pośpiesz się, kochanie. Raoul nie lubi czekać.

Jareda obudziło brutalne walenie w drzwi.

- Proszę mnie wpuścić, Wasza Wysokość.

Guilliamie, pomyślał oszołomiony Jared. O co chodzi, do diabła...

Guilliamie miał pilnować pensjonatu Cassie! Jared wyskoczył z łóżka i gwałtownie otworzył drzwi.

- Co się dzieje? O co cho...

- Mamy kłopoty. - Lani odepchnęła Guilliamie'a i weszła do pokoju. - Gdzie jest Bradford?

- W pokoju obok. - Jared wyjrzał za drzwi. - Jesteś sama? Gdzie Cassie?

- Przepraszam, że zabrałem ją ze sobą, Wasza Wysokość. Stałem na ulicy i pilnowałem pensjonatu. A ona podeszła do mnie i zażądała, żebym ją do pana zaprowadził.

- Gdzie jest Cassie? - spytał zaniepokojony Jared.

- Nie wiem. W pensjonacie jej nie ma - odparła Lani.

- Przysięgam, że koło mnie nie przechodziła - zaskowycał Guilliamie. - Kto by przypuszczał, że dama będzie skakać przez okno i tarzać się w śmietniku? To nie moja wina. Miałem jej strzec przed Cambre'em i po to tam stałem.

Jared przełknął przekleństwo i zwrócił się do Lani.

- O czym on, do diabła, gada?

- Może dama zechce zaczekać za drzwiami, dopóki Wasza Wysokość się nie ubierze - wybałał zakłopotany Guilliamie.

- Widywałam już nagich mężczyzn - odparła krótko Lani. - Ale włóż coś na siebie, zaczekamy. Na dole czeka powóz. Nie wiem, jak dawno wyszła.

- Idź obudzić Bradforda, Guillaume. I powiedz mu, żeby się ubrał. - Jared zarzucił na siebie koszulę. - Dokąd ona poszła?

- Jak myślisz, dokąd mogła pójść? - Lani przysiadła na małym stoliku. - Czuję się winna. Powinnam była przewidzieć, że tak się stanie.

- Cambre - powiedział Jared. - Chryste, poszła do Cambre'a. On ją zabije.

- Wzięła sztylet

Drżącymi rękami założył buty.

- Dlaczego nie zaczekała? Dlaczego nie pozwoliła, żebym ja to zrobił? Wiedziała, że mam zamiar go zabić.

- Myślisz, że Cassie chce go zabić przed tobą? - Lani potrząsnęła głową. - Cassie jest zdolna do zemsty, ale nie do morderstwa. Pośpiesz się.

- Robię co mogę. - Jared założył płaszcz. - Więc po co do niego poszła?

- Ma poczucie winy. Ma nadzieję, że otrzyma rozgrzeszenie.

- Mówisz bzdury. - Jared otworzył szafę i wyjął pistolet - Przecież ona nic nie zrobiła.

- Wydaje jej się, że zawiniła. Ona wierzy, że pokochała mężczyznę, który zabił jej ojca.

- Co?

- I ma nadzieję usłyszeć od Cambre'a, że to nie ty go zabiłeś. - Lani uśmiechnęła się ze smutkiem. - Ale on może ją zabić, zanim będzie miała okazję go o to zapytać.

- O co chodzi, Jared? - zapytał Bradford. Był kompletnie ubrany, tylko włosy miał w nieładzie. - Lani?

- Chodzi o Cambre'a. Wytłumaczę ci po drodze. - Podeszedł do drzwi. - Lani, poczekaj tu na nas z Guillaume'em.

- Nie zostanie. - Lani szybko wstała. - Ona jest moją przyjaciółką i siostrą. Mogę się na coś przydać.

- Równie dobrze możesz stać się zawadą, jeśli będziemy musieli dbać o twoje bezpieczeństwo. - Jared zwrócił się do Guillaume'a. - Ona ma tu zostać. Nigdy ci nie wybaczę, jeśli i ona ci się wymknie.

- Chcę iść z wami - Lani zwróciła się do Bradforda.

Bradford potrząsnął głową.

- Nie zapomnę ci tego - odparła z płonącymi oczami.

- Trudno - odparł ze smutkiem. - Nie mogę ryzykować, że cię stracę.

- Nigdy do ciebie nie należałam. Jeśli mnie z sobą nie zabierzesz, nigdy nie stanę się twoja. Pozwól mi pójść. Jestem ci potrzebna.

Na twarzy Bradforda pojawił się wyraz cierpienia.

- Myślisz, że nie wiem, co ryzykuję? Jeśli ci teraz ustąpię, istnieje szansa, że zajmę w twoim życiu miejsce Deville'a. Ze pozwolę sobą kierować i podejmować za siebie decyzje. Będę czerpać z ciebie siły i wykorzystywać twoje uczucie. Ale ja nie jestem taki jak Deville, Lani. Muszę mieć pewność, że jesteś cała i zdrowa, nawet jeśli to nie będzie u mego boku - powiedział i wyszedł z Jaredem z pokoju.

W drodze do powozu milczeli.

- Mamy jakiś plan? - spytał Bradford otwierając drzwi powozu. - Czy może zbyt wiele chcę wiedzieć?

- Jedziemy po Cassie.

- Plan zaiste doskonały. W jaki sposób ją wydostaniemy?

Boże, on także nie wiedział. Wiedział tylko tyle, że nie może pozwolić, aby ją zamordowano.

- Jesteśmy na terenie wroga. Nie możemy ściągać na siebie uwagi - powiedział Bradford. - Cambre także. Być może Cassie wcale nie potrzebuje naszej pomocy. To nadzwyczajna kobieta.

- Jak spokojnie do tego podchodzisz.

- Jeden z nas musi zachować rozsądek. Nie sądzę, żebyś ty to potrafił.

Jared starał się uciszyć paniczny strach.

- Zobaczymy, jak się przedstawia sytuacja i wtedy...

- Książę?

Jared odwrócił się i zastygł na widok mężczyzny wyłaniającego się z mroku.

Wyglądasz czarująco - odezwał się siedzący u szczytu stołu Raoul. - Dama, która ostatnio nosiła tę suknię, nie dorównywała ci urodą.

- Wcale nie jestem czarująca. - Cassie spojrzała obojętnie na suknię barwy morskiej zieleni. - Dlaczego owa dama nie zabrała ze sobą sukni?

- Nie podobała mi się. Kiedy odchodziła, pozwoliłem jej

zabrać tylko to, co miała na sobie. - Wskazał dłonią srebrną paterę z owocami. - Mam nadzieję, że możesz się obejść bez służby. Zwolniłem wszystkich.

- Dlaczego? - zapytał zdumiony Deville.

Cambre zlekceważył jego pytanie i nadal zwracał się tylko do Cassie.

- Byłem pewien, że suknia jeszcze się przyda. Nigdy nie wiadomo, kiedy się będzie gościło inną damę, która może się okazać bardziej chętna. - Uśmiechnął się. - Powiedz, czy Jego Wysokość miał powody, by cię uznać za chętną?

- Raoul! - napomniał go Deville. - To moja córka.

- Córka także może być dziwką.

Cassie zeszytniała z oburzenia. Cambre nadal się uśmiechał, ale jego oczy były zimne i czujne. Gra w kotka i myszkę dobiegła końca. Cambre przeszedł do ataku i Cassie poczuła ulgę.

- Nie jestem dziwką - powiedziała, spoglądając mu w oczy. - I nie wydaje mi się, żeby Jego Wysokość uważał mnie za chętną.

- Ale powiedział ci...

- Że mój ojciec został zabiły - dokończyła za niego. - Tak.

- I wysłał cię tu, żebyś dokonała zemsty?

- Nie jestem na jego posyłki. Przyszłam tu, bo sama tego chciałam.

- Możesz sobie wyobrazić, że robisz to, na co masz ochotę, ale sprytny mężczyzna potrafi tak pociągać za sznurki, że kukiełka wcale tego nie zauważa.

- Tak jak pan?

- Jestem prawdziwym mistrzem w tej dziedzinie. - Wsunął do ust cząstkę pomarańczy. - Miałaś zamiar zadźgać mnie tym pięknym sztyletem?

- Niewykluczone.

Cambre zachichotał i zwrócił się do ojca Cassie.

- Odważna dziewczyna. Ale wydaje mi się, że masz dodatkowy powód, żeby pozbyć się naszego starego wroga. Jest najzupełniej jasne, że zhańbił tę słodką *jeune filie*.

- Dla mnie nie jest jasne - odparł ojciec Cassie.

- Cóż, chodźmy go spytać. - Raoul wstał od stołu. - Czekaj w bibliotece.

Cassie poczuła, że serce skoczyło jej do gardła.

Cambre przyglądał się jej.

- Myślę, że skłamałaś. Jego Wysokość z pewnością uznał cię za bardzo chętną.

Cassie rozpaczliwie starała się zachować kamienną twarz.

- To bluff. On nie może być tutaj.

- Ależ jest. Posłałem po niego dziś rano.

- Nie powiedziałaś mi o tym - stwierdził Deville wstając powoli od stołu. - Nie powinieneś mieć przede mną sekretów, Raoul.

- Kazałem mu przyjść natychmiast i bez uzbrojenia, bo inaczej podetnę ci gardło - powiedział Cambre zwracając się do Cassie. - Nie byłem pewien, czy okażesz się dla niego wystarczająco cenna, ale sprawił mi miłą niespodziankę.

- Bez uzbrojenia? Tego by nie zrobił. On pana nienawidzi. I to jest dla niego najważniejsze.

- W takim razie jest nadzwyczajnie rycerski. - Cambre podszedł do drzwi. - Chcę, żeby to się wreszcie skończyło. - Przyprawdź ją, Charles.

- Sama pójdę. - Cassie odsunęła krzesło i ruszyła za Cambre'em. Zdawało jej się, że to koszmarny sen. Jared został schwytany i to z jej powodu. A teraz pewnie zginie.

Nie, nie może na to pozwolić.

Cambre otworzył drzwi do biblioteki i przepuścił Cassie przodem.

- Proszę. Nie chcemy, aby Jego Wysokość niepokoił się o ciebie dłużej, niż to konieczne. To byłby brak uprzejmości.

Jared siedział w fotelu naprzeciw drzwi. Zobaczywszy Cassie, ośłupiał.

- Nic ci nie jest?

- Nie powinieneś być tu przychodzić - wyszeptła. - Po co przyszedłeś?

- Musiałem. - Jared uśmiechnął się. - On ma coś, bez czego nie mogę się obejść.

- Jesteś szalony. On cię zabije.

- Nie są to czule słowa, których mężczyzna oczekuje w ostatniej godzinie życia - powiedział Cambre popychając Cassie do biblioteki. - Zwłaszcza że się dla ciebie poświęcił. Niewdzięcznica.

- Przyszedłem - powiedział Jared lodowatym tonem. - Więc pozwól jej odejść. Bradford czeka na ciebie - zwrócił się do Cassie. - W powozie. Zabierze cię do Lani.

- Nie mogę cię tu zostawić.

- Ona ma rację. Nie może cię zostawić. - Cambre wyjął pistolet.

- Co mówisz, Raoul? - Do biblioteki wszedł ojciec Cassie. - Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Deville? - Jared spojrział na niego zdumiony.

Charles nie zwracał na niego uwagi.

- Zastawiłeś pułapkę na Danemounta. Nikt inny nie może uciec.

- Czasami niewinni odchodzą wraz z winnymi - odparł Raoul zamykając drzwi na klucz. - A ona wcale nie jest niewinna. Była gotowa cię zdradzić. Była dziwką twojego wroga.

- Nigdy cię nie zdradziła - powiedział Jared. - Na miłość boską, czyżbyś jej nie znał? Przepłynęła przez pół świata, żeby cię ratować.

- Nie musisz mi mówić, jaką mam córkę.

- Więc powiedz Cambre'owi, żeby dał jej spokój, i odeślij ją stąd.

Deville zwrócił się do Cambre'a.

- Najpierw zajmijmy się Danemountem, a potem porozmawiamy o Cassie. Daj mi pistolet. Ja to zrobię.

- Zrobiłeś się bardzo odważny - odparł Raoul. - Przypuszczałem, że będę to musiał zrobić własnoręcznie.

- Zbyt długo uciekałem, Raoul. Chcę z tym wreszcie skończyć. Nawet jeśli pomożesz mi zacząć od nowa, on znów mnie dopadnie.

- Nie! - Cassie stanęła pomiędzy Cambre'em i Jaredem. - Po moim trupie.

- Odejdź stąd, Cassie - powiedział Jared.

- Sam widzisz, Charles, nie mogę ci dać pistoletu. Nie miałbyś dość odwagi, żeby zastrzelić córkę, aby osiągnąć Danemounta. - Cambre uniósł pistolet i wymierzył w pierś Cassie. - Podczas, gdy ja nie mam takich obiekcji.

Teraz umrze, pomyślała. Nabój rozedrze jej ciało i położy kres jej życiu.

- Raoul, nie zrobisz tego. - Deville podszedł do Cambre'a. - Daj mi pistolet.

- Odejdź! - Cambre nie nacisnął na spust, ale jego głos zabrzmiał ostro. - Zrobię to. Jak widzisz, zaopatrzyłem się w dubeltówkę. To bardzo przydatna broń, kiedy się nie wie, kto jest wrogiem. Daję ci minutę na usunięcie tej suki z linii ognia, a potem naciskam spust.

Jared przesunął się w stronę Cassie.

- Odejdź stąd.

- Nie bądź głupi, nie mogę tego zrobić. - Znowu stanęła przed nim i objęła go ramionami. Spróbował się wyrwać, ale trzymała go z całych sił.

- Jakież to wzruszające - odezwał się Cambre. - Zupełnie jak Romeo i Julia tego waszego Szekspira, prawda Wasza Wysokość? Zdaje się, że sztuka ma podobne zakończenie.

Cassie czekała na wystrzał.

- Powiedziałaś, że mogę odsunąć Cassie - przypomniał Deville. - Dotrzymaj obietnicy.

- Proszę bardzo. Ale szkoda by było popsuć taki... och, ty sukinyń!

Cassie odwróciła się i zobaczyła, jak ojciec rzuca się na Cambre'a.

Sekundę potem obaj znaleźli się na podłodze i walczyli o pistolet.

Jared odepchnął Cassie i rzucił się w kierunku walczących.

Strzał.

Na dywanie rozprysła się krew.

Czyja krew? Matko Boska, czyja to krew?

- Szalencie! - Cambre zepchnął z siebie ojca Cassie. Deville stoczył się bezwładnie ściskając w rękach broń, z której został zastrzelony. Cambre sięgnął po pistolet, lecz Jared był szybszy, przypadł do Cambre'a i zacisnął mu palce na gardle.

- Puść mnie. - Cambre wczepił się w rękę Jareda. - Możemy dojść do... porozumienia. Mam możliwości. Mogę...

Cassie zdała sobie sprawę, że Jared go dusi. Nigdy dotąd nie widziała morderstwa. Wydawało jej się, że powinna odczuwać przerażenie... cokolwiek. Nie odczuwała nic prócz dziwnej satysfakcji i żalu, że nie doszło do tego wcześniej. Przed strzałem, który odebrał jej ojca. Przeszła przez pokój w kierunku ciała ojca..

- Przestań... - wycharczał Cambre. A potem nastąpiła cisza.

Cassie przykłęka obok ojca. Jego skóra była blada, biała koszula przesiąknięta krwią.

- Och, tatusiu, nie...

Otworzył oczy.

Zdumiona zachłysnęła się powietrzem. On żył!

- Nie chcę... umierać...
 - Nie umrzesz. - Przygarnęła go do siebie. - Nie pozwolę na to.
 - Czy Raoul... nie żyje? Zabiłem go?
 - Ciii... tak.
 - Musiałem to... zrobić. Wiem, że... nie dałby mi spokoju... nigdy... Nie mogłem... zabić... Danemounta. - Pogłaskał ją po policzku. - Lani.
 - Nie ma jej tutaj. Zobaczysz ją później.
 - Zaopiekuj się... Lani. Ja nigdy... nie troszczyłem się o nią. Żle. Tyle zła...
 - Ciii, Lani cię kocha. Ja cię kocham.
 - Błogosławię... Niech Bóg ma was... -Jego powieki opadły, a ciało przebiegł dreszcz.
 Odszedł.
 Z oczu Cassie popłynęły łzy. Milcząc kołysała go w ramionach.
 - Cassie... - Jared położył jej dłoń na ramieniu. - Musimy stąd wyjść. Ktoś mógł usłyszeć wystrzał.
 Przycisnęła do siebie ciało ojca.
 - Nie ruszę się stąd bez niego. On tu nie może pozostać.
 - Wcale tego nie sugerowałem - odparł łagodnie. - Poczekaj tu na mnie. Pójdę do powozu i wyślę Bradforda po wózek
 - Zupełnie jakbym straciła go po raz drugi - wyszeptała Cassie.
 Jared ścisnął jej ramię i cofnął rękę.
 - Zaraz wracam.
 Patrzyła, jak opuszcza bibliotekę. A potem jej wzrok powędrował ku skurczonym zwłokom Raoula Cambre. Miał szeroko otwarte, wychodzące z orbit oczy. Nie miał łatwej śmierci. I dobrze.
 Spojrzała na ojca. Jego śmierć także nie była lekka, ale wyraz twarzy miał pogodny. Czyżby otrzymał rozgrzeszenie za ten ostatni akt poświęcenia? Miała nadzieję, że tak się stało. Niechaj spoczywa w spokoju, modliła się za niego.
 Przebac mu.
 I pozwól, aby on wybaczył sobie.

16

Dzięki staraniom Jareda Charles Deville został pochowany rankiem następnego dnia na cmentarzu w małym miasteczku pod Paryżem. Przy pomocy Guillaume'a udało mu się nawet pozyskać miejscowego księdza.

Cassie nie płakała na pogrzebie. Czowała się jak zmrożona i nie była w stanie o niczym myśleć.

- Możemy tu zostać na noc - powiedział Jared pomagając jej wsiąść do powozu. - Nie musimy wyjeżdżać.

Cassie domyśliła się, że Jared robi to dla niej. Nie zdawał sobie sprawy, że człowiek spoczywający w tym grobie nie jest już jej ojcem. Jej ojciec przebywał teraz gdzie indziej. Zmęczona opadła na miejsce obok Lani.

- Chcę stąd wyjechać.

Przyjrzał się jej twarzy i skinał głową.

- Dobrze. Od razu pojedziemy na wybrzeże. - Odszedł i wsiadł na konia.

Kiedy powóz ruszył, Lani położyła dłoń na ręce Cassie.

- Masz rację. Wyjechać jest o wiele rozsądniej. Po pożegnaniu nie należy oglądać się za siebie.

Cassie uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Oni nie mogą zrozumieć naszej wiary. Anglicy wyobrażają sobie, że całymi miesiącami będziemy nosić czarną żałobę i afiszować się ze smutkiem.

- Może Jared jest bardziej wyrozumiały, niż ci się wydaje.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Chcesz go trzymać na dystans. - Lani ze zrozumieniem skinęła głową. - Myślisz, że nie jest w stanie zapomnieć o przeszłości. Ale winę ponosi twój ojciec, nie ty.

Ale czy Jared kiedykolwiek spojrzy na nią nie dostrzegając jej ojca i sceny, która rozegrała się w Danjuet? Teraz, kiedy pogodziła się z winą ojca, wydawało jej się niepodobieństwem, że Jared mógł jej w ogóle dotknąć.

- Nawet jeśli uda mu się zapomnieć, nie ma dla nas przyszłości. Ja nie mogłabym... To niemożliwe... - Zamilkła, a potem dodała szeptem: - Nie jestem taka wspaniałomyślna jak ty, Lani. Nie umiałabym dzielić jego łoża, a nie dzielić z nim życia. Ja chcę mieć wszystko. Nie umiałabym być kochanką księcia.

- Nie, nie umiałabyś. - Lani ścisnęła ją za rękę. - Powiem Jaredowi, że chcesz wracać do domu.

Cassie wiedziała, że on się na to nie zgodzi. Musi schodzić mu z drogi i nie rzucać się w oczy. To nie powinno być trudne. Jak powiedziała, angielskie obyczaje wymagały długiego okresu żałoby. Wprawdzie Jared cieszył się opinią człowieka lekceważącego tradycje, ale takie postępowanie było wpajane od dzieciństwa.

- Muszę natychmiast wyjechać.

- Tak będzie lepiej dla nas obydwu - zgodziła się Lani. - Teraz nie mamy z tymi ludźmi nic wspólnego.

Josette wyszła im naprzeciw, gdy zajechali na podwórzec w Morland.

- Wszystko w porządku? Gniewacie się na mnie? Musiałam mu powiedzieć, Cassie. On twierdził, że zagraża wam niebezpieczeństwo, a poza tym uznałam, że to nie ma znaczenia, skoro...

- Nie gniewam się. - Cassie gestem dłoni pohamowała potok słów Josette. - I rozumiem. Ale jestem bardzo zmęczona i chciałabym teraz odpocząć. - Weszła na schody. - Czy Kapu ma się dobrze?

- Tak. - Josette przyglądała się jej zaskoczona. - Nie chcesz go zobaczyć?

- Później. - Weszła do zamku.

- Daj jej na razie spokój, Josette - powiedziała Lani. - Jest w żałobie. Wczoraj pochowałyśmy jej ojca. - A potem zwróciła się do Jareda: - Rozmawiałam z Cassie po pogrzebie. Pora wracać do domu. Czy mógłbyś nam zorganizować podróż?

- Nie bądź głupia - odparł Jared grubiańsko. - Sam was odwożę.

- To nie jest konieczne.

- Dla mnie jest.

- W takim razie zrobmy to od razu. Cassie potrzebuje teraz swojskiego otoczenia.

- Muszę mieć co najmniej tydzień na uporządkowanie spraw i przygotowanie „Josephine” do tak długiego rejsu.

- Więc zabierz się do tego natychmiast - Lani odwróciła się i weszła do zamku.

Jared patrzył na nią zaciskając pięści. Nie może tego tak zostawić. Musi pocieszyć Cassie. Pragnął przytulić ją i zapewnić, że wszystko znowu będzie dobrze. Musiał coś zrobić.

- Nie tak prędko, chłopcze - powiedział Bradford zsiadając z konia. - Cierpliwości. Ona nie jest jeszcze gotowa.

- Wiem o tym. - Jared zsunął się z konia i rzucił lejce Joe'mu. - Nie jestem kompletnym idiotą. - Ruszył w kierunku stajni.

Josette pobiegła za nim.

- Dokąd idziesz?

- Przejadę się konno.

- Mogę pojechać z tobą?

Jared nie życzył sobie towarzystwa. Czuł się tak samo osaczony i wystraszony jak Kapu, kiedy go wciągnięto na pokład "Josephine".

- Proszę - wyszeptła Josette.

Jared skinął głową. Josette nie była przecież winna niczemu, co się wydarzyło.

- Chodźmy.

- Myślisz, że Cassie miałaby coś przeciwko temu, że wezmę Kapu? Jeździłam na nim odkąd wyjechała.

- Nie będzie miała. - Chryste, poczuł, że zazdrości Josette. Cassie nigdy nie pozwoliła mu dosiąść swego ogiera, nigdy nie odnosiła się do niego po koleżeńsku, jak do Josette. Dzieili ich zawsze wrogość i brak zaufania. Nawet to ostatnie, okropne spotkanie z Cambre'em spowodowane było ich wzajemną nieufnością.

- Powiedziałeś, że zabierasz Cassie do domu. Mogę płynąć z wami?

Jared potrząsnął głową.

- To zbyt długa podróż.

- Spodziewałam się, że tak mi odpowiesz. - Josette przygryzła wargę. - Nie chcę, żebyście stąd wyjechali.

- Słyszałaś, co powiedziała Lani. Musimy. - Josette była

taka zmartwiona, że otoczył ją ramieniem. - Będiesz tu miała mnóstwo zajęć. Chcę, żebyś pomagała pani Blakely i mojemu zarządcy w prowadzeniu domu i posiadłości.

- Oni nie potrzebują niczyjej pomocy. Ja naprawdę chcę z wami popłynąć, Jared.

Jared ponownie potrząsnął głową.

Josette westchnęła.

- Nie dasz się przekonać, prawda?

Pocałował ją w czubek głowy.

- Nie tym razem.

Wzruszyła ramionami.

- W takim razie dam spokój. - Otworzyła drzwi stajni i twarz jej pojaśniała. - Przynajmniej nie muszę wracać do szkoły. Jestem pewna, że znajdę sobie jakieś zajęcie.

Jared skrzywił się.

- Ja także jestem tego pewien. Boże, miej nas w swojej opiece.

W stajni powitały Cassie znajome zapachy. Złagodziły smutek i ból po doznanej stracie. Kapu zarżał cichutko, kiedy do niego podeszła.

- Witaj, koniku - wyszeptła głaszcząc go po nosie. - Miło cię znowu widzieć. Nie miałam zamiaru zostawiać cię na tak długo. Stęskniłeś się za mną?

- Stęskniłem - odparł Jared.

Cassie zastygła, a potem odwróciła się i zobaczyła, jak wyłania się z mrocznego cienia.

- Co ty tu robisz?

- Czekam na ciebie. - Stanął naprzeciw niej. - Od ośmiu dni, ale wiedziałem, że w końcu tu przyjdiesz. Czekam na ciebie co wieczór. Mnie możesz lekceważyć, ale nie Kapu.

- Jutro wyjeżdżamy, więc chciałam, żeby wiedział, że jestem przy nim. Wiesz, że nie znosi statków.

- Nic mu nie będzie. Obok niego, umieścimy w ładowni Morganę. Cassie, ja...

Szybko zwróciła się w stronę ogiera.

- Tak dawno go nie widziałam. Tyle się wydarzyło...

- Tak. - Zamilkł, a potem dodał z rozmysłem: - Zabiłem człowieka i twój ojciec nie żyje. - Podszedł bliżej. - Ale przecież wiesz, że nie zabiłem twego ojca, więc dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać?

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Mamy sobie mnóstwo do powiedzenia. Omal nie zginęłaś, ratując mi życie, a teraz uważasz, że nie jestem wart jednego słowa?

- Chciałam spłacić mój dług wobec ciebie. Nie musiałeś przychodzić, kiedy Cambre po ciebie posłał.

- Oczywiście, że musiałem przyjść. - Odwrócił ją ku sobie.

- Przestań wpatrywać się w tego ogiera. Próbuję powiedzieć ci coś ważnego.

- Nie chcę tego słuchać.

- Ale i tak mnie wysłuchasz. Tym razem nie pozwolę ci odejść. Sprawy zaszły za daleko. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Wiem, że to nie jest odpowiednia chwila, ale nic nie mogę na to poradzić. Przyszedłem wtedy do rezydencji Cambre'a, bo jesteśmy sobie przeznaczeni i nie chcę bez ciebie żyć. A ty dlatego zasłoniłaś mnie własnym ciałem. Należymy do siebie i nie pozwolę ci odejść z powodu tego, co wydarzyło się kiedyś. Nie będę wspominał twego ojca z wdzięcznością, pomimo że uratował mi życie. Ale nigdy nie powiem o nim złego słowa. To już przeszłość. Zaczniemy wszystko od nowa. - Odetchnął głęboko. - Tylko tyle chciałem powiedzieć. Nie będę cię do niczego zmuszał. Wiem, że potrzebujesz czasu, aby wyleczyć rany. Chciałem tylko... - Zamilkł, a potem wybuchnął: - Nie unikaj mnie. Nie mogę tego znieść, do cholery. - Puścił ją i ruszył do wyjścia

- To niemożliwe. - Cassie nie wytrzymała. - Myślałam, że jestem taka jak Lihua i Lani, ale okazuje się że jestem bardziej niż one samolubna. Nie mogę żyć...

- W Morland? - przerwał jej Jared. - Więc przez pół roku będziemy mieszkać na twojej wyspie.

- Nie o to mi chodzi. Nie mogę być twoja... kochanką.

Patrzył na nią w najwyższym zdumieniu.

- Mój Boże, nie słyszałaś, co powiedziałem? Nie potrzebuję kochanki, ja chcę mieć żonę! - Wyszedł ze stajni trzaskając drzwiami.

Patrzyła na drzwi z niedowierzaniem. W głowie wirowały jej usłyszane słowa.

„Jesteśmy dla siebie stworzeni”.

„Nigdy więcej nie pozwolę ci odejść”.

„Ja chcę mieć żonę”.

Powiedział dokładnie to, co pragnęła usłyszeć. Słowa, które były niedozwolone od czasu ich pierwszego spotkania.

Nie mogła go o nic obwiniać, bo sama także ich nie wypowiedziała.

Podeszła do Kapu i przytuliła twarz do jego szyi. Czują przenikające ją ciepło, od którego topniał smutek. Zacząć od nowa... Wielkie nieba, jakże pragnęła zacząć z Jaredem wszystko od nowa. Teraz, natychmiast.

Nie, jeszcze nie. Anglicy uważali, że była w żałobie, a tym samym nietykalna. Ten zwyczaj był jej na rękę, gdy pragnęła unikać Jareda, ale teraz zastanawiała się, jak go pozbawić tych skrupułów.

„Josephine”.

Uśmiechnęła się i czule pogłaskała Kapu.

Och, tak. Oczywiście na "Josephine”.

Nazajutrz, kiedy opuszczali zamek, stojąca samotnie na podwórku Josette wyglądała tak żałośnie, że Cassie omal nie pękło serce.

- Będę za nią tęskniła - powiedziała mrugając powiekami, żeby powstrzymać łzy.

- Ale może Jared pozwoli jej nas odwiedzić - odparła Lani.

Cassie spojrzała na Jareda, który wraz z Bradfordem,jechał przed nimi konno. Lani ma rację, pomyślała radośnie, nie rozstają się na zawsze.

- O co chodzi? - Lani przyglądała się jej z uwagą. - Nagle stałaś się taka radosna.

- Cieszę się, że wracamy do domu.

- Nie, to coś więcej. Powiedz mi.

- Nie ma o czym mówić - odparła z uśmiechem.

Ale wkrótce będzie. Na tę myśl ogarnęła ją nowa fala radości i nagle poczuła się lekka jak ptak. Najpierw jednak musiała załatwić coś innego.

- Czy już ci mówiłam, że tatuś kazał mi się tobą zaopiekować?

- Nie. - Lani najwyraźniej uznała ten pomysł za dziwaczny.

- Powiedziałaś mi tylko, że mówił o mnie z uczuciem. Nie potrzebuję niczyjej opieki.

- Nie potrzebujesz, ale zasługujesz na nią. - Cassie uśmiechnęła się. - A zresztą jest to zadanie przekraczające moje siły. Myślę, że powinniśmy przekazać je komuś innemu. - Spojrzała na Bradforda. - Wydaje mi się, że ten chłopak da się lubić.

- Nie można go nazwać chłopakiem.

- Zaleca się do ciebie.

- Zbyt wiele pije.

- Już nie. Nie widziałam, żeby wypijał więcej niż jeden kieliszek wina.

- Jest uparty i przekorny.

- Więc nie będzie nudny.

- Zmusi mnie, żebym przesiadywała w jego posiadłości, kiedy będę miała ochotę pojechać do ciebie. Mówi, że mnie potrzebuje, a nie chce przyjąć mojej pomocy. Powiedziałam, że nigdy mu tego nie wybaczę.

- To straszne - odparła Cassie z powagą. - Nic dziwnego, że nie odzywasz się do niego od czasu śmierci tatusia.

Lani przez dłuższą chwilę milczała

- Jestem Polinezyjka - rzekła w końcu. - Widziałas, jak ludzie odnosili się do mnie na balu u tamtej kobiety. Nie mogę mu tego zrobić.

Cassie wiedziała, że dotarły do sedna sprawy. Wszystkie wymówki służyły ochronie Bradforda.

- Mówiłaś mi zawsze, że trzeba być sobą i nie przejmować się innymi. Okłamywałaś mnie?

- Nie. Nie okłamywałam - odparła Lani. - Ale nie mogę go ranić.

- Zranisz go zmuszając, aby cię zostawił w spokoju.

- Nie chcę o tym rozmawiać - powiedziała Lani drżącymi ustami.

- Więc nie rozmawiaj, tylko coś zrób. Nie należysz do kobiet, które rezygnują z życia. Wyjdź mu naprzeciw.

- Pomyślę o tym.

Cassie nie powiedziała nic więcej. Zasiała ziarno, ale wiedziała, że Lani nie zniesie otwartej ingerencji w swoje sprawy.

Cassie powiedziała, że chcesz ze mną porozmawiać.

Lani przyglądała się, jak Cassie i Jared sprowadzają konie do ładowni. Odwróciła się, obok niej stał Bradford. Miał pełen żarliwości, chłopięcy wyraz twarzy i Lani poczuła, że coś topnieje w jej wnętrzu. Miała ochotę skarcić Cassie.

- Musiała się pomylić.

Bradfordowi z rozczarowania zrzędała mina i Lani poczuła nagłą chęć, by go przytulić i pocieszyć.

- Powiniennem być się domyślić, że jest jeszcze zbyt wcześnie - powiedział zmuszając się do uśmiechu. - Przecież jesteś w żałobie.

- Nie - powiedziała. - Charles pozostanie przy mnie na zawsze, lecz okres żałoby dobiegł końca.

- Ale nie chcesz być ze mną.

Potrząsnęła głową.

- W takim razie będę czekał. Choćbym miał czekać do końca życia.

Lani wiedziała, że to prawda. Spojrzała na niego ze smutkiem.

- Jak mam cię odwieść od tego zamiaru? Pochodzimy z dwóch różnych światów.

- To prawda. Czyż to nie jest interesujące?

- Nie, to okrutne i...

- Ty płaczesz - powiedział zdziwiony.

- Bo ci współczuję.

- I sobie samej.

Milczała przez chwilę.

- I sobie samej - powiedziała wreszcie ledwie dosłyszalnym głosem.

Twarz Bradforda rozjaśnił promienny uśmiech.

- Ty mnie kochasz.

- Mam... dla ciebie nieco uczucia

- Kochasz mnie.

- Dobrze, kocham cię - wybuchnęła. - Jesteś zadowolony?

- Cofnęła się szybko, bo wyciągnął do niej rękę. - Nie!

- Nie będę cię ponaglał, skoro sobie tego nie życzysz.

Lani rozpaczliwie pragnęła jego dotyku, ale obawiała się, że w ramionach Bradforda zupełnie się zatraci. Musi panować nad sytuacją, bo on gotów jest zniszczyć samego siebie.

- Nie dasz się przekonać, że to niemożliwe?

- W ciągu najbliższych stu lat na pewno nie.

- Więc dobrze. - Lani oblizała wargi. - Pozwalam ci przy mnie zostać, ale na moich warunkach. Nie pobierzemy się.

Bradford patrzył na nią w milczeniu.

- Będziemy rozmawiać. Chodzić na spacer. Grywać w karty i w szachy.

- Jak sobie życzysz. Czy to wszystko?

- Będziemy ze sobą sypiać.

Bradford uśmiechnął się z zachwytem.

- Co jeszcze?

- Dzieci. Przepadam za dziećmi. A kiedy mnie porzucisz...

- Ja także przepadam za dziećmi.

- Ale niech ci się nie wydaje, że musisz ze mną zostać z powodu dzieci. Ludzie w moim plemieniu lubią dzieci nie dlatego, że przysięgali sobie w kościele.

- Nie będę sobie wyobrażał, że muszę przy tobie zostać - obiecał. - Coś jeszcze?

Lani potrząsnęła głową.

- Ale pamiętaj, żebyś nie wspominał o małżeństwie.

- Och, nie będę. - Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

- Przez długi, długi czas. Może kiedyś, po naszym trzecim dziecku.

Spojrzała na niego z rozpaczą. Cóż można począć z mężczyzną takim jak on?

Musi go kochać, opiekować się nim, być z nim.

Musi powrócić do życia.

Wzięła go za rękę.

Niebo przecięła błyskawica.

Nie dzisiaj, modliła się Cassie. Konie zostały umieszczone w ładowni bez trudności, ale w czasie burzy nie będzie ich można pozostawić bez opieki.

Burza była bardzo daleko. Może jeszcze przejdzie bokiem.

Zatrzymała się przed kabiną Jareda i zrzuciła płaszcz. Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

Siedział przy biurku, całkowicie ubrany, plecami do drzwi.

- Nie jesteś gotowy, aby mnie przyjąć - powiedziała

Powoli odwrócił się ku niej.

Przyglądał się jej bosym stopom, okrytym sarongiem biodrom, nagim piersiom.

- Nie wiedziałem, że powiniennem - odparł ochryple.

Zamknęła za sobą drzwi.

- Nic nie szkodzi. Teraz sytuacja jest inna. Ja przyszłam tu w płaszczu.

- Czuję się zaszczycony - odparł ostrożnie.

- Na zewnątrz jest bardzo zimno. Nie, to nieprawda. Po prostu nie chciałam pokazywać się w tym stroju marynarzom. Wiem, że tego nie lubisz.

- Doceniam twoje starania. Ostatnio łatwo wpadam w gniew.

- W takim razie musimy jakoś temu zaradzić. - Podeszła do Jareda. - Mam pewną propozycję. - Wzięła go za rękę. - Zwykle po tym bywasz zrelaksowany. - Położyła sobie jego dłoń na piersi.

- Co ty, do diabła, wyrabiasz?
- Chyba nie muszę wyrażać się jaśniej? - Zajął się węzłem saronga. - Ale spróbuję.

Złapał ją za ręce.

- Przestań. Jeszcze nie pora... Chryste, co ja wygaduję?
- Głupoty.
- Chyba masz rację. Powinienem cię schwytać i... Nie. Tym razem powinno być inaczej. - Zmusił Cassie, aby przed nim uklękła - Przyszłaś tu z powodu żądy? Bo przywykliśmy to robić na pokładzie "Josephine"? Jeżeli tak, lepiej stąd odejść... Chyba.

- Zawsze będę ciebie pożądać. Ale nie dlatego tu przyszłam. - Nadszedł czas. Musi to powiedzieć. Oparła policzek na jego kolanie. - Kocham cię... Chcę wyjść za ciebie za męża. Chcę z tobą przeżyć życie. Chcę, żebyśmy mieli dzieci. - Łzy ścisnęły jej gardło. Starała się zażartować. - Jeżeli się zgodzisz, pozwolę ci pojeździć na Kapu.

- Wobec tego nie mogę się oprzeć. - Posadził ją na kolanach i wtulił twarz w jej piersi. - Boże, jak ja cię kocham. Bałem się, że będę musiał czekać miesiącami, aż... Nie wiedziałem, co robić.

Przytuliła go z całej siły. Już nigdy nie pozwoli mu odejść.

- Bardzo dobrze zrobiłeś - powiedziała drżącym głosem.

Uniósł głowę. Oczy zabłyśły mu szelmowsko.

- Mogę zrobić coś jeszcze lepszego. - Rozwiązał węzeł sarongu. - Teraz, kiedy wiem, że nie posługujesz się mną tylko po to, aby ugasić...

Drzwi kabiny rozwarły się niespodziewanie.

- Chodźcie natychmiast!

Odwrócili się i ze zdumieniem ujrzeni Josette.

- Burza nadciąga. Nie czujecie kołysania? - powiedziała Josette. - Starałam się je uspokoić, ale musicie mi pomóc. - Nagle zdała sobie sprawę z negliżu Cassie. - Och, orgia? Bardzo interesujące. Cóż, musicie ją odłożyć na później. Czy to jest sarong? Miałaś rację, to o wiele bardziej szokujące od moich spodni. Będiesz mi go musiała kiedyś pożyczyć. - Zmarszczyła czoło wracając do poważniejszych spraw. - Nie

siedźcie tak. Ruszcie się. Potrzebuję waszej pomocy. - Odwróciło się i wyszła.

- Wyrzucę ją za burtę - wymamrotał Jared przez zaciśnięte zęby.

Cassie wciąż była oszołomiona.

- Pasażer na gapę.

- Musiała przyplynać do portu żaglówką i ukryć się w ładowni, zanim wsiedliśmy na statek. - Jared wstał. - Boże wszechmogący, co ja mam z nią począć?

Cassie wybuchnęła śmiechem. Nie mogła się opanować. Ich życie nigdy nie układało się zgodnie z przewidywaniami. Zawsze będą nagłe zwroty, burze i pogodne chwile. I co z tego? Niezmienna pogoda z pewnością by ich znudziła.

- To, co ci właśnie powiedziała. Pomóż jej przy koniach. - Cassie wzięła go za rękę i spojrzała w oczy wzrokiem pełnym miłości. - A orgię urządzimy sobie później.